ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVII. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXVI.

TOM II. — ZESZYT I.

Kwiecień.

WARSZAWA.

1892.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

Druk ukończono dnia 13 Kwietnia 1892 r.



FRAGMENT.

Nie lubię cię, gdy śmiechem wybuchasz pajaca,
Choć ludzie to pochwalą; — bo co z pochwał tłumu,
Który klowna oklaski rzęsistszemi darzy,
Niż wieszcza najwznioślejsze głoszącego prawdy?

O! wierz mi, wielką moc ma Psyche nieśmiertelna!
I najnieprawidłowsze umié ona rysy
Wygładzić dłonią swoją, tchnąc w nie piękność boską.
Tak w urnie z alabastru rozniecony płomień
Przeniknie wątłe ścianki i czarze użyczy
Czarodziejskiéj poświaty srebrnego księżyca;
Lecz niechaj światło zgaśnie — i znów ona czara
Staje się marnym garnkiem, glinianym czerepem. —

Pomnę cię, gdy nad księgą poważną schylony
Na ręku białe swoje opierałeś skronie,
A jasna myśl niebianka dłońmi śnieżystemi
W posągu kształt, oblicze oblekała twoje. —
Nie miałeś boskich rysów Feba ni Erosa,
Ale biła od ciebie ta potężna siła,
Z jaką szli w świat najpierwsi Grecyi herosowie,
Którzy wielkich przeznaczeń znak na czołach nieśli.

O życie! czemu ty mi ręką nieżyczliwą
Często zasłaniasz cudne duszy méj widzenia?
Przecz z rysów ukochanych piętno boskie ścierasz,
Oblekając w zwyczajną ludzką pospolitość?

Czy ziemia znikczemniała dziś bóstw nie jest godna?
Więc zkądże w duszy mojéj ta wrząca tęsknota?
To niebieskiéj piękności wieczne pożądanie?

Zamarła dawna wiara w mściwe Eumenidy,
Dawne Bogi na tronach swych słonecznych zbladły;
Jakże przeto nazwiemy ono bóstwo srogie,
Bóstwo szydercze, które w ziemianach obudza
Pragnienia nienasytne — i do orlich lotów
Poduszcza tych szaleńców, nie dawszy wprzód skrzydeł?

O wynurz mi się znowu z szaréj mgły powszedniéj
Posągu cudny! Niech ci żywa, purpurowa
Do młodzieńczego serca krew falą nabieży,
Jak wonczas, kiedyś mędrców księgi myślą badał,
Lub gdy pierwszéj miłości blask nieopisany,
Na młodém twojém czole boską iskrą płonął!

Zostań tak. Na zachodzie płomieniste słońce
Za lazurową falę wielkiego jeziora
Zapada; łabędź biały piersią kraje tonie
I na spoczynek dąży; ale oczy moje
Widzą w źrenicach twoich nieśmiertelne światło,
Co jakby w alabastrze rozniecony płomień—
Przez tkankę ciała świadczy o myśli potężnéj.

Zostań tak. Wielkiém państwem jest piękna kraina,
Kędy miara i liczba mają berło swoje:
Gdzie się muzyka w takty rytmiczne układa,
A zaś harmonia linii wdzięcznie zestrojonych,
Jak nad tonią jeziora srebrnośnieżna lilia,
Wykwita po nad ziemią białym Partenonem.

Zostań tak, wiecznie młody i wiecznie pogodny,
Z wdziękiem łączący siłę, z myślą serce wrzące;
Z oczyma utkwionemi w wiekuiste piękno,
Którego sam dla ludzi masz się stać kanonem.

Stój tak. Niech namiętności ludzkich fala mętna
Nie obryzgawszy ciebie u stóp twoich spływa,
Jak burzliwa toń morska, co góry skalistéj
Nie mogąc skruszyć—wściekła—pianą stopy liże.

Stój tak w nienaruszonéj ciszy i pogodzie,
Spokojny, bo przeświadczon o własnéj potędze;
Stój tak, synu mych marzeń, i myśli twych gwiazdą
Opromieniaj szerokie świata widnokręgi;
Stój, atleto zaklęty, — aż przyjdzie godzina
Wcielić myśl twą, byt nadać duszy twéj pragnienom,
I orlim pędem rzucić się na czynu pole
Z miłością Chrystusową a siłą Herkula!

Jak piękny on! Jak piękny on,
Sen, marzeń moich dziecię!
Przez nieśmiertelny pieśni ton
Zaklinam cię, o świecie,

Nie budź mi go — ni gromem burz,
Ni grzmiącém hasłem boju;
Niech ptaszy śpiew i szelest zbóż
Kołyszą go w pokoju.

Niech żaden szał, niech żaden męt,
Nie splami jego czoła,
Aż czasu duch z zdrętwienia pęt
Do życia go powoła.

Więc chcę, by spał i Niebo śnił,
Nim trosk nań spadnie brzemię;
By w szczęsny dzień starczyło sił
Ideał znieść na ziemię.

Chór bachantek.

Héj, my zmącim tę ciszę!
Ot wiatr ciepły kołysze
Drzew wierzchołki i słońce zagasa:
Róże łona otwarły...
Héj, tytany czy karły,
Z nami w taniec! świat pląsa i hasa!

Mędrzec z ciężkim kłopotem,
Krwawym zlawszy się potem,

Jakąś myśl w mrokach nocy wyszperał:
Pytam — ona mu poco?
Czy się zewrze z niemocą?
Czy jak nędzarz nie będzie umiérał?

Prawdę zdobył — cóż tego,
Gdy dnie szybko tak biegą?
Kiedy śmierć za plecami się czai?
Winem nalej mi czasze!
Dzisiaj tylko jest nasze;
Nie chcę wiedzieć co w jutrze się tai.

Bo dla kogóż stworzony
Ten świat z kwiatów miliony?
Skąd w krwi naszéj rozkoszne te dreszcze?
Do mnie piękny młodzieńcze!
Niech cię mirty uwieńczę,
Niech u łona mojego popieszczę.

Krew w twych żyłach nie woda, —
Więc szał, rozkosz, swoboda,
Dziś dziedzictwem są twojém wspaniałem:
Głupiec, kto się nie stara
Spełnić do dna puhara
W dniu, gdy szczęście jest jego udziałem.

Chyżo przędą nić Parki,
Prędko schylą się barki,
Troski włosy nad czołem przerzedzą:
Dziś — niech bogi cię strzegą
Od prac, cnót, prawd — drwij z tego;
W grobie o tém nic a nic nie wiedzą!

Drżę, o synu, czy cię chór ten czarami nie złudził?
Zdało mi się, żeś drgnął z lekka — czyliżbyś się budził?

Białe wieszczki.

Nad pola, góry i oceany
Wzbija się śpiéw mój, śpiéw mój wezbrany
Wrzącą tęsknotą całego świata;
Téj duchów rzeszy, co wiecznie wzlata

Po za ziemskiego bytu granice;
Piękny młodzieńcze, na twoje lice
Znak położyła dłoń boskiéj Psychy
I przebóstwiła gliny zlep lichy
W posąg cudowny; tyś mój na wieki.
Czy w słońce spojrzysz, czyli powieki
Spuścisz ku ziemi — ja pod nie złożę
Zaświatnych widzeń niezgasłe zorze,
Ja — stuimienna a nienazwana,
Kroplami rosy rankiem rozlana
Na wonne kwiaty, strojne barw tęczą,
Szumem puszcz, gwarem morza mówiąca,
Co budzę senną duszę młodzieńczą
Jak bard, gdy struny dłonią potrąca,
I niemėj lirze naraz użyczy
Cudnėj wymowy pieśni słowiczéj;
Aż w poślubionéj wiecznéj tęsknocie
Duszy téj pytań zbudzi się krocie;
Aż do swych ramion przypiąwszy skrzydła,
Zechce powietrze sfer wyższych chłonąć,
Aż myśli powié: nie znaj wędzidła,
Leć, choćby w żarach słońca ci spłonąć!

Odkąd w zwierzęcéj ciała powłoce,
W któréj szedł wieki człowieczy ród,
Jakieś się piérwsze zbudziły moce
I dziejów ducha począł się trud;

Odkąd wzrok utkwił w Niebios błękicie
I z oczu ludzkich spłynęły łzy,
Nas—białe wieszczki—zbudziło życie:
Ducha tęsknoty — to my!

Odkąd z twardego marmuru bryły
Pod rylcem piérwszy zbudził się bóg,
A ludzkość coraz rosnąca w siły
Na śmiałych badań wkroczyła próg,

Odkąd się ludzka myśl oskrzydlona
Na nieśmiertelne zdobyła sny —

Rozkwitłe w bozkim mózgu Platona —
Ducha porywy — to my!

. . . .

. . . .

Jakkolwiek człowiek zwie nasze moce —
Czyli je niegdyś bóstw mianem czcił,
Czy dziś, gdy wiary dawne druzgoce,
Wynikiem ślepych materyi sił
Ochrzcił — co z miana, gdy moc ta sama?
Czy on syn ziemi, czyli Adama —
To, co się w piersiach jego szamoce
W dnie przewalczone, w niespane noce,
Co orlim lotem oskrzydla pył,
Nieśmiertelności budząc w nim sny;
Żądza poznania, piękna pragnienia,
W bitego na krzyż wzniosłe marzenia,
Pęd w nieskończoność — to my!

Chór bachantek.

Jaka woń! co tu róż —
Aż się pierś rozrywa!
Wino skrzy, pełen kruż
Aż za brzegi spływa...
Lśniących ócz, śnieżnych ciał
I ust koralowych
Ile chcesz da ci szał
W życia dniach majowych.
Zbudź się, zbudź, piękny mój,
Nie gardź życia darem;
Do mnie tu! pij i czuj
Póki krew wre warem.
Pieśni brzmij, ale ty,
O bachancki hymnie,
Co rozkoszne ślesz sny
Gdy się ciało zdrzémnie!
Wzniosłe mrzonki z czoła precz!
Prawem świata miłość;
Po co rzekę zwracać wstecz,
Gdy bieg gdzie pochyłość?

Ziemio, ziemio, pięknaś ty!
Cóżby mi po Niebie?
Piersi gorą, serce drży...
Chcę uścisnąć ciebie.
Rodzicielko, ja mą skroń
Na twe łono skłonię —
Dzięki ci... teraz w swą toń
Nicość niech mię chłonie!...

On.

Skąd ten śpiéw? Co za dreszcz wstrząsnął mojém ciałem,
Co to jest? Gdziem ja był? Czy życie przespałem?
Czy chór dziew z sinych mórz wynurzył się łona?
Pała krew — gdzieżeś ty, o Psyche natchniona?
Z oczu mych znikasz mi, rozwiewasz się blada,
Jak blask zórz, gdy im Feb cios śmiertelny zada.
Jam cię czcił, wielbił cię, a tyś niedościgła;
Ogrom ksiąg nużył mózg i pierś moja stygła;
A ten śpiéw, a ten chór do życia mię budzi,
A więc szał! Jeszcze nikt nie szalał tak z ludzi!
W dni mych maj, w sił mych pełń — niechże mi do łona
Zbiegnie dziś ziemi cór rzesza ukwiecona!
Toast mnie! toast wam! Co z orły szybować?
Po co myśl? po co łzy, gdy można całować?
Toast mnie, toast wam! z dobrą falą płyńmy;
Do ust kruż! Hej — do dna! Gdy wychylim — zgińmy!

Chór wieszczek.

Uderzmy w harfy złote
I niech pieśń idzie w dal,
Nim — skazana na niemotę
Odejdę tłumiąc żal...

Oto duch młody i dzielny
Od Psychy stóp
Wstał — wir go porwał weselny
Wiodąc do zgub.

Opuścił wyższych bóstw ołtarze,
Piękności chram;

Śród pląsów, przy fletni gwarze
Urąga nam.

A tyle więzów nierozbitych,
Przesądów skał,
Tyle prawd jeszcze w mroku skrytych
Tyś zdobyć miał...

O biédnam ja, gdy mię zwycięża
Żądz brudnych szał,
I gdy na ziemi nie ma męża,
By w prawdzie trwał.

O płaczcie, siostry, czerw się lichy
W kwiat bujny wślizł —
I kochankowi boskiéj Psychy
Pierś stoczył, zgryzł!...

Nie, chórze białych dziew, jego to nie zabije.—
Toć i mnie się roiło chować go jedynie
Dla czynów i dzieł wielkich; lecz prawom natury,
Widzę, iż przegrod stawić nie winien śmiertelny.
Oto jego źrenice jeszcze toną we mgle
Błękitnéj ideału krainy — i marzeń
Zaświatnych,—lecz po ustach już uśmiéch miłosny
Przebiegł, jako o wiośnie błysk młodego słońca.

Rozkosz jest także siłą: ona w żyłach ziemi
Płynie i wiosną kwiatów pąkowia otwiéra;
W drzewach soki, a w sercach rozbudza tęsknoty;
Ona brzeg czary życia kwiatami przystraja
I nęci nas, chociażby gorycz była na dnie.
A gdy ciąg dni bolesnych do kresu dobiega —
My konający—jeszcze ku tym piérwszym kwiatom
Z uśmiechem upojenia obracamy oczy!

O! święć się, ty młodości wrzące pożądanie!
Bóstwo, co zbliżasz serca, zaplatasz ramiona
I rozgorzałe usta pocałunkiem łączysz!
Ty zdrowych ciał potrzebo, snów wieszcza podnieto,
Dawczyni szczęścia, przyszłych pokoleń rodzico,

Niech każdy wedle sił swych puhar twój wychyli,
Niewydziedziczon z prawa śmiertelnym wspólnego!

Nie,—choć uderzy serce marzeń moich syna
Wprzód, nim dlań śnionych czynów godzina wybije,
Ramie jego dość silne, by ziemskich cór wiele
Do swéj płomiennéj piersi przytulić uściskiem,
One mu wyższych życia celów nie przesłonią;
Bo kto raz widział Psychy rysy idealne
Już nigdy nie zapomni słodkiego oblicza
I—po chwilowym szale—jéj szatę błękitną
Z gorętszém uniesieniem do ust swych przyciśnie.

Lecz jeśliby starości dobiegł niedołężnéj,
Ust swych nie umoczywszy w rozkoszy napoju,
Choćby mu sława wieńce uplotła stokrotne,
Choćby na łonie Psychy konające skronie
Do snu wiekuistego łagodnie kołysał,
Jeszcze ostatnie jego słowo skargą krwawą,
A ostatnie westchnienie byłoby tęsknotą!

Mefisto.

Minęły czasy, gdy pastérz Chaldei
Dzieje gwiazd ruchu z księgi Niebios czytał,
Lub gdy śród kolumn greckich Propilei
O jéj genezę mędrzec ziemię pytał.

Minęły czasy Faustowych dociekań,
Czasy romantycznych bredni. —
Dziś — gdy usłyszysz jęk narzekań,
To troska o chléb powszedni.

Jeżeli głębszy kufel sobie nalać,
Albo grzbiet oblec zdołałeś, o człeku,
W cieńszą tkaninę — będę cię wychwalać,
Boś szedł z duchem twego wieku.

Ha! nie zaprzeczę — i nasze stulecie
Miewa swoich Donkiszotów:
Bo świat-by spleśniał, wy to dobrze wiécie,
Gdyby zawsze nie był gotów

Jakiś waryat go popchnąć. Dokąd? Czy ku słońcu?
Ech, o tém gadaćby wiele;
Dość że naprzód: gwar, krzyk... i co w końcu?
Ot — czaszka i dwa piszczele.

A czy widzicie, jak ten grymas trupi,
Z jakimś szyderczym chychotem,
Zda się powtarza: głupi ludzie! głupi!
Lecz — miałem mówić nie o tém.

Usłyszałem jakoweś szlochy i lamenty,
Doprawdy śmieszne dla światłych umysłów:
Te — wzbudzając zapał święty,
Owe — w imię wrzących zmysłów

Przywabiają młokosa, spór o niego toczą;
A tamta, wróżka niby, — nie wiem co za licho?
Na ton podniosły mowę nastraja proroczo,
Jak gdyby wczoraj widziała się z Psychą

I wszystkie tajemnice niebieskie posiadła.
Słuchajcież mię, moje panie!
Nie cuglić Rossynantów! Żadna z was nie zgadła,
Co się z tym gagatkiem stanie.

A więc, ja wam opowiem.—W błękit zapatrzony,
Przestoi on krótką chwilę,
Boć nikt nie przeczy, że młodość wiek-to szalony,
Że Psychy skrzydła motyle

Jéj są wymysłem, że na nich ulata
I gwiazdę nosi na czole;
I — może w wiekach bohatérskich świata
Motyl w końcu na pióra wzmógłby się sokole?

Wszak byli pono tacy, jak baśń gwarzy?
Przeminą wzniosłe androny:
Krew ogniem zakipiała, młodzieniec wymarzy
Losy kochanka Herony.

I znowu — kto wié? — gdyby wznowić czasy,
Które sławią trubadury,

Może pod godłem lubéj toczyłby zapasy
Z wrogiem—i szturmem brał mury?

Lecz dziś to nie na dobie: pordzewiały włócznie,
W prochu śpią ich posiadacze;
Dzisiaj ja go pomiędzy moje wliczę ucznie
I szlak łatwiejszy wyznaczę.

Zamiast łbem bić o Niebo, śnić Ikara loty,
Ginąc za lubéj uściski,
Niech się lepiéj nauczy, jak z ludzkiéj głupoty
Pewniejsze wyciągać zyski.

Nigdy się z wyższą myślą przed tłumem nie zdradzić,
Nad innych nie wznosić głowy,
Własną swoję istotę ociosać, ogładzić,
Jak gładki pionek szachowy.

Pomniéć, że marzycielstwo dziś obudza litość,
A więc go strzedz się jak zbrodni;
Miéć za jedyne bóstwa — dobrobyt i sytość,
Bo szubrawcami są głodni.

Szydzić z gwałtownych uczuć, tych szumnych wiatraków
Słynnego rycerza z Manszy.
Anioł czy kurtyzana—wierzcie—smak jednaków,
A drugi towar jest tańszy.

Zamiast walczyć z burzami, drzéć się na urwisko,
Gdzie kwiat paproci wykwita,
I innym głupcom z siebie czynić pośmiewisko,
Ot — kupić bydlę — i kwita!

Niech jeszcze przy zielonym posadzę stoliku —
To działa jak najskuteczniéj:
Postępowych narwańców miałem już bez liku
A dziś to ludzie stateczni.

I pytam po co płakać, zaklinać gwałtownie?
Wszak ja się na tém znam!
Dość tylko postępować rozumnie, taktownie
A z piedestału zejdzie sam.

Jam przecie nie dzisiejszy — i młódź nie od roku
Ta dłoń w świat pcha:
Ten, ów wierzgnie, lecz chomont lekki przy obroku,
Cha! cha! cha! cha!

Oto recepta jest, panie,
I djablim honorem ręczę,
Że dwukrotne leków danie
Rozproszy fochy młodzieńcze;

Że pieszczoch Muz a wasz gagatek
Swéj braci stanie się echem
I gdy przypomni szały młodych latek,
To z pobłażliwym uśmiechem.

Bo — co najprędzéj ściąga z niebiosów —
To łatwych uciech obfitość;
I największy wróg herosów,
Rdza stali to — pospolitość.

Przez nią on będzie gładki, ugrzeczniony,
Taki filister, choć przyłóż do rany:
Z krągłym brzuszkiem, z łysiną, w sobie rozkochany...
Co? mucha brzęczy: zginiony! zginiony!

Zginiony? tak — zginiony! — Słyszę ryk gawiedzi
Wybuchającéj wściekłym urągania śmiechem,
Szczęśliwa — dzisiaj może plunąć w twarz bezkarnie
Olbrzymowi, któremu wprzód stóp nie sięgała!

A cóż ja pocznę z tobą, biédne serce moje?
Dłużéj niźli przez wieki, bo przez życie całe,
Goniłoś za Niebieskim piękna pierwowzorem,
A kiedyś je ujrzało w kształt ludzki zaklęte,
Ono zgasło, jak błędny ognik nad moczarem. —
I nic — i nic dokoła? I brudna poczwara
Ćwiartuje boskie ciało, boleści urąga,
Twierdząc, jako na ziemi znikła wzniosłość wszelka.

O gdyby mi się w posąg zamienić Nioby,
Co z pod kamiennych powiek łez wiecznych zdrój toczy;
O gdyby tak skamienieć! Boć cięższa ma dola
Niźli téj, któréj dzieci bóg mściwy wystrzelał:

One zgasły niewinne w niebiańskiéj urodzie
I żaden ich gad podły jadem nie splugawił.

Tyś jest, o serce moje, jako łódź na morzu
Bez steru, dzikim wichrom zdana na igraszkę;
A gdzież jest przystań dla cię? Czy wy istniejecie,
Ziemi czy Nieb potęgi, o których świat baje?
Ha! Naucz cież mnie ciężką dolę mą przenosić,
Płaszczem dumy królewskiéj srogie kryjąc rany:
Niechaj weń upowiję pierś moję skrwawioną
I marzeń moich syna posąg roztrzaskany.

Głos.

Na skale Leukaty postać blada
Z rozwianym włosem chwieje się, chwieje
I śnieżną piersią w odmęt pada...
Płacz, świecie, lutnia niemieje
I nie zabrzmi już pieśnią namiętną Safony...

Więc tak? I mnie w śmierć się rzucić?
I na ideał mój skruszony
Nigdy już oczu nie zwrócić?

I dozwolić zewłok jego święty
Szarpać kpów zgrai przeklętéj?

Nie! ja nie oddam go, bo pięknym był!
Choć dziś to serce nie bije,
Ja wtrysnę w nie krew z moich żył,
W całuny wspomnień spowiję.

I zawieszę w przestrzeni, w kryształowéj trumnie
Poezyi -- jak śpiącego baśni królewica,
A kogo znęci piękna tajemnica,
Ten w górę wzbije się ku mnie!
Gdzie o moję pierś oparty,
Na pościeli z róż pąkowia,
Uśnie on — a wieszczki warty
Pełnić będą u wezgłowia.

Ja — pra-pieśń — starsza niźli rapsody Homera,
Niż najdawniejszych mitów baśń,
Com ducha, gdy się z ciała pomroki wydziéra,
Wiodła w Nieb jaśń;

Com go w moje piastuńcze ujęła ramiona,
Odkąd pierwszy bełkot słowa
Wskazał, że myśl w nim przebudzona
W byt samowiedny przejść gotowa;

Com ze szczebla na szczebel śród nowych przebudzeń
Witała każdy jego jaw,
Gdy szukał, party czarem tajemniczych złudzeń —
Wszechświata praw:

Ja wiem —
Co czuje duch, nim myśl swą odrze z wyższéj treści,
Z boskości cech:
Wiem, że najwięcéj boli z duchowych boleści
Nad sobą śmiéch.

Więc i tego dziś szarpać wy miéć możecie czelność,
Gdy padł bez sił,
Ale ja go ukocham na całą nieśmiertelność,
Bo pięknym był!

Adam M—ski.





PRZYRODA W „PANU TADEUSZU.“

Stało się to oklepanym w naszych czasach ogólnikiem, iż każdy człowiek wyższego umysłu winien zwracać się do przyrody, w niéj szukać podstawy dla pojęć swego rozumu i źródła natchnień swego serca. Pogląd ten określa rzeczywistą potrzebę nowoczesnego człowieka. Istotnie, cywilizacya nieraz nadto oddala nas od przyrody, wytwarza dokoła nas sztuczne warunki, które powodują mniéj lub więcéj znaczne zboczenia od normalnego typu człowieczeństwa. Zwrot do przyrody odświéża uczucia zatęchłe w dusznéj atmosferze zawodowych zajęć, dostarcza realnych wrażeń umysłom nadto pochłoniętym przez abstrakcye, wogóle przyczynia się do wytworzenia wewnętrznéj harmonii i równowagi w duszy ludzkiéj. Ale ludzie posiadają szczególny talent wykrzywienia i sparodyowania najwznioślejszych nawet aspiracyi swego serca. I owo tak naturalne i dobroczynne w swych skutkach zamiłowanie przyrody, jakże cudacznie przedstawiało się nieraz w poezyi i w życiu, jak jednostronnie, często karykaturalnie pojmowano i odczuwano je w różnych epokach.

Za czasów pseudoklasycyzmu została ona przystosowana do panujących wówczas niewolniczych formułek i reguł. Jak w ogrodach ówczesnych i w poezyi pseudoklasycznéj, przyroda zjawia się przystrzyżona i wymuskana, sucha i zimna, jak umysły ówczesnych poetów. Następnie, kiedy Rousseau ożywił ją w swych utworach płomiennem tchnieniem głęboko czującego serca, wynikające stąd podniesienie temperatury uczuciowéj u ogółu przejawiło się w sentymentalno-tkliwém odczuwaniu przyrody, mniéj wprawdzie suchém niż

poprzednio, ale nie mniéj sztucznêm i wymuszonêm. Późniéj przyszedł romantyzm ze swą rozbujałą fantazyą i wyegzaltowaną uczuciowością. Pod jego wpływem przyroda odbiła się w umysłach ludzkich w prawdziwszéj, ale zawsze jeszcze bardzo jednostronnéj postaci, przemawiając do nich tylko mglistą fantastycznością, lub dziką potęgą swych objawów: widziano ją wtedy jedynie w mdłém świetle księżycowéj nocy, w blasku piorunów i błyskawic, w chaotycznym zamęcie wzburzonych żywiołów. Wreszcie za naszych czasów francuska szkoła naturalistyczna, rozlubowawszy się szczególnie, w wyjątkowo wstrętnych i odrażających objawach przyrody, w nich zdaje się uznawać całą jéj treść i istotę.

Wieleby jeszcze można wskazać niedorzecznych lub jednostronnych objawów w uczuciach ludzkich dla przyrody. W sposób specyalny potrafili ją sparodyować Niemcy: przejmując się głębokim dla niéj poczuciem swych wielkich myślicieli i poetów, z właściwą sobie pedantyczną systematycznością zrobili z niéj przedmiot jakiegoś oderwanego i obowiązkowego kultu, który w praktyce filistersko-mieszczańskiego życia stał się śmieszną i trywialną manierą, tak dowcipnie ośmieszoną przez Heine'go.

Stosunek Mickiewicza do przyrody wyróżnia się głównie prostotą, a zarazem głęboką i wszechstronną prawdą w odczuciu różnych jéj zjawisk. Przedewszystkiém poeta nasz ma tę zaletę, iż pojmuje naturę naturalnie: nie czyni z niéj romantycznego straszydła, ani rozpływa się nad nią w uniesieniach ckliwego sentymentalizmu; — lecz zwraca się do niéj szczerém i prostém sercem głęboko czującego człowieka, spogląda na nią jasnêm okiem zdrowego rozumu i odczuwa ją czułym niezmiernie i wysoce rozwiniętym zmysłem poety-artysty. Przytém Mickiewicz daleki jest od wszelkiego filozofowania nad przyrodą; jéj objawy nie wywołują w nim oderwanych refleksyi, ani idei metafizycznych: patrzy on na przyrodę rozumnie, zdrowo i trzeźwo, ale wcale nie filozoficznie, ma dla niéj głębokie uczucie i żywe upodobanie, lecz ani śladu wybujałéj egzaltacyi i marzycielskich zachwytów.

Z takiego stosunku poety do przyrody wynika realistyczny sposób odtworzenia jéj, harmonizujący doskonale z zasadniczym tonem całego poematu: jak charaktery ludzkie, stosunki życia, obyczaje, podobnie i objawy przyrody w „Panu Tadeuszu" odzwierciedlają się w istotnéj prawdzie rzeczywistych swych cech i właściwości. A tak samo jak w innych sferach poematu, realizm Mickiewicza przejawia się tu nie w suchém mechanicznêm odbiciu, lecz w artystycznêm, pełnêm poezyi obrazowaniu.

I.

Podnoszę tu przedewszystkiém pytanie, na czém polega poetyczność obrazów Mickiewicza?

Najpierwszym, zasadniczym warunkiem obrazowania poetyckiego jest plastyka i żywość zarysów; jest-to wogóle główny warunek wszelkiéj twórczości artystycznéj. Chodzi o to, aby opis poetycki nie był zawarty w ogólnych określeniach, które działają tylko na rozum, lecz aby zdołał wywołać w wyobraźni żywy, konkretny całokształt obrazowy, zbliżony do realnego widzenia. Cel ten wtedy zostanie osiągnięty, gdy w danym opisie zawierać się będzie wiele charakterystycznych i wybitnych rysów, które silnie uderzając wyobraźnię, wytworzą w niéj pożądany obraz.

Oczywiście, daleki tu jestem od przypuszczenia, iż poeta z rozmysłem opracowuje swój opis dla wzbudzenia odpowiednich wrażeń w czytelniku. Mniemamy, owszem, iż każdy prawdziwy poeta, tworzący pod wpływem natchnienia, dlatego tylko może dać nam żywe i konkretne wyobrażenie swego przedmiotu, że ono w jego własnym umyśle w ten sposób się odbija. Na tém polega cały sekret twórczéj wyobraźni: widzi ona świat otaczający jaśniéj i pełniéj, niż wyobraźnia zwykłych ludzi i dzięki temu zdolna jest plastycznie go odtworzyć. Stopień jasności widzenia może być różny u różnych natur poetyckich, a stąd wynika też mniejsza lub większa siła plastyki obrazowéj; u Mickiewicza osiąga ona najwyższy punkt możliwy, świadcząc o wyjątkowéj żywości i sile jego wyobraźni twórczéj.

Rozważmy z tego stanowiska kilka obrazów „Pana Tadeusza“; weźmy najprzód zachód słońca w ks. 1-éj.

Możemy tu wyróżnić następujące rysy charakterystyczne: położenie słońca na sklepieniu niebieskiém („słońce ostatnich kresów nieba dochodziło“); zmniejszenie się siły światła, a zarazem zwiększenie tarczy słonecznéj („Mniéj silnie, ale szerzéj niż we dnie świeciło“); jaskrawa czerwoność słońca, uwydatniona przez porównanie do zdrowego oblicza gospodarza; stopniowe obniżanie się „kręgu promienistego“, żywo uprzytomnione przez ruch ku wierzchołkowi boru. Następnie uchwycona chwila, kiedy słońce, zawieszone nad czerniejącym już w mroku borem, wydaje się niby pożar na dachu olbrzymiéj budowli; wreszcie w zakończeniu obrazu błysk ostatnich promieni przez konary drzew i uzupełniający opis poruszenia w świecie gospodarskim.

Mamy tutaj zupełny obraz zachodu słońca w pogodny dzień letni, nakreślony w nader szerokich i wybitnych rysach.

Odmienne zupełnie, a nie mniéj wyraziste rysy, spotykamy w księdze 12-éj w obrazie zachodzącego słońca, również przy najpiękniejszéj pogodzie. Tu poeta chwyta tylko ostateczny moment zachodu i uprzytomnia nam wyłącznie współczesny stan nieba, pomijając zjawiska na ziemi. Więc najprzód barwa okręgu niebios: u góry błękitnawa, na zachód różana; — daléj rozrzucone po niebie lekkie, drobne chmurki; w pośród nich wyróżnia się jeden większy obłok na samym zachodzie, oświetlony jaskrawo ostatniemi promieniami słońca; zmiany barw w nim zachodzące (ognisto-czerwona, żółta, bladożółta, szara) dają poznać stopniowe gaśnięcie kryjącéj się za nim tarczy słonecznéj.

W obu tych obrazach mamy jeden zasadniczy rys, dokoła którego skupiają się drugorzędne: w pierwszym obrazie jest nim odległy widok lasu, w drugim samotny obłok na zachodzie.

Nie mniéj plastycznie przedstawiony został obraz wschodu słońca w ks. 11, choć skreślony tylko w zarysach zjawisk atmosferycznych. Rozpoczyna go krótki opis stanu niebios bezpośrednio przed świtaniem: czysty błękit firmamentu, kilka gwiazd świécących z głębi i jedna biała, samotnie ulatująca po niebie chmurka. Lecz oto rozpoczynają się stopniowe zmiany na sklepieniu niebieskiém. Ostatnie gwiazdy gasną; niebo ciemne jeszcze na zachodniéj stronie rozjaśnia się coraz na wschodzie; – pojawiają się żywe blaski zorzy porannéj, samotna chmurka biała nagle rozjaśniona zostaje złotawą barwą: i wnet, niby na dnia hasło: „pęk ogniów wylata, tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata“. Wśród tych błysków świetlanych ukazuje się „oko dnia“ — słońce, które, przechodząc przez cały szereg barw i natężeń światła, osiąga pełnię swego dziennego blasku.

Obraz ten wyróżnia się od poprzednich większą ilością rysów szczegółowych: są w nim uchwycone wszystkie główniejsze momenty wschodu słońca; choć, ażeby jasno go sobie uprzytomnić, trzeba się więcéj weń wmyśléć, nie uderza on tak bezpośrednio wyobraźni, jak tamte (a szczególnie pierwszy z nich), ponieważ nie ma w nim od początku głównego rysu, skupiającego drugorzędne, dopiéro przy samym końcu ukazująca się kula słoneczna jednoczy wszystkie poprzednie rysy. Ze względu na bezpośredniość wrażenia plastycznego, naczelne miejsce przyznać należy pierwszemu z przytoczonych obrazów; zasadniczy jego motyw: widok rozległego boru i płonące nad nim słońce przez swe rozmiary i wybitne zarysy narzuca się szczególnie żywo wyobraźni; wszakże i drugie dwa opisy posiadają wiele

plastyki, tylko wymagają delikatniejszéj i subtelniejszéj wrażliwości.

Zobaczymy teraz plastyczność opisów Mickiewicza w krajobrazach. Wybieram dla przykładu opis kniei litewskiéj na początku księgi 4-éj.

Poeta przedstawia tu siebie samego, jak, siedząc na dzikim ostępie, rozgląda się dokoła. Słusznie podniósł w tym obrazie p. Witkiewicz [1]) stopniowanie w wyrazistości poszczególnych rysów, w miarę tego, jak odnoszą się do bliższych lub dalszych przedmiotów. W najbliższém otoczeniu widne są dokładnie drobne szczegóły: srebrzący się mech siwobrody, „zlany granatem czarnéj zgniecionéj jagody“; daléj nieco czerwienieją wrzosiste pagórki, a na dalszym jeszcze planie dziki zamęt zwalonych kłód drzewnych i chaotyczna plątanina gałęzi, traw i roślin leśnych. Obok tych wrażeń wzrokowych mamy również wrażenia słuchu: różne odgłosy lasu. — I tutaj to samo stopniowanie: w górze słychać szum wichru między gałęźmi, a w głębi ostępu, wśród panującéj w nim ciszy, dochodzi uszu lekkie stukanie dzięcioła w drzewo. Cały obraz uzupełniony jest prześlicznym opisem wiewiórki „gajów tanecznicy“ i jeszcze piękniejszą idyllą chłopca i dziewczyny, zbiérających orzechy, kończy go wreszcie odgłos rogów myśliwskich, oznajmiający zbliżające się polowanie.

Ten ostatni obraz, obok pewnéj ilości konkretnych rysów, warunkujących przedewszystkiém plastykę poetyckiego przedstawienia, daje nam doskonały wzór innego jeszcze zasadniczego jéj warunku, mianowicie: optycznego układu szczegółów.

Malarz, przedstawiając krajobraz na płótnie, musi go ująć z pewnego punktu widzenia i wszystkie jego szczegóły tak przedstawić, jak one się z tego punktu wydają. Poeta nie może przedstawić swego obrazu w liniach i barwach, ale za pomocą żywego opisu może wywołać go w naszéj wyobraźni; atoli wtedy tylko ten skutek zdoła osiągnąć, gdy wszystkie szczegóły tak opisze, jakby one z pewnego przypuszczalnego punktu widzenia przedstawić się nam mogły: w przeciwnym bowiem wypadku w wyobraźni czytelnika nie powstanie żaden obraz, lecz tylko uprzytomni się jéj pewna ilość niezłączonych organicznie zarysów. O téj prawdzie aż nadto często zapominają różni nowocześni beletryści, przedstawiając swój przedmiot naraz z przodu i z tyłu, z jednego i z drugiego boku, tak iż w rezultacie zamiast żywego obrazu otrzymujemy nudne prozaiczne opisanie.

Inaczéj u Mickiewicza. Widzieliśmy w opisie kniei doskonałe

---

[1]) Sztuka i krytyka u nas.

ugrupowanie optyczne rysów szczegółowych; — toż samo można zauważyć i w innych opisach. I tak, widoczną jest rzeczą, iż poprzednio przytoczone obrazy wschodu i zachodu słońca odpowiadają również temu warunkowi: każdy z nich wzbudza w naszéj wyobraźni całokształt obrazowy o zarysach odpowiednio ustosunkowanych do określonego punktu widzenia. Atoli te obrazy poetyckie różnią się od malarskich nietylko swym idealnym charakterem, ale także zmiennością kształtów. Poeta ma tę wyższość nad malarzem, iż może przedstawić swój obraz w ruchu, czyli wywołuje w wyobraźni czytelnika cały szereg obrazów, przechodzących stopniowo jeden w drugi, przyczém jednak muszą one przedstawiać się tak jakby mogły być widziane z pewnego przypuszczalnego stanowiska; w ten sposób istotnie rozwijają się przytoczone powyżéj opisy zjawisk atmosferycznych w „Panu Tadeuszu“.

Czasami jednak i stanowisko obserwatora może się zmieniać, a odpowiednio do tego zmieniają się i obrazy; mogą one być tak ukazane, jak się zjawiają naszym oczom, gdy jesteśmy w ruchu. Ale w takim razie zmiany powinny być naturalne i stopniowe, tak aby jedne rysy nie zaciérały drugich i nie mieszały się z niemi; poeta może prowadzić naszą wyobraźnię w pewnym kierunku, ale nie powinien zmuszać jéj do czynienia nagłych skoków z jednego stanowiska na inne, bo wtedy obraz jego nie będzie miał należytéj ciągłości, a przez to nie wywoła konkretnego wrażenia.

W obrazach Mickiewicza znajdujemy zawsze doskonałe spełnienie wszystkich powyższych warunków opisowości poetyckiéj. Oprócz znanych nam już przykładów, możnaby przytoczyć wiele innych; — poprzestanę na kilku. I tak: obraz pól litewskich na wstępie do 1-éj księgi przedstawiony jakby z lotu ptaka w ogólnych, szerokich zarysach; następujący bezpośrednio po nim widok dworu soplicowskiego, wzięty jest z oddalenia, dlatego widzimy tylko jego ściany bielejące na zieloném tle topoli; przeciwnie, zamek w ks. 2-éj odmalowany jest szczegółowo, bo oglądamy go z bliska, ze stanowiska Hrabiego, znajdującego się u stóp murów zamkowych; przyczém dokładnie uwydatnione zostały wrażenia wywołane przez promienie wschodzącego słońca i mgłę poranną, dla tego błyszczą się resztki szyb w oknach [1]) i bla-

---

[1]) P. Witkiewicz we wspomnianym poprzednio artykule trafnie zwrócił uwagę na jeden jeszcze szczegół w tym opisie. Poeta mówi: że „błyszczała w kratach reszta szyb wybitych, łamiąc promienie wschodu w tęczach rozmaitych.“ Jest-to znana właściwość fizyczna bardzo starego szkła, iż mieni się ono różnemi barwami, szyby nowe błyszczałyby tylko w promieniach słonecznych,

cha na dachu, dolne piętra ukryte w tumanie, wskutek tego wieża nad nimi wydaje się wyższa. W opisie puszcz litewskich prowadzi fantazyą czytelnika, rozwijając szereg obrazów, które ukazują się nam stopniowo jeden po drugim, jakbyśmy rzeczywiście odbywali tę fantastyczną wędrówkę. Podobnie naturalną zmianę wrażeń mamy w opisie burzy: zjawiska na niebie i ziemi, w świecie roślinnym i zwierzęcym kolejno przesuwają się przed nami, tak jak one mogą się przedstawić oczom obserwatora, śledzącego cały przebieg rzeczywistéj burzy.

Nie będę mnożył przykładów. Powyższe wystarczą, aby okazać, iż wszelkie opisy Mickiewicza są zawsze odniesione do określonego punktu widzenia, lub téż do szeregu możliwych i naturalnych sytuacyi znajdującego się w ruchu obserwatora. Wyobraźnia nasza nie jest tu zmuszona do składania sztucznéj całości z poszczególnych rysów, lecz ma ją daną w idealném odbiciu poezyi i potrzebujemy tylko uprzytomnić sobie właściwe stanowisko względem roztoczonych obrazów, aby one jasno się przed nami zarysowały.

Na tém właśnie polega zasadnicza różnica poetyckiéj i prozaicznéj opisowości: ta wymaga tylko dokładnéj znajomości cech przedmiotu, tamta jasnego widzenia konkretnych jego kształtów; koniecznym przeto jéj warunkiem jest możliwie największa siła i jasność wyobraźni. Lecz ten przymiot niezawsze się zdarza nawet u prawdziwych poetów, dlatego téż często dają nam oni zamiast poetyckich bardzo prozaiczne opisy. Nadmiar tych ostatnich w poezyi nowoczesnéj wywołał znaną teoryę Lessing'a, wedle któréj wszelka opisowość z natury swéj jest niepoetyczną. Nie mogę rozwodzić się tutaj nad znaczeniem téj teoryi i stosunkiem do niéj opisów Mickiewicza; zauważę tylko ogólnie, iż, jak wszelkie teorye estetyczne, pomimo wielu głębokich prawd, które zawiera, jest ona jednostronną, głównie z tego powodu, iż wysnuta została wyłącznie z poezyi starogreckiéj, któréj znakomity estetyk niemiecki zbyt bałwochwalczym był wielbicielem. Zresztą, możnaby tu własnemi jego słowy powiedzieć [1]): „iż często jakaś zasada zdawałaby się niewątpliwą w teoryi, gdyby nie to, że siła geniuszu twórczego okazała jéj fałszywość w praktyce.“ Mimo wszelkich zarzutów Lessing'a przeciw opisowości w poezyi, mamy niewątpliwie arcydzieła w tym rodzaju w utworach wielkich mistrzów; prawda, że za to rozliczne średnie i mierne talenty obdarzają nas

---

stare łamią je w „tęcze rozmaite.“ — Ten szczegół stanowi jeden dowód więcéj nadzwyczajnéj dokładności obrazów Mickiewicza.

[1]) „Laokoon“, wyd. Reclam'a, str. 23.

całą powodzią nieznośnie nudnych i banalnych opisów. Dla ścisłości dodać należy, iż nawet opisy w „Panu Tadeuszu“ nie zawsze szczęśliwie zostały ujęte: tak np. opisy ogródka gospodarskiego w ks. 2, lub różnych rodzai grzybów w ks. 3 nie stanowią zamkniętych obrazów; atoli są to jedyne bodaj przykłady; zresztą, posiadają one tyle innych zalet, że okupują nimi po części brak całokształtu obrazowego.

Obfitość trafnie dobranych rysów charakterystycznych i umiejętne ich połączenie są to nader ważne warunki obrazowania poetyckiego, ale nie jedyne; również doniosłą rolę odgrywają tu przenośnie i porównania. Spełniają one potrójne zadanie w obrazach poezyi: najprzód, nadają im więcéj plastyki, a przez to żywiéj uprzytomniają je naszéj wyobraźni, następnie, uwydatniają zawarte w nich pierwiastki piękna; wreszcie, rozszerzając zakres poetyckiego przedstawienia, pobudzają żywszą grę wyobraźni, a przez to potęgują ogólne wrażenie estetyczne.

Bogaty zasób trafnych i pięknych przenośni jest najpewniejszą miarą geniuszu poetyckiego; przez nie głównie wyróżniają się najwięksi mistrze poezyi od miernych, a nawet wyższych talentów. Mickiewicz, jak w każdym względzie, tak i w tym najpierwsze zajmuje miejsce między naszymi wieszczami: jego obrazy przyrody swą plastyczność i piękność zawdzięczają w znacznéj części licznym i przepysznym przenośniom. Już w „Sonetach krymskich“ osiągnął on wysoką pod tym względem doskonałość; w „Panu Tadeuszu“ wzniósł się jeszcze wyżéj, jeszcze bogatsze roztoczył skarby fantazyi.

Ponowny rzut oka na rozpatrywane powyżéj obrazy dowodnie nas o tém przekona.

W opisie zachodu słońca w księdze 1-éj przenośnie i porównania służą przeważnie do podniesienia plastyki obrazu, nie rozszerzają jego zakresu i nie wiele przyczyniają się do upiększenia, ale utrwalają z niezmierną siłą główne jego zarysy; w drugim obrazie, zachodu w ks. 12-éj odmienne jest ich zadanie i tutaj uwydatnione przez nie zostaje subtelne i eteryczne piękno poszczególnych rysów, jak np. porównanie zachodniego obłoku do firanek rąbkowych, lub lekkich białych chmurek do trzód, śpiących na murawie, albo do stada cyranek.

Szczególném bogactwem przenośni odznacza się trzeci z rozważonych powyżéj opisów: wschód słońca w ks. 11-éj. W tym ustępie głównie mają one na celu okazanie całéj piękności i blasku wspaniałego zjawiska przyrody; a niektóre z nich same przez się stanowią przedziwnie piękne i pełne treści obrazki. Taką jest np. przenośnia,

upodobniająca samotną, białą chmurkę, ulatującą po niebie, do niknących piór anioła-stróża,

> Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany
> Spóźnił się, śpieszy wracać między współniebiany.

To skończony w sobie obrazek, który unosi naszą fantazyę daleko po za granice przyrody w nadziemskie dziedziny wiary, a jednocześnie wzrusza głęboko swojską prostotą i wzniosłą ideą chrześciańską.

Przepysznie również przedstawiona została w tym samym opisie chwila ukazania się słońca. Pierwszy jego promień:

> Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął
> I w białéj chmurce, jako złoty grot, zawisnął

W ten sposób poeta uplastycznia nagłe rozjaśnienie samotnego obłoku na niebie: zjawisko bardzo zwykłe przy wschodzie słońca, uwydatnione w całéj swéj piękności przez powyższe porównanie. Jaskrawe blaski, towarzyszące pojawieniu się słońca, uplastycznione przez cały szereg porównań: pęki ogniów, tysiące krzyżujących się rac, krwawa barwa rubinu, żółta topazu, przezroczystość kryształu i świetność brylantu; wszystkie te porównania uprzytomniają nam żywo stopniowe wzmaganie się blasku słonecznego; wreszcie ostatni wiersz opisu („Tak po niezmierném niebie szło samotne słońce"), zarówno przez zawarty w nim obraz, jak i przez uroczysty spadek rytmiczny, oddaje doskonale okazały majestat wznoszącego się powoli słońca.

Również szczęśliwe i trafne zastosowanie przenośni i porównań poetyckich widzimy w licznych krajobrazach „Pana Tadeusza". Weźmy np. krajobraz wieczorny w ks. 8. Spotykamy tu przykłady bogato rozwiniętych przenośni, uwydatniających znakomicie pierwiastki piękna w bardzo pospolitych nawet zjawiskach przyrodzonych. Zdawałoby się, iż w skrzeczeniu żab, w brzęku owadów, w krzykach ptaków nocnych, wreszcie w widoku dwóch błotnistych stawów i sączącéj się przez pola strugi, niewiele jest estetycznych żywiołów; a jednak jak cudny obraz wysnuła z tych motywów twórcza fantazya poety! Na czarodziejskie jéj zaklęcie cała przyroda zdaje się osiągać nowe, osobiste, indywidualne życie, wieczorne odgłosy pól zamieniają się na wspaniały koncert, śpiewający odwieczną pieśń natury. Oto słychać akord muszek i półton fałszywy komarów i skrzypcowe dźwięki derkacza, i głęboki bas bąków, i bębenki bekasów, wszystko to zlewa

się w finał szmerów muszych i ptaszęcéj wrzawy, stanowiący akompaniament podwójnego chóru żab, w którym odzywają się jakieś jęki głębokie, lub krzyki żałośno-namiętne, wreszcie w dalszém rozwinięciu przenośni przytłumiony, cichy szept miłosny. I oto dwa sąsiednie stawy zamieniają się na parę kochanków:

. . . . prawy staw miał wody
Gładkie i czyste, jako dziewicze jagody,
Lewy ciemniejszy nieco, jako twarz młodziana,
Smagława i już męskim puchem osypana".

Strugi, łączące oba stawy, są jako ręce, „związane pospołu", młyn, klekoczący między niemi, upodobniony do starego opiekuna, co podsłuchał miłosną kochanków rozmowę: „gniéwa się, szamoce, trzęsie głową, rękami i groźby bełkoce".

Fantazya poety nie zatrzymuje się na tym obrazie; strumień, wypływający ze stawów, daje powód do nowych przenośni: wody jego, połyskujące w blasku światła miesięcznego, leją się srebrem i złotem z bezdennego dzbanka Świtezianki, a daléj, płynąc przez pole, przypominają wzorzystą łuskę węża żmudzkiego, wreszcie giną w krzakach olszyny co na widnokręgu krańcach

Wznoszą swe kształty lekkie, niewyraźne oku,
Jak duchy nawpół widne, na poły w obłoku.

Czyż potrzeba zwracać uwagę na całą piękność i niewymowny urok tych obrazów? Ale nastręcza się tu pytanie: czy te wszystkie czary poezyi nie upiększają nadto pospolitych zjawisk przyrody, czy nie przekształcają ich istoty wewnętrznéj? Pytanie to odnosi się i do innych obrazów „Pana Tadeusza"; odpowiadając na nie, wyjaśniamy sobie pewną zasadniczą i ogólną właściwość obrazowania Mickiewicza.

Niewątpliwie przenośnie poetyckie potęgują wszystkie cechy przedmiotu, a zatém i zawarte w nim pierwiastki piękna: łączą one z obrazem realnym inne fikcyjne obrazy, stokroć nieraz od niego piękniejsze. Objaw ten wynika z pewnéj zasadniczéj właściwości umysłu ludzkiego: z prawa kojarzenia się wyobrażeń, przejawiającego się tu w zakresie poczucia estetycznego. Obrazowanie poetyckie winno czynić zadość wynikającym stąd dążeniom umysłu, ale w zdrowéj, normalnéj ich postaci: w ścisłym związku z poczuciem realnéj prawdy życia, oraz z wykluczeniem wszelkiéj chorobliwéj nadczułości estetycznéj i nienaturalnéj asocyacyi. Powyżéj roztrząsane obrazy Mickiewicza, podobnie jak wszystkie inne w „Panu Tadeuszu", odpowiadają niewątpliwie tym warunkom: zawarte w nich przenośnie

nie tworzą sztucznych piękności w zjawiskach przyrodzonych, lecz uwydatniają i potęgują rzeczywiście w nich istniejące, przytém łączą się one tak naturalnie i bezpośrednio z wyobrażeniami realnemi, iż często uderzają nawet swą prostotą. Cóż naturalniejszego np. dla fantazyi, przenikniętéj podaniami naszego ludu, jak obraz Świtezianki, siedzącéj z dzbankiem w ręku nad brzegiem wody, wśród tajemniczego półświatła nocy księżycowéj; jeszcze bezpośredniéj wywołane jest wyobrażenie błyszczącéj łuski węża przez obraz strumienia, połyskującego w blasku miesięcznym; nareszcie ów koncert wieczorny pól jest porównaniem tak naturalném, narzucającém się niemal wyobraźni, iż każdemu chyba przychodziło ono na myśl, kto umié dosłyszéć głos przyrody i żywsze ma dla niéj uczucie. Komu brak takiego uczucia, dla tego przenośnie Mickiewicza są stracone; ten może o nich tak tylko sądzić, jak ślepy o kolorach lub głuchy o dźwiękach.

W związku z przenośném odtwarzaniem przyrody pozostają uosobienia jéj poetyckie. Jest to upostaciowanie przenośne nietylko zewnętrznéj strony, lecz wewnętrznéj istoty zjawisk przyrodzonych; wynika ono również z najgłębszych pokładów naszéj natury psychicznéj. Jest w nas dążność do przejęcia się wewnętrzném życiem przyrody, uprzytomnienia go sobie w jaknajwiększéj pełni; atoli wszelkie objawy życiowe możemy odczuć dokładnie w takiéj tylko postaci, w jakiéj one w nas samych istnieją, t. j. w postaci świadoméj i osobowéj: dla tego ludy pierwotne, żyjące w bezpośredniéj łączności z przyrodą, przeniknięte całkowicie jéj życiem, pojmowały ją zawsze osobowo [1]).

Człowiek ucywilizowany, wyosobniając się z ogółu tworów przyrody, dzięki sile swego umysłu może wprawdzie pojmować ją w oderwaniu od siebie, ale jeśli pragnie odczuć ją w całéj swéj wewnętrznéj istocie, musi zespolić się z nią czyli musi jéj nadać swą osobowość. Owóż tak właśnie postępuje poeta uosabiając zjawiska

---

[1]) Jeden z poetów, którzy najgłębiéj odczuwali przyrodę, znakomicie wyraził tę prawdę, gdy mówi o stosunku pierwotnych ludzi do zjawisk przyrodzonych:

Ależ bo wówczas, ziemio staroświecka,
Grały widomie niewidome siły
I pilnowały człowieka jak dziecka.
W powietrzu, w drzewie, na ziemi, pod wodą
Krewne współczucie ludzie znajdowali:
Bo nie gardzili naówczas przyrodą,
Bo ją jak matkę znali i kochali.

(Goszczyński — Sobótka).

przyrodzone. Atoli jak we wszystkich objawach twórczości poetyckiéj i tutaj zasadniczym warunkiem jest prawda i naturalność; uosobienie będzie prawdziwe i naturalne, gdy wyniknie z istotnego, realnego odczucia przyrody. A nie zawsze takie jest jego źródło. Nic zwyczajniejszego, szczególniéj za naszych czasów, jak uosobienia sztuczne i wymuszone. Umysły z natury abstrakcyjne, teoretycznie tylko, że tak powiem, odczuwające przyrodę, teoretycznie ją téż uosabiają i stąd wychodzą dziwolągi, które ani do wyobraźni nie przemówią, ani żywszych uczuć w nas nie wzbudzą. Taka sztucznie spreparowana, nienaturalna natura, nader często pojawia się w nowoczesnych naszych powieściach, a szczególnie w tak licznych obecnie nowelach ludowych.

Mickiewicz, przy swym na wskroś konkretnym umyśle, posiadał dziecięco-naiwną nieomal świeżość i żywość poczucia przyrody, a dzięki niezmiernéj potędze fantazyi twórczéj zdołał wszelkie wewnętrznie odczute jéj objawy oddać na zewnątrz w niezmiernie jasnych i plastycznych kształtach, przemawiających do nas całą siłą wiekuistéj prawdy natury i całą głębią wzbudzanych przez nią uczuć. Uosobienia Mickiewicza nie zamieniają objawów przyrodzonych na jakieś niebywałe dziwotwory, ale służą jedynie ku temu, aby nam uprzytomnić wewnętrzne życie przyrody, aby uczynić ją bliższą i bardziéj swojską naszemu sercu, a co zatém idzie szczerzéj i głębiéj umiłowaną. Ta zasadnicza właściwość obrazów Mickiewicza jaśniéj się okaże w dalszym rozbiorze, za pomocą którego postaramy się głębiéj wniknąć w treść ich wewnętrzną. Dotąd zwracaliśmy przeważnie uwagę na artystyczne środki obrazowania mickiewiczowskiego, z kolei należy nam teraz zbadać przejawiający się w niém stosunek poety do przyrody, oraz sposób pojmowania i odtwarzania rozlicznych jéj objawów.

II.

Pierwszym warunkiem poetyckiego odtwarzania jakichkolwiek przedmiotów i stosunków zewnętrznych jest uchwycenie ich rysów typowych. Przy pomocy podobnych rysów poeta przedstawia nam nietylko powierzchowne i zmienne cechy swego przedmiotu, ale także głębokie i trwałe jego właściwości: na tém polega głównie różnica między artystyczném odtworzeniem a fotograficzném odbiciem. Atoli typowość w obrazowaniu poetyckiém, podobnie jak w charakterystyce postaci, powinna się zawiérać nie w ogólnych cechach, lecz w miejscowych; przez to tylko może ona osiągnąć plastyczną wyrazistość,

w przeciwnym razie stałaby się bezcielesną abstrakcyą. W obrazach natury „Pana Tadeusza“ miejscowe cechy są tém bardziéj nieodzowne, iż przenikają one i charakteryzują całą jego osnowę. Zresztą Mickiewicz nie mógłby nawet odtworzyć innéj jak tylko rodzinną przyrodę. Wierne jéj odbicie, w całéj swéj charakterystycznéj odrębności, stanowiło integralną część twórczego natchnienia poety; wiemy, jak głębokie i wyłączne żywił on uczucie dla natury litewskiéj uczucie, które pod wpływem tęsknoty do kraju, posuwał aż do szowinizmu, obojętnie zachowując się wobec najpiękniejszych krajobrazów Europy. To też w „Panu Tadeuszu“ na każdym kroku uderza nas swojskość i miejscowa odrębność wszystkich opisów i obrazów przyrody. Zarysy ich są tak dalece miejscowe, iż odbijają z całą wiernością nietylko charakter przyrodzony ojczystego kraju poety, ale nawet pewnéj szczególnéj okolicy i to w bardzo szczupłych zamkniętéj granicach, mianowicie powiatu Nowogrodzkiego, rodzinnych stron Mickiewicza. A pomimo tego ciasnego obrębu, odtworzona w „Panu Tadeuszu“ przyroda, nietylko, że nie jest wyłącznie prowincyonalną, ale nadto posiada pewne cechy powszechne i wiekuiste. Zapewne, dla Polaka będzie ona zawsze najbliższą i najzrozumialszą, lecz niewątpliwie zrozumié ją i odczuje także obcy człowiek, jeśli tylko posiada prawdziwe i żywe dla natury uczucie. Bo natura w swéj istotnéj treści wszędzie jest jednaką, wszędzie ulega tym samym niezmiennym i odwiecznym prawom i z tych samych nieśmiertelnych i niezniszczalnych składa się żywiołów, tylko różne są kształty zewnętrznych jéj objawów, różne z nich ustosunkowanie pierwiastków zasadniczych. Ale kto umié patrzéć w serce przyrody, kto zdoła wniknąć w jéj życie wewnętrzne, ten, pod nieskończoną rozmaitością kształtów, odnajdzie jedność treści i w chaosie zmiennych szczegółów dojrzy trwałą harmonię całości. Tak umieją patrzéć na przyrodę wielki myśliciel i wielki poeta: pierwszy patrzy rozumem, drugi — sercem, tamten uczy ją pojmować głęboko, ten żywo i silnie odczuwać; — Newton w spadającém jabłku pojął wszechświatowe prawo natury, Mickiewicz w przyrodzie Nowogrodzkiego powiatu odczuł tętno powszechnego jéj życia. Twórca „Pana Tadeusza“ należy niewątpliwie do poetów, którzy najgłębiéj wniknęli w duszę przyrody; to téż odtwarza ją nietylko w prawdzie zewnętrznych kształtów, lecz również w prawdzie wewnętrznéj istoty; w obrazach jego przyroda pojawia się, że tak powiem, z duszą i z ciałem: posiada jasno określoną fizyognomię miejscową, a zarazem tętni pełnią powszechnego życia.

Dr. Biegeleisen podnosi w obrazach „Pana Tadeusza“ podmio-

towy sposób pojmowania przyrody, widząc w tém główną ich zaletę. Jest to pogląd słuszny, o ile przeciwstawia głębsze odczucie przyrody suchéj, topograficznéj wierności w odtworzeniu zewnętrznéj jéj fizyognomii; wszelako pogląd ten nie trafia, zdaje mi się, w samo jądro kwestyi i przedstawia ją nieco jednostronnie. Zwracam przedewszystkiém uwagę, iż niezupełnie on się zgadza z przytoczonym przez dr. Biegeleisena zapatrywaniem w téj mierze samego poety [1]). Mickiewicz żąda w obrazie poetyckim zespolenia wrażeń osobistych z realną prawdą zarysów; przedstawienie samych wrażeń, zarówno jak samych szczegółów zewnętrznych, uważa za nieodpowiadające zadaniom obrazowania poetyckiego; czyli, wedle Mickiewicza, natura winna być odtworzana w poezyi zarazem przedmiotowo i podmiotowo. Jest to trafna i głęboka myśl prawdziwego poety-realisty; pozwolę sobie umotywować ją dokładniéj z odmiennego nieco punktu widzenia.

Przedewszystkiém pamiętać należy, iż pojęcia przedmiotu i podmiotu są względne: nie odznaczają one odrębnych istności metafizycznych, lecz określają raczéj dwie wzajemnie uzupełniające się strony zjawisk; stąd wynika, iż pojęcia te występują w swéj odrębności tam tylko, gdzie zachodzi przeciwstawienie między danemi zjawiskami. Odczuwamy przyrodę przedmiotowo, gdy jéj objawy odzwierciadlają się w nas jako coś obcego, różnego zupełnie od naszéj istoty wewnętrznéj, podmiotowo zaś, gdy one ukazują się jedynie w funkcyi uczuć, stanowiących w danéj chwili naszą osobowość i zostają przez nie odpowiednio przetworzone.

A jeśli nie zajmujemy wobec przyrody żadnego z tych wyłącznych stanowisk? — jeśli przyswajamy ją sobie, odczuwamy ją głęboko, ale odczuwamy ją w pełni jéj realnego życia, tak jak ono w niéj przedmiotowo istnieje? Wtedy znika wszelka różnica między podmiotem a przedmiotem, gdyż obadwa zlewają się w jednym ogólnym nastroju. Otóż takie jest właśnie stanowisko Mickiewicza: odczuwa on przyrodę niezmiernie głęboko i wszechstronnie, ale nie przetwarza jéj na indywidualną treść swéj własnéj, odrębnéj istoty, owszem żyje pełném jéj życiem, przystosowywa do niéj swą indywidualność. Wobec tego rozróżnienie podmiotowego i przedmiotowego pojmowania przyrody daje tylko jednostronne pojęcie o stosunku do niéj naszego poety, nie określa całkowicie jego stanowiska.

Żeby wyjaśnić bliżéj powyższą opinię i okazać, iż nie jest ona tylko próżném subtylizowaniem, lecz dotyczy istotnéj różnicy, —

---

[1]) Zdanie Mickiewicza, podane przez Odyńca w jego „Listach z podróży" (IV, 280).

przypomnę tutaj stosunek do przyrody Słowackiego „W Szwajcaryi“ lub Krasińskiego w „Przedświcie“. Oto jest stanowisko podmiotowe. U tych poetów przyroda zostaje przetworzona odpowiednio do ich nastroju indywidualnego, a przez to jest przeciwstawiona poniekąd swemu przedmiotowemu istnieniu; człowiek w innem znajdujący się usposobieniu mógłby ją zupełnie inaczéj widzieć, nie w takiéj fantasmagoryi poetyckiéj, jak zakochany fantastycznie śpiewak „Szwajcaryi“, lub rozmarzony wzniosłą wizyą przyszłości twórca „Przedświtu“. Zbytecznem byłoby dowodzić, iż całkiem odmienne stanowisko wobec przyrody zajmuje autor „Pana Tadeusza“; jeśli więc mówimy o podmiotowem jéj odczuwaniu u obu wspomnianych poetów, to nazwa ta żadną miarą do niego nie może być stosowana. Pewne ślady podmiotowości w opisach Mickiewicza można wprawdzie odnaleść; ale téż powyższego twierdzenia nie trzeba brać w znaczeniu absolutnem; chodzi tylko o to, aby określić ogólny, przeważający nastrój w sposobie odczuwania przyrody przez Mickiewicza: owóż, biorąc ogólnie, nie jest on ani podmiotowy, ani przedmiotowy, lecz wprost realnie prawdziwy, odpowiadający ściśle rzeczywistéj prawdzie objawów przyrodzonych. Z powyższego wynika téż, że Mickiewicz nie odtwarza przyrody idealistycznie, bo idealizm jest objawem podmiotowości, ale nie odtwarza jéj téż materyalistycznie, bo traktuje ją nie jako obcy sobie, martwy przedmiot, lecz jako żyjącą w jego własnem życiu istność. Czyli przyroda, poetycznie odtworzona w „Panu Tadeuszu“ nie jest ani czystym duchem, ani bezduszną materyą, lecz jednem i drugiem zarazem: objawia się w pełni realnego życia, z ciałem i z duszą zarazem, jak wyżej rzekliśmy, i w tem właśnie tkwi głęboka prawda realna obrazowania naszego poety.

Rozpatrzmy z tego punktu widzenia główne obrazy „Pana Tadeusza“.

Zaraz we wstępie do 1-éj księgi kreśli poeta w nielicznych, ale nader typowych rysach piękny krajobraz litewski, wywołany w twórczéj jego fantazyi siłą wspomnień, w których dźwięczy głębokie uczucie tęsknoty. Sam on mówi w apostrofie do Litwy:

Piękność twą w całéj ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Ale to osobiste uczucie poety nie zmienia wcale przedmiotowéj prawdy obrazu. Zarysy pól litewskich nie ulegają żadnym przeobrażeniom, ani upiększeniom poetyckim; proste epitety, jak: zielone łąki, leśne pagórki, służą tylko do uprzytomnienia rzeczywistych, przedmiotowych rysów krajobrazu. Każdy człowiek, w jakimkolwiek na-

stroju podmiotowym będzie nań patrzał, ujrzy go tak, jak jest przedstawiony w poemacie: boć każdy, kto ma zdrowe oczy, postrzeże i zieloność łąk, i lesistość pagórków, i grusze, siedzące na miedzy, i różne barwy zbóż, okrywających pola. Przytém cała fizyognomia obrazu posiada typowo-litewski charakter. Poznajemy z niego kraj równy, przeważnie rolniczy, w znacznéj części lesisty, posiadający pewne określone gatunki zbóż i roślin i pewne odpowiadające im warunki klimatyczne. A poznajemy to wszystko nie z geograficznego opisu, lecz z konkretnego obrazu, odtwarzającego z całą prawdą przedmiotową rzeczywistość litewskiéj przyrody.

Atoli oprócz téj rzeczywistości jest tu jeszcze coś więcéj. Od tych pagórków leśnych i łąk zielonych i pól malowanych zbożem rozmaitém, wieje świéże tchnienie przyrody, tém żywiéj nas pociągającéj, iż tak jest swojska, tak dobrze nam znana; wrażenie to płynie nie tyle z samych zarysów obrazu, ile z przenikającego go nastroju poety, w którym przebija odczucie wewnętrznego życia przyrody w całéj jego bujnéj krasie i świeżości. Połączenie tego uczuciowego nastroju z niezrównaną plastyką opisową, wytwarza obraz pełen trzeźwego realizmu, a zarazem ożywiony głęboką poezyą, wiekuistą poezyą prawdy i natury. Te same właściwości spotykamy i w innych krajobrazach Mickiewicza; stanowią one niejako rozwinięcie pierwszego. W tym poeta ukazuje nam Litwę z lotu ptaka, w najogólniejszych rysach jéj przyrody; w następnych, w miarę rozwinięcia akcyi poematu, rozwija się téż przyrodzone jéj tło; występują w pełnéj wyrazistości poszczególne jego motywa, które coraz bliżéj i coraz wszechstronniéj dają nam poznać właściwy charakter natury litewskiéj. Ażeby uprzytomnić sobie w ogólnym poglądzie różne jéj strony, rozpatrzymy obrazy „Pana Tadeusza“ nie w tym porządku, jak one przedstawione są w osnowie poematu, lecz w odpowiedniém ugrupowaniu.

Weźmy najprzód pod uwagę krajobraz wieczorny w księdze 8-éj. Rozważaliśmy go poprzednio ze względu na piękność i malowniczość jego przenośni, obecnie zdajmy sobie sprawę z ogólnych wrażeń przezeń wywoływanych.

Mamy tu te same pola i niwy, które poznaliśmy w pierwszym obrazie, ale ich kontury niejasno się zarysowują w pomroce nocnéj, rozjaśnionéj tylko bladém światłem księżyca. Ziemia i niebo zdają się zbliżać do siebie, gdzieniegdzie błyszczą ognie pastuszych noclegów, dwa stawy i strumień, płynący przez pole, jaśnieją w blasku miesięcznym, a na widnokręgu czernieją niewyraźne kształty zarośli.

Przyroda, niewidzialna dla oka, tém silniéj przemawia do słuchu tysiącznemi głosami wieczornéj muzyki pól, stąd przedstawia się niejako bardziéj uduchowioną; dźwięki bowiem z natury swéj wydają się mniéj materyalnemi niż kształty. Przy ich pomocy wnikamy tu głębiéj w bujne życie przyrody: w poprzednim obrazie daje się ono poznać pośrednio tylko w poczuciu świeżości, wiejącéj od rozległéj przestrzeni pól, tutaj przemawia do nas bezpośrednio w różnorodnych odgłosach świata zwierzęcego.

Poeta odtwarza przyrodę nietylko w estetycznych jéj formach, lecz w całéj pełni jéj objawów i sił żywotnych; dlatego nie gardzi najpospolitszemi jéj tworami; drobne owady, rozliczne gatunki ptastwa wodnego, nawet, tak pogardzane zwykle dla swéj brzydoty, żaby znajdują miejsce na jego obrazie. W ten sposób daje nam odczuć przyrodę we wszechstronnéj pełni wszelkich jéj żywiołów; uczy ją czcić i miłować w każdém najdrobniejszém żyjątku, w najpospolitszém zjawisku. Na tém polega niezmiernie doniosłe znaczenie obrazów Mickiewicza. Każdy prawie myślący człowiek, a témbardziéj każdy poeta, umié wielbić przyrodę we wzniosłéj potędze jéj sił i w piękności jéj kształtów, ale tylko niewiele wyższych umysłów zdołało tak wszechstronnie ją ogarnąć, iż wszelkie na dnie jéj leżące żywioły stały się dostępne dla ich myśli i uczucia.

Jak wszechstronnie umiłował ją Mickiewicz, okazują to między innemi jego opisy użytkowéj, gospodarczéj przyrody. Widzimy w „Panu Tadeuszu“ łany żyta, pszenicy, gryki, różne gatunki jarzyn i ogrodowizny: kapustę, arbuzy, ogórki, konopie i t. d. Powszechnie dosyć uważają tego rodzaju naturę, ze względu na utylitarny jéj charakter, za pozbawioną zupełnie poezyi. Inaczéj sądził Mickiewicz; opisuje ją z niemniejszém przejęciem i zamiłowaniem jak piękne krajobrazy, tajemnicze głębie puszczy, lub wzniosłą walkę burzliwych żywiołów. Tak daleko sięga miłość poety dla przyrody, iż nawet w tych tak lekceważonych zazwyczaj jéj tworach, umié on umiłować i uczcić twórcze działanie jéj sił i bujną pełnię jéj życia. Dodajmy jednak, iż owa gospodarska przyroda w „Panu Tadeuszu“ nie jest pozbawiona indywidualności i charakteru, została ona ujarzmioną przez człowieka, ale nie zgwałconą, ani wykoszlawioną; nie jak niewolnica ale jak przyjaciółka oddaje mu na usługi swe płodorodne siły.

Tak więc mamy w tych opisach z innéj jeszcze strony przedstawiony stosunek człowieka do przyrody, niemniéj poetycznie pojęty jak wobec swobodnych jéj objawów.

Poznaliśmy powyżéj poezyą pól litewskich, zarówno w pełném oświetleniu dziennem, jak i w nocnéj pomroce. Drugim zasadniczym

motywem litewskich krajobrazów są lasy; dlatego też wielokrotnie spotykamy się z niemi w poemacie. W opisie ich poeta tém pełniéj mógł rozwinąć siłę swéj twórczéj fantazyi, iż sam przedmiot zawierał w sobie wiele fantastycznych żywiołów: bogactwo i bujność form roślinnych, różnorodna gra światła i cieniów, szumy i szmery wśród gałęzi drzew, wreszcie ów, tak sławiony przez romantyków niemieckich, urok samotności leśnéj (*Waldeinsamkeit*): wszystko to są motywy, stanowiące naturalną poezyą lasu, która i na mało wrażliwą nawet naturę silnie musi oddziaływać.

Rozległe lasy do dziś dnia są, jak wiadomo, ozdobą wielu okolic Litwy;—za czasów Mickiewicza było ich znacznie więcéj. Poeta, za młodzieńczych swych lat, oglądał własnemi oczyma niedostępne puszcze i knieje, podziwiał ich bujną roślinność i wznoszące się wśród nich wspaniałe olbrzymy drzew. Na jego wrażliwą wyobraźnię widoki te silnie musiały oddziaływać i, jak wszystkie wrażenia młodzieńcze, niezatarte pozostawiły ślady, które stały się źródłem licznych i niezrównanych pięknych krajobrazów leśnych w „Panu Tadeuszu". Jak zawsze, Mickiewicz wierny jest ściśle prawdzie realnéj: — każdy, kto zna lasy litewskie, lub wogóle obszerniejsze lasy w naszym północnym klimacie, dowodnie może się o tém przekonać. Zresztą można tu przytoczyć, jako dowód, porównanie Mickiewiczowskiego obrazu puszcz litewskich z prozaicznym, wziętym wprost z rzeczywistości opisem Pola w jego „Obrazach z życia i natury" [1]): uderzająca zgodność zasadniczych rysów okazuje dobitnie realistyczną wierność prawdzie naszego poety.

Przejrzyjmy w kolejném ich następstwie główne krajobrazy leśne w „Panu Tadeuszu".

W 1-éj księdze widzimy tylko z oddali bór czerniejący na widnokręgu „nakształt olbrzymiego gmachu", w następnych poeta odkrywa stopniowo przed nami uroki widoków leśnych, coraz głębiéj wprowadzając nas do wnętrza puszczy. W księdze 3-éj, podczas opisu grzybobrania, poznajemy najprzód najbardziéj zewnętrzne części lasu: „gaj zrzadka zarosły, wysłany murawą", w nim różne rodzaje grzybów, które poeta z właściwą sobie dokładnością i zamiłowaniem najpospolitszych nawet tworów przyrody, szczegółowo opisuje; opis ten, mimo licznych przenośni, nieco może suchy, stanowi, jak już mówiliśmy, wyjątkowy w „Panu Tadeuszu" przykład czysto przedmiotowego traktowania przyrody; wszelako jako rys uzupełniający w ogól-

---

[1]) Por. zestawienie odpowiednich ustępów w dziele dr. Biegeleisena o „Panu Tadeuszu" (str. 213).

nym obrazie nie może być poczytywany za zbyteczny. Drugi krótki, ale bardzo piękny obraz w téjże księdze odkrywa przed nami głębsze wnętrze lasu. Widzimy tu różne gatunki drzew, właściwe lasom litewskim, począwszy od olbrzymich buków i dębów aż do drobnych krzewów kaliny, głogu i malin, różne ich charakterystyczne kształty uwydatnione są przez wspaniałą przenośnię, wystawiającą całą tę gromadę drzew niby grono dziewic i młodzieńców, gotujących się do pląsów, na które z powagą spoglądają sędziwe olbrzymy leśne; uosobienie to nadaje życie i wdzięk poetycki całemu opisowi, który, przez znaczną ilość wymienionych nazw, mógłby się stać prozaicznym.

Najwspanialsze krajobrazy leśne zawiera księga 4-ta. Tutaj przenikamy stopniowo do wewnętrznych tajników puszczy. We wstępie, po lirycznym hymnie na cześć drzew litewskich, wprowadza nas poeta do wnętrza ostępu leśnego i ukazuje wspaniałe, choć dzikie, jego piękności. Słusznie podniósł dr. Biegeleisen kontrasty zawarte w tym obrazie: dziką grozę zwalonych kłód, a pełne wdzięku opisy skaczącéj wśród drzew wiewiórki i młodzieńczéj pary zbierającéj orzechy,—daléj szum i łoskot wichru u góry, a głęboką ciszę we wnętrzu kniei. Kontrasty te potęgują żywość wrażenia; niewysłowiony urok poszczególnych motywów obrazu czyni go jednym z najpiękniejszych w poemacie; szczególniéj kończąca go idyliczna scena jest niezrównana pod względem lekkości, wdzięku, a zarazem naturalnéj prostoty: boć owa urocza para zbiéraczy — to nie konwencyonalne figury dawnych sielanek, lecz zwyczajni wieśniacy litewscy tylko w danych warunkach otoczenia wydają się tak poetycznymi. Odgłos rogów, który spłoszył chłopca i dziewczynę, łączy ten wstępny obraz z głównym tematem 4-éj księgi: polowaniem.

W następującym obrazie wnętrza puszczy rozwinął Mickiewicz całą potęgę swéj twórczéj fantazyi i ożywił go wzniosłą poezyą wspaniałości i grozy przyrody. Wyobraźnia nasza, idąc w ślad za natchnieniem poety, przenika tu do samego jądra nieprzebytéj gęstwiny. W téj wędrówce fantastycznéj napotykamy coraz bardziéj ponure, dzikie i groźne obrazy: bory, podszyte knieje, wał pniów, kłód, korzeni, nieprzebyte trzęsawice, tysiączne strumienie, sieci zielsk zarosłych, rojące się mrowiska, gniazda os, szerszeni, kłęby wężowisk. Wreszcie, na zakończenie tych wszystkich okropności, najdzikszy i najbardziéj ponury widok małych jezior, „których woda, plamista rdzą krwawą, z wnętrza dymi ciągle, zionąc woń plugawą“; a nad ich brzegami drzewa łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore

Siedzą wokoło wody, jak czarownic kupa,
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.

Porównanie to podnosi jeszcze całą dzikość obrazu, a zarazem przenosi nas w fantastyczną dziedzinę baśni ludowéj. Bo téż tu kończy się już rzeczywistość, a baśń obejmuje panowanie: w niezgłębionéj otchłani owych studni leśnych siedzą dyabły; a daléj, po za mglistym obłokiem, zasłaniającym wnętrze puszczy, ukrywa się przed wzrokiem ludzkim legendowa roślin i zwierząt stolica. Poeta, w tonie naiwnego podania, kreśli tu obraz pierwotnéj, rajskiéj szczęśliwości świata zwierzęcego, w którym symbolicznie wyraża się wiekuisty spokój i niewinność przyrody, w przeciwstawieniu do zamętu i zepsucia cywilizacyi ludzkiéj.

Opis przepastnych krain puszczy stanowi zakończenie, a zarazem koronę wszystkich krajobrazów leśnych „Pana Tadeusza“. Jak widzieliśmy, zachowane w nich jest stale stopniowanie wrażeń poetyckich, począwszy od czysto realistycznego, nieco nawet suchego w swéj przedmiotowości, opisu gaju i rosnących w nim grzybów, aż do pełnych grozy tajników gęstwiny leśnéj; wewnętrzne jéj okropności, wciąż się potęgując, przechodzą w końcu w dziedzinę baśni, która nagle rozjaśnia mroczne głębie natury blaskiem rajskiéj legendy. Tutaj poezya lasu osiąga swoj punkt kulminacyjny: wzniosła pieśń, śpiewająca dziką i groźną wspaniałość puszczy, kończy się harmonijnym akordem legendowego ideału.

Oprócz krajobrazów polnych i leśnych, mamy w „Panu Tadeuszu“ liczne opisy zjawisk atmosferycznych: niektóre z nich łączą się z krajobrazami, inne zawarte wyłącznie w sferach firmamentu niebieskiego. Najliczniejsze są opisy wschodu i zachodu słońca, z których kilka rozpatrywaliśmy już wyżéj w rozbiorze techniki poetyckiéj mickiewiczowskiego obrazowania. Dwukrotnie przedstawione zostało każde z tych zjawisk w szerokich i bogato rozwiniętych obrazach (w księgach 1, 6, 11, 12), a oprócz tego kilkakrotnie zaznaczył je poeta pojedyńczemi rysami (jak np. widok zamku przy wschodzie w ks. 2, wschód słońca podczas bitwy w ks. 9, zachód w chwili śmierci Jacka w ks. 10).

Nie bez racyi to zjawisko przyrodzone tak często powtarza się w poemacie; na litewskich i polskich równinach należy ono do najwspanialszych i najbardziéj charakterystycznych, przedstawiając nieskończoną rozmaitość gry światła i nieprzebrane bogactwo barw. Pod tym względem północne i równe krajobrazy przewyższają południowe i górskie, które nigdy nie mogą posiadać ani tak pełnego widoku ukazującéj się lub ginącéj kuli słonecznéj, ani tak żywych blasków zorzy porannéj i wieczornéj. Wrażliwa natura Mickiewicza

żywo odczuła urok tych pięknych zjawisk przyrody rodzimej, a jego geniusz twórczy nadał im plastyczny i typowy wyraz w poezyi.

Każdy z tych obrazów posiada właściwe sobie piękności i wyróżnia się odrębnym tonem i nastrojem. Zachód w księdze 1-éj, nakreślony w szerokich zarysach i ściśle zespolony z krajobrazem, odznacza się głównie niezmiernie wyrazistą plastyką i żywą jaskrawością blasku słonecznego; przeciwnie, zachód w księdze 12-éj, mniéj jaskrawy i plastyczny, posiada za to bogatszą skalę barwnych odcieni i więcéj odmian w natężeniu światła. Pierwszy obraz swym żywym i gorącym kolorytem (słońce całe zaczerwienione, płonące nad lasem) daje poznać upalny dzień sierpniowy; drugi, swą eteryczną świeżością i łagodnym tonem głównych barw (okrąg niebios błękitnawy, różany, obłoki lekkie, świécące, perłowe) przypomina wdzięk wiosenny dnia kwietniowego.

Na ten sam dzień przypada wschód słońca w ks. 11-éj, nacechowany zarówno żywością i natężeniem blasku (pęk ogniów, tysiące rac, grot ognisty), jak i nadzwyczajną rozmaitością barw (błękitna, biała, rumiana, złotawa, szafirowa i t. d.); ten ostatni obraz bardziéj jeszcze od poprzedniego eteryczny całkowicie składa się ze świetlanych i barwnych promieni. Poprzednio w krajobrazach „Pana Tadeusza" widzieliśmy przyrodę bądź to w pełni życia, bądź téż w potędze i grozie jéj ziemskich objawów; w opisach zjawisk sklepienia niebieskiego widzimy ją na krańcach ziemskiego zakresu, w promiennéj aureoli blasków świetlanych, niejako uduchowioną, przechodzącą w inny wyższy i doskonalszy świat: biała chmurka, podobna do anioła-stróża, ulatującego z ziemi do niebios, jest jakby symbolem łączności ziemskiéj natury z pozaziemskim, duchowym światem.

Wszelako nie wszystkie zjawiska atmosferyczne w „Panu Tadeuszu" są tak promienne i świetliste; bo w północnéj krainie niebiosa nie zawsze uśmiéchają się blaskiem błękitów i jasnością dnia słonecznego, nierównie częściéj pokryte są posępnym całunem chmur, lub szarą, melancholijną zasłoną mgły. Wierny niezachwianie rzeczywistości poeta, nie pominął téj drugiéj, mniéj efektownéj strony swéj przyrody rodzimej i odtworzył ją z jednakiém zamiłowaniem i z jednaką prawdą.

Oto na początku ks. 6-éj mamy wschód słońca w posępny, mglisty poranek:

Nieznacznie z wilgotnego wykradał się mroku
Świt bez rumieńca, wiodąc dzień bez światła w oku.

W tych dwóch wierszach jakże dokładnie oddany stan atmosfery! — mglisty pomrok nad ziemią, wilgoć w powietrzu, brak zorzy porannéj

i słońca na niebie, powolny postęp światłości dziennéj. W podobny sposób rozwija poeta daléj swój obraz, przeniknięty tonem jakiéjś nieokreślonéj tęsknoty, która ogarnia całą przyrodę i odbija się w nastroju ludzi i zwierząt. Piosnka żniwiarek tęskna, jednostajna, w mgłę bez echa wsiąka, ptaszek zbudzony nie śpiéwa, zwierzęta senne spóźniają się na paszę, goście soplicowscy „wstali nieradzi i smutni.“ I tutaj, podobnie jak to widzieliśmy nieraz w poprzednich obrazach, mamy zarazem konkretne zarysy przyrody i wewnętrzną jéj istotę, odźwierciadlającą się we wrażeniu, wywołaném w świecie zwierzęcym i ludzkim.

Lecz oto na końcu téj saméj księgi ów smutny i mglisty poranek rozjaśnia się i wypogadza i mgła opada na dół:

Wiatr rozwinął dłonie
I mgłę muskał, wygładzał, rozścielał na błonie;
Tymczasem słonko z góry tysiącem promieni
Tło przetyka, posrebrza, wyzłaca, rumieni.

Poeta chwyta tu nową stronę naszéj przyrody: częste zmiany w stanie atmosfery, które przez kontrast tém żywiéj dają odczuć urok pogody i blasków słonecznych, przytém mgła, oświecona promieniami słońca, dostarcza w powyższym opisie licznych wrażeń świetlnych, które zostały nader żywo uwydatnione porównaniem do litego pasa, tkanego przez słuckich mistrzów ze złota, srebra i purpury.

Inny, również niepogodny, a zupełnie odmienny wschód słońca mamy w księdze 9-éj, przed bitwą.

Tutaj słońce świeci jaskrawo, ale krwawym, ponurym blaskiem:

Nawpół widne, napoły w czerni chmur się chowa,
Jak rozżarzona w węglach kowalskich podkowa.

Porównanie to, przy całéj swéj prostocie, doskonale jest przystosowane do tonu obrazu i żywo go uprzytomnia myśli naszéj. W podobnym tonie odmalowany zachód słońca bezpośrednio przed burzą w ks. 10: żółtawo-czerwone zabarwienie zachodniéj strony nieba odbija tu ponuro od olbrzymiéj chmury, okrywającéj ziemię swym czarnym cieniem.

Różnego kształtu chmury i obłoki często się pojawiają w obrazach Mickiewicza, podobnie jak w rzeczywistości naszéj przyrody. W ksiedze 3-éj mamy ich opis, włożony w usta Tadeuszowi. Jest tu chmura jesienna, co „pełznie jak żółw leniwa“, spuszczając długie deszczu smugi, i pędząca z szumem groźna chmura gradowa, i drobne obłoczki, rozproszone po niebie, które, łącząc się i skupiając, tworzą rozmaite i dziwne kształty. Owe małe, porozrywane obłoki stanowią

bardzo zwykłe zjawisko w naszym klimacie; to téż w „Panu Tadeuszu“ najczęściéj się pojawiają. Widzimy je przy zachodzie słońca w ks. 12-éj w postaci drobnych, świécących obłoczków, wróżących pogodę. Przeciwnie, przy wschodzie w ks. 9-éj są to gęste, poszarpane chmury „jak bryły lodu“, pędzone wiatrem i prószące zimnym deszczem. Najprzód rozproszone, przelatując jedna za drugą po niebie. gęstnieją coraz, gromadzą się i łączą w jedną olbrzymią chmurę, która zalega całe sklepienie niebieskie i niesie w sobie burzę z brzemieniem wiatrów, piorunów i ulewy.

Burza ta przedstawiona została w całéj swéj wspaniałości i grozie na początku ks. 10-éj. Jest-to niewątpliwie jeden z najpiękniejszych obrazów w „Panu Tadeuszu“; a być może, iż, ze względu na niezmiernie pełne rozwinięcie i niezrównaną typowość wszystkich szczegółów, należałoby naczelne przyznać mu miejsce. Mamy tu burzę we wszystkich głównych jéj rysach, począwszy od gromadzenia się i wzrostu chmur, aż do wyczerpania się ich w potężnéj ulewie. W pośrednich momentach widzimy stopniowy jéj rozwój w różnorodnych objawach, wywołanych w całéj przyrodzie: poeta ukazuje nam stan nieba, ziemi i powietrza, skutki i wrażenia zarówno w świecie roślinnym, jak zwierzęcym, grę światła i cieni, wycie, ryk i świst wichrów, unoszone przez nie tumany kurzawy, liści, gałęzi i traw, wreszcie grzmoty, błyskawice, pioruny z nieustannym szumem ulewy, wśród gęstéj, nieprzeniknionéj ciemności. Dodajmy, iż wszystkie te objawy szalejących żywiołów oddane są przez odpowiednie brzmienia i spadki rytmiczne wiersza, uplastycznione przez liczne i wspaniałe przenośnie, ożywione bogatemi i świetnie rozwiniętemi uosobieniami.

Opisy burzy dość częste są w poezyi, stąd mimowolnie nastręczają się tu porównania. Przychodzą mi na myśl dwa podobne opisy; zestawienie ich z obrazem Mickiewicza najlepiéj uwydatni jego właściwości. Pierwszy z tych opisów biorę z poematu „Kirgiz“ Gustawa Zielińskiego, jednego z lepszych poetów doby dawniejszéj. Oto w jaki sposób przedstawia on początek burzy:

Pędzą chmury za chmurami,
Coraz większym, gęstszym tłumem,
Aż ostatnia z świstem, szumem,
Przyświecana błyskawicami,
Dudni, huczy, grzmi...

Jest-to niewątpliwie piękny opis, żywy i poetycki. Ale najprzód jest on ogólnikowy: nie mamy tu konkretnego obrazu pewnéj burzy, lecz opis burzy wogóle; następnie widoczne jest, iż cała plasty-

czna jego siła tkwi jedynie w wyrazach i rytmie, nie wywołuje on obrazów w fantazyi, lecz działa tylko na zmysł słuchu; oczywiście, działanie takie, jako powierzchowne, nie może trwalszych i głębszych pozostawić śladów. U Mickiewicza działanie spadków i brzmień rytmicznych spotęgowane jest stokrotnie przez wspaniałe obrazy, dzięki czemu otrzymujemy wrażenia silne i żywe, a zarazem niezmiernie trwałe i głębokie. Weźmy np. uderzenie piorunu u Mickiewicza:

Czasem widnokrąg pęka od końca do końca —
I Anioł burzy, nakształt niezmiernego słońca,
Rozświéci twarz, i znowu okryty całunem,
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.

U Zielińskiego podobny opis brzmi jak następuje:

Cicho; — nagle strasznym blaskiem
Cała chmura w zygzak pękła,
Step rozwidniał, ziemia pękła,
Gdy w jéj łono huknął z trzaskiem
Piorunowy strzał.

Jasną jest tu różnica: Mickiewicz daje nam obraz, — Zieliński tylko opis, prawda żywy bardzo i silnie działający na umysł, ale zawsze tylko opis.

Przytaczam teraz ustęp z opisu burzy jednego z najznakomitszych współczesnych pisarzy. Autor ten tak wyobraża potęgę wzburzonych żywiołów: „W górze z przesyconych elektrycznością tumanów wykluł się jakiś ciemny zarodek siły twórczéj, która, rozejrzawszy się po ziemi, ufna w swoją potęgę zapragnęła naśladować Ojca Przedwiecznego i z wiotkich chmur stwarzać, jak on, ruchliwe i ożywione kształty. Oto już ulepiła wyspę, lecz nim miała czas wyrzec: dobrze jest—przyleciał wiatr i wyspę rozwiał...“ I daléj widzimy, jak owa współzawodnicząca z Bogiem potęga, poznając znikomość swych tworów, zawrzała gniewem i jęła zwoływać wichry, wydając im rozkazy zniszczenia tworów bożych [1]).

Tutaj mamy obraz uosobiony: ale czy plastyczny i naturalny? Wolno o tém wątpić. Ów „ciemny zarodek siły twórczéj“, pomimo, iż wydaje rozkazy wichrom i gromom, jest tylko sztucznie stworzoną abstrakcyą, wygląda to może bardzo efektownie w słowach, ale nie daje żadnego konkretnego obrazu. Jest-to przykład owych, wspomnianych wyżéj, teoretycznych uosobień przyrody, wynikających stąd, że zjawiska przyrodzone przedstawiają się fantazyi piszącego nie

---

[1]) Bolesław Prus, „Placówka“, powieść. Warszawa, 1886, str. 242.

w określonych kształtach zmysłowych, lecz w oderwanych pojęciach, które zostają przyobleczone w szatę konkretną, zszytą sztucznie z różnych przechowujących się ułamkowo w wyobraźni wrażeń zmysłowych.

Zupełnie inne są uosobienia Mickiewicza. Uosabia on zawsze przedmioty rzeczywiste, konkretne: zwierzęta, drzewa, chmury, wichry, olbrzymi słup kurzawy, podnoszonéj wiatrem; jeżeli zaś wprowadza wyobrażenia imaginacyjne (np. Anioł burzy), to takie, z któremi fantazya nasza od dzieciństwa jest oswojona i które przez tradycyą otrzymały w niéj niejako byt realny.

Wybrałem tu umyślnie dla porównania z obrazem Mickiewicza opisy pisarzy niepospolitych, odznaczające się skądinąd niepospolitemi zaletami, aby tém dowodniéj okazać wyższość geniuszu twórczego nad talentami niezwykłéj nawet miary.

Rozpatrzone powyżéj opisy zjawisk atmosferycznych uzupełnione są przez liczne drobne rysy, rozrzucone w całéj osnowie poematu, które, łącznie z większemi obrazami, uprzytomniają nam wszystkie prawie ważniejsze momenty stanu pogody w naszym klimacie, w porze letniéj, a częściowo i wiosennéj. Mamy w „Panu Tadeuszu“: świéżość poranku i skwar południa, zmierzch wieczoru i cichą zadumę nocy księżycowéj, palącą atmosferę lata i świéży powiew wiosny; najpiękniejszą pogodę, promieniejącą blaskiem słonecznym i dziką walkę żywiołów, lub posępny nastrój dnia pochmurnego. Słońce w najrozmaitszych swych postaciach, księżyc, gwiazdy, chmury, obłoki, mgła, nawet ognista kometa przesuwają się kolejno nad horyzontem Soplicowa. Jedném słowem, poeta przedstawia zjawiska atmosfery naszego kraju w całéj charakterystycznéj ich pełni i rozmaitości, uwydatniając zawarte w nich typowe i estetyczne rysy przyrody. Artystycznie wszystkie te obrazy zespolone są z główną osnową poematu przez to, iż zawsze prawie rozwijają się równolegle do jéj przebiegu i na jeden ton z nią są nastrojone.

I tak: w ks. 1-éj, w któréj, jak to sam tytuł jéj wskazuje, główną rzeczą są obrazki życia gospodarsko-domowego, i zachód słońca ujęty jest z tego punktu widzenia: czerwoność jego porównana do zdrowego oblicza gospodarza, co po pracy na spoczynek powraca, jego blask ognisty nad lasem do pożaru na dachu; daléj nieco słońce nazwane „robotnikiem bożym“; wreszcie stopniowe obniżanie się tarczy słonecznéj ściśle złączone jest z ruchem w świecie gospodarskim. Wschód i zachód w dwóch ostatnich księgach, przedstawione w jasnych i wesołych barwach, odpowiadają ogólnemu nastrojowi akcyi, pełnéj radości i wesela; przytém przypadają one na początek i koniec

tego samego dnia kwietniowego, w którym rozwija się akcya obu ostatnich ksiąg; przez to ujmują ją niejako w naturalne ramy czasu. Posępny i mglisty wschód na początku 6-éj księgi pozostaje w harmonii z ogólném usposobieniem w Soplicowie, w którym wszyscy wstali nieradzi i smutni po kłótni dnia poprzedniego. Krwawy wschód słońca w ks. 9-éj zapowiada bitwę, burza zaś stanowi niejako jéj dopełnienie. Wogóle stan nieba jest jakby sympatycznie związany z rozwojem akcyi. W pierwszych księgach pogoda na niebie odpowiada pogodnemu nastrojowi wśród ludzi: — następnie niebo zachmurza się, gdy stosunki ludzkie ulegają zamąceniu, wybucha walką żywiołów, zlewającą się w jeden akord z walką, stoczoną na ziemi; wreszcie w ostatnich dwóch księgach wypogadza się znowu, gdy wśród ludzi powróciła ponownie niezmącona pogoda; ale jego światła i barwy świetniejsze są teraz, bardziéj wyidealizowane i eteryczne, jak i nastrój życia ludzkiego na wyższy, podnioślejszy ton został podniesiony.

Niemniéj od zjawisk atmosferycznych urozmaicone są, jak widzieliśmy krajobrazy „Pana Tadeusza“. Ukazują się w nich pola i lasy w różnych porach dnia i nocy, i w różném oświetleniu, liczne gatunki zwierząt i roślin, w rozmaitym stanie i nastroju, pod odmiennemi wpływami pogody i stanu atmosfery. Kształty i zarysy przyrody, jéj rozliczne odgłosy i dźwięki, barwy i wonie: wszystko to zléwa się w niezmiernie pełny i wszechstronny obraz, dający nam wierne wyobrażenie natury litewskiéj, w jéj najbardziéj typowych rysach. Atoli krajobrazy nie zléwają się tak ściśle, jak zjawiska atmosferyczne z przebiegiem akcyi: nieraz (jak nie bez racyi zauważył dr. Biegeleisen) jest ona przez nie przerywaną i rozwija się bez związku z nimi, np. opis ogródka, powstrzymujący nagle bieg akcyi w ks. 2-éj, lub téż opis stawów, który ją podobnie przerywa w ks. 8-éj. Tylko zauważę tu, iż przypuszczenie d-ra Biegeleisena, jakoby Mickiewicz przez te przerwy pragnął zaciekawić czytelnika, — wydaje mi się całkiem dowolném i bezzasadném: już to wogóle wspomniany krytyk zbyt skłonny jest podsuwać Mickiewiczowi zamiary wywoływania efektów za pomocą różnych sztuk i sztuczek. Czyż nie prostszém jest przypuścić, iż poeta, który z takiém zamiłowaniem kreśli swoje obrazy przyrody, napotkawszy jakiś jéj motyw, idzie za wrodzoną skłonnością i szerzéj go rozwija, nie troszcząc się, iż przez to może być naruszona klasyczna równowaga między akcyą i krajobrazem? Bo Mickiewicz kierował się zawsze samorodném natchnieniem, nie regułami teoryi, — jeśli przez to utwór jego traci czasem na prawidłowości klasycznéj to zyskuje stokrotnie na wewnętrznéj prawdzie, która

zawsze jest, była i będzie zasadniczym postulatem twórczości poetyckiéj.

Zresztą intuicya artystyczna poety nie dopuszczała większych wykroczeń w tym względzie przeciw słusznym wymaganiom gustu, wysnutym nie ze spleśniałych reguł, lecz z głębi poczucia estetycznego. Niewątpliwie drobne usterki w tym względzie dają się dostrzedz; po większéj części jednak krajobrazy uprawnione są artystycznie w „Panu Tadeuszu“ i doskonale uzupełniają akcyą. I tak: pierwszy wstępny krajobraz: — widok pól litewskich przedstawia w ogólnym zarysie tło przyrodzone osnowy poematu; w następstwie poszczególne motywy tego tła są rozwinięte, a więc: widok oddalonego lasu, który niejako ujmuje w naturalne ramy cały krajobraz „cichéj wsi litewskiéj“, będącéj sceną akcyi, daléj opis kniei litewskiéj, tak naturalnie związany z opisem polowania, obraz wieczoru letniego, stanowiący tło, na którém rozwijają się sceny, poprzedzające zajazd, opis ogródka wiejskiego, będący tak odpowiednią ramą dla wdzięcznie naiwnéj postaci Zosi i t. p.

Ogólnie biorąc, wszystkie obrazy w „Panu Tadeuszu“, tak zjawisk niebieskich, jak i ziemskich, złączone są w jeden wspaniały obraz przyrody litewskiéj, odtworzonéj z całą swą rozmaitością, w rysach pełnych plastyki i typowéj prawdy; cały zaś ten obraz życia przyrody łączy się logicznie i artystycznie z życiem ludzkiém, które w różnych charakterystycznych swych objawach rozwija się wspaniale na piękném i różnobarwném tle jego.

Cechy stosunków i charakterów ludzkich, zarysowane w „Panu Tadeuszu“, dzisiaj należą już do przeszłości, żyją jedynie w świecie wspomnień; ale rysy przyrody rodziméj zawsze jeszcze są istniejącą rzeczywistością: bo przyroda, nie ulegając zmiennym kolejom rzeczy ludzkich, wiecznie jest niezmienną, młodą i świéżą i tym samym głosem przemawia do nas, którym niegdyś przemawiała do naszych ojców.

Walery Gostomski.





ERNEST LAVISSE

I JEGO DZIEŁO

MŁODOŚĆ FRYDERYKA WIELKIEGO

TOM I-y.

Mało znany publiczności naszéj historyk Lavisse, którego dzieło pod wyżéj wymienionym tytułem ukazało się w druku r. z., należy do najzdolniejszych profesorów uniwersytetu paryskiego i do najbardziéj wpływowych kierowników młodzieży, jest to bowiem jednocześnie pierwszorzędny profesor i znakomity pedagog, a jego działalność autorska tak złączona z obywatelsko-nauczycielską, że niepodobna mówić o pierwszéj a zamilczéć o drugiéj, bez uszczerbku dla prawdy i dla wierności zarysu.

Ernest Lavisse urodził się 1842 r. w Nouvion en Thiérache, (Aisne), początkową naukę pobierał w Laon, dalszą w Paryżu. Ukończywszy z powodzeniem swoje studya, był nauczycielem w liceum Henryka IV, profesorem w szkole normalnéj wyższéj, gdzie niedawno jako uczeń celował. Doktoryzował się w 1875 r., w 1880 został profesorem-adjunktem w uniwersytecie, następnie zaś profesorem zwyczajnym i kierownikiem wydziału historycznego (*Directeur d'études pour l'histoire*).

Pierwsze swoje lata szkolne opowiedział sam, na zebraniu dawnych towarzy. Ciekawy to ustęp z tego względu, że owa szkoła jest typem innych, istniejących do bardzo niedawnych czasów i że jéj wady wpłynęły na późniejszą działalność jéj ucznia, gdy jako profesor wziął czynny i bardzo żywy udział w reformach edukacyjnych, które się obecnie przeprowadzają.

„Nie miałem dziesięciu lat opuszczając dom rodzicielski dla Laon'u. Dom ten dziś pusty. Dwie osoby pracowały w nim wówczas: mój ojciec i moja matka. Słyszałem nieraz jak rozmawiali, że potrzeba mnie umieścić w kolegium. Nierozumiałem wtedy co to znaczy; rozumiem dziś. Postanowili oni, aby życie moje nie płynęło jak ich, w twardym, skromnym trudzie, więc uczynili je dla siebie jeszcze skromniejszém i twardszém, aby mnie było lepiéj. Im zawdzięczam tę radość, żem się mógł uczyć, mógł działać, stać się pożytecznym. Dali mi wszystko, co stanowi wartość życia. Ich usiłowania, ofiary, prywacye codzienne, zamieniły się dla mnie w rozkosze umysłowe i serdeczne".

Trudno ładniéj się przyznać do ubogiego, z pod strzechy, pochodzenia, a profesor wyraźniéj to powtórzy, kończąc swe przemówienie.

Po tym krótkim wstępie osobistym idzie opis kolegium laońskiego i miasta, profesorów i zabaw uczniowskich, bardzo ładny obrazek, w którym coś z rzeczonych wspomnień, coś z wesołości dziecinnéj przebija i ożywiając postacie, wraz z tym światkiem na partykularzu, świadczy o beletrystycznych zdolnościach: „Złóżmy i staréj szkole hołd nasz. Nie była ona piękna. Duża brama prowadziła na dziedziniec wązki, w kwadrat smutnemi budynkami otoczony. Refektarz ciemny a stół wcale nie wykwintny. Spędziliśmy tam godziny długie, bardzo długie, a przecież ja, który nie lubię zamykania dzieci po zakładach i pragnę, aby osłodzono wszelkiemi sposobami to złe nieuniknione, ja, którym tęsknił za domem i (nie przyznałem się dotąd nigdy do tego) udając się na spoczynek, zasypiałem, zwracając się twarzą ku swojéj stronie, jam zachował o starém kolegium miłe wspomnienie. Nie czułem się w niém bardzo zamkniętym. W Paryżu zaznałem potém prawdziwego więzienia". Sylwetki nauczycieli, to niby typy z jakiéjś obyczajowo-humorystycznéj powieści, choć autor nie chce ich wyśmiewać, a nawet wyraźnie oświadcza, że wiele im winien. Wątpię czy dużo jest prawdy w tém twierdzeniu; przypuszczam, że daleko więcéj przyzwyczajenia Francuzów do grzecznych „frazesów", w które sami nie wierzą, a które są, jak owe Konrada „piękne słówka, których rzucał krocie, z zimnym uśmiechem jak dzieciom łakocie". „Dyrektor wydawał mi się bardzo wielkim, choć był średniego wzrostu. Miał twarz szeroką, troszkę krwistą; w gniewie i śmiechu pokazywał dwa rzędy dużych zębów, a od jednego do drugiego stanu przechodził z łatwością i zawsze hałaśliwie. Nie znał półgłosu. Nie lubiliśmy, gdy nas wzywano do jego gabinetu. Używał binokli w złoto oprawnych, a okularów w szyldkret, co mi się wydawało oznaką dostatku i surowości. Pamiętam, że chował dyscyplinę w szafie, i że jakąś

uwagę „starszemu“ (uczniowi) popierał pięścią, ale umiał przytém dać i dobre słowo, nawet pieszczotę, gdyż był bardzo poczciwym człowiekiem“. Temu poczciwemu dyrektorowi odpowiadał dobór nauczycieli; prawdziwa zbierana drużyna: nauczyciel retoryki nudził się w klasie i wcale się z tém nie taił. Można przypuszczać, że uczniowie się nudzili wraz z nim, ale się z tém taili. Miał jednak być światłym i znającym swój przedmiot. Drugi „przedstawiał elegancyę w szkole, to jest nosił długie włosy, długie paznogcie i popielaty kapelusz“. Marząc o zdobyciu adwokackiéj sławy ćwiczył się w wymowie z dziesięcioletnimi malcami, i chodząc wielkiemi krokami po klasie „w któréj było miejsca najwięcéj na sześć kroków“ opowiadał i dyktował ustępy z historyi lokalnéj. „Nie miało to najmniejszego związku z lekcyami, ale nas zajmowało“. Trzeci „poważny bo nieśmiały“ deklamował z uczuciem poezye Lamartina, a czwarty nie lubił pierwszorzędnych pisarzy tylko drugorzędnych i gorąco bronił swego upodobania. Nauczyciel greczyzny znał swój przedmiot, wykładał go dobrze i starał się ułatwić malcom nauczenie się onego. Ten był zawołanym myśliwym: „Spotykając go ze strzelbą, podziwialiśmy, że profesor mógł być—w wolnych chwilach—podobnym do innych ludzi“. Charakterystyczny szczegół. To wrażenie dzieciaka maluje dosadniéj, niż długie wywody, oryginalność i szczególność owych figur. Poczciwy matematyk „z głową pochyloną, jakby szukał rozwiązania jakiegoś zagadnienia, wykładał jasno, cierpliwie i z przekonaniem“ zasady arytmetyki i geometryi. Z dwóch nauczycieli historyi, jeden świéżo przybyły z Paryża, chciał uchodzić za wielkiego człowieka, przeznaczonego do wielkich losów. Na każdéj lekcyi wspominał o swoich świetnych stosunkach w stolicy i rzucał wielkiemi „frazesami“; „ten mówił prawie o wszystkiém, wyjąwszy o historyi“. Drugi, obdarzony elegancyą i wdziękiem, wykładał przechadzając się, przez trzy kwadranse lub przez godzinę, a trzymał w ręku tylko krótką notatkę: „byłem zachwycony, że można tyle rzeczy wysnuć z tak małego świstka papiéru“. Trzech nauczycieli angielskiego języka przesunęło się niby przypadkowo przez szkołę. Jeden z nich napisał komedyę, wygwizdaną na pierwszém przedstawieniu; drugi posiadał ogromną tabakierę i ogromny „fontaź“ pod szyją, a trzeci, syn marnotrawny, jak doszło do wiadomości malców, zamiast pasać trzodę za karę, został... wychowawcą młodzieży. Naturalnie, że w takiéj szkole mógł się czegoś nauczyć tylko bardzo zdolny, albo pracowity uczeń. Lavisse należał do takich. Nawet owe nieudolne lekcye, jeśli mam wierzyć — nie pozostały bez dodatniego wpływu. Ten, który opowiadał historyę lokalną, nie mającą związku z lekcya-

mi „wywołał pierwsze wrażenia historyczne i literackie“, wielbiciel drugorzędnych pisarzy zaostrzał zmysł krytyczny a deklamator Lamartine'a budził uczucie poetyczne. Jeśli tak było, to li dlatego, że krytycyzm, poczucie piękna, umysł wyższy, spoczywały w zarodku w naturze chłopaka; tam, gdzie ich nie było, nie zasiano ich wcale. Daleko słuszniejszą mi się wydaje uwaga co do wpływu okolicy na usposobienie dziecka: „nie jest obojętną rzeczą być wychowanym w miejscowości, która posiada swój charakter. Starożytne Laon przemawiało niewyraźnie“, lecz oddziaływało swą poważną katedrą, starożytnemi budynkami, kaplicą Templaryuszów, kaplicą, w któréj Abelard przemawiał dawnemi laty: „wszystko to dało mnie, chłopcu wiejskiemu z Nouvion en Thiérache, wyobrażenie o wielkiéj przeszłości i podnosiło mą duszę“.

Równie wadliwym, jak system naukowy, był system wychowawczy. „Nie otrzymywaliśmy żadnego wychowania. Nie przypominam sobie, aby jeden głos— chyba zamarły głos starych autorów — zrobił mi uwagę moralną, lub żeby się kto odwołał do innych uzuć, jak do mojéj miłości własnéj.“ Rządziły nimi kary i nagrody, niezawsze trafne: „zwykłą nagrodą było uwolnienie (*exemption*), rodzaj przedterminowego wykupu, za błędy przyszłości. Komu pozostało tych zwolnień, otrzymywał w miarę ich ilości — nagrodę. Zaświadczenie o postępowaniu było działaniem arytmetycznėm. Nikt nie usiłował skierować méj woli ku dobremu; nie uczono mnie używania wolności; nie należałem do siebie ani minuty. Zawsze pilnowany, nigdy sam z sobą, nie nabrałem tam poczucia obowiązku i odpowiedzialności. A gdybyście mogli sobie dziś wyobrazić przez kogo wówczas władza była przedstawianą. Gdybyście wiedzieli czém był nauczyciel dawniéj, osobistość, która, dzięki Bogu, znikła zupełnie! Możnaby rzec, iż chciano utworzyć pokolenia niezdatne do poszanowania i kochania władzy, lecz bojące się jéj i używające wybiegów; pokolenia niezdolne do inicyatywy, lecz rutynistów, albo malkontentów i buntowników. Z prawdziwym smutkiem wspominam jeszcze ową bezwładność ciał, która zwiększała bezwładność moralną“. Ani swodoby, ani rozrywki właściwéj dla wieku i dla zdrowia; w klasach tłok, na dziedzińcu brak miejsca do gier; dalsza przechadzka w szeregu po dwóch, pod okiem surowego cenzora, podobna była do przeprowadzania przymusowego więźniów. „Szczęściem dobry uczeń mógł się uwolnić od przechadzki i otrzymać tak zwane zamknięcie dobrowolne. Korzystałem często z téj łaski. Siadałem wtedy w moim kąciku i pracowałem, albo wsparłszy głowę na ręce, patrzałem na mur, myśląc o lasach i polach, o łąkach i słodkim domu

rodzicielskim". A przecież poczciwe chłopię z najlepszém usposobieniem szło do téj szkoły, w któréj tyle przecierpiéć musiało. Wyznał niedawno, że dzieckiem będąc, myślał, iż każdy nauczyciel nudzi się podczas wakacyi i cierpi, jak dusza w czyścu, a odżywa dopiéro z rozpoczęciem lekcyi. To złudzenie, którego się pozbyć musiał, te wady i niedostatki, na które się napatrzył, były dlań punktem wyjścia w reformach szkolnych, do których pilną przyłożył rękę. Z rozpoczęciem zawodu nauczycielskiego, rozpoczyna się jego praca obywatelska: celem jéj podniesienie narodu przez oświatę. Zmiany w systemie naukowym i wychowawczym, wykład w Sorbonie zawsze spisany i sumiennie przygotowany, książka do druku podana — wszystko ku niemu zmierza.

Jako pedagog Lavisse odznacza się zamiłowaniem swego zawodu. Oto co pisze, w jedném miejscu, o tych czasach, gdy nie było w uniwersytecie właściwych studentów, lecz tylko wolni słuchacze: „Zostawszy nagle przeniesionym ze szkoły normalnéj, gdzie nauczyciel pozostaje w zażyłości z uczniami, uczułem się obcym w tych wielkich „amfiteatrach", a choć nie miałem wstrętu do wykładów publicznych i ceniłem przyjemność być panem audytoryum nawet bezimiennego, zdało mi się, że zabraknie memu życiu wielkiego wdzięku, jeśli nie będę miał koło siebie orszaku młodych inteligencyi, jeśli będzie potrzeba wyrzec się tego delikatnego uczucia, szacunku z przywiązaniem, które każdy z nas miał dla swych mistrzów. Skończyłem pierwszą moją lekcyę naglącém wezwaniem, by ci, którzy chcą zostać mymi uczniami oświadczyli się z tém. Moje ostatnie słowa—po zaznaczeniu, jakie miejsce zajmuje nauka historyi w życiu narodowém — były: proszę was panowie, pracujmy razem. Nikt nie odpowiedział na to wezwanie, ani dni następnych. Było to dla mnie prawdziwém zmartwieniem". To gorące zajęcie się młodzieżą daje mu wielki wpływ na nią. Jest on może najwięcéj lubionym i szanowanym w całym areopagu uniwersyteckim, który dziś takiém się cieszy uznaniem i powagą, że prasa francuska — a wiemy jakiém *enfant-terrible* ona być umié — z uszanowaniem o nim się odzywa nawet w tych razach, gdy się z nim w czémkolwiek nie zgadza.

Jako profesor posiada Lavisse przy rozległéj nauce samodzielny pogląd, dar słowa i bardzo zajmujące a jędrne rzeczy przedstawienie. Cechą jego wykładu jest połączenie wiedzy, jako takiéj, z bieżącą chwilą dziejową; przygotowanie studenta nietylko do samodzielnéj pracy naukowéj, ale i do życia obywatelskiego. Gruntowna znajomość obranego przedmiotu (dzieje pruskie), zdolność do spekulacyi filozoficznych i łatwość oryentowania się na dziejowém polu, pozwalają mu

wyprowadzać wnioski, odgadywać przyczyny, stawiać konkluzye, które z nauki historyi robią (zaprzeczoną przez niektórych) mistrzynią życia publicznego. Łatwo pojąć znaczenie takiego wykładu w kraju, gdzie cały naród bierze udział jeśli nie w rządach to w gmatwaniu zamiarów rządu, często przez nieświadomość lub złe zrozumienie własnych interesów.

Poglądy swoje wychowawcze i metodę nauczania wyłożył w dwóch dziełkach: „*Questions d'enseignement national*“ i „*Etudes et étudiants*“. Są to mowy okolicznościowe, z powodu otwarcia roku szkolnego lub jakiéj uroczystości. W pierwszych rozbiéra, albo jaką „innowacyę“ szkolną albo kwestyę na dobie będącą a odnoszącą się przeważnie do reform uniwersyteckich; w drugich traktuje przedmiot odpowiedni do okoliczności. Pierwsze są gruntowniejsze i nie waham się ich zaliczyć do ustępów pedagogicznych wysokiéj wartości. Być może, iż — jak autor sam powiada — „myśli są bardzo proste i stare“, może nawet zaczerpnięte nieraz u nieprzyjaciela sąsiada, który wcześniéj w tym kierunku pracować zaczął; ale z cudzego doświadczenia wolno korzystać każdemu, wreszcie, w dziedzinie moralnéj, bodaj że ludzkość zdobyła już sobie wszystkie swoje zasadnicze idee i tylko przeprowadzenie ich zmieniać się musi, stosownie do okoliczności. Nie tak to wreszcie łatwo wpaść na dobre zastosowanie zasady, a z chaosu myśli, systemów i projektów wydobyć najlepszy, kiedy długi czas chodzono po omacku w szkole i dziś jeszcze daleko do upragnionéj doskonałości. Wszystkie te przemówienia odznaczają się wielką znajomością przedmiotu i bardzo poważném nań zapatrywaniem; niektóre nawet są znakomite, jako wyraz wzniosłych uczuć, szlachetnych zasad i pięknego stylu, np. *l'ancienne et la nouvelle Sorbonne.* Za to mowom z powodu jakiéjś uroczystości, np. *les fêtes de 1889*, można zarzucić, że za dużo tu ozdób stylowych, ładnych słówek, lub komplementów dla młodzieży. Ale oprócz tych usterków podrzędnych — wszędzie sporo pożywnego ziarna. Jeśli co zasługuje na protest, to ustęp z rozdziału „*la politique étrangére des étudiants*“, w którym zaleca, aby przyciągali do siebie młodzież cudzoziemską, bo Francya tego potrzebuje: „*nul peuple n'a plus besoin que nous de se donner cette clientèle*“. Azaliż dobrą jest rzeczą wszczepiać w młode umysły interesowną uprzejmość, a z koleżeńskiéj zażyłości i przyjaźni robić rachubę na przyszłość?

Działalność profesorska p. Lavisse zaczyna już wydawać owoce. Podobnie jak nasz nieoceniony Liske i on usilnie pracował nad założeniem „pepiniery“ przyszłych historyków. Przy racyonalnie zorganizowanéj pracy młodzież robi postępy; już ma swoje organa, w któ-

rych się zamieszczają jéj prace, nie bez zalet, jak powiadają; niektóre nawet zapowiadające się dobrze na przyszłość. Nadto młodzi specyaliści — przyszli historycy, profesorowie, dyplomaci — zaczęli wydawać wspólnemi siłami rocznik polityczny o zagranicznych sprawach, na wzór tego, który André Daniel wydaje od blisko dwudziestu lat, o sprawach francuskich wyłącznie. P. Lavisse napisał do pierwszego tomu przedmowę, niby program tego rodzaju publikacyi, a że takowa wszędzieby się przydała i mogła służyć w przyszłości jako dokument i odbicie poglądów chwili obecnéj, więc przytaczam ów ustęp: „Śród czytelników liczniejsi czytają nie potrzebując zrozumieć, ale drudzy pragną zostać oświeconymi świadkami stuaktowego dramatu, który się odgrywa na scenie świata. Żeby ich zadowolnić, należałoby wprzód napisać książkę, dającą definicyę i obraz powszechnego życia politycznego dzisiaj; następnie szereg tomów, gdzieby doroczna historya każdego kraju była opowiedzianą.

Plan książki mógłby być następujący.

Część 1-sza. Wyliczyć i uklasyfikować zjawiska polityczne. Od zjawisk cofnąć się do przyczyn, jak: siły natury, to jest ziemia i człowiek; siły historyczne, to jest idee, obyczaje i zwyczaje, przekazane przez przeszłość; rozmaite pojęcia o bóstwie i religii, o państwie i rządzie; siły ekonomiczne, to jest produkcya rolna, przemysłowa i handlowa. Te siły złączone wytwarzają politykę.

Część 2-ga. Naszkicować rozdział tych sił na kuli ziemskiéj; rodzaj gruntu, plemiona, religie, rządy, pracę ekonomiczną, tak, aby od pierwszego rzutu oko mogło rozróżnić użyteczność, rozmaitość części świata, wartość rozmaitych grup ludzkości, interesa, namiętności, i główne bodźce działania wszystkich ludów

Taka książka dałaby filozofię polityki, okazałaby związek, w każdym kraju, między rozmaitemi objawami życia narodowego i stosunek ich — mniéj widoczny, lecz niemniéj rzeczywisty, z życiem każdego narodu i z życiem powszechném, ogólném: wykazałaby, że istnieje solidarność powszechna, któréj praw nie może naruszyć pewna narodowość, bez niebezpieczeństwa dla siebie saméj“. Tu aluzya do protekcyonistów, zniecierpliwionego widać debatami nad cłem, i zwykła mu metoda wyciągania nauki z dziejów dla obecnych czasów—„możeby pomogła (wyż wymieniona książka) do zrozumienia we Francyi panom nieprzyjaciołom rodzenek i właścicielom buraków, oraz wszystkim adeptom „zamkniętéj Francyi“, że są na drodze do przecięcia jéj arteryi“.

Nie idzie w krótkim zarysie biograficznym o szczegółowe opisanie działalności pedagogicznéj p. Lavisse'a, lecz o wskazanie prze-

wodniéj idei i wielkiéj szczerości przekonań, z jaką jest podjęta. Ta właśnie szczerość przekonań, z samodzielnością i energią połączona, czynią zeń wybitną osobistość. O działalności zaś autorskiéj bodaj że trudniéj wyrokować dlatego, iż dotąd nie dał całkowitéj miary swych zdolności, więc i w tym kierunku ograniczyć się muszę do zaznaczenia poglądów i metody i do sprawozdania z ostatniéj książki „Młodość Fryderyka Wielkiego“, która jest znakomitém dziełem.

Przedewszystkiém jest-to sumienny historyk. Poszanowanie dla nauki i prawdy czynią, że gotów jest zawsze do oddania sprawiedliwości wrogom. „I czemuż nie podziwiać tego, co jest podziwienia godném w Prusach?“ pyta w jedném miejscu, badając genezę tego państwa. A zabiérając się do tych studyów powiada: „Trudną rzeczą jest napisanie historyi obcego narodu. Pomimo najlepszéj chęci znalezienia prawdy, pomimo cierpliwości w poszukiwaniach, która jest środkiem do znalezienia jéj. Choć się jedzie zobaczyć własnemi oczyma piaski Brandeburskie, które wiatr podnosi, i Wisłę, która płynie u stóp starych zamków teutońskich, nie żyło się życiem tego narodu. Śladów głębokich, które przeszłość zostawiła, w teraźniejszości nie spostrzega od pierwszego rzutu oko cudzoziemca. Każdy z nas, badając historyę Francyi, ma w swéj duszy tajemny instynkt, który nim kieruje, bo dusza jego jest utworzona przez tę historyę. Jakkolwiek słaby to promyk, rozprasza przecież ciemności, gdy się zbliżamy do oddalonych stolic, — a historya obca pozostaje zawsze ciemną; mimowoli porównywa się ją do swojéj, oświeca się odblaskami, nie zna się jéj do gruntu“. Dlatego to kiedyś na jednym z wykładów, mówiąc o obowiązkach moralnych historyka, rzekł śród innych te na pozór dziwne słowa: „*soyez un historien sensible*“. Nie w tém znaczeniu, by się roztkliwiać jak liryk nad obrazem nieszczęść, które historya opowiada, ale by „pozbywszy się uprzedzeń, wyłącznéj myśli o chwili obecnéj“ wcielić się w epokę, czy jednostkę, bo wtedy tylko ich akcya stanie się zrozumiałą. Ale jeśli zaleca „odczuwać“, napomina niemniéj, aby z zupełną beznamiętnością, z największym spokojem rozpoczynać pracę, bo tylko wtedy dobrze widzieć można.

Spis dzieł Lavisse'a nie długi. Cztery książeczki, stopniowane, o historyi francuskiéj dla dzieci i dla nichże historya powszechna [1]). Są to wyborne dziełka. Ministeryum oświaty zapisało je do katalogu bibliotek ludowych, a do 1889 r. Colin i S-ka pięć milionów

[1]) L'année préparatoire d'histoire de France. Récits et entretiens familiers sur l'histoire de France, jusqu'en 1328. La première année d'histoire de France. La deuxième année d'histoire de France. Histoire générale.

egzemplarzy wydała.—Dwie broszurki: „*Sully*“ i „*La Question d'Alsace dans une âme d'Alsacien*“; ostatnia z powodu odezwy pod wymownym pseudonymem Heimweh napisanéj, jest obroną praw francuskich do utraconych prowincyi. Obaj autorowie zgadzają się na jedno. Lavisse twierdzi, że kwestya ta jest mało znaną w Europie (chyba się myli), nawet we Francyi i że ją poniżyły deklamacye odwetowe: „Europa może powiedzieć: przegraliście, a w grze jeden traci, i Europa-by miała słuszność, gdyby szło o odwet“, ale idzie o zasadę i dlatego jest-to „kwestya ludzkości“. Jaką jest ta zasada? „Wybór ojczyzny dobrowolnéj“. Gdy Francya zabierała Alzacyę — opowiada — ten pas ziemi, na którym się ona znajdowała, był jakby spornym, a raczéj neutralnym, bez pana szmatem. Alzacya „nie była odciętą gwałtownie; przechyliła się tylko na stronę Francyi“, w jaki zaś sposób odjętą została, wiadomo powszechnie. „Któż wtedy na tém ucierpiał? Czy Niemcy? Ależ część Niemiec prosiła Francyi o pomoc, o wojska i pieniądze. Ofiarowywała jéj ziemie, pragnęła, aby nasz król je wziął. W walce z Austryą, w któréj broniła tego, co nazywała swemi swobodami, byłaby upadła bez zwycięstw Tureniusza i Kondeusza. Niemcy wprowadzały Francyę w swoje sprawy, w swoje życie codzienne, w swoją politykę. A nie byli to najmniejsi z książąt, lub najmniéj warci pod względem moralnym, którzy z nami spiskowali. Gdy w lat 30 po przyłączeniu Alzacyi, Ludwik XIV-ty zajął Strasburg, i gdy ten wypadek poruszył cesarstwem, jeden z książąt ofiarował się wyjednać zgodę na ten zabór wcale łagodnie dokonany. Tym księciem był Fryderyk Wilhelm, wielki elektor, przodek dzisiejszego cesarza niemieckiego.

Oprócz wymienionych broszurek i książeczek dla dzieci napisał: 1) *Etude sur l'une des origines de la monarchie prussienne;* 2) *Etudes sur l'histoire de Prusse;* 3) *Essais sur l'Allemagne impériale;* 4) *Trois empereurs d'Allemagne, Guillaume I, Frédéric III, Guillaume II;* 5) *Vue générale de l'histoire politique de l'Europe* i 6) *La jeunesse du Grand Frédéric.* Z tych dzieł (wszystkie jednotomowe, wyjąwszy ostatnie, które najmniéj na trzytomowe się zanosi) tylko *Etude sur l'une des origines de la monarchie prussienne* i „Młodość Fryderyka“ zostały napisane odrazu, reszta zaś są zbiorem artykułów różnemi czasy po różnych czasopismach umieszczanych, następnie przejrzanych i w książkę ujętych zaś *Vue générale de l'histoire*, jak sam powiada, jest rozwiniętą tylko przedmową do dzieła James Bryce *Le Saint empire germanique* napisaną. Stąd różnica w wykonaniu. *Etude sur l'une des origines* odznacza się powagą dawnéj szkoły, a „Młodość Fryderyka“ tonem pogadanki naukowéj (rozpowszechniającym się co-

raz więcéj i w beletrystyce i w dziejopisarstwie), który się nie wzdraga przed szorstkim wyrazem, lecz jednocześnie umié się posłużyć ładnym frazesem lub dowcipném słówkiem. Artykuły zaś mają styl pośredni między klasycznym starym, a niepretensyonalnym nowym; jest w nich daleko więcéj ozdób i jakiś odcień beletrystyczny, który nie każdemu smakuje.

Etude sur l'une des origines — to rozprawa napisana przed kilkunastu laty, która zjednała autorowi stopień doktora *ès lettres.* Obie zaś *Etudes*, uwieńczone przez Akademię francuską, ozdobiły pierś jego oficerskim krzyżem legii honorowéj. Pierwsza z nich przypomina sumienne prace Szajnochy. To samo ścisłe badanie historycznych źródeł z pierwszéj ręki, styl jasny z poważną prostotą, wniknięcie w przeszłość. Jak tytuł zapowiada, jest-to studyum nad jedną z przyczyn egzystencyi pruskiéj, nad tą właśnie, którą mało się zajmowano nietylko we Francyi, lecz nawet w Niemczech. Jest-to historya marchii Brandeburskiéj za rządów familii Askańskiéj. Ranke w pierwszéj edycyi swych dziewięciu ksiąg zaniedbał ową kartę z dziejów ojczystych i zajął się nią dopiéro po wojnie francusko-pruskiéj, przyznając się, że wypadki nowoczesne przekonały go o ważności téj staréj historyi. Lavisse, sięgając do téj epoki, powiada: „nie mam wprawdzie zamiaru poszukiwać w czasach przedhistorycznych, które z dwóch plemion, germańskie czy słowiańskie, ma prawo do krajów między Elbą a Wisłą, lecz kwestye te nie mogą być uważane za czcze i puste, odkąd erudycya wzięła czynny udział w sprawach tego świata, i otworzyła się straszna era wojen między plemionami i dyalektami, a pamięć o posiadaniu pierwotném stała się wieczném źródłem upominania się o swoje prawa.“ Studyum kończy się na wygaśnięciu familii Askańskiéj.

Zwykle bywa, iż cała historya jakiegoś kraju, ograniczona do jednego domu, musi być suchą już przez to, że faktów pominąć nie można a rozwinąć, dla ciasnych ram, niepodobna. Jest-to przecież wyborny podręcznik, obfity w materyał, a na wewnętrzną organizacyę, na duch, który przewodniczył założeniu podwalin tego państwa, pilną zwrócono uwagę i stosunkowo dość miejsca poświęcono. Możeby tylko który z naszych historyków poprawił tu i owdzie jakie słówko o Słowiańszczyźnie. W dziele tém Lavisse jeszcze nie występuje ani z filozoficznym poglądem, ani z żadną teoryą; jest w téj dobie swego piśmienniczego zawodu tylko zdolnym i obiecującym badaczem, który umié zebrać i skontrolować fakty, ale w następnych studyach „*Etudes sur l'histoire de Prusse*“, występuje z tém śmiałém, i jako zasada niezmiernie ważném twierdzeniem, że państwo to jest wytworem woli

ludzkiéj, nawet pojedyńczéj, bo swych władców, zrazu małych panków. O ile mi wiadomo (wprawdzie *ce n'est pas beaucoup dire;* profanem jestem w tych kwestyach i pożądaną niezmiernie, by kto kompetentny prostaczków objaśnił), nikt jeszcze nie wyrzekł czegoś podobnego. Że ten lub ów książę, wódz czy awanturnik zdobywszy tron jakiś, wzmocnił państwo, organizując je wewnątrz, a rozszerzając granice na zewnątrz i został założycielem w tém znaczeniu, że istniejącym składowym częściom zapewnił byt i naturalny rozwój, to się czytało nie raz i nie dziesięć, ale żeby ktoś twierdził, iż państwo utworzono tam, gdzie doń brakowało naturalnych podstaw, jak: jedności plemiennéj, religijnéj, obyczajowéj — nie przypominam sobie. W dziełku „Trzéj cesarze" czytam: „Niemcy (państwo niemieckie) są manifestacyą przyrody: są bo są, Prusy są produktem rozumu i woli; są, bo je zrobiono";—daléj zaś powiada, że wszystko tam jest sztuczne, nawet nazwisko zapożyczone u drugich: „Brandenburg jest zniemczoną nazwą słowiańskiego miasta, Prusy imieniem jednego z litewskich plemion". *Ces origines lointaines sout des morts de peuples.*

Na utworzenie państwa sama wola nie wystarcza; potrzeba innych czynników; autor zaznacza wpływ pozycyi geograficznéj: „Brandeburgia i Prusy nadały sobie instytucye wyłączne, niepodobne wcale do niemieckich, bo te dwa państwa były wyrobem, nie zaś naturalną latoroślą zostawioną swobodnemu wzrostowi; bo były założone u nieprzyjaciela wobec nieprzyjacielu, bo koloniści w tych ziemiach nie byli wcale narodem lub odłamkiem narodu, posiadającym swe prawa, ale jednostkami oderwanemi ze wszystkich ziem niemieckich, którzy przyjęli na zdobytéj ziemi prawa zastosowane do jéj potrzeb". Zgoda na to ostatnie, ale czy te oderwane jednostki ze wszystkich ziem niemieckich były zupełnie sobie obce?... Chyba nie; była wspólność mowy i plemiennego pochodzenia, które ułatwiały zlanie się w jedno przybyszów ze wszystkich stron Germanii.

Tak więc, w téj drugiéj części studyów autor przychodzi do pewnych pojęć ogólnych, zasadniczych; do pewnego poglądu historyozoficznego, który się rozwija z każdą nową pracą,—po kolei téż je przytoczę: zrazu mamy dwa czynniki wpływające na losy indywidualne i zbiorowe: wolną wolę i geograficzne położenie; oto skutki ostatniego: „Prawda, że gdy Hohenzollerny stali się margrabiami brandeburskimi w XV w., a książętami pruskimi XVII w. Marchia nie była tém, czém ją zrobili margrabiowie Askańscy, ani Prusy bogatym, dobrze zagospodarowanym krajem z kwitnącéj doby zakonu, ale warunki kraju i ludu, który go zamieszkiwał, pozostały jednakie; kraj miał tych samych wrogów, egzystencya jego nie była zapewnioną i ratunku

musiał szukać w samym sobie, zbawienia swego w swych ustawach i karności. Książę mógł nie znać imienia margrabiów Askańskich i mistrzów teutońskich, ale robił to samo, co oni", a dalej: „zwykle historyk, poszukując przyczyn powodzenia państwowego, znajduje, że najgłówniejsze leżą w szczęśliwéj pozycyi strategicznéj, dobréj do obrony i do zaczepki; w urodzajności gleby, która daje bogactwo, źródło wszelkiego postępu. Tu wszystko na odwrót: ziemia niewdzięczna mało daje w zamian za upartą pracę, a przyroda nie pomyślała o jéj obronie; na domiar nieszczęścia okoliczności historyczne wywołały nieprzyjaciół ze wszech stron, ale właśnie te niedogodności posłużyły do wzrostu Prus." Przy końcu zaś tego tomu studyów (które, jak już powiedziano, są wiązką artykułów pisanych w rozmaitych czasach) przybywa nowy czynnik: oświata, szkoła. „Uniwersytet berliński został założony w czasie gdy się zdawało, że Prusy umrą raczéj z winy swych ustaw, niż z przegranéj... Jena była tym ciosem... zwalenie się państwa pruskiego, które nastąpiło, pokazało, że machina była spróchniałą. Szlachetna to myśl podniesienia państwa przez szkołę i odrodzenia siły przez rozum. Prędko to zrozumieli Hohenzollernowie, bo, znając cenę każdéj siły, nie lekceważyli umysłowéj, a mieli tę szansę, że siły umysłowe, podobnie jak religia, były na ich usługi". Z bezstronnością poważnego badacza odzywa się: „I czemuż nie podziwiać tego, co jest godném podziwienia w Prusach." Piękną jest historya narodowości sztucznéj, utworzonéj przez książąt, z pomocą biur, w których pracowała administracya najpracowitsza w świecie. Piękném jest dziełem urobienie ludu nawykłego do porządku, oszczędności, posłuszeństwa; narzędzia silnego i uległego rządowi, który umiał więcéj niż ktobądź w Niemczech chciéć i myśléć."

Nowa z kolei praca „*Essais sur l'Allemagne impériale*",—to druga wiązka zajmujących artykułów o wewnętrznych sprawach kraju, o parlamencie, socyalistach i emigracyi niemieckiéj, o kwestyach ekonomicznych i politycznych — okazujących spostrzegawczy umysł, ale któreby zyskały na większéj prostocie stylu. Autor utrzymuje, że Germania dzisiejsza „nie jest w normalnym stanie, choruje na nieporozumienie... na *qui pro quo*. Chciała być wielkim narodem, ale nie spełniła sama swego zadania. Wzrost jéj był za szybki i sztuczny. Intryga dyplomatyczna, arcydzieło w swoim rodzaju, rozpoczęta w roku 1864-ym, a skończona w r. 1866-ym, zdały się na łaskę Prus, to jest mocarstwa wyłącznéj natury, które się stało państwem Niemiec dlatego, że nie było podobném do reszty." Szkoda, że autor do trafnych spostrzeżeń miesza frazesy, które na subtelną grę słów zakra-

wają, a nie na argument: co znaczy nie było podobném do reszty Niemiec? Czyż to racya, by jedno państwo wzięło przewagę nad drugiém, dlatego że nie jest doń podobne?... Przewagę daje nie różnica, ale siła, moralna czy materyalna, albo obie razem—czasem zbieg okoliczności, ale i w tym nawet razie siła rzeczywista czy fikcyjna będzie po stronie owych okoliczności. Pomimo jednak tych plew stylistycznych—w każdym artykule z podpisem „Lavisse“ znajdzie się na pewno część pożywna. „Nie wszystko idzie jak najlepiéj u naszych przeciwników—pisze daléj—ale trzeba i to wiedzićć, że siła Niemiec długo się będzie opiérać zniszczeniu. Zaiste, jeśli jest co pewnego na świecie, to właśnie to, że surowa forma, w której są dziś wstrzymane jak w więzieniu wojenném uczucia i namiętności, które ożywiają i dzielą dusze niemieckie, pęknie kiedyś w jakiéjś burzy. Ale kto wié, kiedy i z jakiéj przyczyny?“... „Socyaliści będą najczynniejszymi działaczami w zniszczeniu, ale „koszary“ będą się jeszcze opiérać długo i w dniu walki szeregi wystąpią nieprzeliczone i w „komplecie“. Wojna jest pewną, bo Germania cesarska pochodzi z wojny i idzie do wojny... Idzie do wojny, bo Prusy, które ją utworzyły, są wyrobem wojennym. Ta istota historyczna urodziła się na polu bitwy, na brzegach Elby, która stanowiła przed tysiącem lat granicę zraszaną codziennie krwią Słowian i Germanów; jeszcze była maleńką jako terytoryum, źle sformowaną, źle zabudowaną, wszystko w niéj było nędzne wyjąwszy wojsko: ono było pyszne; weszła siłą w poczet państw, zwyciężając je wszystkie... Germania cesarska idzie ku wojnie, choć nie grozi wyraźnie, ale stworzyła w Europie ten dziwny stan rzeczy, że każdy dzień przeżyty jest czuwaniem pod bronią... Nigdy Prusy nie dopuszczą rozbrojenia, a to wojsko obozujące śród kontynentu zmusza go do okrywania się żołnierzami i fortecami... Nierozsądkiem-by było używać tyle siły dla — parady. Wytłómaczeniem budżetu wojennego tylko wojna. I cały ten „personel“ dumny, wyniosły, wszyscy ci ludzie strojni, ugalonowani, których szable dźwięczą o bruk, byliby śmiesznymi, gdyby ich nigdy nie dobyli. Europa więc będzie miała wojnę, bo się przygotowuje do niéj, a pozorów i poważnych kwestyi nie zabraknie. Iskra padająca przy Wogezach, w Bałkanach lub w Afryce północnéj da hasło. W tym dniu Francya i Niemcy będą głównymi dowódcami, a pojedynek tych dwóch państw będzie środkowym punktem walki... Wynik pojedynku niepewny... jakibykolwiek zaś wypadł, czy jeden obóz zostanie zgnieciony, czy obadwa się zatrzymają wycieńczone po nierozstrzygnioném zwycięstwie, pozostanie jeden pokonany, który już się nie podniesie: to system polityczny, który rządzi Europą od 300-tu lat“. Szukając po-

pokojowego rozwiązania tego nienormalnego stanu rzeczy, o którego niebezpieczeństwie w innêm miejscu ostrzega, mówiąc, że wojna dziś może się stać śmiertelną dla tego z narodów, który pokonanym będzie, wpada na taki wniosek: „Jest sposób, ale tylko jeden, pozbawić wszechmocne i wszechwiedzące (?) państwo wszystkich sił żywotnych, które ono bierze na usługi wojny. Ono się niebawem przeżyje.“ I znów frazes, niezupełnie dla mnie jasny: „Dało wszystko, co mogło dać, bo wzięło wszystko, co mogło wziąć, nic nowego nie można się odeń spodziéwać.“ Po takiém wywłaszczeniu pozwala sobie autor marzyć o dobrowolnym zwrocie Alzacyi i Lotaryngii. Ale ten ustęp jest tylko fantazyowaniem, które pokazuje, że pan profesor posiada oprócz wiedzy i rozumu żywą wyobraźnię i gorące serce, namiętnie do ojczyzny przywiązane.

W publikacyach, wyłącznie prusko-niemieckim dziejom poświęconych, stanowi przerwę „Pogląd na historyę polityczną Europy“, ale i on z tego samego wypłynął źródła, bo jest, jak autor przyznaje, rozwinięciem myśli zawartych w przedmowie do wyż wspomnianego dzieła James'a Bryce o Niemczech. Tu przybywa czwarty czynnik dziejowy: przypadek, wyraz dziwny w mowie historycznéj, wywołujący zarzuty, ździwienie i protesty, a który przecież się znajduje i u innych pisarzy, tylko że duchowny zwie go opatrznością, a świecki tą nieokreśloną „dominacyą“ okoliczności, która może oznaczać i skutki logicznie wypływające z przyczyny i rzecz jakąś, któréj logicznego rozwoju dowieść trudno. Lavisse ma słuszność, że nazywa rzecz po imieniu. Nieraz bowiem albo się wysilano na subtelne dowodzenia, chcąc wykazać łączność przyczyn i skutków, albo wspominano zdarzenie nie zaliczając go do żadnéj kategoryi. Autor temi słowy uzasadnia swą teoryę: „Natura wypisała na karcie Europy losy obszarów geograficznych, przepisała usposobienie i w następstwie losy ludów. Sama nawet gra dziejowa tworzy nieuniknione konieczności: taka rzecz będzie, bo takie inne były. Ale z drugiéj strony natura pozostawiła na karcie naszego lądu wolne pole niepewnościom i rozmaitym niespodziankom. Historya jest pełną przypadków (*accidents*), których konieczność nie da się wykazać. Istnieje nakoniec wolna wola czynna, którą się posługiwały jednostki i narody. Przypadek i wolna wola krzyżują konieczność przyrodzoną i tę konieczność następstw, która się rodzi z historyi. W jakiéj mierze? Na têm właśnie w s z y s t k o polega, ale to w s z y s t k o jest, zapewne, niedostępne dla naszego umysłu.“ I zaiste, trudno nie przyznać, że się zdarzają fakta, których konieczności nie widzimy: np. zniszczenie floty niezwyciężonéj przez burzę.

Dzieło to ktoś ostro zganił, mówiąc, że na taki przedmiot w takich rozmiarach mógł się porwać tylko Francuz. Autor sam uprzedza, iż czuje jak wiele przedsiębierze, ale może powiedzieć na swą obronę, iż rzeczy główne są pewniejsze niż szczegóły (*le général en histoire, est plus certain que le particulier*). Ktoś drugi zarzucił paradoksalność, bo żeby znać *le général* trzeba wprzód znać *le particulier*; autor tak się tłómaczy: „jeśli szczegóły są wątpliwe, nie są wątpliwe wielkie zdarzenia. Nie znamy z zupełną pewnością tajnych powodów buntu Lutra i są ciemności w bitwie pod Waterloo, ale rzecz pewna, że Luter się zbuntował, a Napoleon przegrał pod Waterloo. Otóż te wypadki miały następstwa bardzo jasne i bardzo ważne“. Ziomkowie za to gorąco chwalili książkę, a ktoś rzekł, iż na każdéj stronie znajdują się zdania, dające tyle do myślenia, iż możnaby o nich zapisać całe karty. Jest-to jeden z tych pustych frazesów, jakich używają reporterowie zmuszeni dostarczyć co tygodnia krytyczną ocenę jednego lub dwóch tomów. Ktoś drugi—pamiętam dobrze—wyrzekł to samo o La Rochefoucault, a ktoś trzeci o Pascalu. Gdyby poszukać—tylko rzecz trudu nie warta—znalazłoby się ten ogólnik w całym szeregu pisarzy. „*Vue générale*“ nie jest ani taką kopalnią dla myśli, jak mniemają rodacy ani ramotą bez wartości, jak sądzą obcy. Prawda, że ramy zbyt ciasne, ale jak malarz umie kilku rzutami ołówka oddać wyraz oblicza pochwycić podobieństwo rysów, czy kontur pejzażu, podobnie Lavisse potrafił schwycić charakter dziejów. Są to rzeczy znane historykom i nie dla nich przeznaczone, ale książkę można zalecić, jako podręcznik niezbędny dla uczących się lub dla tych, którzy nad historyą ślęczyć nie mogą, a pragną mieć pojęcie nie o samych tylko faktach. Ostatni rozdział „nasz wiek“ niezmiernie zajmujący i rzeczywiście dający do myślenia; szkoda, że autor nie rozwinął poruszonego przedmiotu.

„Młodość Fryderyka Wielkiego“ to studyum psychologiczne na tle ściśle historyczném. Życiorys Fryderyka II-go rozpoczyna się od najmłodszych lat, należało zatém przedstawić życie domowe królewskich rodziców i wejść w drobne szczegóły codzienne, które tworząc atmosferę rodzinną, taki wpływ wywierają, że jeden z historyków naszych powiada: obyczaje publiczne są takie, jakie dziecko widziało w domu, w sypialni rodzicielskiéj, — a poeta: że młodość, miłość są rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały. W danym razie, twierdzenie historyka i poety się sprawdza. — Przeważne miejsce w tém dziele zajmuje Fryderyk Wilhelm dla dwojakiéj przyczyny, raz że wszystkiém despotycznie kieruje i we wszystko wejrzeć lubi, poczynając od spraw stanowiących o bycie państwa do kuchni, czy kucharz masła nie krad-

nie,—drugi, że autor chce dowieść faktami, nie szermierką słów, teoryi swéj o utworzeniu się państwa Pruskiego. Jednak pomimo tendencyi (a z przejrzenia prac poprzednich widać, że teorya powstała nie *a priori*, lecz z postępem badań) rzecz napisana niby „sztuka dla sztuki“, tak autor jest panem swego przedmiotu. Czy teorya owa jest słuszna w zasadzie, czy będzie odkryciem nowego prawa — niech kompetentni wyrokują. Gdyby jednak się okazało, że zbyt wielką wagę przywiązano do woli, a za małą do okoliczności historycznych, które w tym razie dopomogły owéj woli, trzeba się zgodzić na to, że teorya co do wszechwładnego niemal wpływu klimatycznego jest błędna i że wytrwała energia skutecznie w zapasy z nim iść może. Charakter Fryderyka Wilhelma wystudyowany i odtworzony mistrzowsko. Jest-to jedna z najlepiéj odmalowanych postaci w piśmiennictwie historyczném, arcydzieło w swoim rodzaju, jak Tycyanowskie portrety lub owe sławne wizerunki Matejki, z których oblicza widnieje charakter wielkiéj osobistości. Czytającemu książkę Lavisse'a zdaje się, że zna osobiście króla-sierżanta, tak wnika w pobudki jego postępowania. Rola Fryderyka II-go zrazu bierna — inaczéj być nie mogło—ale widzimy, jak się urabia moralnie przyszły król-cynik. Tu dwie nowe siły występują: wspomniana już atmosfera rodzinna, wychowanie domowe i dziedziczność. O téj ostatniéj autor nie mówi wyraźnie, ale ją bardzo zręcznie podsuwa, szkicując w humorystyczny sposób sylwetkę pierwszego pruskiego króla, Fryderyka I-go „*solennel besoigneux*“, który od świtu do nocy piastował swe nowe dostojeństwo, niby kapłan celebrujący przy ołtarzu. Niezły to człowiek, ojciec i mąż, a jeśli miał faworytę, to li przez punkt honoru, aby naśladować Ludwika XIV-go. W gruncie rzeczy, nieszkodliwy to i niedaleko widzący człowieczek. Gdy mu się wnuk urodził, zażądał—przez jakiś niewytłómaczony przesąd—aby go ochrzczono koniecznie w tym miesiącu, w którym on sam się przyozdobił królewską koroną; żąda też, aby mu dano imię Fryderyka, „bo to imię zawsze przynosiło szczęście rodzinie“, a gdy dzieciak dostał lekko sześć pierwszych ząbków, wróży, iż „można w tém widzieć rodzaj przeznaczenia“. Żona jego, urocza Zofia-Karolina, wesoła, dowcipna, wykształcona przyjaciółka Leibnitza, którą zaprzątały religia i filozofia, i która lubiła sztuki piękne, zwłaszcza muzykę i poezyę, przedstawia żywioł inteligencyi, dystynkcyi, wykwintności, które się odnajdą późniéj w Fryderyku II-im, tylko bez tego uroku, jaki posiadała królowa, którą otaczało powszechne uwielbienie. Fryderyk-Wilhelm odrodził się od ojca i matki; nie rozrzutny, lecz skąpy—i matka woła z żalem czy wstydem: „skąpy! w tak dziecinnym wieku!“, nie delikatny w obej-

ściu się, lecz brutal i złośnik. Charakter to bardziéj skomplikowany, niż Fryderyka II-go, choć go nie dorasta głową: jest w nim pewna uczciwość, jeśli nie zacność,—jakiś punkt honoru, jeśli nie silne onego uczucie, „dobry materyał na dobrego męża i ojca“, religijność szczera, ale to wszystko pomieszane z gwałtownością przechodzącą we wściekłość, ze szczególnym niepokojem chorobliwym, właściwym jego temperamentowi, a który się zwiększał z wiekiem wskutek chorób i niewstrzemięźliwości w jadle i piciu; przy niezmiernéj praktyczności pewien procent mistycyzmu, oraz osobliwszego, oderwanego pojęcia o realności: mawiał naprzykład o sobie: „jestem główny naczelnikiem i ministrem finansów króla pruskiego.“ Mąci mu też pojęcie jego rola, jako króla i elektora: jako elektor uznaje zwierzchnictwo cesarza, ale jako król pruski czuje się niezależnym i nie zniósłby mieszania się cesarza w sprawy pruskie, stąd nieraz sprzeczność w zdaniach, nielogiczność w postępowaniu. Wskutek owéj dwoistéj roli „może się zdarzyć, że Fryderyk Wilhelm w jednéj i téjże saméj chwili jest za cesarzem i przeciw niemu. Zawarłszy w 1725 r. „alians“ z Anglią i Francyą, obowiązał się dostarczyć cesarzowi taki „kontyngens“ jaki mu, jako elektor był winien, ale jednocześnie zobowiązał się wesprzéć króla francuskiego pewną liczbą żołnierza, zawarowaną w traktacie. Szkoda zaiste, że ten warunek nie został zużytkowany i że Europę ominęło widowisko przedstawiające króla pruskiego, wojującego z elektorem brandeburskim.“

Badając po kolei, jakim Fryderyk Wilhelm był władcą, ojcem, mężem, człowiekiem, autor powiada: „jako król Fryderyk-Wilhelm miał bardzo mało pomysłów, ale i te były jak najprostsze, mianowicie: król powinien być silnym; żeby być silnym, potrzebuje wojska; żeby miéć wojsko, potrzeba pieniędzy.“ Dokłada przeto możliwych starań, aby powiększyć dochody: „*ein Plus machen*“ to główny cel reform ekonomicznych. Poprzednicy jego pobiérali subsydya od obcych mocarstw, on choć skąpy „*roi guerdin*“, jak sam siebie nazywa, ma ambicyę i chce wystarczyć sam sobie; zabiéra się więc energicznie do dzieła, a praca to ogromna, w któréj dał dowód zdolności administracyjnych i wielkiéj energii. Nie są to reformy na szeroką skalę, gdyż wyższe potrzeby jednostki i kraju pominięte zupełnie, jako „*eine Windmacherei*“; król niby ekonom rzetelny i czynny stara się jak najlepiéj urządzić powierzony sobie majątek, nic nadto: uprawia starannie rolę, użyźnia jałowe grunta, osusza moczary, sprowadza robotników, rzemieślników, osadników, ułatwia im nawet osiedlenie się, ale nie zapomina nigdy o celu, to jest „*ein Plus machen*“, bo w tém się zawiera wszystko — „ktokolwiek rozporządza pieniędzmi, ma w ręku wojsko

i cywilne sprawy, a nadto szacunek i podziwienie świata“. Działalność ta, acz ograniczona i w przyszłości niewystarczająca, w owéj dobie dziejowéj była konieczną. Jeszcze „Prusy nie były narodem, ale zlepkiem ziem oddzielonych od siebie, a rozsianych od Renu do Wisły; od Baltyku do gór Czeskich,—nie posiadających ani wspólnych wspomnień, ani jednakich obyczajów. Złączyły je przypadkowo kilka zgonów i kilka małżeństw.“ Wprawdzie ziemie te, od stu lat w jednych ręku pozostając, przyzwyczaiły się mieć jednego pana, a przodkowie Fryderyka-Wilhelma, poznosiwszy swobody miejscowe, nie wiele mu zostawili, by wzmocnić swe panowanie „*wie einen Rocher von Bronce*“, ale panował nad „bezwładną materyą, obojętną dla spraw publicznych, nie mającą pojęcia o pruskiéj ojczyźnie. „Przyszłość Prus spoczywała w umyśle i woli jéj pana, a Fryderyk-Wilhelm dał wszędzie uczuć ten umysł i tę wolę. Duch jego rządów, system jego panowania ukazują się w rozporządzeniu z 1722—23 r., które trzeba zamieścić śród ważnych dokumentów historycznych, bo ono zrodziło wypadki, albo raczéj jeden wielki wypadek: potęgę Prus.“ W tém państwie, które się jeszcze nie stało narodem, wewnętrzna organizacya była lichą, jedność—nominalną, przemysł, handel, rolnictwo w kolébce, kraj ubogi, ludności mało, dochody państwa nędzne. Dwojakie ich było wówczas źródło: pierwsze: z dóbr koronnych, to jest z dzierżawienia ich, z lasów, kopalni, salin, poczt, ceł; drugie: dochody wojskowe, z których główniejsze kontrybucya, podatki, akcyza. Administracya dochodów wojskowych pozostawała w tak zwanych komisaryatach ziemskich, zależnych od głównego komisaryatu wojny dochodami państwa zawiadywały izby zależne od ogólnego dyrektoryum finansów. Obie te instytucye — jak zwykle bywa nietylko w Prusach — wchodziły sobie w drogę wzajemnie i szykanowały się z przyjemnością, na czém finanse szwankowały, a król nie wiedział, co posiada; lecz praktyczny i zapobiegliwy gospodarz, jak Fryderyk-Wilhelm, nie mógł ścierpiéć takiego stanu rzeczy i załatwił go we właściwy sobie sposób.

Zamknąwszy się w Schönebeck, napisał, po długiém zastanowieniu, projekt instrukcyi, a powróciwszy do Poczdamu kazał jednemu z sekretarzy przepisać go przy sobie. Ten przepisał; król zaś odczytywał, poprawiał, dodawał, a gdy wykończył jak mógł najlepiéj, wezwał członków obu głównych zarządów, wojskowego i finansowego, na dzień 19 stycznia 1723 r. Minister Ilgen, czytając instrukcyę królewską, znalazł te słowa: „Obie administracye umieją tylko stwarzać kolizye, jak gdyby komisaryaty i izby nie należały jednako do króla pruskiego. Komisaryat ma adwokatów, płatnych z mojéj kie-

szeni, którzy mówią przeciw finansom, to jest przeciw mnie, a dyrektoryum finansów ma adwokatów do obrony, również płatnych z mojéj kieszeni. Czas skończyć to zamieszanie.“ Obie zatém administracye zostały zlane w jedną pod lakonicznym tytułem, jak to w Niemczech bywa: „*General-ober-Finanz-Kriegs- und Domänen-Directorium.*“ Prezydencyą król zostawił sobie. Następnie kazano urzędnikom złożyć przysięgę, że będą służyć wiernie, przysparzać dochodu, oszczędzać poddanych. Na te dwa ostatnie punkty kładzie król wielki nacisk; nie trzeba wprawdzie przypuszczać, aby oszczędzanie poddanych płynęło z pobudek filantropijnych. Jak hodowca karmi bydlę, aby dobrze pracowało lub się sprzedało korzystnie, podobnie Fryderyk-Wilhelm opiekuje się ludźmi, bo wié, że „zbyt wielkie ciężary, źle przedsięwzięte środki, denerwując poddanego, stawiają go w niemożności płacenia całkowicie zwykłych danin.“ Do tych dwóch, trzeci ważny punkt: ciężary publiczne zostaną rozłożone na wszystkich, stosownie do szacunku dóbr, a od akcyzy nikt wolnym nie będzie, „nawet dom królewski“. Są to „niemal jedyne poglądy ogólne w tym dokumencie. Warto mówić o nich, bo one wyrażają całą filozofię tego państwa. Nie jest-to urządzenie fiskalne, lecz karta konstytucyjna, *magna charta* szczególniejszego rodzaju, gdzie monarcha zléwa się z państwem, jak Bóg Spinozy z naturą.“ Autor, zastanawiając się nad tym dokumentem, który nazywa wielkim wypadkiem historycznym—pyta siebie, co znaczą te wyrazy: „wzmocnienie naszéj korony i wojska?“ Nic innego, jak postęp, rozwinięcie wojska liczebnie i strategicznie. W jaki sposób zwiększy on to swoje wojsko, mając 1,800,000 ludności? Wszak mu idzie o pracę rolną i fabryczną, które rąk potrzebują nie mało. Głośnym jest werbunek jego w całéj Europie grenadyerów, zakrawający na manię, ale ten środek nie wystarczał. Wiadomo, że instytucye wojenne z owéj epoki nie zupełnie się otrząsły z pozostałości feudalnych; do takich należały wojska najemne. Fryderyk-Wilhelm widział ujemną stronę tego zwyczaju; żołdak to nie żołnierz pilny w wykonaniu obowiązku i wierny jednemu panu, więc choć mu brakowało geniuszu radykalnéj zmiany, potrafił jednak poprawić stary system i stworzyć coś pośredniego między dawnym a nowym, a nawet „pewne jego części są zupełnie w duchu nowoczesnym.“ Oddawna każdy pułk pruski miał naznaczony okręg do werbunku, ale werbownicy szkodzili sobie, starając się jeden przed drugim ubiedz rekruta. Fryderyk-Wilhelm wpadł na płodny pomysł podzielenia państwa na obwody wojskowe, ograniczone liczbą dymów: 5,000 dymów na pułk piechoty, a 1,500 na pułk jazdy. Powiat dzielił się na okręgi, na każdy okrąg przypadała jedna kompa-

nia. Służbę dobrowolną zniósł, zastępując ją zasadą, że „wszyscy poddani są przeznaczeni do służby wojskowéj (*für Waffen geboren*), a obowiązani służyć w powiecie swego urodzenia.“ Skutki téj zasady „ogromne“. Cały naród dowiedział się, że jest stworzony do broni; każdy poddany, dotąd bydlę robocze, stawał się członkiem państwa, w którém mundur żołnierski był w wielkiém poszanowaniu.“ Rozwijając i zastosowując zasadę postanowił król, aby szlachta pruska, szukająca często szczęścia za granicą, służyła w kraju: szlachta dostarczy oficerów, nie-szlachta żołnierzy.

Załatwiwszy w taki sposób główne punkty, oddał się z upodobaniem słabostce swojéj, to jest pedantycznemu regulowaniu drobiazgowych szczegółów swych reform; sam przepisał wszystkie: długość i szerokość kołnierza i mankieta, ilość guzów przy mundurze: od syna wymaga, aby się znał na wszystkiém, od najmniejszego do największego, od obuwia do działa; „powinien wiedzieć, jak mają być zrobione trzewiki żołnierskie i jak długo mogą służyć.“ Śmiano się z téj drobiazgowości, „w któréj się objawia podległość tysiąca woli jedynéj woli, wszystko przewidującéj.“ Jak to wojsko było karne i wyćwiczone, wiadomo powszechnie. Fryderyk-Wilhelm codziennie je mustrował, przeglądał, a że miał szczególniejszą zdolność w tym kierunku, bo i ruchy mas i jednostek nie uchodziły jego oka, przeto wojsko całe poruszało się zgodnie, jak jeden człowiek lub jak machina. Na przeglądach wszyscy bywać musieli: król uważał to za obowiązek tak ważny, jak obowiązek religijny. Raz chory zimą, leżąc na materacu, kazał się zawieść do wojska, „bo to był dzień, w którym wszyscy pułkownicy mieli się znajdować przy swych pułkach“.

W administracyjne, równie jak w wojskowe drobiazgi się wdaje; chce wiedzieć o wszystkiém, nie pozwala na żadne rozporządzenie bez swojéj sankcyi, ale pozwala na pewne uwagi. Żeby zostać zrozumianym, praktyczny król objaśnia regułę przykładem: „jest koń do sprzedania za 100 talarów... Myślimy, że Wasza Królewska Mość dobrze zrobi kupując go, lecz za 80 talarów; inaczéj będzie strata, z téj lub owéj przyczyny.“ „Na tysiące tysięcy“ pytań i doniesień król odpowiadał na marginesie krótko i jasno. „Trudno pojąć, jakim sposobem się nie zgubił śród tylu drobiazgów różnorodnych, z których wiele bez znaczenia i że mógł wydawać jasno, a często i sprytnie tyle rozkazów.“ Sam niezmiernie czynny i pracowity, wymagał tegoż od wszystkich; punktualność zegarkowa: „kto się spóźni o godzinę płaci 100 dukatów kary; o całe posiedzenie, traci półroczną gażę—w razie powtórnego przekroczenia będzie złożony z urzędu (*cum infamia*), „bo jeśli płacimy naszym radcom, to na to, żeby pracowali.“ A pracować

mają nie na żarty: latem od 7-éj, zimą od 8-éj godziny zrana, i tak długo, aż się wyczerpią sprawy na porządku dziennym będące. Jeśli się nie da skończyć do 2 godz., to połowa zgromadzenia pójdzie na obiad, a połowa będzie pracować; gdy jedni powrócą, posiliwszy się, drudzy posilać się pójdą. Codziennie kucharz obowiązany stawić się o 11 godz. po rozkazy: jeśli panowie radcy zostają na obiedzie, powinien podać „zupę, sztukę mięsa, rybę, pieczeń — wołową, cielęcą lub baranią — i ćwierć butelki dobrego wina reńskiego na osobę. Dania powinny się zmieniać, ale powinno ich być cztery, dostatnio i tak przyrządzonych, jak dla samego króla. Że zaś to dwór nie królewski, lecz mieszczański, przeto wszystko się odbędzie skromnie i praktycznie, lokaj tylko jeden: przed każdym się postawi cztery talérze i szklankę, a obok kosz na brudne talérze.“

Nad czém jednak radzą i pracują? Nad powiększeniem dochodów, nad ulepszeniem lub odkryciem ich źródeł. Król się dowiedział ze starych regestrów, że wojna trzydziestoletnia zniszczyła mnóstwo wsi: trzeba je odbudować; zaraza zabrała trzecią część ludności pruskiéj, a trzy czwarte litewskiéj, trzeba te pustynie zaludnić; miasta źle zabudowane, trzeba temu zaradzić; przemysł nie istnieje, trzeba zakładać fabryki i t. d. Znowu wszystko przewidziéć i urządzić potrzeba w każdéj gałęzi zagospodarowywania; tak naprzykład sprowadzając kolonistów, ułatwia im król osiedlenie, ale, by nie stracić na przedsięwzięciu nie pozwala im zabudowywać się, „bo będziemy zamiast pieniędzy otrzymywać rachunki i papiéry“; będą zatém architekci rządowi do budowania, a pisarze do zapisywania wydatków i do płacenia robotnikom; architekt będzie kontrolować pisarza, pisarz architekta, urzędnik z izby państwowéj obu, a cała izba wszystkich trzech,—jeśliby jednak, pomimo to wszystko, porozumieli się, z sobą na szkodę królewską, „znaczy, że są zgrają łotrów“. Kapitalne to wykrzyki. Zamiast argumentu łaje, bo natura jego szuka ujścia w grubiaństwie. A co za rys obyczajowy! Ten król, który brutalizuje jak chłop, ci dygnitarze, którzy znoszą jak fagasy!

Regulamin ten drobiazgowy wytwarza biurokracyę: „otwarte głowy się zamkną, dokładność stanie się manią, gorliwość pedantyzmem, i cała organizacya będzie tylko machiną. Wówczas spostrzegą, że naród nie może istniéć w atmosferze biurokratycznéj, że umarł — i machina kręci się w próżni. Ale niebezpieczeństwo jutrzejsze było wczoraj koniecznym warunkiem bytu.“

Tak urządzoną machinę państwową „Fryderyk-Wilhelm przez całe swe panowanie wzmacniał, ulepszał, ożywiał; jego nadzwyczajna

czynność budziła z bezwładności różnorodnych poddanych; biura jego i armia organizowały państwo i fabrykowały ojczyznę, ale dzieło nie było jeszcze skończone. Fryderyk-Wilhelm był pierwszym prawdziwym Prusakiem swego czasu. Są ich dziś miliony, lecz w swoim czasie on był jedynym. Jeśli w sto lat późniéj mogło się zdawać Heinemu, iż dość było Napoleonowi gwizdnąć, aby Prusy przestały istniéć, dość było, aby Fryderyk-Wilhelm popełnił fałszywy krok, a Prusy nie narodziłyby się.“

W kółku rodzinném Fryderyk-Wilhelm jest również despotycznym i drobiazgowym organizatorem. Dom jego to koszary; od rodziny tak wymaga uległości, jak od żołnierzy ruchów na głos komendy; nie pojmuje usposobień innych, niż jego, nie znosi odrębności żadnéj, a jeśli spostrzega, to nie widzi innego środka zaradczego nad brutalstwo i razy. Królowa téż nie jest anielskiéj cierpliwości; nie dopuszcza się takich awantur, jak król, ale się ucieka do uszczypliwych słów, dąsów, lekceważenia, całego arsenału gniewów, jaki ma na zawołanie kobiéta płytkiego umysłu, dumna, pyszna, próżna, bez wrodzonéj dobroci i wyrobionych zasad. Innego usposobienia i upodobań niżli mąż, krępowana we wszystkiém czuje się nieszczęśliwą; rozgoryczona, niezadowolona, wiecznie utyskująca, bez taktu i rozsądku, tak nieraz postępuje, iż ją zagraniczni ambasadorowie ostrzegają, że może zostać pociągniętą przez króla do odpowiedzialności, jako winna zbrodni stanu. Małżonkowie w niczém się nie zgadzali z sobą; królowa lubiła zbytek, przepych, rada była odgrywać rolę polityczną, miéć dwór świetny, codziennie przyjmować dobrane towarzystwo, jak w Wersalu, i na pierwszém stojąc miejscu odbiérać hołdy, widziéć tysiące głów pochylonych w kornéj admiracyi... lubiłaby i zielony stolik, rzucałaby pieniędzmi na wszystkie strony, słuchała koncertów, dysputowała z uczonymi w salonowy sposób, to jest ślizgając się po wierzchu najważniejszych kwestyi i „w jedynym języku, w jakim tego rodzaju rozmowę prowadzić można, to jest we francuskim“, a tu w rzeczywistości życie tak różne od upragnionego, takie prozaiczne, mieszczańskie! Oszczędność posunięta do skąpstwa, od 55 do 70 lub 72 talarów, najwyżéj 93 tal. dziennie; towarzystwo nieokrzesane, a rozrywki to mustry wojenne. Król, nie lubiący ani etykiety, ani zebrań dworskich, i który nie miał czasu na to, urządził się w następujący sposób. Codziennie poświęcał 4 lub 5 godzin na słuchanie i czytanie doniesień, które jedni składali ustnie, drudzy na piśmie. Przed obiadem udawał się na wojskowe ćwiczenia, po obiedzie przechadzał się konno lub pieszo, ale nie próżnował i wtedy, lecz rozmawiał z towarzyszącemi mu osobami o sprawach państwa. Dwie

godziny, mniéj więcéj, spędzał przy obiedzie, a cały wieczór w fajczarni (*Tabakskollegium*), gdzie pito piwo, palono niezmierną ilość tytoniu i zabawiano się w prostacki sposób, jak w knajpie. Fajczarnia owa była dużą bez ozdób salą, z długim stołem po środku, otoczonym drewnianemi siedzeniami. Przed każdym z obecnych stawiano dzban piwa, kładziono glinianą fajkę, a w koszykach na stole znajdował się prosty tytoń. Wszyscy musieli pić i palić lub przynajmniéj udawać, że piją i palą. Jako posiłek przynoszono chléb, masło, sér; na ławach stały półmiski z szynką i cielęciną na zimno; gdy przybył jaki „gość dystyngowany“, dodawano rybę, sałatę i wino węgierskie. Król, wielki żarłok, przenosił pożywne pokarmy nad delikatne; kremy, pianki, szampan, były swego rodzaju *eine Windmacherei*; ale że lubił zjeść dobrze i napić się dobrego wina — zwłaszcza u drugich, przeto ministrowie zagraniczni, chcąc sobie ująć opoja, zapraszali go jedni przed drugimi. Zwykle te biesiady kończyły się przeładowaniem żołądków i zamroczeniem głów.

Uczestnicy wieczornych zebrań fajczarnianych tworzyli dziwną mieszaninę: wojskowi, ministrowie, posłowie dworów zagranicznych, błazny lub te biédne istoty, które z siebie błaznów robić pozwalają... dla kawałka chléba. Król, mający upodobanie w grubych żartach, w farsie i karykaturze, zabawiał się chętnie tém, co w ucywilizowanym człowieku budzi niesmak lub litość. Pewnego razu kapelmistrz, który zwykle grywał Haendla (jedyną rzeczą, jaką po matce Fryderyk-Wilhelm odziedziczył, było zamiłowanie w muzyce i niezła pamięć muzykalna), ułożył „Sextuor świń“ na temat jakiegoś opowiadania, posłyszanego w fajczarni. Król się zachwycił pomysłem i kompozycyą, kazał ją sobie powtórzyć razy kilkanaście i uśmiał się do łez. Można tam było jeszcze słyszéć rzeczy poważne, klątwy prostacze, błazeństwa, cytaty z pisma św. i krzyki pijackie; można było widziéć pijanych, plotących trzy po trzy, i spitych śpiących pod ławą.

Ulubioną rezydencyą królewską wiejską był Wüsterhausen, prawdziwe pustkowie, którą margrabina Bayreuth tak opisuje: „ów pałac zaczarowany“ był długim budynkiem ze starą wieżą, ślimakowatemi schodami, otoczony rowem, którego czarna zgniła woda szerzyła odór cuchnący i przypominała niby Styks. Trzy mosty ułatwiały komunikacyę zaczarowanego pałacu ze światem, ogrodem i wiatrakiem. Dom miał dwie oficyny dla dworzan, dwa białe orły, dwa czarne orły i dwa niedźwiedzie za stróżów, złe bestye, które się rzucały na wszystkich. Król, który się lubował pobytem w Wüsterhausen, „zdaje się, był stworzonym na wiejskiego szlachcica. Wybornie-by chodził koło roli i co rok ją ulepszał. Tu-by wykarczował

las, owdzie osuszył bagnisko, założył browar lub gorzelnię, wzniósł nowe budynki, zapewnił zbyt swych produktów. Wszystkich domowników trzymałby w ręku, wtrącał się wszędzie, do pralni, do kuchni, do robienia konfitur, i siedziałby wszystkim na karku na raz, krzycząc, łając, bijąc. Byłby też najzawołańszym myśliwym śród junkrów brandeburskich, dotrzymywałby kroku największym biboszom i żarłokom na pantagruelicznych biesiadach, a wieczorem paląc fajkę z sąsiadami i czeladzią, rosprawiałby długo o zasiewach i nawozie, o gatunkach wina i piwa, o łasce i grzechu pierworodnym. Modliłby się w szczeréj prostocie, by grad ominął jego pola, a spadł na pola sąsiada i zasnąłby spokojnie w Panu, z czystém sumieniem, zostawiając dzieciom dobrze zagospodarowany majątek i sporo grosiwa, aby go powiększać mogli. Na tronie był tym właśnie szlachcicem-rolnikiem i rządził krajem tak, jak właściciel prywatnym swym ziemi kawałkiem.“

W tém życiu wiejskiém nie było,—rzecz dziwna — ani ładu, ani składu i biédna królowa „traciła głowę od rwetesu łowieckiego. Nie było godziny naznaczonéj na obiad. Kucharz musiał go podawać we 20 minut po zażądaniu, a żądanie to mogło nastąpić o 9 godz., o 12 lub o 3 z południa. Żeby uniknąć awantur z przyczyny opóźnienia się królowa nakazywała służbie być zawsze na czatach — szpiegować po prostu — i uprzedzać ją o tém, co król robi.“ Komu się nie zdarzyło spotkać podobnego trybu w życiu prywatném, ten pojęcia mieć nie może, jak dalece jest on nieznośnym. Nie dziw więc, że margrabina w swoich pamiętnikach pisze: gdy ojca nie było w domu, bawiliśmy się wybornie i dni płynęły spokojne, szczęśliwe, a gdy ojciec powrócił „z raju wpadaliśmy do czyśca.“

Jakoż rzeczywiście, gdy król odjeżdżał, „zachodziła zmiana w scenach dziecinnego widzenia“, i w ich życiu:

Rozpoczynały się przyjęcia, bale, koncerty; towarzystwo zbiérało się strojne, rozmowa toczyła się o sprawach europejskich, może błahych nieraz, ale w przyzwoitym tonie, z zachowaniem form, których królowa była wielką znawczynią.

Wśród dwóch osób tak do siebie niepodobnych, jak Fryderyk-Wilhelm i Zofia-Dorota — dwóch prądów, z których słabszy wydobywał się pokryjomu, gdy pana nie było, a skrywał, gdy pan powrócił,— jakie być mogły wrażenia i myśli Fryderyka i Wilhelminy, dwóch istot zdolnych, sprytnych, nad wiek rozwiniętych, szarpanych to w jedną, to w drugą stronę przez rodziców bez taktu i bez rozsądku, z których każde uważa je za swą wyłączną własność i według swego widzi mi się urabia? Król nakazuje nauczycielom syna „nauczać

się go bać matki, ale mnie—nigdy.“ Królowa tego samego wymaga od córki. Pamiętać téż należy, iż na tym królewsko-mieszczańskim dworze plotki, zawiści, intrygi, swary, toczą się bez tego *decorum*, które zakrywa ich szpetność przynajmniéj przed dziecinnym wzrokiem. Król daje ucho wszystkim plotkom, słucha doniesień nawet odźwiernego Ewersmanna. Ulubioną powiernicą królowéj jest jéj panna-służąca; dzieci widzą szpiegostwo lokajów i pokojówek, słyszą brudne rozmowy i oswajają się ze wszystkiém, co małe, złe, nikczemne. Guwernantka Wilhelminy, przyszłéj margrabiny Bayreuth, jedna z tych bon zagranicznych, na jakie my i dziś chorujemy, rozkazuje swéj wychowance donosić sobie o wszystkiém, co królowa robi i nie waha się nazywać matki przed córką „wielką oślicą.“

Panna Letti byłaby zapewne dłużéj pozostała na stanowisku wychowawczyni królewny, gdyby... się nie pokłóciła z odźwiernym... o niesprzątniętą kupę śmieci. Ten, mszcząc się, doniósł królowi, że k o n d u i t a panny Letti wcale nie liliowéj białości.

Wilhelmina, starsza o półtrzecia roku od brata, musiała nań wielki wpływ wywierać, bo się rodzeństwo to niezmiernie kochało w dzieciństwie i przez pierwsze lata swego życia było ciągle z sobą. Wpływ ten nie mógł być dodatnim. Margrabina, jak z jéj pamiętników widać, jest próżną, pyszną, fałszywą i wielką egoistką pomimo niezmiernéj wrażliwości nerwów, które czasem nadają jéj pozór istoty czułéj. Dowiadujemy się od niéj, że oboje chętnie się wyśmiewali ze wszystkich i ponadawali wszystkim imioniska — z jakiéjś powieści w sekrecie przeczytanéj,—nie wyłączając ojca. W tych młodych duszach zniszczone w zarodzie cześć i miłość, które świętą powagą otaczają w dziecinnych oczach postać matki i ojca, szlachetne popędy i młodzieńcze iluzye. Już w dzieciństwie patrzą sceptycznie na świat, jak starzy „ćwicząc się w nieufności i pogardzie.“ — Wielka odpowiedzialność spada na matkę, do najwyższego stopnia nietaktowną, która dwunastoletnią córkę robi powiernicą intryg, niezadowolenia, sympatyi swych i antypatyi, a szczególna ta królowa nie cierpiała trzech czwartych Berlina.

Fryderyk II-gi wątłego zdrowia z początku, choć się z wiekiem wzmocnił, był dzieckiem delikatném, cichém i milczącém. Siostra wspomina, że długo się namyślał zanim odpowiedział i że się uczył powoli, — ale inni chwalą nadzwyczajną łatwość jego w uczeniu się wszystkiego, co chciał. Wątłe zdrowie, delikatność fizyczna nie nadawały się do takiéj ruchliwości, jak ojcowska, do smakowania w grubém, obfitém jadle i również obfitych libacyach. Temperament i zdrowie zakreślały obu pewne granice; Fryderyk-Wilhelm w dzieciństwie

był silny, zdrów, ruchliwy, a syn przeciwnie kilka razy ciężko chorował; król jednak chciał go koniecznie na zupełny swój obraz i podobieństwo urobić, i bodaj czy nie w têm zasadnicza przyczyna nieporozumień późniejszych. Ciekawą jest instrukcya przezeń napisana dla nauczycieli, w któréj się mieści etyka i pogląd filozoficzny, jeśli tym wyrazem określić można szczupły zapas pojęć króla-sierżanta. Wybór osób dziwny, choć dziwić nie powinien tego kto zna nieudolność królewską do oryentowania się na innym jak administracyjno-wojennym gruncie. Pierwszą nauczycielką czy ochmistrzynią Fryderyka i Wilhelminy została dawniejsza wychowawczyni jego, Francuska, pani de Rocoulle, rozumna, dzielna kobiéta, nie bez światowych przymiotów a która przez trzydziestoletni przeszło pobyt w Prussach nie nauczyła się ani słowa po niemiecku. Przyjęta na dwór Zofii Karoliny, pozostała jéj wielbicielką i pamięć o niéj przekazała swym wychowańcom. Opowiadanie o dworze Fryderyka I naśladującym Ludwika XIV tak różnym od ówczesnego a na którym piękna Zofia Karolina dystyngowany ton i inteligentny nastrój utrzymać umiała, były dla dzieci niby czarownemi bajkami piastunek o zaklętych skarbach, cudnych pałacach i prześlicznych paniach. Wilhelmina przyznaje się, że marzeniem jéj było stać się do babki podobną; zapewne opowiadania te nie pozostały bez wpływu i na Fryderyka II. I on lubi muzykę, wykwintność, umysłowe zajęcie, jak królowa filozofka. — Obowiązkiem p. de Rocoulle było „uczyć czytać biblii“ i zająć się religijną stroną wychowania. — Z trzech nauczycieli, jeden był téż Francuzem. Przy oblężeniu Stralsundu spostrzegł Fryderyk Wilhelm oficera, który śmiało toczył koniem i lubił tam być gdzie walczono nie na żarty: wnet kazał go sobie przedstawić, tuż w okopie, i przyjął na nauczyciela. Ten wychowawca na polu złapany, wprawdzie na polu bitwy, Duhan de Jandun, wykształcony i z szerszém daleko niż królewskie zapatrywaniem się na rzeczy, miał „pokazywać karty — to jest uczyć geografii — historyi ostatnich stu lat, nie daléj, historyi biblijnéj, ale nadewszystko rachunków.“ Gdy Fryderyk doszedł siedmiu lat, dał mu ojciec za przewodnika swego dawnego nauczyciela, generała hr. Finck v. Finkenstein, temuż za pomocnika pułkownika Kalkstein. Obaj starzy weterani. Chłopak więc pod dwoistym znalazł się kierunkiem nie tylko rodziców lecz i wychowawców. Możnaż się dziwić, że wybrał ten, który mu więcéj przypadał do naturalnego usposobienia?

Fryderyk Wilhelm wziął jako wzór edukacyi dla syna program swéj własnéj z r. 1695 r., ale go zmodyfikował stosownie do swych pojęć: odrzucił wszystko co się odnosiło do *decorum*, tak bardzo cenionego przez Fryderyka I a uwydatnił to, czego szukał i w innych refor-

mach t. j. korzyść, pożytek. Plan wychowania następujący: 1) edukacya religijna i moralna, 2) umysłowa, 3) fizyczna i obyczajowa. Z nauk wyrzucił łacinę a przewidując zdziwienie czy protest pisze z góry: „zabraniam wszystkim robić mi uwagi w tym względzie;“ na jéj miejsce dodał ekonomię polityczną i prawo narodów. Zabronił „staréj historyi“ to jest starożytnéj, chyba pobieżnie (*überhin*) „ale dzieje naszéj epoki, to jest od 150 lat, powinny być wykładane jak najobszerniéj, zwłaszcza historya domu.“ Matematyka honorowe miejsce zajęła bo się przyda w życiu praktyczném i wojenném, do którego poleca „wszczepiać prawdziwe zamiłowanie; trzeba wrazić w pamięć, że nic na świecie nie daje monarsze takiéj sławy jak szpada; że byłby pogardzaną istotą na ziemi gdyby nie kochał tej szpady, gdyby w niéj i przez nią nie szukał jedynéj sławy.“ Fryderyk I kazał uczyć syna po francusku lecz o rodowitym języku zapomniał; Fryderyk Wilhelm za to nie zapomina o nim i chce, aby jego pierworodny wyrażał się zwięźle i dobrze jednym i drugim. W programie z 1695 r. poświęcono wiele miejsca pięknemu ułożeniu, wymowie a raczéj retoryce; praktyczny król-sierżant żąda tylko, aby syn jego wyrażał się poprawnie i jasno, „aby miał obyczaje“ i przyzwoite ułożenie. Ćwiczeniom fizycznym zostawiono wiele miejsca, bo ma to być wychowanie spartańskie, w którém lenistwo poczytuje się za największy występek. Religia i moralność naczelne miejsce zajmują w tym planie: Fryderyk Wilhelm żąda, aby obudzono w dziecku wstręt do ateizmu, aryanizmu, socynianizmu i katolicyzmu, że zaś prowadził się spór w protestanckim kościele o łaskę i przeznaczenie, król chce go uchronić od téj ostatniéj teoryi. Zabrania nawet pastorom wspominać o nim podczas kazań, bo żołnierze mogliby sobie wyobrazić, że są przeznaczeni z góry do ucieczki — i — uciekać z wojska. Wreszcie poddaje chłopaka nieustannéj kontroli, nie pozwala go zostawić na chwilę samego; jeden z nauczycieli sypiać z nim będzie, a za jego moralność „odpowiadają głową.“

Program ten rozsądny w podrzędnych szczegółach, niedostateczny pod względem naukowym, grzeszył drobiazgowością przepisów, które istotę myślącą jak maszynę chcą uregulować. Takiego despotycznego, przeciwnego naturze ludzkiéj skrępowania żadna nawet nie bardzo samodzielna jednostka nie zniesie i starcie się nastąpić musi. Fryderyk Wilhelm, który miał manię drobiazgowości, przepisał co do minuty całodzienne zajęcie. „W niedzielę wstać o 7 g. włożywszy pantofle uklęknąć i zmówić modlitwę — też w programie dołączoną; — następnie prędko umyć się, upudrować i ubrać. Na modlitwę i ubranie się kwandrans czasu, na śniadanie minut 7. Po śniadaniu wejdzie

preceptor i służba, wszyscy klęcząc zmówią modlitwę, wysłuchają czytania biblii i zaśpiewają hymn; na to 23 m. Następnie preceptor przeczyta ewangelię na ten dzień przypadającą, wyłoży ją i wysłucha księcia katechizmu. Poczém zaprowadzą go do króla a ten zabierze z sobą do kościoła i razem zjedzą obiad. Po obiedzie rekreacya do 9½. O téj godzinie książe powróci do siebie; powinien się rozebrać szybko, umyć ręce, zakończyć dzień modlitwą i hymnem a o 10½ być w łóżku. W dzień powszedni wstawać o godzinę wcześniéj.“ Król przepisuje nawet to, że książę ma się umywać bez mydła, pić kawę lub herbatę podczas czesania. O g. 6½ modlitwy, śpiewy, czytanie biblii wraz ze służbą. Lekcye od 7 g. do 10¾. Po lekcyach wolno umyć się mydłem, ale tylko ręce. O 11 g. ubrany i upudrowany pójdzie książe do króla i zostanie z nim do 2 g. Lekcye od 2 do 5; od 5 g. do snu, rekreacya. „Król wszystko urządził, od umywania rąk do nabożeństwa. Chciał, aby syn był zupełnie do niego podobny: dokładny, pilny, rzutki, praktyczny, pobożny i żołnierz. Kochał go jednak i chciał przezeń być kochanym. W dobréj wierze sądził, że można kierować umysłem jak pułkiem i duszę eksploatować jak glebę.“

Przechodząc w 7-iu leciech z rąk matki pod kierunek ojca i nauczycieli, Fryderyk musiał już posiadać zarodki upodobań odmiennych od ojcowskich. „To co królowa lubiła tego król nie lubił i naodwrót.“ Matka z córką sprawiły, że Fryderyk nie miał serca dla ojca; „dziecko roztropne czyta z oczu i twarzy“ a królowa mówi i bardzo wiele mówi, a najczęściéj na to aby się uskarżać na króla i swój los. Jak do tego doszło, że we cztery czy pięć lat późniéj nieporozumienie między ojcem a synem jeszcze dzieckiem, było już głośném — jak się stało że trochę późniéj obaj się nienawidzili i wzajemnie śmierci swéj pragnęli, trudno wykazać z matematyczną ścisłością; lecz pojąć łatwo, gdy się wpatrzymy w charaktery osób, we wpływy i sprawy rozliczne, które na tym dworze, jak zwykle w każdém większém ognisku, skupić się muszą a któremi nie umié kierować nikt z tych do kogo kierunek z prawa i stanowiska należy. Więc chaos tam dziwny, niesłychany, wikłają się najprostsze sprawy, przez intrygi ministrów zagranicznych, przedajność własnych, przez brak taktu królowéj, brak zmysłu politycznego króla, przez brak harmonii we wspólném działaniu obojga małżonków. Ten dwór to jakby arena gdzie się spotykają zapaśnicy walczący o swe interesa, którym nikt nie umié walki zabronić, a którym się wszyscy przypatrują: królestwo oboje, dwór, służba, dzieci. Dodać potrzeba, że i nauka choć się odbywała według programu, to nie według ducha jego. Wychowawcy, zwłaszcza światły Duhan, syn admirała, może mimo woli nie umiał się zamknąć w ciasnych przepisa-

nych mu ramach. Klasyczne wykształcenie grało wówczas taką rolę w ucywilizowanym świecie, że musiał choć trochę poznajomić swego wychowanka z zakazaną literaturą i historyą. Samo czytanie Telemaka, na ktore król zezwolił, bo go czytywał ze swą matką, Zofią-Karoliną, wywoływało pewne objaśnienia naukowe „i prawdopodobnie przenosiło imaginacyę chłopca daleko od Sprei i Haweli, od jego kompanii kadetów i olbrzymich rekrutów“ ojcowskich. Duhan próbował podstępem wprowadzić łacinę, i wziąwszy za pozór Bullę złotą upatrzył pomocnika, który ją miał Fryderykowi tłómaczyć. Król nadszedł podczas lekcyi. Co robisz? pyta. — Najjaśniejszy Panie, tłómaczę Bullę złotą. — Ja cię tu zaraz ozłocę, woła król, podnosząc laskę. Tak się skończyła nauka łaciny — niby w komedyi.

Nie uszło uwagi Fryderyka Wilhelma, że syn nie jest podobnym do niego. Nie chcąc się z tém pogodzić a nie umiejąc nim kierować, jątrzył go tylko i przyczyniał się sam, w znacznéj mierze, do targania węzłów rodzinnych. Błahostka wywoływała nieraz straszne sceny. Chłopak nie lubił prostych żelaznych o dwóch zębach widelców i używał srebrnego o trzech zębach; król spostrzegłszy to obił go! Innym razem zrobił mu awanturę za to, że włożył rękawiczki w trzaskący mróz. Jeden z zagranicznych posłów pisze: „dwunastoletni dzieciak nie może znosić wysiłków, jakich ojciec od niego wymaga, męczy go i morduje, ma téż wygląd stary, trzyma się pochyło. Pewnego dnia kazał mu dosiąść konia twardego w pysku, pomimo ostrzeżenia koniuszego. Wiatr zerwał królowi kapelusz i przestraszył konia który wziąwszy na kieł począł nosić. Chłopak przytomny wyjął nogi ze strzemion i rzucił się na ziemię. Zbił sobie łokcie i kolana. Rękojeść szpady tak mu bok otarła, że zaczął się krwawić a królowa na ten widok zaczęła płakać łamiąc ręce. Król wpadł w gniew i kazał się mu stawić na przegląd dnia następnego. Książe się stawił z ręką tak opuchłą, że nie wchodziła w rękaw mundurka.“ O ile zniechęcał się do starszego o tyle się przywiązywał do młodszego i ostentacyjnie to okazywał. Był to jeszcze jeden z tych niezręcznych środków, których się król chwytał, gdy co nie szło po jego myśli, i któremi jeszcze więcéj psuł własną sprawę. Rzeczy się pogorszyły, gdy nadeszła pora do ustalenia losu Wilhelminy. Sceny bywały takie, że zaczęto przebąkiwać o pomieszaniu zmysłów.

Wiadomo że Zofia-Dorota pochodziła z domu hanowerskiego. Oddawna ułożone było między domem hanowersko-angielskim a prusskim, że Wilhelmina wyjdzie za swego kuzyna ks. Gloccster, syna ks. Walii a wnuka Jerzego I, Fryderyk zaś ożeni się z siostrą ks. Glocester. Ponieważ te dwa małżeństwa mogły wpłynąć na politykę eu-

ropejską, rozpoczęły się intrygi na wielką skalę, zwłaszcza ze strony cesarsko-niemieckiéj, która lękając się by Prusy nie wystąpiły przeciw niéj, w połączeniu z W. Brytanią i Francyą, postanowiła przeszkodzić uprojektowanym związkom.

Oboje królestwo pragnęli bardzo w ten sposób ustalić przyszłość dwojga starszych dzieci, ale intrygi Grumbkowa [1]) i Seckendorffa [2]) poplątały i porwały kilka razy blizkie zawarcia związki. Jakie było wtedy życie na dworze berlińskim — opowiedziéć trudno. Król wpadał w gniewy podobne do szału; zabarykadowywał się żeby nie widziéć królowéj; odgrażał się, że ją zamknąć każe w Spandawie a choćby konała, lekarza jéj swego nie przyśle. Zofia-Dorota na swoją rękę spiskowała, aby małżeństwo uprojektowane przyprowadzić do skutku; zaczęto tworzyć „partyę księcia," który świadomy zamysłów matki i popierający je gorliwie „wpadł od razu na ten ton dyplomatycznego kłamstwa, którego się używa choć się nim nikogo nie zwodzi." Jakie to były zamysły, intrygi?.. trudno dziś wiedziéć, gdyż minister, hr. Rottenberg, tylko głucho wspomina, że królowa się radzi co począć, gdyby król umarł lub zwaryował; że się przygotowuje bunt, bo niezadowolenie powszechne, zwłaszcza stanu duchownego, że ten bunt znalazłby poparcie u góry i że „nie może głowa ludzka pojąć tego, co się stać może." Autor powiada, że „wolno się domyślać, iż między ministrem a księciem, który (według spółczesnych) „pałał najwyższą do ojca nienawiścią, były szczególne pół-słówka." Pamiętać trzeba, że Fryderyk liczył dopiéro 14 lat!

Coś z tych intryg tajemnych doszło do króla; by się dowiedziéć całéj prawdy wpadł na pomysł, na który by się nie wielu ojców zdobyło. Oto spoił syna, by z pijanego wydobyć zeznanie. Fryderyk się nie zdradził; powiedział co chciał i nie skompromitował nikogo. Jest to jeden z tych rysów, które dają miarę wartości zasad człowieka.

Jednak to życie piekielne było ciężkie nad wyraz i chłopiec próbował przejednać ojca. Czy grało w tém rolę uczucie, czy wyrachowanie, chęć zyskania spokoju, nie wiadomo, może jedno i drugie razem, lecz sposób którego użył téż był szczególny. W tym domu wszystko się dzieje na opak i gdyby nie dokumenta, możnaby myśléć, że jakiś nieudolny powieściopisarz karykaturuje życie klas prostych, którego nie zna.

Na św. Huberta, w Wüsterhausen, wydawał król jeden z tych

---

[1]) Grumbkow ulubiony generał Fryderyka-Wilhelma i posiadający jego zaufanie; „jeden z najnieuczciwszych ludzi jacy byli w gabinetach europejskich."

[2]) Seckendorff bardzo zręczny dyplomata cesarski.

obiadów, na których jedzono i pito bez miary. „Fryderyk siedział obok saskiego ministra Suhma i pił dużo. Wino zaczęło szumieć, książe zaczął się uskarżać na swą niewolę“ tak głośno, że to zwróciło uwagę Fryderyka-Wilhelma siedzącego opodal.

— Co on mówi? spytał.

— Książe pijany, bredzi, odpowiedział Suhm.

— Udaje. Ale co on mówi?

— Że kocha króla, choć go król zmusza pić nad siły.

— Udaje — powtarza Fryderyk-Wilhelm.

Suhm zaręcza, że królewicz pijany.

Uczta doszła do tego stopnia, że królowa uznała za stosowne opuścić gości; Suhm doradza księciu, aby też poszedł spać; ten odpowiada, że nie oddali się nie ucałowawszy rąk ojcowskich. „Królowi to się podobało i podaje rękę śmiejąc się; książe żąda drugiéj i obie okrywa pocałunkami. Obecni zaczynają klaskać.“ Książe rzuca się ojcu do kolan, zapewniając o swém przywiązaniu: „dobrze, dobrze — odpowiada — niech tylko będzie honorowym człowiekiem.“ Wreszcie odprowadzono Fryderyka a król wpadł w wyborny humor. Frytz zaczyna pić — Frytz się upija — więc staje się doń podobnym; wyrośnie na człowieka. Co dla innego ojca byłoby troską, dla niego stało się radością; ale radość i zgoda nie długo trwały — wmówiono królowi, że to była komedya i znów się rozpoczęły sceny. Fryderyk po raz drugi probował rozbroić ojca; choć „widział, że nie ma prawie żadnéj nadziei do pogodzenia się,“ pragnął bodaj „przerwy w łajaniu, więc nie śmiejąc mówić, napisał list w języku służalczym i pokornym.“ Król rozżarty „jak gdyby rad że się nadarza sposobność“ wylać całą żółć, odpisał pogardliwie, w trzeciéj osobie przemawiając: „Ma głowę samodzielną i złą — nie kocha ojca. Syn kochający ojca spełnia jego wolę nie tylko w jego obecności ale i wtedy gdy go nie ma i nie może widzieć wszystkiego. Wié dobrze, iż nie znoszę zniewieściałego chłopca, nie posiadającego gustów męskich, który nie umié ani jeździć konno ani polować, który nadto jest brudnym, nie każe strzydz głowy i fryzuje włosy jak głupiec. Przytém wielki pan, dumny, nie rozmawiający ze wszystkimi, tylko z tym lub owym; ani uprzejmy ani popularny. Robi grymasy jak błazen. Mojéj woli nie wykonywa chyba z musu. Nic nie robi przez przywiązanie synowskie. Jego przyjemnością jest działać tylko według swojéj woli. Oto moja odpowiedź.“ Jeśli król miał w niektórych względach słuszność, nie miał za to najmniejszego taktu i nie umiał schwycić okoliczności, w którejby jako tako mógł kierować synem.

Na tém tle „gniewów, cierpienia, przykrości i małostek“ roztacza

się „komedya matrymonialna,“ ciągnie się całe lata, plątana intrygami Seckendorffa z Grumbkowem i przyprowadza Fryderyka-Wilhelma do ostateczności. Jest on w stanie takiego rozdraźnienia, że „posłowie zagraniczni, ministrowie wraz z królową spodziewają się co chwila, że mu się w głowie zupełnie przewróci.“ Syna draźni i wyzywa: „wiem łotrze, że robisz wszystko by się wyzwolić z pod mojéj władzy, ale jeśli myślisz, że ci się to uda, to się mylisz. Utrzymam cię na smyczy i zegnę cię.“ Pewnego dnia zaledwo książe wszedł do pokoju obił go laską, schwycił za gardło i za włosy a rzuciwszy na ziemię kazał przepraszać i całować nogi. W obecności wojska i służby upokażał go i naigrawał się zeń w dotkliwy sposób; nic dziwnego że brutalizowany, nienawidzony, chciał uciec za granicę. Król nie lepiéj się obchodził z córką i z żoną; Wilhelminie rzucił talerze na głowę a gdy uciekała, chciał obić szczudłami, bo właśnie chory był na podagrę, ale służba wioząca go w wózku pozwoliła jéj umknąć. Innym znów razem rzekł, zwracając się do dzieci: „powinniście przeklinać waszą matkę boście źle wychowani z jéj winy.“ Lekarzom groził, że każe ich zamknąć w więzieniu Spandawskiem, jeśli go prędko nie wyleczą z krost na języku. Gdy raz trybunał wydał wyrok nie po jego myśli, wpadł w złość, zaczął na ślepo walić laską, i urzędnicy „uciekli nie doliczywszy się wszystkich zębów,“ a on za nimi puścił się na schody. Nie brakło i innych dziwacznych pomysłów; kazał oskrobać rybę żywcem i zmusił swych gości, aby surową zjedli. Przechadzał się wieczorem po ulicy, z pochodniami, wykrzykując i każąc krzyczéć tym którzy z nim byli, tak że Sauveterre pisał „iż gdyby nie widział, toby myślał że stado bydła prowadzą na targ. Spotkawszy młynarza, który szedł sobie spokojnie, strzelił doń. Często miewał napady melancholii i całemi godzinami siedział milczący a łzy płynęły mu z oczu. W nocy dręczyły go zmory, więc zrywał się przerażony i szedł do królowéj opowiadając, że mu przychodzą dziwne myśli, że nie wié co począć gdyż go chcą zamordować „a gestykulacya i krzyki dowodziły, że nie był panem siebie.“ „W części sam był winien swoim cierpieniom,“ nadużywał napojów wyskokowych, jadła, tytuniu, ruchu; wcześnie dostał podagry, następnie ataku apoplektycznego, wodnéj puchliny, roztył się tak, że w pasie mierzył cztery łokcie, ogłuchł w skutek zapalenia uszu, a pono nie wszystkie to jego cierpienia fizyczne. Ale jeśli one zmniejszają jego winę, nie zmniejszają przykrości domowych i fatalnego wpływu. Jego despotyzm brutalny, brak rozsądku i taktu, brak zmysłu politycznego wprowadziły demoralizacyę w kółko domowe taką, że do spraw rodzinnych miesza się kto chce, syn prowadzi tajną korespondencyę z dworem angielskim i daje przyrzeczenia prze-

ciwne woli ojcowskiéj, królowa téż intryguje przeciw niemu, a najzaufańsi dygnitarze sprzedają jego tajemnice obcym dworom. Wszak to upragnione przez wszystkich wydanie córki za ks. Glocester, tylko z jego winy nie przyszło do skutku. Przewlekało się ono, jak wiadomo, całe lata i już zdawało się bliskiém końca, bo dwór angielski przysłał nadzwyczajnego posła, sir Hotham'a, dla uregulowania sprawy. Fryderyk Wilhelm, za pierwszém słowem oświadczył, iż się cieszy, że jego córka podobała się królowi angielskiemu", a nie znając miary w dobrym humorze, jak w złym, wnet podczas obiadu wniósł toast za zdrowie narzeczonych. Wielkie było zdziwienie wszystkich, bo nikt jeszcze o niczém nie wiedział: ale wnet według zwyczaju powstali, by „całując kolana i poły surduta" złożyć powinne życzenia. Zapanowała wielka radość, „pito niezmiernie przy tłustych żartach, w końcu wszyscy zaczęli tańcować, nie wyłączając służby". Na tak dobréj drodze będący interes, Fryderyk Wilhelm, podbudzony przez Grumbkowa, popsuł własném brutalstwem. Hotham odjechał, a Wilhelmina, która mogła zająć jeden z pierwszych tronów europejskich, musiała poprzestać na małym panku, margrabi Bayreuth.

Zanim się jednak skleciło jéj zamążpójście, odbyła się ceremonialna wizyta Fryderyka Wilhelma z synem na dwór drezdeński, skąd, jeśli wierzyć margrabinie, Fryderyk przywiózł upodobanie do panujących tam obyczajów. I nie udała ucieczka za granicę. Szczegółów jéj, powszechnie znanych, powtarzać nie będę, bo mi tu idzie, z jednéj strony o poglądy autora, z drugiéj o istotę wewnętrzną dwóch głównych twórców monarchii pruskiéj, aby czytelnik zdał sobie sprawę o ile teorye Lavisse'a opierają się na spostrzeżeniach rzeczywistych, zatém, czy z nich można wyciągnąć jakieś stałe prawo powszechne.

O pierwszych chwilach dramatu, gdy się zamiar ucieczki wykrył, trudno coś pewnego powiedzieć. Wbrew zwyczajowi król się pohamował zrazu. W drodze będąc, w gościnie, hamować się musiał. Opowiadano tylko, że badając zbiega, wpadł w taką furyę, iż chwycił za pałasz i że gen. von der Mosel, rzucił się między nich, siebie na cios narażając. Autor powiada: „mniemam, że Fryderyk Wilhelm był o tyle przerażony, o ile gniewny. Niepodobna, aby nie pomyślał, że gwałty jego będą świadczyć przeciw niemu w procesie, na któryby patrzała cała Europa". Czy rzeczywiście Fryderyk stawił się zrazu tak hardo, jak mówiono, téż nie wiadomo; zdaje się, że w opowiadaniach tych było nieco przesady. Czy król pisał do królowéj ten list, który margrabina w pamiętnikach swoich przytacza, rzecz wątpliwa. Oryginał zaginął, margrabina pisząc z pamięci, mogła — swoim zwy-

czajem — przesadzić! Ale rzecz pewna, że gdy Fryderyk Wilhelm badał sam syna wprzód, nim go oddał w ręce sprawiedliwości, ten „mieszał kłamstwo z prawdą z nadzwyczaj zimną krwią: czasem zuchwały, zawsze przebiegły, nie posuwał się nigdy do ostateczności“. Tu się ukazują główne cechy jego charakteru: fałszywość, egoizm, zimna krew, przytomność umysłu, które mu w trudnych okolicznościach, podobnie jak szczwanemu lisowi, doradzają rozmaite wybiegi. Król nie mogąc się dobadać prawdy, zaczął podejrzéwać spisek na swoje życie, a odsyłając syna do więzienia, rozkazał dowódcy straży, aby w razie pokuszenia się o odbicie księcia „nie oddał go żywym“.

Znając Fryderyka Wilhelma, nie można wątpić, iż gniéw jego dochodził nieraz tych granic, gdzie się zaczyna furya, obłęd. Minister holenderski Ginckel, w wielkiém poważaniu u niego będący, mówił, iż nie śmié powtórzyć tego co słyszał, bo nie przypuszczał, „aby człowiek mógł tworzyć równie okropne bezbożne zamiary“... jeśli król spełni to czém groził „zobaczymy najbezbożniejsze i najkrwawsze sceny, jakie były od stworzenia świata“. Autor mniema, że jeśli Fryderyk Wilhelm, tracąc panowanie nad sobą, plótł bezprzytomnie, w rzeczywistości jednak musiał się hamować, bo winowajca zbyt wysokie zajmował stanowisko, a król jako elektor zależał od cesarza niemieckiego: Europa mogła się wdać w sprawę, gdyby zbyt tragiczny lub barbarzyński zapadł wyrok. Fryderyk Wilhelm gniéwał się, „że się starano przedstawić go w świecie jako tyrana“, gdy tymczasem on w swém sumieniu nie miał sobie nic do wyrzucenia. Dziwne, zaiste, sumienie, ale bywają takie. „Niech Bóg zachowa wszystkich uczciwych ludzi od wyrodnych dzieci — pisał do swego przyjaciela ks. Anhalt—wielkie to zmartwienie. Przecież przed Bogiem i ludźmi mam sumienie czyste. Napomnienia, kary, dobroci, łaski, próbowałem wszystkiego — i nadaremnie“. Nie pojmował — powiada Lavisse, że aby dowodzić tém wojskiém, które on wyćwiczył, użyć zebranego przezeń skarbu, dla rozwinięcia tych Prus, które on tworzyć zaczyna i utworzyć chce—potrzeba właśnie tych zdolności, których on nie posiadał. Wiadomo, że Fryderyk Wilhelm kochał swe wojsko, jak skąpiec swe złoto: lubił je przeglądać, manewrować niém, ale narażać je na wszystkie niebezpieczeństwa wojny nie był skorym, zaś w polityce na niczém się nie rozumiał i do pewnego stopnia znał tę swoją słabość; synowi kiedyś rzekł: „naśladuj mnie w finansach i w wojskowości, ale nie w polityce, bo ja się na niéj wcale nie rozumiem“. Innym znów razem rzekł do otaczających, wskazując na Fryderyka: „ten mnie pomści“.

Jakoż pierwszego uzdolnienia do polityki, wielkiéj przebiegło-

ści, panowania nad sobą i zręczności, dał ośmnastoletni Fryderyk dowody podczas swego procesu. Król kazał go sądzić sądem wojennym jako zbiega: on się tłómaczył bardzo zręcznie, że nie uciekał jako żołnierz, ale tylko chciał uniknąć złego obchodzenia się ojcowskiego. Król czy zamyślał na seryo o karze śmierci, czy tylko się odgrażał, jak zwykle furyaci robią, dwojako można sądzić, ale zdaje się, że bardzo poważnie zamyślał o usunięciu go od tronu. Następujące od siebie pytania dodał w czasie śledztwa:

— P. Na co zasłużył i jakiéj się spodziéwa kary?

— O. Poddaję się łasce i woli królewskiéj.

— P. Na co zasługuje człowiek, sprzeniewierzający się swemu honorowi?

— O. Nie sądzę, abym się rozminął z honorem.

— P. Czy zasługuje zostać królem?

— O. Nie mogę być własnym sędzią.

— P. Czy chce, aby mu darowano życie?

— O. Poddaję się łasce i woli królewskiéj.

Następnie król żądał, aby wzamian za darowane życie zrzekł się tronu.

Fryderyk odpowiedział:

— Nie dbam o życie, ale wasza królewska mość nie użyje względem mnie tyle srogości.

Z tych pytań widać, jak się burzyło w głowie Fryderyka Wilhelma, ale nie widać nieubłaganéj zawziętości, nastającéj na gardło, za to zdumiéwać się można nad „zadziwiającą dokładnością wyrażeń, które nic nad to, co Fryderyk chce powiedziéć, nie wyrażają. Jest w tém pewien rodzaj godności, nawet dumy, która nic na szwank nie naraża“. Król pierwszy musiał podziwiać przytomność umysłu, gdy rzekł z jakiémś gniewném uznaniem: „ten łotr jest nieprzezwyciężonego uporu i zręczności w bronieniu się“.

Co do mnie, pozwalam sobie wątpić o dumie i godności Fryderykowéj, gdyż się w téj roli nie utrzymał, a zatrwożony surowością ojcowską, nie dość, że zaczął okazywać skruchę, któréj nie czuł, przytaczać okoliczności łagodzące jego winę—ale uderzył w pokorę. Owe odpowiedzi prawda, że „zadziwiającéj precyzyi“, są li wyrachowaniem, które przyszłości nie chce skompromitować—niczém więcéj.

Tymczasem śledztwo nie odkryło śladu spisku na życie, więc oskarżenie o zbrodnię stanu upadało samo przez się, a przezorni sędziowie pomni na przyszłość łagodzili postępek i wyrażenia; unikali starannie słowa „dezercya“, szukali delikatnych omówień, wreszcie jasno, acz pokornie oświadczyli, że nie mają prawa sądzić

syna swego pana i króla, i że to jest rzecz prywatna, między synem a ojcem. Fryderyk Wilhelm złościł się, po raz drugi sprawę kazał rozpatrzyć, sędziowie rozpatrzyli, lecz zdania nie zmienili. Król zaś swoją wściekłość w dziecinny nieraz objawiał sposób, i to mu ulgę przynosiło.

Wiadomo, że Fryderyk II lubił niezmiernie czytywać, i od dzieciństwa ukradkiem, po nocach w tajemnicy przed ojcem i dozorcami, czytywał co mógł. Z wiekiem, przy pomocy Duhana zebrał sobie trzytysięczną bibliotekę, którą umieścił w najętém pomieszkaniu. Król odkrył owo *corpus delicti* kazał pościérać monogramy i herby i sprzedać. Nie zapomniał jednak spytać się bibliotekarza, jaką pobiérał płacę: gdy ten wymienił niewysoką sumę, rzekł z zadowoleniem: to wcale nie drogo. Również w gniewie kazał sprzedać konie synowskie; gdy się wysapał i przebaczył, kupił mu inne.

Z biegiem czasu ostrość sprawy musiała koniecznie osłabnąć — mocarstwa zaczęły się wstawiać — ucieczką dawała się podciągnąć pod kategoryę wybryków młodocianych — „ci, którzy z bliska patrzą na króla, mówią, iż w końcu on sam nie wié czego chce“ — wreszcie gdy kowal za ślusarza odpokutował, sprawiedliwości stało się zadość i pogodzenie się było nieuniknionēm.

Po tragicznéj egzekucyi Katta, przed oknami Fryderyka, przyszedł pastor z rozkazu królewskiego, żeby nawracać i skruszyć serce młodego grzesznika. Wspomniano już o sporze religijnym, o łasce i przeznaczeniu. Ojciec był za pierwszą, syn za drugą teoryą. Ujrzawszy pastora, Fryderyk wziął to za wróżbę zgonu, i zląkł się, ale gdy zobaczył, że się myli, odzyskał pewność siebie i wszedł na drogę obłudy, odgrywając żal i chęć poprawy z takim talentem — choć przed zaufanymi drwił ze wszystkiego, iż wyprowadził w pole pastora, ojca i kogo tylko chciał. Śmierć nieszczęśliwego Katta była przesileniem się téj awantury. Dworacy to zrozumieli i wnet Seckendorf z Grumbkowem zaczęli odgrywać rolę zbawców. Pierwszy zapewniał, że cesarz się wstawiał za księciem (w rzeczywistości wstawienie się nastąpiło, gdy groźne chwile minęły), drugi, że pomimo pozorów był oddanym mu przyjacielem. Fryderyk wiedział co trzymać o przyjaźni Grumbkowa, ale „że obaj potrzebowali siebie i że ich sumienia były posłuszne ich interesom, przeto się porozumieli. Aby okazać swą wdzięczność nowemu sprzymierzeńcowi, ofiarował mu, płacząc, list, który Katt napisał doń z ostatniém pożegnaniem!“... Wkrótce, gdy się przekonał, że ani życiu, ani sukcesyi tronu nic nie stoi na przeszkodzie „był wesół, jak szczygieł“... następnie dojdzie do tego, że przyjaciela, który zań oddał swe młode życie oskarży o — niezręczność

„Ten młodzian jest przygotowany do niebezpieczeństw egzystencyi książęcéj—jest gotów do wielkiéj polityki“.

Drugie stadyum dramatu, to praktyczna edukacya Fryderyka.—Król kazał mu się uczyć administracyi praktycznie i teoretycznie, książę słuchał wykładów i pracował w biurach, znajomił się z rachunkowością, z gospodarstwem, ze wszystkiemi sprężynami machiny administacyjnéj. Choć się nudził i przed zaufanymi się z tém nie tail, choć pokryjomu czytywał, co mu się podobało, pisywał wiersze a raczéj wierszydła, lecz przed ojcem udawał wielkie zainteresowanie się to osuszeniem moczarów, to wykarczowaniem lasu, to wreszcie podawał projekta reform podszepniętych przez swych nauczycieli. Nie ulega, wątpliwości, że choć się nudził przy niemiłéj pracy, jednak z niéj skorzystał i Lavisse nie bez racyi odnosi do téj epoki pewne zasiewy, które dopiéro z czasem plon wydały. Dyrektor Hille, wykładający księciu ekonomię, przedstawiał pewnego razu, że „Frankfurt nad Odrą był głównym punktem w téj okolicy w średnich wiekach. Otrzymywał towary ze wschodu przez Wenecyę i Augsburg, a sprzedawał je w Marchii, Polsce, Prusach, Pomeranii, Meklemburgu. Po odkryciu przylądka Dobréj Nadziei, handel ze Wschodem prowadzi się przez morza Niemieckie i Baltyckie, Frankfurt więc traci pas nadbaltycki, ale zyskuje Szląsk i Czechy, które nic nie otrzymywały przez Włochy; nieszczęściem handel ten był powstrzymywany przez Szwedów, posiadających Pomeranię, to jest ujście Odry. Dziś Pomerania należy do Prus, ale Odra górna pozostaje w posiadaniu Austryi, do któréj Szląsk należy, zaś Fryderyk Wilhelm znosząc cło na granicy Szląskiéj pozwala obcym spółzawodniczyć z własnymi poddanymi. *Nie można się spodziéwać pomyślnego handlu dla Brandenburgii, pókąd Szlązacy nie zostaną pozbawieni swego bezpośredniego handlu.* *Jak się to stanie*, kończy Hille, *zostawiamy rozstrzygnięcie wyższym i zręczniejszym od nas*“.

Fryderyk zrozumiał, co mu należy zrobić dla wzrostu Prus: „Brandeburgia, to jest serce téj monarchii, była płaskim ubogim krajem, między górami a morzem, oddalona od jednego i drugiego, przecięta równoległemi rzekami, które służyły za drogi do najazdów ale nie posiadała ani ich źródeł ani ujścia. Otwarta na wschód i na zachód, na północ i na południe, zginęłaby, gdyby nie wsparła siłą swych ustaw słabości swéj pozycyi, gdyby nie zdobyła gór i morza“. Już w owym czasie Fryderyk, rozmawiając z jednym ze swych poufnych, zwierzał się, iż widzi, że posiadłości pruskie jako tako poszczepiane a otoczone sąsiadami potrzebują pokoju, ale że on na tém

nie poprzestanie, bo w polityce kto nie postępuje, ten się cofa; będzie zatém się starać o wzrost domu i kraju, „trzeba będzie połączyć kraje porozrywane a przyległe tym, które posiada, jak na przykład Prusy polskie“. Tym sposobem nietylko się zyska komunikacyę wolną między Pomeranią a Prusami, ale się okiełzna Polaków. Następnie tworzy podobne zamiary względem innych państw. „Jego teorya konieczności politycznéj“ rodzi się w kistrzyńskiém więzieniu i kistrzyńskich nudach.

Ostatni akt tego niespokojnego okresu domowego życia, to ożenienie Fryderyka. I tu znów intrygi dworu austryackiego pokierowały wyborem, tak, aby małżeństwo żadnych korzyści politycznych nie przyniosło domowi pruskiemu. Była to ciężka próba dla Fryderyka, z czém się nie taił przed nikim, wyjąwszy ojca, którego jak zwykle oszukiwał, zapewniając o swéj uległości i najczulszych synowskich uczuciach. Prawda, że z szaleńcem, jak Fryderyk Wilhelm, nie można było miéć swego zdania i pozostawało, albo ulegać, albo zbuntować się i nałożyć głową, ale przecież żeby w tak ważnéj sprawie ani jednèm słowem, ani najmniejszém usiłowaniem nie postarać się o odwrócenie wstrętnego sobie losu, „takiéj absolutnéj uległości“ nie wytłómaczy „ani intryga, któréj pada ofiarą, ani samowładza brutalna ojca“. Natomiast „w jakimś napadzie pisarskim“ wypisuje niesłychane rzeczy do Grumbkowa, którego zaklina o ratunek i do innych; listy owe przechowały się dotąd. Jest tam gniéw, słuszne rozżalenie, ale nigdzie serca, nigdzie uczuć poczciwych. W rozmowach odgraża się, że ożeniwszy się, porzuci żonę, a będzie się prowadzić, jak mu się spodoba, bo „lubi płeć piękną, ale pragnie tylko używać, bo nią pogardza“. Gdy ktoś się odezwał, że król się ujmie za synową, odparł, iż potrafi się tak urządzić, aby nie śmiała się skarżyć. Nie dba wcale o to, że jakaś młoda, niewinna istota padnie ofiarą jego służalczości, czy tchórzostwa, nie szanuje ani kobiéty, ani związków rodzinnych, ani samego siebie, a „sposób w jaki się wyraża i myśli o miłości, jest przyczyną, lub wskazówką skrzywienia moralnego“. Wprawdzie „wzrastał w dziwném otoczeniu, śród chaosu brzydkich namiętności, w towarzystwie ministrów i lokajów sprzedajnych, w atmosferze plotek, szpiegostwa, intryg, w brudzie dworu, na którym jedynym uczciwym człowiekiem jest król (mimowoli przypomina się przysłowie, „że w królestwie ślepych, jednooki królem“) i nie czuje się “*depaysé*“. Z najchytrzejszymi ubiega się o lepszą i jest chytrzejszym od najchytrzejszych. Gdy się rzecz toczy o jego żeniaczkę, przerzuca się od wyrafinowanego kłamstwa, do zuchwałego wypowiedzenia myśli. Prawda, że tyrania ojcowska i szkaradny przykład otoczenia, mogły

go popsuć, ale natura przeznaczyła go na mistrza w oszukiwaniu ludzi“. Zaiste, ktoś innéj natury wolałby „raz przepaść w zaburzone fale, niżli żyć, gnijąc potrochu na skale“, ale Fryderyk nie miał danych na bohatéra dramatycznego lub epicznego, tylko na polityka. W gruncie postanawiał zemścić się na Austryi, która jedną ręką pchała go w przepaść, a drugą dawała pieniądze. Fryderyk zawsze w długach, zawsze wyglądający téj manny „przyjmował chętnie“, prosił o nią dla swéj siostry, margrabiny Bayreuth, która téż się nie wzdragała, „jest pokornym w listach do Seckendorffa, niskim“ w listach do ks. Sabaudzkiego, w wyrażeniach czci dla cesarza, którego zapewnia o swéj wdzięczności. Jeśli robił jakie restrykcye w myśli, to dotrzymał ich i dowiódł takiéj wdzięczności, jaką rzeczywiście odczuwał i na jaką dom austryacki zasługiwał, poplątawszy mu losy i zatruwszy najpiękniejsze lata w życiu.

D. 12 czerwca 1733 r. Fryderyk się ożenił z wybraną mu przez ojca Elżbietą Bevern. Biédna księżniczka nie zasługiwała na los, który ją spotkał; spółcześni przychylnie się o niéj odzywają, „w téj całéj historyi to jedyna istota, która zasługuje na współczucie“. Fryderyk obiecując, że „będzie jedną nieszczęśliwą księżniczką więcéj na świecie“, dotrzymał słowa.

Takim jest młodzieniec 21-letni. „Fryderyk Wilhelm znajduje się w Fryderyku II, lecz ten posiada geniusz, którego brakowało ojcu. Epikurejczyk i cynik, którzy przeglądają w młodziku, ukażą się w królu i wraz z cynizmem, pogardą dla ludzkości, sztucznym sentymentalizmem głowy, a nieludzkością, niezbędną dla kierowników mas, utworzą moralny charakter tego, którego nazwano Fryderykiem Wielkim“ a którego z równą słusznością możnaby nazwać wielkim cynikiem.

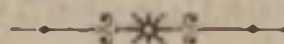
Litawor.





O ZNACZENIU

ZAKŁADÓW LECZNICZYCH.



Odczyt na dochód Osad rolnych, wypowiedziany w sali ratuszowéj dnia 9 marca 1892 roku.

Słyszymy teraz i czytamy bardzo często o powstawaniu nowych zakładów leczniczych, o rozszerzaniu istniejących. Nie sięgając daleko po za granice Warszawy, od paru lat bezustannie istnieje u nas sprawa nowych szpitali. Niedawno otworzono wielki zakład w Tworkach, jest mowa o przeniesieniu i rozszerzeniu szpitala Dzieciątka Jezus, szpitala starozakonnych, dwa szpitale dla dzieci powstały przed czasem niezbyt dawnym; a obok tego otwarto kilka domów zdrowia prywatnych, które służyć mają przeważnie dla ludzi zamożnych.

Możemy z góry być pewni, że ten ruch rozwojowy zakładów leczniczych bezporównania rozleglejsze rozmiary przybrał w krajach innych, bogatszych. Nie będę w téj chwili wymieniał i opisywał tych wszystkich zakładów, ani obliczać zamierzam sumy milionowe, jakie na ich budowę wydano. Chcę tylko w kilku rysach objaśnić przyczynę tego rozwoju. Bo ruch ten jedynie ciągłym postępem, jakiemu wszystko w czasie ulega, objaśnić w zupełności się nie da; nowe poglądy, nowe potrzeby na zmianę tych zakładów i na szybki wzrost ich wpłynęły.

Publiczność szeroka tych nowych potrzeb nie zna i nie wszyscy przynajmniéj je pojmują. W roku zeszłym w jedném z najpoważniejszych bezspornie pism naszych wprost potrzeba szpitali zakwestyono-

waną została. Z wygłoszonych tam poglądów wypadało owszem, że najlepiéj byłoby dla społeczeństwa, gdyby wszystkie szpitale zniesiono. Nie mam powodu przypuszczać, aby ten pogląd był wyłącznie przekonaniem jego autora. Pragnieniem będzie mojém w ciągu téj krótkiéj pogadanki przekonać słuchaczów, że szpitale należą do najważniejszych i najpożyteczniejszych instytucyi społecznych.

Pogląd, jakoby szpitale były zbytecznemi, polega przedewszystkiém na tém przekonaniu, że leczenie jest czynnością mało skomplikowaną, że lekarz i mikstura wyczerpują wszystkie téj sztuki potrzeby, że więc w każdém miejscu i w każdym domu leczyć można chorego równie dobrze, jak w specyalnie na ten cel urządzonych zakładach.

Tak nie jest. Oprócz lekarstw właściwych, prócz środków aptecznych, bardzo rozmaite jeszcze czynniki służą lekarzowi, jako broń dla zwalczenia choroby, — czynniki, których zastosowanie wymaga przyrządów zawiłych. Takie np. zabiegi elektryczne, hydropatyczne i inne, najlepiéj w specyalnych zakładach się dokonywają. Ale najwięcéj przygotowań i najtrudniejszych wymagają operacye, ten szczyt sztuki lekarskiéj, jako sztuki. Sięgnąć w głąb organizmu do samego ogniska choroby, o ile ono ująć się daje, i usunąć je zupełnie, to najradykalniejszy i najzbawienniejszy zabieg leczniczy. Rozmaite zawady tym śmiałym zamiarom drogę tamowały. Przedewszystkiém z otwartych tętnic krew się wylewała i zatrzymać jéj nie umiano; daléj ból, z każdą operacyą połączony, i samo wrażenie, jakie ona wywiera, szerokiemu stosowaniu téj metody leczenia na przeszkodzie stały. Krwotoki zwalczono. Znaleziono środki, dzięki którym najcięższe operacye przenosi człowiek uśpiony głęboko, nieświadom tego, co się z nim dokonywa. Pozostał jeden jeszcze, może najstraszniejszy, wróg operacyj: zapalenia, choroby przyranne. Pomimo najpiękniéj pod względem technicznym dokonanéj operacyi, te choroby, których nigdy przewidzieć nie było można, niszczyły często jéj skutek, a nieraz śmierć przedwczesną powodowały. Operacya udała się, chory umarł. Niedawno, bo dwadzieścia może lat temu, trwał jeszcze ten okres, gdy po każdéj operacyi z obawą śledził chirurg, czy nie wybuchnie zdradliwie, bo ukradkiem napadająca róża, gangrena, czy jakakolwiek z tych strasznych chorób, co do ran świeżych tak często się przyłączały. Skoro taka choroba raz w szpitalu się zagnieździła, już przez czas długi wikłała każdą ranę i groziła życiu każdego operowanego; dla tego téż te choroby szpitalnemi nazywano. Ograniczano wtedy, o ile można było, operacye, a bardzo rozległych, bardzo głęboko sięgających, nie podejmowano prawie wcale.

Wreszcie tę nieujętą przez czas długi przyczynę chorób przyran-

nych znaleziono. To bakterye drobne, które, jak sępy za wojskiem na wojnę idącém, tak ciągnęły za nożem chirurga, osiadając na ranie, sprowadzały jéj różne choroby, a wnikając przez ranę w krew organizmu, tak często śmierć powodowały. Gdy poznano przyczynę, znaleziono i broń przeciwko niéj; w dość krótkim przeciągu czasu zwalczono wroga. Dziś już chorób przyrannych, chorób szpitalnych nie ma. Po skończonéj operacyi chirurg jest pewnym, że z téj przynajmniéj strony niebezpieczeństwo choremu nie grozi. Ogromną ilość ludzi ochroniono od śmierci lub kalectwa, a największe operacye, które dawniéj za bezwarunkowo prawie śmiertelne uchodziły, dokonywają się dziś ze skutkiem dobrym, niemal z pewnym skutkiem. Najgłębiéj ukryte, najszlachetniejsze organy, stały się dostępnemi dla chirurga, który bez obawy i z pożytkiem największym dla chorego do tych głębi sięga. Zdarzają się zapewne i obecnie niekiedy te powikłania groźne, ale mogą się nie zdarzać i zdarzać się nie powinny. Każdy podobny przypadek dowodzi, że nie zachowano w danym razie koniecznych dla operacyi warunków. A te wszystkie warunki zamykają się w jednèm słowie — czystość, czystość, jakiéj dotychczas nie znano. Nie tylko to wszystko, co pod oczy podpada, co usunąć łatwo, obejmuje to pojęcie, ale i te wszystkie przymieszki, które się niczém oku nie zdradzają, a są właśnie najbardziéj szkodliwe. Musimy być pewni, że zniszczyliśmy wszystkie szkodliwe bakterye, które w pokoju, narzędziach, opatrunkach, znajdować się mogą. Osiągnięcie takiéj czystości wymaga téż odpowiednich, nie łatwo w każdém miejscu zebrać się dających, warunków.

Sala, w któréj operacye się odbywają, powinna być tak urządzoną, aby jéj ściany, sufit, podłoga, powietrze i wszystko, co w niéj się znajduje, łatwo i najdokładniéj oczyścić się dało; musi być przy tém ta sala dostatecznie oświetloną i posiadać spadek i otwór, przez któryby woda i płyny różne, których obficie potrzeba, odpływ natychmiastowy znaleść mogły.

Można powiedzieć, że ideałem sali operacyjnéj byłaby dęta kula szklana, bo i światło dostęp miałoby zupełny i ściany kuli najłatwiéj i najdokładniéj oczyścić by się dały i otwór dla spływu wody u dołu geometryczne znalazłby miejsce. Wszystkie nowe sale operacyjne do tego ideału są po części zbliżone.

Ściany i sufit sali operacyjnéj muszą być zupełnie gładkie, gipsem wyłożone i oszlifowane, albo dobrze olejną farbą pociągnięte; podłoga jednostajna, ze ściśle spojonych płyt kamiennych, albo i szklanych ułożona, z zagłębieniem, ku jednéj stronie dla odpływu cieczy. Wszystkie kąty pomiędzy temi powierzchniami wygładzone, zaokrą-

glone, aby prądy powietrzne się nie zatrzymywały, aby zanieszyszczenia nie miały gdzie osiadać i aby wszystko z łatwością zmyć się dawało. Drzwi i okna ściśle na powierzchni ścian, bez żadnych parapetów, załamków i wypukłości, bo nawet bez klamek. Okna duże, z kilku stron umieszczone, a często i w suficie. Sala operacyjna umieszczoną jest nie wewnątrz gmachu szpitalnego, ale wraz z koniecznemi dodatkami osobny niejako budynek stanowi, a z pawilonem szpitalnym łączy się za pośrednictwem korytarza.

Sala operacyjna, zawsze obszerna, jest prawie zupełnie pusta, bo, prócz najniezbędniejszych sprzętów, nic w sobie nie zawiera. A sprzęty, które ją meblują, są, o ile można, ze szkła w żelazny szkielet oprawnego zrobione.

W niektórych szpitalach oczyszczają taką salę bardzo dokładnie za pomocą pary. Po skończonéj operacyi salę zamykają i wypełniają parą pod wysokiém ciśnieniem. Para temperaturą swoją zabija wszelkie bakterye, skraplając się, obmywa ściany, w postaci deszczu spadając, oczyszcza powietrze i odpływa przez rurę w podłodze umieszczoną.

Równie jak sala, czyste muszą być narzędzia, opatrunki, wata, gąbki, ręczniki i wszystko, co się zetknąć może z operowanym, lub z ręką chirurga. Niezapomnianych dla ludzkości zasług chirurg angielski Lister, który pierwszy dał hasło téj „antyseptyki“ przy operacyach, stosował środki chemiczne, jako broń przeciw bakteryom; metoda ta chemicznéj antyseptyki trwała dosyć długo i rozmaitemi posługiwała się środkami. Obecnie coraz bardziéj metodę tę zarzucają i jako jedyny czynnik, zabijający bakterye, coraz częściéj stosują ciepło, wysoką temperaturę. Jest to metoda słuszniejsza, daleko bardziéj skuteczna, ale też ścisłe jéj przeprowadzenie jest trudniejsze. Narzędzia obecnie gotuje się w wodzie przed każdą operacyą w odpowiednio urządzonych kociołkach, a wszelkie przyrządy opatrunkowe są oczyszczane parą w specyalnych przyrządach, „sterylizatorach.“

Oprócz tego warunku czystości dzisiejsze operacye wymagają i odpowiednich warunków technicznych, odpowiedniego stołu, a przedewszystkiém pomocników i to pomocników, doskonale wyrobionych. Przy wielkich operacyach nieraz sześciu lekarzy bezustanne ma zajęcie i działać muszą wspólnie, szybko, każdy ze zrozumieniem swéj specyalnéj czynności, zgodnie, jak dobrze wyrobiona orkiestra. W każdym oddziale chirurgicznym istnieć muszą tacy wyrobieni, znający się wzajemnie, pomocnicy. Ale nie tylko lekarze — i posługacze przy operacyi muszą być wyrobieni i ideą czystości przejęci.

Takie warunki zebrać nie łatwo. To też coraz się zmniejsza

ilość operacyj, dokonywanych w domach prywatnych; chirurgowie daleko chętniéj i daleko śmieléj operują w szpitalach. Domy zdrowia, których tyle obecnie przybywa, domy zdrowia specyalnie chirurgiczne, zawdzięczają swe powstanie tym nowym zasadom operowania. Szpitale nasze są przeważnie stare; ażeby w takich szpitalach osiągnąć warunki, dla uniknięcia chorób przyrannych wystarczające, daleko więcéj potrzeba starań i uwagi. Na pochwałę szpitali naszych, a przedewszystkiém lekarzy szpitalnych, z których inicyatywy, za staraniem, a często i z ofiarności których te wszystkie zmiany się dokonywają, powiedzieć można, że największy wróg szpitali, choroby przyranne, w naszych zakładach są już prawie nieznane.

Jeszcze ważniejsze niż dla operacyj chirurgicznych ma znaczenie zakład leczniczy w obec chorób zaraźliwych. Już nie tylko o chorego, tu idzie o społeczeństwo. Organizm, dotknięty chorobą zaraźliwą, jest siedliskiem i rozsadnikiem zarazy; drobne, niedostrzegalne, lecz nadzwyczaj liczne żyjątka państwo swoje miliardowe założyły w tym organizmie. Najrozmaitszemi drogami z chorego przenosi się zaraza na otoczenie i pustoszącą swą działalność rozszerza na innych. Organizm walczy z chorobą, dla zmożenia jéj potrzebuje warunków odpowiednich i całéj pomocy sztuki lekarskiéj, a na ten sam los narażeni są blizcy i dalsi i granicy tego stopniowego rozszerzania się zarazy przewidzieć z góry nie można. Podwójne zadanie występuje w obec tego: musimy ochronić zdrowych od zarazy i choremu dopomódz. Nie wolno chorego człowieka poświęcać dla społeczeństwa, ale téż społeczeństwa na klęskę coraz rozszerzającéj się epidemii narażać nie należy. Człowieka chorego i społeczeństwo za równoważne w tym razie musimy uważać wielkości. Potrzeba chorego najczulszą otoczyć opieką i w walce, jaką wiedzie z wrogiem, we krwi jego krążącym, ułatwić organizmowi zwycięstwo, o ile tylko sztuka lekarska dopomódz mu zdoła; ale téż usunąć go potrzeba od ludzi zdrowych, o ile to bez szkody dla niego da się uskutecznić.

Dla zaraźliwych chorych istnieć muszą szpitale oddzielne — oddzielny szpital dla każdéj oddzielnéj choroby, boć nie można narażać chorego, aby wyszedłszy z jednego niebezpieczeństwa, wpadł w inne, aby, zwyciężywszy szkarlatynę, od sąsiada ospą się zaraził. Jeżeli, ze względu na wygodę i koszta, wspólny szpital dla zaraźliwych się buduje, to potrzeba podzielić go na części, stosownie do oddzielnych chorób, a każda z tych części musi od innych być oddzielona i w żadnéj z niemi nie pozostawać styczności. Szpital dla chorób zaraźliwych jest zamkniętą w sobie, pod pewnym względem od świata odciętą

całością; jest on, niby na zatrzask, zamknięty izbą dezynfekcyjną. Zaraza ma wstęp otwarty do szpitala, ale odwrót przecięty. Każda osoba, odzież jéj, powóz, którym chorych przywożą, wszystkie słowem przedmioty, które z oddziału takiego wychodzą, muszą poprzednio tak gruntownemu uledz oczyszczeniu, aby zarazy z sobą na świat nie wyniosły.

Nie chcę opisywać tu warunków, w jakich, wśród przepełnionych mieszkańcami domów, rozszerzają się choroby zaraźliwe i jak rozmaite przedmioty i wyroby z ognisk takich się przedostają. Gdyby chorzy tacy natychmiast z domu do szpitala oddzielnego przenoszeni byli, bez żadnéj wątpliwości epidemie straciłyby swoje groźne rozmiary, bez porównania szybciéj można by je opanować, a nieraz przeciąć w zarodzie. Bo oczywiście stokroć łatwiéjszą jest walka z zarazą, gdy jéj ogniska nie są po całém mieście rozproszone, lecz w szczupłéj zebrane przestrzeni.

To téż bardzo poważne głosy hygienistów już nie raz za tém przemawiały, aby każdy, zakaźną chorobą dotknięty, obowiązkowo w zakładzie specyalnym był leczony. Zakłady takie musiałyby z różnemi wygodami, z komfortem nawet być urządzone, aby zastosować się do rozmaitych wymagań. Ktokolwiek z rodziny, pragnący pielęgnować chorego, mógłby to spełniać pod warunkiem, że przez cały czas pozostawania w zakładzie ogólemu podlegać będzie regulaminowi i styczności bezpośredniéj ze światem mieć nie będzie. Nie podobna tym żądaniom odmówić zupełnéj słuszności. Zapewne dla rodziny boleść to wielka rozłączać się z chorym, ale ma ona pewność, że chory w najlepszych znajduje się warunkach dla odzyskania zdrowia; a ileż za to rodzin ciężkiego nieszczęścia by uniknęło.

Ostatnia wielka reforma w medycynie, odkrycie i zbadanie bakteryj chorobotwórczych, szukanie, po części skutkiem już uwieńczone, środków przeciwko nim, odnosi się bezpośrednio tylko do chorób zakaźnych i do chorób przyrannych. Pośrednio wszakże ta reforma oddziałała w ogóle na terapię, na leczenie wszystkich chorób. Coraz bardziéj ustala się przekonanie, że warunki przy leczeniu ran i chorób zakaźnych wymagane, pomyślne warunki, hygieniczne, a przedewszystkiém czystość, świeże powietrze i o ile można pogodny nastrój umysłu, stanowią ogólne podstawy leczenia. Wszystkie specyalne środki lecznicze dla rozmaitych chorób w obec tych warunków działanie swoje najskuteczniéj rozwijają.

Te właśnie względy: czystość, powietrze i uprzyjemnienie pobytu, nowym budowlom szpitalnym stanowcze, a odmienne nadały piętno.

Stworzyło się dla szpitali nowe budownictwo, styl nowy, do dawnego całkiem niepodobny. Kto dziś przebiega szpitale europejskie i porównywa najnowsze z nieco dawniejszemi, ta wielka różnica mocno uderzyć i zadziwić go musi. Ażeby ułatwić pojęcie téj różnicy i zrozumienie zasad nowego budownictwa szpitalnego, muszę w najogólniejszych rysach skreślić główne epoki, jakie w dziejach budynków szpitalnych zauważyć można.

Zasadą, jaką przed stu laty jeszcze przy budowie szpitala głównie na uwagę brano, była ekonomia miejsca. Starano się, w jaknajszczuplejszéj przestrzeni, jaknajwięcéj chorych pomieścić. Charakterystyczną cechą tych budynków były długie, najczęściéj wązkie i ciemne korytarze; po jednéj, albo po obu stronach tych korytarzy umieszczone były szeregiem sale dla chorych. Szpitale takie nazywamy k o r y t a r z o w e m i. Coś z klasztornego stylu w budowlach tych uderza. Jeszcze do dziś przeważna może liczba szpitali w Europie tę samą nosi cechę; z małym wyjątkiem nasze szpitale wszystkie do tego typu należą. Ale w zeszłym wieku ta zasada oszczędzania miejsca daleko jeszcze daléj zachodziła przy zużytkowaniu, aniżeli przy budowaniu zakładów leczniczych. Nie dość, że sale gęsto były umieszczone, jeszcze je łóżkami i pościelą zapełniano, a wreszcie, czemu trudno dziś prawie uwierzyć, na jednén łóżku po kilku umieszczano chorych. Stary szpital *Hôtel Dieu* w Paryżu posiadał pierwotnie około 500 łóżek dla tyluż chorych; tymczasem łóżek wstawiono stopniowo do 750, a na każdém łóżku do 6 dorosłych chorych, albo do ośmiorga dzieci pomieszczano. Łatwo pojąć, jakie warunki hygieniczne i jaka skutkiem tego śmiertelność panowała w obec tak strasznego nagromadzenia chorych. Stan taki wywołał sławny memoryał Tenona, który wady szpitala przedstawił w całéj grozie. Następstwem tego było wyznaczenie z łona akademii nauk komisyi, która projekt nowéj budowli przedstawić miała. Projekt komisyi żądał, aby sale dla chorych mieściły się w oddzielnych pawilonach, które, jak skrzydła, występują prostopadle do brzegów środkowego dziedzińca. W każdym takim pawilonie znajdować się ma szereg sal pojedyńczych, jedna nad drugą piętrami umieszczonych. Każda więc sala miała z obu stron okna i od sali sąsiedniéj oddzielona była pewną przestrzenią w ogród zmienioną. Bardzo wiele szpitali podług tych zasad, szpitali p a w i l o n o w y c h, znajduje się przedewszystkiém we Francyi, a i w innych krajach. Warszawa posiada niewielki, ale bardzo piękny zakład pawilonowy — szpital Ś. Ducha.

Był to niewątpliwie postęp bardzo znaczny, ale niedostateczny, a w wykonaniu zasad podanych często względy poboczne na pierwszy

plan się wysuwały. Najpiękniejsze z tych szpitali odznaczają się przepychem. Wchodząc do szpitala, można przypuszczać, że to wspaniała katedra gotycka, jak Szpital Rudolfa w Wiedniu, albo, że to rezydencya władzy, jak nowy *Hôtel Dieu* w Paryżu. Gmachy ogromne, imponujące, front ozdobiony całym przepychem rzeźby, krużganki okalają dziedzińce, a od jednéj do drugiéj strony tych krużganków rzucono pomosty, a każdy odmiennéj konstrukcyi.

Takie gmachy, wspaniałe i ozdobne, przeznaczone na to, aby najbiedniejsi najcięższe chwile swego życia w nich przebywali, to prawie na ironię zakrawa; widocznie więcéj ku chwale fundatorów, niż ku pożytkowi cierpiących te budowle wielkim nakładem wznoszono.

Ale nie tylko dla ozdoby istnieją te wszystkie mosty i krużganki, służą one i dla wygody. Bo wygoda, wygoda dla obsługi szpitalnéj, stanowiła drugi po za przepychem warunek, o którego spełnienie starano się nadmiernie. Więc w obszernych podziemiach pomieszczono kuchnie, pralnie i składy, a wózki na szynach ułatwiają komunikacye. Windy, i to windy dla rozmaitych celów przeznaczone, przenoszą chorych, pokarmy i bieliznę na drugie, na trzecie piętro, bo te gmachy wspaniałe muszą być wysokie. Ale też powietrza w tylu rozmaitych, często ciemnych i wązkich przestrzeniach, żadne sztuczne przyrządy należycie odświeżyć nie zdołają. Wszędzie czuć kuchnię i pralnię, albo charakterystyczną woń szpitala. I jest najdokładniejsza wygoda dla obsługi szpitalnéj, tylko nie ma wygody dla chorych. Czy chory obłożnie, czy rekonwalescent, wszyscy muszą w wielkiéj sypialni całą dobę przepędzać, tam śpią, tam jedzą. O rozrywkach dla chorych, o miejscu gdzieby im swobodnie oddawać się mogli, nie pomyślano wcale. Nie pomyślano, aby chory miał kiedykolwiek możność zapomnieć o tém, że się znajduje w szpitalu. Nie pomyślano, albo bardzo niedostatecznie, że rekonwalescent powinien mieć przestrzeń swobodną na świeżém powietrzu, że powinien mieć ogród obszerny, gdzieby mógł odpoczywać, oddychać i sił nabierać.

Przewrót stanowczy sprawiły doświadczenia dokonane w czasie wojny amerykańskiéj. Już podczas wojny krymskiéj, ze względu na wielką śmiertelność, jaka panowała w lazaretach wojskowych, pomieszczano chorych i rannych w pawilonach drewnianych. Podczas wojny amerykańskiéj system ten zastosowano na wielką skalę. Zbudowano dla chorych baraki drewniane, przez otwór wzdłuż dachu biegnący i wązkim daszkiem nakryty należycie przewietrzane.

Pewna liczba takich baraków, odpowiednio rozmieszczonych, wraz z koniecznemi budynkami dla celów administracyjnych i gospodarczych, stanowiła szpital. Świetne rezultaty operacyj, brak strasz-

nych, a zwykłych powikłań, zrobiły wrażenie ogromne. Baraki zyskały rozgłos i fanatycznych swoich zwolenników. Jeszcze nie dawno szpital barakowy, za ideał szpitala uważano. Prócz doskonałych warunków sanitarnych, zalecały je taniość i łatwość częstego niszczenia i odnawiania.

Zapał fanatyczny trwał nie długo. Okazało się, że ze względów klimatycznych drewniane barakowe szpitale nie są doskonałemi, że jako stałe szpitale ogólne są w pierwotnéj prostocie swojéj niemożliwe. Szpitale barakowe mają swe właściwe znaczenie podczas wojen i groźnych epidemii.

Ale baraki nadały swą cechę wszystkim nowym budowlom; zapał przesadny ostygł, ale trwałe po sobie pozostawił pożytki.

Typem nowego szpitala są niewielkie domki parterowe, a co najwyżéj piętrowe, na znacznéj przestrzeni rozsypane. Cała przestrzeń, przez szpital zajęta, zmieniona jest w jeden ogród. Sale są widne, wesołe i w ten sposób urządzone, ażeby łatwo i dokładnie oczyścić się dały, charakter sali operacyjnéj powtarza się w głównych zarysach w każdéj sali szpitalnéj. A zwykłe sale szpitalne, jak je dawniéj pojmowano, jakie i dziś jeszcze po największéj części szpital zapełniają, nie stanowią jedynego miejsca pobytu dla chorych, stanowią tylko sypialnie. Kto nie musi przez cały dzień leżéć na łóżku, ten całego dnia téż w sypialni nie spędza. Istnieją konieczne, niezbędne już pokoje stołowe, gdzie się zastawia pożywienie i gdzie na czytaniu albo rozrywkach rozmaitych chorzy przeważną szęść dnia spędzają. Dopełnieniem tych pokojów są obszerne, otwarte ganki, werendy, gdzie przy odpowiedniéj pogodzie chorzy się zbierają, gdzie siadają osłabieni, którzy do ogrodu wyjść jeszcze nie mogą, gdzie nieraz nawet z łóżkiem przesunąć można obłożnie chorego.

Całą ozdobę architektoniczną tych budynków stanowi ich prostota. Szpital nowoczesny sprawia wrażenie jakiejś osady rozproszonéj wśród drzew i trawników, proste budynki błyszczą się od czystości i czystość wyziera z każdego kąta; urządzenie wewnętrzne proste, wygodne i o ile można wesołe.

Urządzenia gospodarcze, jak pralnia, kuchnia, izba dezynfekcyjna znajduje się w oddzielnych budynkach, od pawilonów dla chorych należycie odległe.

Cały szpital ani ogólnym swoim wyglądem, ani przedewszystkiém wonią, nie sprawia szpitalnego wrażenia.

Szpital taki wymaga naturalnie znacznéj przestrzeni. Wliczając wszystkie potrzebne urządzenia, należytą odległość budynków, pe-

wną przestrzeń swobodną, która oddzielać musi terytoryum szpitalne od sąsiednich, istniejących, albo powstać mogących budowli, wreszcie pewien plac rezerwowy na przypadki niezwykłego nagromadzenia chorych, czy na ewentualne konieczne rozszerzenie szpitala, — wliczając to wszystko, potrzeba dla większych szpitali przynajmniéj 300 łokci kwadratowych na jedno łóżko. To znaczy, że szpitał na 500 łóżek obliczony, powinien zajmować obszar przynajmniéj 150,000 łokci kw. Jest to miara parę razy większa od téj, jaką obecnie istniejące szpitale w ogóle posiadają. Tak znacznego obszaru w pośród miast wielkich dziś nigdzie znaleść nie można; dla tego wszystkie nowe szpitale budują się na krańcach miasta, albo po za miastem i do charakterystyki nowych szpitali należy takie ich umieszczenie. Ma to oczywiście i niewygody pewne, ale bez porównania większe i bardziéj istotne korzyści zapewnia zarówno miastu, jak szpitalom samym.

Takie są warunki dla budowy nowoczesnego szpitala; korzyści ich są oczywiste, jakoż ogólne w teoryi i w praktyce zyskały już uznanie. Do tych warunków zastosować się muszą stopniowo wszystkie szpitale, a najprzód te, których gmachy są stare, zniszczone, nowoczesnym wymaganiom sztuki leczenia najmniéj odpowiadające.

Ale i te rozmiary i te warunki nie wystarczają na wszystkie potrzeby. Choroby przewlekłe w ogóle wymagają zupełnéj zmiany zwykłych warunków życia. Swoboda i powietrze czyste — natura wiejska stanowi zasadniczy warunek skutecznego leczenia tych chorych. Zakłady wiejskie dla rekonwalescentów, dla skrofulicznych dzieci, dla chorych piersiowych i dla wielu, wielu innych chorób przewlekłych, stanowią zadanie w bardzo tylko małéj części do dziś spełnione, a które spełnić musi przyszłość niedaleka.

Parotygodniowy odpoczynek wśród natury jest dziś koniecznością dla bardzo wielu, których stan zdrowia do szpitala jeszcze nie kwalifikuje. Dla takich muszą téż istniéć odpowiednie urządzenia. Dla biednych, przynajmniéj dla biednych dzieci, zadanie to spełnia, choć w bardzo niedostatecznéj mierze, świetna i nadzwyczaj pożyteczna instytucya kolonij letnich. Dla zamożniejszych istnieją mieszkania letnie, stacye klimatyczne i zakłady kąpielowe.

Podstawą leczenia w tych wszystkich zakładach, najważniejszym warunkiem, jedynym, którego w domu miéć nie można, jest oderwanie się od zajęć, oddanie się wyłącznie leczeniu, swoboda i świeże powietrze wśród pięknéj natury. Zakłady te dostarczyć téż muszą i wygód odpowiednich. Ale wcale nie są koniecznemi w miejscach

leczniczych wspaniałe kurhauzy, przypominające domy gry, ani komfort zbyteczny. Podłogi wyłożone dywanami i ciężkie portyery nie tylko nie są konieczne, rażą nawet w pokojach, które ma chory po chorym zajmować. Czynniki kuracyjne, takim zakładom właściwe — wody mineralne i kąpiele, są to środki proste, łatwo dające się przewozić, a jeszcze łatwiéj sztucznie odtwarzać. Jakieś tajemnicze, niezbadane związki, jakieś mistyczne prądy elektryczne, to pomysły ludzi interesowanych, obliczone na łatwowiernych. Przypuszczenie, że ciepło wewnątrz ziemi przez geologiczne warunki wytworzone, jest inném, niż ciepło otrzymane sztucznie, to w obec fizyki niedorzeczność.

I przesadne, nierozsądne pragnienie zbytniego komfortu i przesądy lecznicze pędzą corocznie mnóstwo chorych z naszego kraju do zakładów zagranicznych. Prócz upokorzenia, które najprzykrzejszą jest stroną takich wyjazdów, traci kraj przez nie corocznie olbrzymie sumy. Zapewne, istnieją braki w naszych zdrojowiskach krajowych, ale oszczędzone na wyjazdach przez jeden rok sumy mogłyby te wszystkie zakłady na należytym stopniu rozwoju postawić. I nie wady naszych zakładów są istotną przyczyną, która zmusza chorych do wyjazdu, ale to fanatyczne, trudne do zwalczenia uprzedzenie, że zawsze to lepsze, co cudze.

Przepraszam za to zboczenie, które do tematu mojego odczytu ściśle nie należy, ale zbyt blisko była możność wypowiedzenia słów kilku w sprawie tak ważnéj, pokusa była tak silną, żem jéj uległ. Wracam do zakładów, o których właściwie mam mówić, do szpitali.

Starałem się wyliczyć te wszystkie, mniéj albo więcéj zawiłe warunki leczenia, które wywołują potrzebę oddzielnych dla tego celu zakładów, oddzielnych budynków. Ale pojmuję, że te wszystkie warunki nie przekonywają jeszcze o konieczności szpitala. Boć ostatecznie i obszerny, czysty, widny pokój dla operacyi i dla chorego, przyrządy sterylizacyjne i dostateczną liczbę wyrobionych lekarzy, należyte opatrunki, przyrządy elektryczne, to wszystko wreszcie można miéć i w domu. A pod względem moralnym na takiém pozostawieniu w domu, w otoczeniu najbliższéj rodziny, chory oczywiście skorzysta. Niektórzy ludzie w mowie, a nawet w piśmie na to rozerwanie rodziny w razie choroby silny nacisk kładą, uważają to za najszkodliwszą stronę szpitala i aby téj moralnéj szkody uniknąć, gotowi by zupełnie zamknąć wszystkie szpitale. Ach, szczęśliwi to ludzie, a przynajmniéj zamożni, tylko krótkim wzrokiem dotknięci i wyjątkowe warunki, w jakich żyją sami, uważają za powszechne. Bo rzeczywiście szpital

mógłby nie istnieć, gdyby społeczeństwo składało się wyłącznie z ludzi bardzo zamożnych. Szpital jest przedewszystkiém przeznaczony dla biednych, ale dla nich jest bezwarunkowo koniecznym.

Uprzytomnijmy sobie obraz tak zwykły, każdemu, aż nadto dobrze, z codziennego doświadczenia znany: jakie wrażenie w domu wywiéra ciężka choroba jednego członka rodziny. Przedewszystkiém oddaje mu się najlepszy pokój, otacza pomocą lekarską i wygodami, na jakie tylko dom zdobyć się może, na jakie zdobywa się z ciężkiemi nieraz ofiarami; bo podczas choroby ludzie zwykle z wydatkami się nie liczą; wszyscy członkowie rodziny są na usługi chorego, krewni w usłudze pomagają, a dzieci i dom cały pozostaje w rękach służby. Ażeby w ten sposób chorego pielęgnować, potrzeba oczywiście być bardzo zamożnym.

Ogromna większość społeczeństwa nie posiada żadnych zasobów; ani wygód potrzebnych, ani pomocy lekarskiéj, ani tego wszystkiego, czego leczenie wymaga, dać choremu nie może. Dziećmi i domem nie służba się opiekuje, ale matka domu; jeżeli ona chorym się zajmie wyłącznie, w całym domu nastąpić musi rozprzężenie. A przytém tam każdy pracuje i zarabia, trud utrzymania domu nie na jednéj głowie spoczywa. Jeżeli jeden pracownik, może główny pracownik zachoruje, zarobek innych jest tém ważniejszym w obec powiększonych wydatków. Więc, pomimo najserdeczniejszych węzłów, chory w swojéj rodzinie opieki znaleść nie może.

Największa część ludzi żyje w ten sposób, że codzienne dochody zaledwie na codzienne starczą wydatki. Skoro skutkiem choroby te dochody się przerwą, następuje nędza, wyczerpanie całego mienia. I nie łatwo dom po tem do swéj poprzedniéj względnéj powróci zamożności.

Jeżeli chory z domu się usunie, daje możność zarobku pozostałym członkom rodziny. Pozbawiony tego wielkiego ciężaru, którego znieść nie może, daleko łatwiéj dom cały przebędzie porę krytyczną.

A przedewszystkiem sam chory, o ileż w lepszych znajdzie się warunkach!

Nawet porównać nie można tych warunków, jakich szpital dla leczenia dostarcza, z tém, co w ciasnéj izbie dać może biédna rodzina. Bez porównania częściéj i w bez porównania krótszym czasie minie szczęśliwie choroba w szpitalu, niż w takim niezamożnym domu.

Choroba nie jest nieszczęściem, które wyjątkowo tylko się zdarza; należy ona do zwykłych, do koniecznych przejść w życiu; jest to nieszczęście, które często cały szereg innych pociąga za sobą.

Ludzi samotnych, pozbawionych rodziny, jest liczba nie mała,

a z ludzi niezamożnych społeczeństwo przeważnie się składa. W najcięższych przejściach swojego życia ci ludzie szpitala potrzebują i mieć go powinni, i to szpital uposażony w najlepsze warunki, jakie doświadczenie wieków wskazało.

Względy ekonomiczne, hygiena i względy ludzkości do tego zmuszają. A przedewszystkiém względy ludzkości. Największa téż ilość szpitali, zwłaszcza dawniejsze, a w niektórych krajach, jak w Anglii i u nas, prawie wszystkie szpitale są fundacyami dobroczynnemi. Szpital to najmilsze dziecię miłosierdzia.

Dobroczynne instytucye wogóle przy należytéj organizacyi stanowią jedną z ważnych podstaw szczęścia ogólnego. Szpital jest niewątpliwie najważniejszą z tych instytucyi, téj przedewszystkiém biedni od zamożniejszych domagać się mogą. Szpital to już nie łaska dobroczynna ze strony ludzi zamożnych, to obowiązek prosty. Prawda, że szpital jest instytucyą kosztowną, i wystawienie jego i pomieszczenie wielkich sum wymaga, ale w korzyściach, jakie przynosi, przywracając zdrowie i ochraniając od chorób, swe koszta, nawet pod względem ekonomicznym, hojnie społeczeństwu odpłaca.

Szpital powinien téż być najłatwiéj dostępnym, a tymczasem jest często niedoścignioném marzeniem dla tych, którzy najbardziéj go potrzebują. Bo przedewszystkiém z powodu zbyt małéj liczby, są one zwykle przepełnione, a powtóre, co zdziwi zapewne bardzo wielu, są one dla biednych—za drogie.

Leczenie biednych stanowi najważniejsze społeczne zadanie szpitala. Szpital jest przedewszystkiém instytucyą filantropijną i ten wzgląd najpilniejszą uwagę ogólną zwracać na nie powinien.

Na tych jednak istotnych, zasadniczych pożytkach, jakie szpital przynosi, nie ogranicza się całe jego znaczenie. Zawdzięczamy mu i inne, pośrednie wprawdzie, ale bardzo wielkie korzyści.

Zebranie większéj liczby chorych w jedném miejscu, pod opieką lekarzy, ułatwia w wysokim stopniu naukowe ich badanie. Bo lekarz, lecząc chorych, i badać ich musi, rezultaty badań porównywa, wyciąga z nich wnioski i tworzy naukę o chorobach, jak na każdém inném polu uczeni rozmaite przedmioty natury naukowym poddają badaniom. Bo wszystko na świecie, i słońce i ziemia i powietrze, jakiekolwiek zresztą te twory znaczenie mają dla człowieka, są zarazem przedmiotem badania dla umysłu ludzkiego; nawet sam człowiek, nawet ten jego umysł badawczy, jest zarazem i przedmiotem badania. Tak

samo człowiek nietylko pragnie usunąć choroby, ale zarazem musi je i badać.

Nietylko wrodzona ludzkości, najwyższa jéj cecha, żądza poznania, do tych badań nad patologią pobudza lekarzy, ale przedewszystkiém wzgląd na samych chorych. Wtedy najskuteczniéj leczyć umiemy choroby, kiedyśmy je dokładnie zbadali. W badaniach nad chorobami, ciekawość naukowa ściśle się wiąże z właściwym celem zawodu i z litością nad chorym.

Jak każdy naturalista, chcąc zbadać pewien dział przyrody, musi miéć liczny zbiór odpowiednich przedmiotów, tak i lekarz musi miéć odpowiednie pole badania w większéj liczbie chorych. Zebranie w jedném miejscu chorych, pomoce naukowe i liczni pomocnicy czynią ze szpitala właściwe pole do badań naukowych. Nigdy praktyka prywatna takiego materyału i tak ułatwionych warunków badania dać nie może. Przytém te rozmaite względy, które w praktyce prywatnéj stoją pomiędzy lekarzem a chorym, w szpitalu nie istnieją. Tu lekarz ma jedyne wobec chorego zadanie — uleczyć go; chory to czuje i najzupełniejszem zaufaniem lekarza darzy. Tu chory jest w zupełnéj zależności od lekarza; wszystkie jego zalecenia muszą być spełniane i żadne poboczne rady tu się nie dostaną. Rozwój szpitali jest jednym z najważniejszych warunków postępu medycyny i niewątpliwie w nowszych czasach wszystkie największe odkrycia i poglądy kliniczne wyszły ze szpitala. Szpital jest najobfitszém źródłem prac naukowych, zapełniających pisma lekarskie.

Ale dokładne zbadanie chorego wymaga dziś pomocy wielu przyborów, wymaga mikroskopu, pracowni chemicznéj i wielu przyrządów fizycznych. Naukowe wnioski, jakie z badania chorego wyciągnąć można, muszą być daléj prowadzone i to prowadzone w specyalnie urządzonych pracowniach. Prace nad bakteryami, które są przyczyną tylu chorób, wymagają wielu warunków i odpowiedniéj przestrzeni. W interesie nauki i dla dobra chorych, pracownia naukowa dziś niezbędnie do całości szpitala należéć powinna, i to pracownia odpowiednia, należycie zaopatrzona i przez stosownie przygotowanego człowieka prowadzona.

Szpital w ten sposób staje się nietylko zakładem leczniczym, nietylko przytułkiem dobroczynnym, ale i pracownią naukową. Jest on zarazem i szkołą dla lekarzy. Medycyny, bardziéj jeszcze, niż innych nauk przyrodniczych, z saméj książki uczyć się nie można, bo każda choroba rzeczywista ma swoją wybitną indywidualność, różni się od wszystkich innych przypadków; dlatego schematy, w książkach

podane, tylko do pewnego stopnia dokładnie ujmują naturę. Ażeby się nauczyć badać i leczyć chorego, potrzeba widzieć, jak inni badają i leczą. Nauka medycyny, to bezustanny ciąg tradycyi, który od najdawniejszych, aż do naszych czasów bezpośrednio od nauczyciela na uczniów przechodzi. Nauczyciel medycyny musi rzecz swoją wykładać na chorym, wobec chorego. W czasach, kiedy szpitale nie istniały jeszcze, uczeń towarzyszył mistrzowi w jego praktyce. Łatwo pojąć, jakie trudności przedstawiała nauka, prowadzona w ten sposób; łatwo też zrozumiéć, dla czego ta sztuka w rodzinach dziedzicznie z pokolenia na pokolenie przechodziła. I przez czas długi szpital ze szkołą nie miał żadnego związku; dopiéro od XVII, a właściwie od XVIII wieku poczyna się rozwój klinik, a wraz z tém rozwój medycyny i nauczania lekarskiego. Podstawą szkoły lekarskiéj jest dziś szpital, klinika, i bez klinicznych zakładów szkoły takiéj wyobrazić sobie nie można. Potrzebom téż klinicznym wiele szpitali zawdzięcza swe powstanie; są to wogóle szpitale wzorowe. Ale na klinikach nie kończy się pedagogiczne znaczenia szpitala. Sztuka lekarska jest bardzo trudną. Jakkolwiek studya medyczne dłuższego wymagają czasu, niż wszystkie inne, ten czas wcale nie wystarcza; lekarz, opuszczając uniwersytet z dyplomem, musi jeszcze lat kilka nauce i doświadczeniu poświęcić, zanim się należycie w zawodzie swoim wykształci. Czują to młodzi lekarze i tłumnie garną się do oddziałów szpitalnych. Bez przywilejów, bez zapłaty, podrzędne zajmując stanowiska, pracują ciężko i przez wiele godzin dziennie, jedynie dla wydoskonalenia się w zawodzie. Nie byłoby lekarzy wyrobionych, albo bardzo mało, gdyby nie było szpitali. Każdy oddział szpitalny jest szkołą lekarską. Asystenci, ucząc się w szpitalu, zarazem i wiele przynoszą mu korzyści. Lekarz szpitalny bez wyrobionych pomocników wcale dziś oddziału prowadzić nie może. A sama już obecność młodych kolegów wpływ bardzo korzystny wywiéra na ich przewodników. Zadawalnia to przedewszystkiém tak naturalne i tak pożyteczne pragnienie przelania swéj wiedzy i swego doświadczenia na młodszych kolegów, a zarazem podtrzymuje w jednostajnéj wciąż mierze jego gorliwość. Działalność lekarza w szpitalu należy do tych, które najmniéj kontroli podlegają, a taka działalność łatwo może osłabnąć; obecność młodszych kolegów osłabnąć jéj nie pozwala.

Kończąc tę pogadankę, usprawiedliwić się muszę, dla czego słuchaczów moich zająłem takim, bądźcobądź smutnym tematem.

Szpital jest jedną z najważniejszych instytucyi społecznych

i wielorakie społeczeństwu oddaje usługi, a więc i pewne wiadomości o szpitalach, o ich znaczeniu, wszystkich zajmować powinny. Przytém istnieją co do szpitali bardzo liczne uprzedzenia, które szpitalom i daleko większe jeszcze chorym szkody przynoszą. Te uprzedzenia chciałbym usunąć.

Przedewszystkiém lękają się ludzie, że choroby wogóle w szpitalach cięższy mają przebieg i gorzéj się kończą. W dzisiejszych czasach ten pogląd jest stanowczo niesłuszny. To, co chorobami szpitalnemi nazywają, zdarza się dziś częściéj w mieszkaniach prywatnych, niż w szpitalach; a znikną te choroby ze szpitala zupełnie, gdy nowe gmachy odpowiednio będą urządzone.

Zarzucają daléj, że w szpitalu bada się chorych, nie leczy, że się doświadczenia dokonywa nad nimi. Ale lekarz w badaniach swoich obejmuje przedewszystkiém leczenie i chory tém skuteczniéj jest leczony, im pilniejszą uwagę lekarza zwraca na siebie. Ten zarzut to raczéj pochwała.

Przypuszczają z drugiéj strony, że mniéj uważnie traktowani są chorzy w szpitalu, że są zaniedbani. Zaprzeczą temu przedewszystkiém ci, co się w szpitalu leczyli. Niech lekarz ma oddział odpowiedni, niech ma w nim możność badania i obok siebie młodych uczniów i pomocników, to z pewnością chory w takim oddziale niemniéj uważnie i niemniéj skutecznie będzie leczony, niż w najlepszych warunkach praktyki prywatnéj. Uprzedzenia, odnoszące się do szpitali, należą do najmniéj uzasadnionych i najszkodliwszych.

Wszystkie istotne wady, jakie szpitalom słusznie zarzucić można, pochodzą z niedostatecznego ich uposażenia. I dla tego jeszcze znaczenie szpitala ludzie znać powinni.

Zygmunt Kramsztyk.





Z BELETRYSTYKI ZACHODU.



I.

Marya Humphry Ward i jéj dwie powieści: *Robert Elsmere* (1888 r.) i *David Grieve* (1892 r.).

Ostatnią powieść autorki „Roberta Elsmere'a“ można uważać za wypadek literacki. „David Grieve“ pojawił się w druku w końcu stycznia w Londynie, a jednocześnie w Stanach Zjednoczonych Ameryki. W przeciągu pierwszego miesiąca rozchwytano w Anglii cztery edycye trzechtomowe; piąta jest już pod prasą. Żaden inny powieściopisarz angielski nie mógłby na podobne powodzenie liczyć z góry. Nie trzeba bowiem zapominać, że obstalunki u księgarzy posypały się wprzód jeszcze, zanim wiedziano o czém nowa powieść traktuje, a jedynie na wiarę nadzwyczajnego wrażenia, jakie przed czterema laty wywarła powieść poprzednia. Czy powodzenie obecnéj będzie tak trwałe i tak imponujące jak owéj, przyszłość dopiéro udowodni. Krytyka, która wyschnąć papiérowi nie dała i cisnęła się do rozbiorów i komentarzy, wydała o niéj sąd więcéj aniżeli przychylny. Tu i owdzie usłyszeliśmy nawet nazwę arcydzieła i znaleziono, że nareszcie George Eliot miéć będzie godną siebie następczynię. Wobec tak wyjątkowego stanowiska zdobytego przed niedawno jeszcze nieznaną autorkę i wobec laurów, jakie dla niéj splata krytyka, nie będzie zapewne od rzeczy zaznajomić z nią polską publiczność i przedstawić jéj jednocześnie obie powieści.

Gdy się w 1888-ym roku pojawił „Robert Elsmere“, imię autorki, chociaż już nie nowicyuszki w piśmiennictwie, nie posiadało jeszcze rozgłosu. Pierwszy jéj utwór, pochodzący z 1880 r., był powiastką

dla dzieci; w parę lat późniéj napisała jednotomową powieść „*Miss Bretherton*“, która bezwątpienia zginęłaby w zapomnieniu bez późniejszych sukcesów autorki. Przetłómaczyła także z francuskiego „Dziennik Amiela.“ Wybór ten pokazywał, że delikatność psychicznéj analizy do tak wysokiego stopnia, cechująca autora tego, posiada dla niéj powab wysoki. Wiedziano także, że była one współpracowniczką kilku encyklopedyi i przeglądów, gdzie poruszała rozmaite zagadnienia, teologiczne, filozoficzne, socyalne i czysto literackie. Pomiędzy temi ostatniemi okazała gruntowną znajomość piśmiennictwa hiszpańskiego. Ale jeżeli żadna z tych różnorodnych prac nie okryła jéj sławą, to w kołach naukowych Londynu, a szczególniéj Oxfordu, gdzie aż do zamążpójścia głównie przemieszkiwała, była już od pierwszéj młodości wysoko ceniona i znakomitości wiedzy, jak Mark Pattison, Tomasz Hill Green, profesor Freeman i t. d., spoglądały z nadzieją na jéj umysł żądny wiedzy i pragnący, że tak powiemy, wziąć ją szturmem. A nie może dziwić jéj wczesny pociąg do naukowéj pracy. Trudno o rodzinne otoczenie bardziéj się odznaczające pod tym względem, jak to, które się jéj dostało w udziale. Była ona wnuczką wielkiego d-ra Arnolda, słynnego dyrektora szkoły w Rugby, pierwszego pedagoga angielskiego i reformatora oświaty. Matthew Arnold, jeden z najznakomitszych współczesnych poetów i pierwszy z krytyków, był jéj stryjem i w jego domu przebywała panienką. Ojciec jéj, młodszy syn d-ra Arnolda, dyrygował zakładami naukowemi w angielskiéj kolonii Tasmanii, gdzie się urodziła Marya. Nie ma jeszcze lat pięćdziesięciu i obdarzona jest powabną powierzchownością. Od lat dwudziestu jest żoną p. Humphry Ward, pedagoga, literata, a w ostatnich czasach krytyka sztuk pięknych w dzienniku „*Times*“. W ich eleganckich salonach zbiéra się nie liczny, ale wyborowy za to świat inteligencyi stołecznéj.

„Robert Elsmere“, jak wiadomo, wysunął odrazu panią Ward na pierwszy plan i postawił w rzędzie tych powieściopisarzy, którzy piszą nie dla rozrywki czytelników wyłącznie, ale dla przeprowadzenia w téj poczytnéj, popularnéj formie pewnych filozoficznych, moralnych i społecznych dążności. Wiadomo, że liczni zwolennicy „powieści dla rozrywki“, i że wyrafinowani dyletanci, wysławiający „powieść dla sztuki“, ze zgrozą spoglądają na trzeci jéj rodzaj ochrzczony pedantycznie „powieścią tendencyjną“. Nie jest zamiarem naszym stawać w jéj obronie, choćby obrona ta była tém łatwiejszą, iż w historycznym przebiegu wszystkich piśmiennictw najtrwalsze miejsce zachowały właśnie te dzieła wyobraźni, które ogólniejszemu i głębszemu celowi służyć usiłowały. Ale przypomnimy, że w Anglii nie

istnieją zarzuty przeciwko powieści tendencyjnéj, która oddała społeczeństwu niezapomniane usługi. Dość będzie uczynić wzmiankę o powieściach Dickensa, które pociągnęły za sobą reformę zakładów szkolnych, o powieściach Karola Reada, za któremi poszła reforma więzień, albo o powieściach pani Gaskell, które otwarły potężną agitacyą za ulepszeniem bytu warstwy robotniczéj w wielkich miastach rękodzielniczych. Nie przeciwko powieści, służącéj jakiemu wyższemu celowi, jako takiéj,—ale jedynie przeciwko sposobowi, w jaki to chemiczne połączenie dwóch odrębnych pierwiastków dokonywane bywa, można wogóle i można było w tym razie czynić zastrzeżenia.

Jak zapewne czytelnikom wiadomo, pani Marya Ward obrała sobie jako osnowę powieści najwyższy, najdonioślejszy z problematów społecznych—problemat religijny. Nie stracił on dotąd w życiu angielskiém swego znaczenia. Można powiedziéć bez najmniejszéj obawy zaprzeczenia, że nie ma społeczeństwa głębiéj duchem religijnym przesiąkniętego. Chociaż w ostatniéj połowie wieku fanatyzm kościelny znacznie osłabł, to mimo tego dogmaty religijne i ich ujawnienie w téj lub innéj formie zewnętrznéj nie przestały trzymać społeczeństwa w swych karbach. Pomiędzy dwoma najgłówniejszemi krajami protestanckiemi, Niemcami a Anglią, istnieją różnice namacalne. W pierwszych, pomimo wysoko posuniętéj egzegezy teologicznéj, kościół nie może się uważać za przewodnika narodu i jego przedstawiciela w sprawach codziennego, praktycznego bytu; w Anglii przeciwnie, coraz mniéj liturgicznemi sporami i całą dogmatyką kościelną zajmuje się społeczeństwo, ale za to przywykło spotykać kościół, jego interwencyę, jego działalność, jego instytucye, jego patronat na każdym kroku. Prawdopodobnie, gdy kościół anglikański przestanie być urzędowym, państwowym, ten stan rzeczy się zmieni stopniowo. Ale na nic podobnego się nie zanosi, nie ma dotąd najmniejszego śladu agitacyi w tym kierunku i na taki radykalny przewrót duchowy wieki jeszcze czekać będzie można.

Lecz jeżeli masa narodowa nie uskarża się na jarzmo kościelne i dotąd ruch emancypacyjny przeciwko niemu się nie skierował, to nie da się zaprzeczyć, że w piśmiennictwie, wśród inteligencyi angielskiéj, wśród jéj hegemonów doktryny wolnéj myśli, moralności niezawisłéj od religii, agnostycyzmu etc., nietylko mają już przedstawicieli wybitnych, otwartych, ośmielających się do nich przyznawać bez obawy klątwy, ale liczba ich, powaga i wpływ wzrasta. Umysły do tradycyi przywiązane spostrzegają ze zgrozą, że i na tym punkcie twierdza staréj Anglii chwiać się w swych posadach zaczyna. Jak dopiéro co powiedzianém było, masy nie zostały jeszcze tą propagandą dotknięte

i praktycznych rezultatów téj ewolucyi duchowéj nie ma powodu przewidywać. Ale kościół anglikański czuje już, że przyszłość nie będzie dlań jedwabistą, że się kolcami najeży i że trzeba mu będzie uporczywie walczyć o utrzymanie swego uprzywilejowanego stanowiska. Kościół i religia w opinii ogółu zléwały się w jedną organiczną całość: było to pierwsze stadyum rozwojowe. W drugiém spostrzeżono i wykazano dwoistość ich natury. Obecnie jeżeli jest jeszcze mało jawnych napaści na religię, to kościół i jego instytucye liczą już przeciwników jawnych i zaciekłych wielu. Kwestye téj natury nie zostawiają nikogo w Anglii obojętnym, każda jednostka społeczna śpieszy się stanąć w arenie i zająć stanowisko za lub przeciw, stosownie do swéj duchowéj natury, swego umysłowego poziomu, a często swego osobistego interesu.

Znając taki nastrój społeczeństwa, nie można się dziwić, że pojawienie się „Roberta Elsmere“ wywarło nadzwyczajne wrażenie. Stronnicy kościoła przerażeni zostali agitacyą, jaką ta powieść wywołała. Ich energiczne protestacye doléwały naturalnie oleju do ognia. Im więcéj kazań po kościołach i kaplicach rzucało gromy na ten utwór bezbożny, im więcéj pamfletów i broszur odstręczało od niego czytelników, tém częstsze, tém energiczniejsze były odpowiedzi. W katalogu „*British Museum*“ znaleźliśmy przeszło sto broszur kruszących kopie bądź za „Robertem Elsmere'm“, bądź przeciwko niemu. Walka nie ograniczała się do Anglii, a po drugiéj stronie oceanu, w Stanach Zjednoczonych, polemika toczyć się jeszcze nie przestała: pułkownik Ingessoll między innemi wypowiedział już kilkadziesiąt mów na meetingach, specyalnie poświęconych rozbiorowi téj powieści. Największe znakomitości angielskie nie wahały się z téj okazyi wypowiedzieć swego zdania. Dość będzie przypomnieć artykuł krytyczny, jaki poświęcił téj powieści p. Gladstone w poważnym miesięczniku „*XIX Century*“ pod tytułem „Robert Elsmere i walka o wiarę“. Jak wiadomo, jest on gorliwym stronnikiem kościoła anglikańskiego, którego świeckim papieżem nieraz był przezwany. W jego oczach powieść pani Ward była ciosem tém mniéj załużonym przez Kościół, iż w jego organizacyi znajdować się mają wszystkie czynniki do tego dzieła moralnego odrodzenia, którego właśnie autorka jest zwolenniczką. Jak się można było spodziéwać, polemika tocząca się około téj powieści przyczyniła się niezmiernie do jéj rozpowszechnienia. W ciągu pierwszych pięciu miesięcy wyszło siedm edycyi w trzech tomach; następnie sprzedano 70,000 egzemplarzy jednotomowego wydania w Anglii, a 500,000 w Stanach Zjednoczonych. Nakoniec, jako praktyczny owoc téj agitacyi, w październiku 1890 roku otwartą

została w University Hall przez panią Ward instytucya dla klasy ubogiéj i mało oświeconéj, celem jéj kształcenie przez odczyty publiczne i wykłady, opiérające się wyłącznie na deizmie takim, jaki wyznawał bohatér powieści. Nie jesteśmy w stanie powiedziéć, czy apostolskie to przedsięwzięcie trwa jeszcze obecnie. Na piérwszém jego posiedzeniu pani Ward wygłosiła orędzie zagajające, które w swoim czasie miało wielki rozgłos. Zdawało się, że doktryny sformułowane w teoryi nie omieszkają wejść w praktykę życia. P. Stopford Brooke, oraz sędziwy dr. Martineau, którzy zasiadali wraz z panią Ward na wzniesieniu, wypowiedzieli przynajmniéj takie nadzieje. Zdaje się, że ogorzały im już skrzydła i że się przeświadczyli, jak dalece jest trudném pozbawić społeczność angielską tych węzłów z Kościołem i téj dogmatycznéj wiary, z któremi się zrosło. Nie zbywało naturalnie na drwinkach i samo z siebie nastręczało się porównanie z owym Kościołem, który August Comte, twórca pozytywizmu, założyć usiłował pod wezwaniem Klotyldy de Vaux. Przepowiadano Elsmeryzmowi taki sam upadek, i nie omylono się prawdopodobnie. Oczywista, że społeczeństwo angielskie nie może sympatyzować z tego rodzaju duchową syntezą: skok jest zbyt gwałtowny pomiędzy rzeczywistością taką, jaka jest, a ideałem wylęgłym w głowie garstki oryginalnych i niezależnych myślicieli. Ale kiełkowanie ziarna, rzuconego w glebę, zostawione być musi przyszłości. Dla powieści, jako takiéj, wystarczy już to, że w téj walce idei posłużyła za sztandar.

Nieraz już w powieściowych utworach angielskich spotykało się ostrą krytykę działalności Kościoła anglikańskiego. Zdawaliśmy tu niedawno sprawę o powieściach Edny Lyall, która poszła daléj, bo przeciwstawia chrystyanizm rzeczywisty faryzeuszowskiéj hypokryzyi, strojącéj się w religijne szaty. Ale tego rodzaju poglądy i doktryny, chociaż skierowane przeciwko absolutyzmowi Kościoła, korzyły się zawsze przed chrystyanizmem i można było optymistycznie przypuszczać, że autorowie ich należą do jednéj z tych licznych sekt protestanckich, które zerwały wprawdzie z hierarchią kościelną i wieloma z jéj form i obrządków, ale mimo tego, stoją na wspólnym gruncie religii objawionéj i skrystalizowanéj w dogmatach. Czytelnik musiał już zrozumiéć, że pani Ward staje pod całkiem innym sztandarem i że mimo wszelkich zastrzeżeń i ustępstw, jakie czyni panującym ideom religijnym, postawiła je w pośród symbolów przeszłości i że, jéj zdaniem, dalsza, wyższa cywilizacya wyzwolić się z nich będzie mogła, a nawet musiała. Autorka zatrzymała się wprawdzie na deizmie, na wyprowadzeniu całego świata przyrody i całéj ludzkości z początkowania najwyższéj, twórczéj istoty—Boga, ale przeciwnicy słusznie jéj

powiedzieli, że nic nie przeszkadzało jéj bohatérowi iść w apostazyi swéj daléj jeszcze, i dojść do czystego racyonalizmu i ateuszostwa, bo są przecież wielcy filantropi i humaniści nowożytni, którzy aż do takiego religijnego radykalizmu doszli, nie przestawszy być prywatnie i społecznie uczciwymi ludźmi. Możnaby w obronie autorki powiedzieć, że, posiadając swobodę twórczości, wolno jéj było obrać taką, a nie inną dla niéj podstawę, i że nie ma pomiędzy deizmem, niezaprzeczenie spirytualistycznêm pojęciem a działalnością bohatéra powieści takiego, jakim go skreśliła, najmniejszéj sprzeczności. Że sama ona do tego obozu należy i z nim sympatyzuje, wątpić nie można, chociaż trzyma się w sferze neutralnéj obiektywności. Zrozumiéć to można najlepiéj, wszedłszy w istotę obojga bohatérów powieści: Roberta Elsmere'a i jego żony Katarzyny Leyburn.

Robert jest entuzyastą religijnym i, opuszczając ławki uniwersyteckie Oxfordu, nietylko jest wiernym sługą Kościoła, ale stara się w swym zawodzie pastorskim przelać w parafian ducha ewangelicznego i zagrzać ich tym samym ferworem, który go ożywia. Na progu życia i zawodu spotyka Katarzynę, jakby na jego własny model ukształtowaną. Pała ona nietylko takim samym jak Robert ewangelicznym duchem, ale tli w jéj duszy istotny prozelityzm apostolski. Widząc jéj życie pełne zaparcia się i poświęcenia bez granic, czuje się że dla niéj nie będzie mogło być nigdy ani szczęścia, ani spokoju duchowego po za sferą religijną, nietylko górującą, ale pochłaniającą wszystkie inne czynniki wewnętrzne. Gdy po chwilowém wahaniu te dwie wzniosłe, idealne natury łączą się węzłem małżeńskim, ma się przed oczami obraz najwyższéj, jaką tylko wymarzyć można harmonii i jednolitości duchowéj. Pierwszy rok pożycia małżeńskiego, i działalność w powabnéj, dostatniéj parafii Murewell, gdzie oboje małżonkowie współzawodniczą w szlachetnych usiłowaniach dla podniesienia materyalnego bytu ludności, wydają się uroczą idyllą. Dramat rozpoczyna się z chwilą, gdy młody pastor wchodzi w bliższe stosunki ze swym kolatorem, squirem. Sir Roger Wendower jest uczonym, pracującym nad wielkiém dziełem filozoficznêm i historycznêm, mającém udowodnić i wykazać płonność wszystkich prawd i pewników, dotychczas za niezbite dowody uważanych w kwestyach religijnych. Jego umysł sceptyczny jest naturalnie pozbawiony wszelkiéj wiary pozytywnéj, i uważa ją za świadectwo niedołęstwa umysłowego. Ateuszowski jego nastrój ducha ma w sobie natarczywość i despotyzm jakobiński, zrozumiéć łatwo, iż pragnie zetrzéć z duszy entuzyastycznego kapłana świeży, dziewiczy pył wiary. Im większą dla jego bezinteresowności i poświęcenia czuć musi sympatyę, tém bardziéj o przeciąg-

nięcie go do swego obozu mu idzie. Robert, czerpiący w bibliotece squira wszystkie dzieła teologiczne, historyczne i filozoficzne, w które ona obfituje, zaczyna czuć w swym umyśle kiełkujące wątpienia. Wiara jego opiérała się dotąd na uczuciowéj podstawie: gdy się stara dać jéj naukową, i przeprowadzić ją zwycięską, tryumfującą po za szeregi biczujących ją antagonistów, czuje, że się mu z pod nóg usuwa. Pierwociny jego walki duchowéj są oddane przez autorkę z wzruszającą wiernością. Nie chce uledz bez oporu i czując, że mu własnych sił do tego boju nie starczy, udaje się po radę i wskazówkę do swego mistrza, oksfordzkiego profesora Grey'a, znakomicie narysowaną, a raczéj sportretowaną osobistość. Powraca utwierdzony w swych wątpliwościach i dochodzi ostatecznie do wniosków o Chrystusie, nie Bogu, ale człowieku i do uznania, że tak powiemy, chrześciańskiwa świeckiego. Ten gwałtowny przewrót w jego duchowych pojęciach dokonywał się samotnie i wielbiąca go żona nie mogła odgadnąć natury tego fermentu. Gdy otwarcie zmianę swych przekonań i rozbrat z całą swą przeszłością Robert jéj oznajmia, jest-to dla Katarzyny cios najcięższy, jaki w nią mógł ugodzić. Żadne jéj zaklęcia, modlitwy, nie są w stanie katastrofy czysto duchowéj odwrócić, ani jéj następstw załagodzić. Nie znamy w całym obrębie literatury powieściowéj epizodu silniéj, dosadniéj narysowanego, a jednocześnie delikatniéj wycieniowanego, jak te sceny, w których wiara Katarzyny walczy z jéj miłością, gdzie obowiązki natury przeciwnéj szturmują do jéj sumienia z jednakowym naciskiem. Gdy się pierwsza gwałtowność bólu zużyła, pozostaje ona przy swéj dawniejszéj, nienaruszonéj wierze, ale postanawia w niczém nie krępować ani wiary, ani dalszéj działalności męża i podwaja dlań miłość, aby mu stracony klejnot wiary wynagrodzić. Przeciwko temu postanowieniu Katarzyny krytyka wyraziła się nieraz surowo i nie bez słuszności. Miłość stała zawsze u téj chrześciańskiéj Judyty na dalszym planie, zaćmiona przez zapał religijny, a raczéj niesiona na jego skrzydłach, i było naturalném, że się w puch rozwiać musi, gdy jéj tego przewodnika zabraknie. Nie można zrozumiéć, że pokaźne jeszcze pozostały jéj szczątki i materyał do życia, po apostazyi dokonanéj przez jéj dotychczasowego sprzymierzeńca.

Duchowy przewrót, dokonany w umyśle Roberta i w jego duszy, pociąga za sobą i praktyczne następstwa. Postanawia porzucić nietylko swe probostwo, ale i Kościół, z którym żadne węzły go już nie łączą. Napróżno od tego rozpaczliwego kroku odstręcza go mistrz oksfordzki, który mu pokazuje wielu kapłanów żyjących z ołtarza po utraceniu weń wiary, napróżno nalega nań sir Roger Wendower, czu-

jący próżnię, w którą popadnie po ubytku tego nieocenionego adepta: natura jego jest zbyt uczciwa, aby się zgodzić na takie dwuznaczne położenie. Zrywa więc ostatecznie z całą swą przeszłością i zaczyna drugi peryod życia, peryod walki uporczywéj, mozolnéj. Widownią jego jest Londyn. Robert Elsmere zamieszkuje wśród dzielnicy robotniczéj, wśród ludności ugrzęzłéj nietylko w materyalnéj nędzy, ale w moralnym kale, w umysłowéj ciemnocie. Tym nowoczesnym poganom przynosi on słowo pociechy i smugę światła. Stwarza „Nowe bractwo Chrystusowe“ i gromadzi około siebie wszystkich wydziedziczonych. Jego odczyty i mowy na Elgow-Street mają wiele przeciwieństw do zwalczenia, a największą jest apatya niższych warstw społeczeństwa względem wszelkich podniosłych zagadnień. Nie brakuje także Robertowi obok trudności w apostolsko-agitatorskiéj działalności i innych, postronnych. Przez rozgłos, jaki wywołała jego apostazya, zjednał on sobie wziętość wśród różnych grup towarzyskich i umysłowych. Wielkoświatowa pani de Netterville chce go usidlić i przykuć do swego rydwanu; rodzina Wardlow, złożona z pozytywistów, stara się go zwerbować do swego wyznania. Katarzyna idzie z nim razem przez cierniową drogę i podpiéra go, gdy się siły jego wyczerpują w walce nierównéj.

Łatwo zrozumiéć, że cały świat teologów anglikańskich pod nieubłaganą swą krytykę poddał „nowe bractwo Chrystusowe“ i rozmaite poczynił mu zarzuty. Sekta „unitarystów“ poznała się w tym obrazie i istotnie wyznanie jéj wiary sprowadza się do chrześciańskiéj moralności bez Chrystusa, bez dogmatów, bez mitologii i bez organizacyi kościelnéj... Nie potrzebujemy tu wchodzić w te polemiki, których zaciętość odgadnąć nie trudno. Czytelnicy zrozumieją doniosłość zadania, jakie sobie postawiła pani Ward. Idealny kapłan jéj zrywa z kościołem i z wszelką pozytywną wiarą, a idzie służyć cierpiącéj i opuszczonéj ludzkości, niosąc jéj w dani wszystkie swe siły, i padając ofiarą swego poświęcenia bez granic. Im wyższy, im czystszy był cel, któremu się oddał całkowicie, tém bledsze, tém ujemniejsze światło rzucała ta ofiara na istniejący świat religijny. Bacząc na angielskie stosunki, przedsięwzięcie to było bardzo zuchwałe, i nie da się porównać do George Sand'a, piszącéj *M-lle de la Quitinie:* ona dobijała się do drzwi stojących na rozcież, kiedy autorka angielska rzuciła rękawicę społeczeństwu, uszeregowanemu prawie całkowicie pod innym znakiem.

Nie ma powodu rozszerzać się nad pisarskiemi usterkami téj słynnéj powieści. Są one wielkie, ale chociażby były jeszcze znaczniejsze, nie stanęłyby na zawadzie ogromnemu znaczeniu etycznemu

tego utworu. Można powiedzieć, że publiczność, podbita doniosłością traktowanego zagadnienia, nie troszczyła się bynajmniéj o formę, w jaką odziała ją autorka. Na jéj błędy wszelako zwracała uwagę owa czysto literacka krytyka, która ją powitała natychmiast po wyjściu z druku i która nie przeczuwała potężnego niebawem rozgłosu. Czytając obecnie, po upływie trzech lat zaledwie, rozbiory krytyczne takich tygodników, jak *Academy* albo *Atheneum*, albo *Saturday Review*, czujemy się zdumieni brakiem bystrości u krytyków: użyteczna to dla każdego recenzenta przestroga! Że powieść takiego nastroju nie mogła być lekką, to rzecz oczywista. Kwestye filozoficzne i etyczne nie były w niéj zaprawą, ale samą osnową. Widocznèm było, że brakowało autorce doświadczenia pisarskiego i że zamiast uprościć swój przedmiot, skomplikowała go niepotrzebnie. Nie ma równowagi pomiędzy czysto powieściową a teoretyczną częścią; nie ma logicznego porządku w opisywanych zdarzeniach, ani żywości w ich toku; są całe rozdziały, któreby bez żadnéj straty wyrzucić można, a są epizody, któreby było wypadało szczegółowiéj przedstawić. Jest także wadą uderzającą, że autorka nie ogranicza się na jednéj nici i intrydze, ale prowadzi ich dwie lub trzy jednocześnie. Dla antytezy z poważną Katarzyną postawiła jéj siostrę, Rózię. Wprawdzie całe rozdziały, które się téj ostatniéj tyczą, jéj przygody w świecie estetów londyńskich są interesujące i w opinii wielu czytelników stanowią świetlaną część utworu, ale łatwo zrozumieć, że to powiększa objętość powieści, nie przyczyniając się do wyświetlenia najważniejszego przedmiotu. Zdawało się tedy słusznèm po tym utworze, nie stawiać pani Ward na tym samym poziomie, co George Eliot'a. Każde wielkie psychiczne zagadnienie, które ona traktowała, oddane było z takiém mistrzowstwem formy, że czytelnik nie miał możności skarżyć się na jego niewłaściwość w powieści. Nigdzie lepiéj nie pokazuje się, jak daleko stoi jeszcze autorka „Roberta Elsmere“ od nieśmiertelnéj autorki „Adama Bede“, jak porównywując te dwie powieści, zbliżone poniekąd treścią, a tak różne układem i sposobem traktowania. Pierwszy pozostanie arcydziełem wszechpiśmiennictw, drugi po prostu objawem pewnego duchowego fermentu w danéj chwili wśród społeczeństwa angielskiego.

Nadzwyczajne powodzenie, jakie znalazł „Robert Elsmere“, postawiło, jak się samo przez się rozumie, panią Humphry Ward na widowni i przygotowało ten natychmiastowy sukces „Dawida Grieve,“ o którym na wstępie uczyniliśmy wzmiankę. Trudne jest położenie pisarza, który rozbudził bujne nadzieje. Nowy utwór nie oceniany jest sam w sobie, ale przez porównanie z dawniejszym. Krytyka jest

wymagającą, szuka plam na słońcu, i wielkie muszą być zalety nowéj powieści, skoro wyszła nie tylko obronną ręką z tego drobiazgowego przeglądu, ale ustaliła ostatecznie stanowisko jéj autorki. Nie potrzebujemy już obecnie zajmować się rozwiązaniem zagadki, czy pani Humphry Ward jest lub nie jest spadkobierczynią George Eliot'a. Wystarczające dała już dowody, że jest myślicielką samodzielną i artystką.

Nie trudno było przewidzieć, że treść nowéj powieści będzie odmienna od dawniejszéj. Świeżo wstępujący w szranki literackie pisarze nie mają jeszcze wyżłobionéj modły, do któréj by powracali mechanicznie i mogą zatrzymać się nad tą stroną życia, która ich chwilowo do siebie nęci. Ci co wiedzieli, że słynna autorka, za którą chmara reporterów iść w ślady nie przestawała, spędzała rok cały w Paryżu i obracała się wśród tamtejszych kół artystycznych, mogli odgadnąć, że czyniła studya, na których żniwo nie długo czekać przyjdzie. Ale chociaż przewidywanie to okazało się usprawiedliwioném, nie należy sądzić, żeby „David Grieve“ był dydaktyczną powieścią o sztuce pięknéj. Wchodzi ona do jéj osnowy tylko jako epizod i nie jest, na szczęście, zasadniczą tezą. Już z tego jednego rysu spostrzedz się daje, że talent autorki zmężniał, spotężniał. Robert Elsmere, pomimo wszystkich swych cech indywidualnych, był abstrakcyą nie zaś żyjącym człowiekiem i przedstawiał po prostu myśl wyswobadzającą się z więzów wiary religijnéj. Przeciwnie, Dawid Grieve jest człowiekiem żyjącym, ze wszystkiemi jego wadami, skłonnościami, z pełną grą instynktów, zwyczajów, zasad w ciągłym przerobie ewolucyjnym. W miarę jak autorka prowadzi nas przez rozmaite jego losów koleje, jak wprowadza go w stosunki z rozmaitemi osobistościami, otwiera przed nami nowe perspektywy życia i nurza nas w pieniącym się jego prądzie. Że umiała myśléć abstrakcyjnie, wiadomo już było dawniéj: obecnie udowodniła, że umié obserwować człowieka, ludzi, społeczeństwo, bez pomocy żadnych sztucznych okularów, bez żadnych apryorycznych formułek, i wyciągnąć ze swych spostrzeżeń wnioski głębokie, a głębokie chociaż nie są odziane w żadne pedantyczne szaty. Ani o wysokiéj potędze imaginacyi twórczéj, ani o jéj artystycznym talencie jako pisarza wątpić nareszcie nie można. Gdy nakoniec weźmiemy na uwagę, jak się poważnie pani Ward na swój zawód piśmienniczy zapatruje, jak sumiennie studyuje zanim się do pisania weźmie, to utrwalamy się w przeświadczeniu, że nie ma nic wspólnego między nią a romansopisarzami sypiącemi powieściami tak, jak kury niosą jaja — bez wytężenia. Nie tylko handel księgarski zapisze jéj imię w swym bilansie: raz na zawsze pozostanie ono w dziejach piśmiennictwa angielskiego.

Być może, iż zawzięci sekciarze, którzy sądzili, że pióro jéj wyłącznie ich tylko sprawie służyć będzie, mogą w obec téj powieści, całkiem od ich przewidywań odmiennej, czuć pewien żal egoistyczny, lecz ogół wykształcony i myślący powita ten owoc soczysty, dojrzały z nietajoną a sprawiedliwą radością.

Chociaż pospieszyliśmy się uznać, że „Dawid Grieve“ jest utworem pierwszorzędnym, to nie chcemy bynajmniéj utrzymywać, aby nie posiadał wad i usterek. Pierwszą z nich jest ta, którą grzeszy tylu powieściopisarzy angielskich—rozwlekłość. I z niéj dałoby się wyrzucić kilka a może i więcéj rozdziałów, bez żadnego uszczerbku a z wielkim zyskiem artystycznego piękna. Rozwlekłość ta i brak skupienia zdają się być nieodzowną właściwością powieściowych opowiadań napisanych podług wzoru „Wilhelma Meister'a“ Goethego. Wiedzą czytelnicy, ile niepotrzebnych, niewiążących się bezpośrednio ze swą osnową przedmiotów włączył Goethe do téj powieści. Nie skarżymy się na to dla tego, że w dziele genialnego pisarza, uświęconego przez potomność, każde źdźbło jego myśli jest nam cenne. Dla czego jednak kaprys twórczéj wyobraźni autora takie a nie inne epizody luźne do tła swego opowiadania wciągnął — nie można żadną teoryą ani żadnym logicznym wywodem wytłumaczyć. Naturalnie, że współczesna autorka na taką pobłażliwość liczyć nie może. Cały epizod paryski jéj powieści, owo *Sturm-und Drangperiode*, który co do nas stawiamy bardzo wysoko, a który u czytelników nawykłych do konwencyonalizmu tutaj przemagającego wywołał protestacye i rumieńce wstydliwe, mógłby istotnie być zastąpiony całkiem innym epizodem. Homeryczny śmiech wywołało jednakże pobożne życzenie wyrażone w tym tygodniu przez jednego z krytyków, który żałuje, iż autorka dla ustatkowania młodzieńczego charakteru swego bohatera i dla wyklarowania przez ogień życiowy, rzuciła go w piekło paryskie, zamiast posłać do karczowania lasów w odludnéj kolonii! Chociaż takie przeciwstawienie planu indywidualnego planowi autorki jest niedorzecznością, to nie mniéj przeto kładzie palec na niedostatek utworu powieściowego, który przypomina niby paciorki w różańcu, nanizane wprawdzie na jedną nić, ale któreby snadnie przez inne zastąpione być mogły.

Historya „Davida Grieve“ rozpada się na cztery księgi, opisujące z kolei dziecinne lata, młodość, lata burzy i walki i dojrzałość bohatera. Nie ma nic piękniejszego, jak część poświęcona dziecinnym latom bohatera, a raczéj dwóch, bo obok Davida w całéj pierwszéj połowie powieści znajdujemy jego siostrę Ludwisię, jeden z najdoskonalszych, najgłębiéj wystudyowanych charakterów, jakie znaleść można w imaginacyjném piśmiennictwie. Śliczne krajobrazy wiejskie

hrabstwa Derby dają całemu temu początkowi powieści nastrój idylli. David i Ludwisia, sieroty po fermerze i po matce, francuzce, która od męża uciekła, są oddane na wychowanie stryjowi i jego żonie. Wybornie odmalowała autorka te dwie figury, sumiennego ale skupionego w sobie, zafukanego przez żonę fermera i żony skąpéj, przewodzącéj, o nieugiętym charakterze. Dwie sieroty pod taką pieczę oddane, są w całém słowa tego znaczeniu nieszczęśliwe. Delikatna, myśląca natura chłopca skupia się w sobie i ideał szczepi się w niéj przez cierpienie i przez wpływ książek i nauczyciela wiejskiego, nader oryginalnéj figury; dziewczynka za to, o temperamencie krnąbrnym i materyalistycznych popędach, odziedziczonych po matce, wyrabia w sobie nastrój cyniczny i samowolny. Nieraz już w powieściach angielskich spotkać było można obraz dziecięcych postaci cierpiących prześladowania i rozwijających się przez nie. Czytelnicy mają w pamięci niejedną powieść Dickensa téj osnowy. Ale jeżeli tam strona sentymentalna dźwięczy przeważnie, a często nawet chorobliwie, to u pani Ward nie staje nigdzie na pierwszym planie, i służy poprostu jako czynnik, przez który dana osobistość psychiczna w ten a nie inny urobiła się sposób.

W drugim, młodzieńczym peryodzie życia Davida, autorka pokazuje go nam w Manchesterze, jako pomocnika u księgarza. Kiedy jego zwierzchnik jest gorliwym adeptem jednéj z licznych sekt dysydenckich, młodzieniec, żądny wiedzy nie do kaplic ale do naukowych zgromadzeń uczęszcza. Rzuciwszy się najprzód z zapałem do dzieł Holbacha, Diderota, Voltaira, Helwecyusza, dochodzi do absolutnéj negacyi w kwestyach wiary, a dopełnia swego wykształcenia zasiadłszy do grecko-łacińskich a następnie do romantycznych poetów francuskich. Nie brakuje żadnego ogniwa w tym łańcuchu umysłowego rozwoju i rozumiéć można, że jeżeli nigdy już w téj podniosłéj naturze kwiat wiary nie zakwitnie, jeśli skrupuły religijne nie potrafią go ustrzedz od moralnego upadku, to zamiłowanie wiedzy i nawyknienie do przebywania wśród wielkich umysłów i humanitarnych zagadnień, doprowadzi z czasem tę szlachetną naturę do wewnętrznéj równowagi duchowéj.

Powiedzieliśmy dopiéro co, że trzeci peryod życia Davida Grieve, ten który upływa w Paryżu artystycznym, jest sam w sobie nie tylko wysoce dramatyczny, obfitujący w wypadki efektowe, ale napisany z odwagą, która w literackich produkcyach angielskich jest rzadkością, a pod piórem kobiéty istnym unikatem. Jesteśmy pewni, że chociaż wszyscy czytać będą właśnie te epizody z najżywszym interesem, będą się z urzędu czuć obowiązani do wyrażenia żalu, iż powieść

angielska, dotąd dziewiczo biała, wstąpiła na brudne podwórze sprośności i realizmu. Nie potrzebujemy zapewne uprzedzać czytelnika, iż nigdzie najmniejszéj obrazy dla przyzwoitości nie ma, że autorka po prostu z politowania godnych formułek konwencyonalnych przeszła do świata rzeczywistego, takiego jakim jest. Można nie dotykać zapewne prywatnego życia artystów francuskich płci obojéj, ale jeżeli się daje jego wizerunek, to nie można wmawiać w czytelnika, że każdy wolny związek, który jest tam normalnym wypadkiem, był poprzedzony tajemném małżeństwem! Wolno natomiast zapytać autora, czy wszedł aż do jądra tego świata i czy przedstawił go w istotném jego świetle. Dotąd żaden powieściopisarz angielski nie potrafił tak wiernie, tak jędrnie, a zarazem tak obiektywnie téj *bohemy* artystycznéj przedstawić. Sceny i rozmowy, jakie się odbywają w kawiarni *Trois Rats*, noszą niezaprzeczone piętno prawdy i błyszczą miejscowym kolorytem; są jednostki jak rzeźbiarz Montjoie, uwodziciel Ludwisi, którego postać mogłaby być mniéj zmyśloném ochrzcona nazwiskiem. Autorka miesza nawet osobistości rzeczywiste, jak wielkiego malarza Henryka Regnault do akcyi, i chociaż jest tylko dodatkową, na uboczu stojącą postacią, przyczynia się do spotęgowania wrażenia prawdy życiowéj, jakie to środowisko wywołuje. Innym razem, można podejrzéwać panią Ward, że odmalowała dobrze znane figury pod przybraną postacią i że na dnie fikcyi leży cały snop spostrzeżeń i analizy psychicznéj czynionych *in anima vili*. Kto wié, jak wielkiego rozgłosu używa osoba młodo zmarłéj, utalentowanéj malarki, panny Baszkircew, któréj reklama po śmierci odpoczynku odmawia i z najbardziéj osobistych listów i kartek dziennika wznosi sztucznie karciany gmach sławy, ten nie będzie potrzebował daleko szukać wzoru, jaki w jednéj przynajmniéj stronie charakteru posłużył pani Ward do odmalowania typu téj artystki, która bądź co bądź drze się do famy i która wszystkie inne strony życia dobrowolnie spaliła jéj w ofierze.

Na tém tle gorączkowém, gdzie idee abstrakcyjne, walka zasad, czcze a buńczuczne deklamacye, osobiste interesy, gra instynktów i popędów zwierzęcych zléwają się w różnowzorą mozajkę, autorka rzuciła dwóch swych bohatérów. Toną w téj kałuży, jeden przynajmniéj na dobre — Ludwisia. Nie słuchając rad i przestróg brata, który zresztą własnym porwany prądem spuszcza ją z oka w chwili, gdy był jeszcze ratunek, służy najprzód za model rzeźbiarzowi, potém staje się jego kochanką. Logicznie widzimy coraz głębszy upadek istoty wyjątkowo obdarzonéj, ale pozbawionéj wszelkiego moralnego fundamentu. Nigdy instyktowość, egoistyczny charakter natury nie

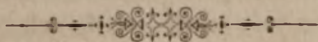
był przedstawiony z większém mistrzowstwem. Autorka, która w Katarzynie Elsmere skreśliła idealną naturę kobiéty o wzniosłym religijnym ideale, w Ludwisi Grieve równie doskonale wystudyowany typ ujemny nam dała. Tragiczna jéj śmierć przez samobójstwo jest naturalnym epilogiem życia, któremu żadna jasna nie przyświecała gwiazda. David także przechodzi przez miłosną katastrofę. Niedoświadczony, entuzyasta, upada z łatwością w ramiona artystki, w któréj jednocześnie i kapłankę sztuki i piękną kocha dziewczynę. Ale miodowy miesiąc téj pary, tak pośpiesznie sprzężonéj, nie ma przyszłości i kończy się równie szybkiém rozczarowaniem. Eliza Delaunay spostrzega, że miłość nawet tak pięknego i szlachetnego młodzieńca i odosobnione z nim życie w wiosce Barbizon, nie może stawać na przeszkodzie jéj zawodowi artystycznemu: ona pragnie rozgłosu, reklamy, pragnie narzucić się owemu światu paryskiemu, po za którego artystyczną atmosferą oddychać nie umié, i nie bacząc, czy złamie serce kochanka, powraca niebawem do swéj pracowni i swojéj bohemy. David jest oszołomiony tym upadkiem nagłym: cała kunsztowna budowa jego szczęścia, jego wiara w kobiétę, w sztukę, w ideał, runęła od razu. Katastrofa, któréj się jednocześnie siostra jego stała ofiarą, jest ostatnią kroplą przeléwającą czarę. Wyrzuty sumienia otwiérają mu oczy i wskazują, że zaspokojenie pragnień egoistycznych wiedzie w ten lub ów sposób do niezawodnego upadku. Wyższe cele i szersze obowiązki, których miał zawsze świadomość, a które chwilowo się tylko sćmiły pod popędem młodzieńczéj namiętności, są dlań wybawczą kotwicą.

Uspokoiła się ta wewnętrzna burza, ale nie odrazu nastąpił stan normalny. Powróciwszy do swéj dawniejszéj sfery działania w Manchesterze, chociaż mu się materyalne powodzenie uśmiécha, chociaż staje się głową potężnego domu wydawniczego, David Grieve jest długo automatem bezdusznym. W téj epoce przejściowéj żeni się z Lucyą, córką swego dawnego pryncypała, która mu dała tyle dowodów poświęcenia i miłości, a żeni się raczéj z wdzięczności, aniżeli z żywszego przywiązania. Prozaiczna, choć z gruntu uczciwa natura żony długi czas zostawia go obojętnym. Dopiéro w czasie choroby jéj, która się śmiercią kończy, nauczył się i oceniać ją i kochać. Są sceny przy zwłokach téj żony, sceny, w których ateusz stawia sobie przed oczami ducha zagadkę nieśmiertelności duszy, o patetyczności i wysokim nastroju filozoficznym. W ostatnich latach, śledząc rozwój jedynaka syna, zajmując się wielkiemi dziełami filantropijnemi, podnosząc materyalny i moralny poziom warstwy robotniczéj, z którą się znajduje w zetknięciu, David prowadzi życie użyteczne,

pełne, ale w którém dla przygód romantycznych, a zatém dla powieści, nie ma już miejsca. Autorka, dla dopełnienia duchowego wizerunku swego bohatéra, daje liczne wyciągi z jego dziennika, gdzie zagadnienia religijne i filozoficzne porusza. Jest-to temat, którego pokusie widocznie autorka „Roberta Elsmere“ oprzéć się nie mogła. Nie omylimy się zapewne, przypuszczając, że wielu czytelników te stronnice pobieżnie tylko przerzucać będzie. Wypadałoby zapewne wejść w szczegóły téj analizy duchowéj, przedstawionéj z nadzwyczajną subtelnością i zmierzającą do pokazania, że człowiek, który nie jest świętym, który popełnił i błędy i grzechy, może znaleść odkupienie, spokój duchowy, równowagę moralną, nie uciekając się do dogmatów wiary, ale do szerokiego humanitaryzmu. Nie chcemy nadużywać cierpliwości czytelnika i zostawiamy mu możność wyciągnięcia samemu wniosków i morału z téj opowieści.

Streszczając osnowę powieści, dotknęliśmy już tylu jéj stron i tylu najgłówniejszych rysów, że nas to od wszelkich końcowych uwag uwolnić może. Ale czy się będzie wysławiało kunsztowne zespolenie realizmu z ideałami, zerwanie z ciasnym konwencyonalizmem, wizerunek życia nie wykastrowanego, pogardę filistynizmu, czy się będzie podziwiało głębokość analizy psychicznéj i tryskające wewnętrzną prawdą przedstawienie charakterów, czy się nakoniec będzie rozbiérało etyczne i religijne zagadnienia, w których dziedzinie autorka z taką się swobodą obraca, to zawsze dojść będziemy zmuszeni do wniosku, że się ma tu do czynienia z utworem rzadkiéj wartości. O postępach, jakie pani Ward okazuje pod względem pisarskim w porównaniu z dawniejszą swą powieścią wątpić nie można. Pozostaje jeszcze do życzenia, ażeby została lżejszą, jaśniejszą, ażeby nie znać było żadnego mozołu w jéj twórczości. Rusztowanie powinno być zrzucone, powiedział ktoś trafnie, ażeby wrażenie gmachu ocenioném należycie być mogło. Gdy dotkryny filozoficzne, których jest orędowniczką, zleją się w tak organiczną całość z utworem jéj fantazyi, iż ich odrębnéj natury rozpoznać już nie będzie można w jędrnym i harmonijnym organizmie, wówczas pani Humphry Ward trzymać będzie berło w pośród powieściopisarzy współczesnych. Małego już tylko do tego wysiłku będzie jéj potrzeba.

N. T.





REFORMY USTAWODAWCZE

W BELGII.

Minęły niepowrotnie te czasy, kiedy konwent francuski w parę dni, prawie bez rozpraw, dekretował pierwszą ustawę republikańską dla Francyi, lub kiedy władca Europy, przejazdem dyktował *ex promtu* konstytucyę dla stworzonego przez siebie ułamka państwowego. Sprawozdawca komisyi ustawodawczéj konwentu, Hérault de Séchelles, mając wygotować powierzony sobie projekt, zażądał był z paryskiéj biblioteki narodowéj „egzemplarza konstytucyi kreteńskiéj króla Minosa“, a gdy mu tak szczególnego utworu dostarczyć nie umiano, doskonale bez niego dał sobie radę; Napoleon I do *Volumin*'ów *legum* nie myślał zaglądać. Szczęśliwa to była epoka nieomylnych a prostych teoryi politycznych, nieomylnego a prostszego jeszcze czynu. Rządzić ludźmi wydawało się rzeczą prostą, jednakowo prostą nad Sekwaną, Manzanares'em lub Wisłą.

Dzisiaj dzieje się inaczéj. Nie powstają już prawa polityczne w próżni, wytwarzanéj przez doktrynę abstrakcyjną lub wolę jednego człowieka, próżni bezwzględnéj, równéj dla różnych krajów i narodów, które też jednakowe ustawy miewały sobie narzucane. Wypełniły tę próżnię skomplikowane warunki dziejowe i wymagania życia spółczesnego; pierwsze zaś pośród nich miejsce zajęły warunki i wymagania natury ekonomicznéj. Nie zostały zatamowane prądy reformatorskie, które owszem, ze wzrastającą mocą torują sobie drogę we wszystkich niemal dziedzinach życia społecznego. W szczególności jednak reformatorstwo polityczne znacznie zwolniło kroku; nie jest już samo w sobie celem, jest środkiem dla osiągnięcia celów dalekich a różnorodnych; nie może też działać dłużéj despotycznie a na oślep, jak w końcu zeszłego i na początku bieżącego stulecia.

Tym sposobem stało się możliwém, że we Francyi, tak skoréj do niebezpiecznych eksperymentów politycznych, po raz pierwszy dzisiaj w ciągu stulecia rząd republikański doczekał się pełnoletności cywilnéj; przetrwawszy szczęśliwie datę krytyczną dwudziestoletnich narodzin, któréj nie przeżyły ani obiedwie pierwsze republiki, ani dwa cesarstwa, ani odnowione rządy burbońskie i orleańskie. Wogóle, ostatnie wielkie, zamknięte w sobie pomniki ustawodawstwa politycznego w Europie datują się z ósmego dziesiątka b. w. Tutaj należy karta konstytucyjna cesarstwa niemieckiego z 1871 r., ustawa szwajcarska z 1874 r., ustawa republikańska francuska z lutego 1875 r. Były wprawdzie podejmowane od owego czasu doniosłe reformy polityczne w wielu krajach Europy zachodniéj; we Francyi częściowa rewizya konstytucyi dokonana była przez kongres wersalski w sierpniu 1884 r., a następnie przez znoszące się nawzajem prawa wyborcze z 1885 i 1889 r.; w Anglii wielkie reformy gladstońskie z 1885 i 1886 r., przez zaprowadzenie głosowania powszechnego, przygotowały zupełny przewrót w stosunkach wewnętrznych ojczyzny parlamentaryzmu nowożytnego; w Szwajcaryi ustawodawstwo kantonalne i federalne nieustannym a głębokim ulega zmianom, zalewane przez rosnącą falę wymagań demokratycznych. Są to jednak wszystko usiłowania ułamkowe, podejmowane w stopniowaniu powolném. Dążenia ku zupełnemu przetopieniu całkowitych ustaw politycznych kraju niedawno jeszcze we Francyi dotkliwéj doznały porażki w osobie niefortunnego pretendenta: dziwaczna a groźna koalicya hr. Paryża, p. Clémenceau i popularnego generała nie była w stanie, mimo największe wysiłki, przeprowadzić powszechnéj rewizyi konstytucyi.

W takiéj chwili, gdy dążenia nowatorskie, nie tracąc na energii, zwolniły przecie biegu w dziedzinie właściwego ustawodawstwa, niespodzianie występują z całym dawnym impetem w państwie drobném, a w Europie jedném z najmłodszych. Neutralna Belgia, w niewygodnéj swojéj sytuacyi pomiędzy młotem francuskim a niemieckiém kowadłem, zdobywa się na eksperyment polityczny, przed jakim cofają się najpierwsze narody europejskie i śmiało przystępuje do odnowienia gruntu swojéj ustawy konstytucyjnéj, na któréj od lat 60 spoczywa nietylko byt jéj wewnętrzny, lecz oraz bezpieczeństwo międzynarodowe. Rewizya powszechna konstytucyi belgijskiéj lada dzień postanowioną zostanie przez izby brukselskie i podług wszelkiego prawdopodobieństwa jeszcze w ciągu roku bieżącego doprowadzona będzie do skutku. Dzieło reformy politycznéj w Belgii podjęte zostało na najszerszą skalę, dotyczy bowiem zasad fundamentalnych ustawy 1831 r. Podjęte zostało jednocześnie przez opinię publiczną,

parlament, a głównie nawet — wypadek w swoim rodzaju jedyny — przez rząd klerykalny. Podjęte w końcu w sposób szczególnie śmiały, w dawnym stylu twórczości politycznéj z przed stu laty, gdyż między innemi, dążą do urzeczywistnienia nowych zupełnie pomysłów teoretycznych. Wobec takich warunków sprawa rewizyi konstytucyjnéj w Belgii staje się zjawiskiem wyjątkowém i z ogólniejszego stanowiska zajmującém.

Uwagi poniższe mają na celu dać obraz pobieżny tego zjawiska. Dotkniemy w nich kolejno: istoty obowiązującéj konstytucyi belgijskiéj, stosunku względem niéj miejscowych stronnictw politycznych, głównych etapów sprawy rewizyjnéj, wreszcie saméj treści i charakteru prawno-państwowego projektowanéj rewizyi.

II.

Narodziny konstytucyi belgijskiéj niezmiernie były utrudnione. Rozpoczęta wojna o niepodległość trwała jeszcze w najlepsze i ani jéj końca, ani nawet wyników niepodobna było przewidzieć. Sama Francya, jedna w téj chwili otwarta protektorka wolności belgijskiéj, niepewnéj przyszłości patrzyła w oczy, zagrożona wewnątrz agitacyą republikańską, nazewnątrz zaś nową koalicyą europejską i bodaj nawet podziałem; nie wiedziała jeszcze, że ten sam piorunochron odległy, który przed laty czterdziestu tak dobrze jéj się przysłużył, raz jeszcze swoje zbawienne okaże działanie, ściągając ku sobie najsilniejsze gromy. W takiém położeniu rząd tymczasowy brukselski zmuszony był do szczególnéj oględności. Okazał ją odrazu w sposobie złożenia konstytuanty, powołując do urny nader ograniczoną liczbę wyborców [1]. Tym sposobem dla żywiołów nazbyt porywczych zamknięty został dostęp do pierwszego kongresu ustawodawczego. Ów kongres, jakkolwiek rewolucyjny, rzadkie też okazał umiarkowanie. Uchwalił prawie jednogłośnie formę rządu monarchiczną, pomimo gniewnego okrzyku Potter'a, głównego sprawcy rewolucyi, że „dla takiéj drobnostki, jak zmiana panującego, nie opłaciło się krwi przelewać". Uchwalił zrównoważony ostrożnie system rządów parlamentarnych, któremu łatwiéj udzieliłby aprobaty Monteskiusz, niż Rousseau. System ten wzorowany był nie na ustawach rewolucyjnych francuskich, trzymał się zdaleka nawet od jednoizbowéj ustawy monarchicznéj francuskiéj 1791 r., lecz raczéj na urządzeniach angiel-

---

[1] Opłacających podatek bezpośredni do 75 złotych holenderskich rocznie, wyborców liczących 25 lat wieku.

skich przed bilem reformy. Na Anglię też skierowana była uwaga konstytuanty brukselskiéj 1831 r., na zgromadzoną w Londynie konferencyę europejską, gdzie ważyły się podówczas losy Belgii, i gdzie zręczny Talleyrand ciężką miał przeprawę z obroną wolności belgijskiéj i interesów francuskich [1]).

Takie okoliczności, do których się zastosować musieli pierwsi ustawodawcy belgijscy, należy miéć na uwadze rozpatrując ducha obowiązującéj podziśdzień konstytucyi królestwa z r. 1831. Władza prawodawcza wykonywana jest łącznie przez króla, senat i izbę posłów. Każda z tych instytucyi posiada zdolność samodzielnéj inicyatywy prawodawczéj; królowi przysługuje nadto przywiléj *veto* przeciw uchwałom izb. Prawo wyborcze czynne zostało ograniczone przez cenzus wyborczy w wysokości 20 do 100 złotych holenderskich opłacanego rocznie podatku bezpośredniego na rzecz skarbu. Obiedwie izby obierane są przez tych samych wyborców. Na 40 tys. wyborców przypada jeden deputowany do izby niższéj, obieranéj na peryod czteroletni; liczba senatorów jest dwa razy mniejsza, obierani są na podwójny peryod wyborczy. Cenzus wyborczy bierny wynosi dla senatorów 1000 flor. bezpośredniego podatku rocznego. Tylko członkowie izby niższéj korzystają z dyet poselskich w wysokości 200 flor. za cały przeciąg sesyi; wyłączeni są zresztą z tego przywileju deputowani, mający miejsce zamieszkania w stolicy. Uchwała izb, zatwierdzona przez króla, o potrzebie rewizyi konstytucyi, powoduje niezwłoczne rozwiązanie izb i rozpisanie wyborów powszechnych do kongresu ustawodawczego. Uchwały rewizyjne zapadają w kongresie większością dwóch trzecich głosów.

Powyższe przepisy ustawodawcze wymagają pewnych wyjaśnień. Przedewszystkiém tedy należy pamiętać, że władza królewska w Belgii posiada główny punkt oparcia po za obrębem karty konstytucyjnéj. Znowu tutaj wrócić wypada do początków niepodległości belgijskiéj. W 1830 r., w lat kilkanaście zaledwie po „świętém“ przymierzu i uchwałach kongresu wiedeńskiego, widmo republikańskie było jeszcze postrachem ogólnym dla staréj Europy i niezawodnie byłoby egzorcyzowane ponownie, w razie potrzeby, przy pomocy skoalizowanych bagnetów. I Francya i Belgia rewolucyjna musiały się rachować z tym czynnikiem. Obadwa narody zrzekły się zachcianek republikańskich i osłoniły tarczą monarchiczną przeciw obawom przesądu, poczęści zaś, też od pożądliwości — zbrojnéj Europy. W króla

[1]) Francyi chodziło przedewszystkiém o zburzenie fortów belgijskich, téj obręczy żelaznéj, nałożonéj na nią przez kongres wiedeński.

zaopatrzyła się też Belgia — najwłaściwsze może w tym wypadku wyrażenie — obrała sobie Leopolda sasko-koburskiego, który odmówił był właśnie przyjęcia ofiarowanéj sobie korony greckiéj, a przyjął chętnie belgijską, pewniejszą z wielu względów. Stanowisko szczególne monarchy w Belgii, jako instytucyi bezpieczeństwa narodowego uwydatnione zostało dobitnie w 1848 r. Tym razem już w sąsiedniéj Francyi rewolucya lutowa ostatecznie zmiotła tron mieszczański Orleanów i wzniosła na jego miejsce, na krótką przynajmniéj chwilę, nietrwały gmach republikański. Nie mogła sobie na taki zbytek pozwolić drobna Belgia, która tym sposobem narażała się już nie na jaki zamach stanu grudniowy, lecz samo swoje istnienie polityczne stawiałaby na kartę. Kiedy na wiosnę 1848 r., pod wpływem wypadków paryskich, berlińskich i wiedeńskich, wybuchły rozruchy w Brukseli, król Leopold ofiarował się narodowi z gotowością abdykacyi. To wystąpienie króla starczyło do uspokojenia umysłów, wywołało powszechny w kraju wybuch uczuć lojalnych dla tronu, i trwalszą niż kiedykolwiek, uczyniło powagę królewską.

Na kruchych natomiast podwalinach oparła konstytucya belgijska powagę izb prawodawczych. Wzmiankowaliśmy, że prawo wyborcze wzorowane było na urządzeniach angielskich; lecz niebawem, w rok niespełna, pozostało za niemi w tyle, skutkiem zaprowadzenia w Anglii liberalnego bilu reformy. Czynny cenzus wyborczy, niezwykle wysoki, pozbawia w Belgii ogromną część ludności udziału w sprawach politycznych kraju. W państwie, liczącem przeszło 6 mil. mieszkańców, dzisiaj jeszcze, pomimo możliwie łagodnego stosowania przepisu wyborczego, ogółem niewięcéj nad 135 tys. obywateli przystępuje do urny... Najgorzéj ma się rzecz z senatem. Nadzwyczaj wysoki cenzus bierny czyni to zgromadzenie dostępném jedynie dla magnateryi i plutokracyi miejscowéj. Z drugiéj strony senat belgijski, wychodząc z tych samych wyborów powszechnych a bezpośrednich, z jakich powstaje izba deputowanych, staje względem niéj na stopie zupełnéj równości, i nie poczuwa się bynajmniéj do téj roli podrzędnéj, jaką wobec izby niższéj, reprezentującéj naród cały, zajmuje w Anglii dziedziczna izba lordów, albo téż we Francyi senat, oparty na wyborach pośrednich. Bogaci niezależni senatorowie brukselscy, nie pobierający dyet, stanowią ciało zamknięte i wpływowe, które zdolne jest obezwładnić działalność izby posłów, tego właściwego organu przedstawicielstwa narodowego. W wyniku ostatecznym taki miały skutek pomienione przepisy o zgromadzeniach prawodawczych, że izbę niższą uczyniły bezsilną, senat niepopularnym.

III.

Oczywiste a liczne braki konstytucyi 1831 r. stały się w Belgii nie od dzisiaj przedmiotem namiętnéj krytyki. Nie od dzisiaj téż datują się nawoływania do gruntownéj reformy ustawodawczéj. Wszakże dzieło reformy pozostaje bezpośrednio w zależności od układu stronnictw politycznych w kraju. Ten układ jest w Belgii dosyć skomplikowany i wyjątkowy, i na tory wyjątkowe skierował sprawę rewizyjną.

Jak wiadomo, jest Belgia podziśdzień twierdzą obronną klerykalizmu w Europie. W tym kraju, sąsiadującym z protestanckiemi Niemcami i Francyą sceptyczną, położonym naprzeciw religijnéj, lecz wolnomyślnéj zarazem Anglii, dążenia ultramontańskie ustalone mają panowanie. Aby należycie zjawisko to zrozumiéć, uprzytomnić sobie wypada charakter szczególny i tradycye stronnictwa klerykalnego w Belgii. Należy wrócić w tym celu aż do wypadków z końca z. w., do pierwszéj rewolucyi belgijskiéj, skierowanéj przeciw panowaniu austryjackiemu. Zbiegły się z nią niebawem i zatarły właściwy jéj charakter spółczesne wypadki francuskie. Nie czyniono na razie różnicy między powstańcami brukselskimi a zdobywcami Bastylii, jednym tchem wymawiano nazwiska Van der Noot'a i Mirabeau. W końcu 1789 r. najwięcéj czytaném pismem w Paryżu były „Rewolucye Francyi i Brabantu,“ wydawane przez Kamila Desmoulins, gdzie ten zapalony jakóbin ogłaszał światu braterstwo obu narodów w ich dążeniach rewolucyjnych. Z drugiéj strony — rzecz więcéj jeszcze zastanawiająca — głoszono to samo przekonanie, acz w innych zupełnie intencyach, z wyżyn urzędowych Europy monarchicznéj. Chodziło tu bardzo o utożsamienie wszelkich wysiłków, skierowanych ku zdobyciu sobie niepodległości, o przywalenie ich wszystkich bez różnicy brzemieniem grzechów jakóbińskich, bez względu na istotne pobudki, choćby zachowawcze w gruncie i religijne, które do represyi nie dawały pretekstu [1]).

W rzeczywistości cała przepaść dzieliła Belgię powstańczą od Francyi rewolucyjnéj. Wybuch, który w Paryżu był dziełem encyklopedystów, był dziełem biskupów w Brukseli. Nie dobijano się w Belgii „praw człowieka;“ domagano się natomiast zniesienia edyktu

---

[1]) „Cette jacobinière est en correspondance regulière avec celle de Paris... ce sont les Piatoly, qui ont composé le fameux manifeste de Van der Noot au Brabant, qui mènent le roi et la diète présonte.“ Cesarzowa do Grimma, 9 maja 1792.

tolerancyjnego Józefa II, przywrócenia klasztorów, seminaryów biskupich, odpustów, dyspens papieskich, zniesienia małżeństw cywilnych i świeckiéj szkoły rządowéj. Domagano się nadto niepodległości politycznéj. Nie chodziło wyłącznie belgijczykom o nauki teologiczne lub filozoficzne, chodziło głównie o niezależny byt narodowy, o pozbycie się ciążącego jarzma austryackiego, — a że mieli do czynienia z przedstawicielem despotyzmu „oświeconego,“ sami zaś pobożniejsi byli z natury od swoich sąsiadów francuskich, więc zamiast u Woltera i Jana Jakóba szukać natchnienia, szukali skazówek w słowach, głoszonych z kazalnicy. Tym sposobem stronnictwu klerykalnemu w Belgii przypadło główne kierownictwo w pierwszéj walce narodu o niepodległość i główna zasługa zwycięstwa. Wyjątkowy charakter rewolucyjny zarazem i narodowy tego stronnictwa stanowi odtąd właściwą jego potęgę. Następny wybuch 1830 r., który dał początek dzisiejszemu królestwu, raz jeszcze tę potęgę okazał i na mocniejszych, niż kiedykolwiek, oparł podstawach. W walce z Holandyą, z heretyckim domem orańskim, znowu po staremu rej wiodły skrajne żywioły klerykalne.

W obec ugruntowanéj w ten sposób na uczuciach patryotycznych i wierzeniach religijnych ludu przewagi tradycyjnéj stronnictwa klerykalnego, szczególnie stało się kłopotliwém położenie stronnictwa liberalnego w Belgii. Wyprowadza ono swoje pochodzenie właściwie dopiéro od 1830 r., od paryskich wypadków lipcowych. Opiéra się przeważnie na warstwach wpływowych, lecz nielicznych, oświeconego mieszczaństwa, i wzoruje się téż w ogólności podziśdzień na przestarzałych zasadach parlamentaryzmu mieszczańskiego z czasów Ludwika Filipa. Ostatni swój tryumf odniosło to stronnictwo w 1878 r., kiedy rządy dostały się w ręce ministeryum liberalnego Frère-Orban'a, któremu udało się w roku następnym przeprowadzić przez izby doniosłe prawo o świeckich szkołach rządowych. Lecz już na wyborach czerwcowych 1884 r. odzyskali przewagę klerykalni; za jednym zamachem odebrali liberalnym przedstawicielstwo stolicy i zdobyli większość w izbie posłów i senacie; skrajny gabinet klerykalny Malon-Jacobs-Woeste, przezwany „ministeryum ciemnoty narodowéj,“ znosi tegoż roku liberalne prawo szkolne z 1879 r. i oddaje z powrotem nauczanie elementarne w ręce duchowieństwa. Następny gabinet Beernaert-Thonissen, urzędujący podziśdzień, aczkolwiek mniéj nieprzejednany, składa się wszakże wyłącznie z żywiołów zachowawczych i w obu izbach rozporządza zwartą większością klerykalną.

Ostatnia dotkliwa porażka liberałów spowodowana była po części przez rozdwojenie wewnętrzne w łonie tego stronnictwa. Pod kie-

runkiem p. Janson'a, deputowanego i prezesa wpływowéj „Unii postępowéj,“ zorganizowany został pod nazwą „postępowców“ nowy odłam radykalny. P. Janson i jego stronnicy wychodzą z zasady, że walka z klerykalizmem nie może być skutecznie podjęta na gruncie liberalizmu mieszczańskiego i obowiązującéj konstytucyi. Pragną szukać oparcia właśnie u szerokich warstw ludowych, gdzie czerpią swoję potęgę żywioły klerykalne. Od bezpłodnych sporów parlamentarnych pragną przejść do żywotnych spraw społecznych i ekonomicznych, aby radzić nad niemi przy udziale całego narodu. W tym celu domagają się natarczywie zaprowadzenia głosowania powszechnego. Należy zastrzedz, że ci radykaliści nie są bynajmniéj republikanami. Upominają się o szwajcarski system wyborczy, lecz zrzekają formy rządu helweckiéj. Pojmują dobrze, że otwarta ze wszech stron Belgia, która ma za sobą zaledwie sześćdziesiąt lat niepodległości, nie może się zapatrywać na rzpltą szwajcarską, któréj granice stanowią Alpy, i która w roku zeszłym święciła sześćsetną rocznicę istnienia. Radykaliści belgijscy dla urzeczywistnienia swoich dążeń reformatorskich chętnie przyjmują dłoń pomocną monarchy. Owszem, w osobie króla upatrują dogodne narzędzie dla walki z despotyzmem klerykalnym.

Z drugiéj strony rozdwojenie analogiczne objawia się w ostatnich czasach w szeregach klerykalnych. Tutaj, pod przewodnictwem p. Nothomb'a, jednego ze zdolniejszych posłów zachowawczych skupiła się grupa konserwatystów umiarkowanych, którzy pragną zerwać z dotychczasowym nieprzejednanym programem stronnictwa. Przewidują oni, że w najbliższéj już przyszłości okaże się niepodobieństwem pogodzenie tego programu z duchem demokratycznym epoki. Kiedy p. Woeste, naczelny wódz klerykalny zapatruje się z zasady na skrajnych reakcyonistów francuskich i niemieckich, p. Nothomb woli natomiast pójść śladem oświeconego konserwatyzmu angielskiego i skłonnym się okazuje do daleko sięgających ustępstw na rzecz nowożytnych wymagań postępowych. Pierwsze zaś w tym kierunku ustępstwo gotów jest uczynić na rzecz głosowania powszechnego, które akceptuje w zasadzie i pragnie jedynie miarkować jego działanie za pośrednictwem władzy królewskiéj. Tym sposobem w sprawie wagi pierwszorzędnéj schodzi się z dążeniami radykalnemi.

Ostatecznie, obadwa wielkie stronnictwa parlamentarne w Belgii w szczególnym stanęły stosunku względem ustawy konstytucyjnéj. Opinia publiczna wielkim głosem domaga się rewizyi téj ustawy. Stronnictwo klerykalne, nawykłe do panowania i pewne swojéj popularności, nie cofa się przed rewizyą, a nawet zamierza ją wyzyskać; pragnie mianowicie powołać do urny nowe tłumy ciemnych, sfanatyzo-

wanych wyborców, aby za ich pomocą ostatecznie zgnębić prądy liberalne. Zarazem to stronnictwo, które dwukrotnie już prowadziło naród do walki z rządem monarchicznym i mniéj może w gruncie rzeczy żywi lojalności dla tronu od swoich przeciwników z lewicy radykalnéj, przeciwne jest wszelkim nowym przywilejom władzy królewskiéj, któreby jego zachciankom despotycznym mogły stanąć na przeszkodzie. Natomiast chwiejność i źle ukrywany niepokój okazują liberalni wobec oczekiwanéj rewizyi ustawodawczéj. Nie jest im dobrze z konstytucyą dzisiejszą, lecz nie wiedzą, czy z przyszłą będzie im lepiéj. Również, jak klerykalni, nie życzą sobie żadnych zmian w stanowisku władzy królewskiéj, wykraczających po za obręb uświęconéj formułki monarchii parlamentarnéj. Pełno mają zastrzeżeń w kwestyi rozszerzenia prawa wyborczego, którego nie chcą dać w ręce nieoświeconego motłochu. Jednocześnie z obu stron, odszczepieńcy od obu stronnictw, t. zw. lewa prawica i skrajna lewica, godzą się na punkcie kardynalnym głosowania powszechnego. Nareszcie u góry po nad stronnictwami, stary król, dobrze świadomy, jak jest niezbędny do czasu narodowi, odważa się na decyzyę osobistą. Zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa Leopold II: wybuch niezadowolenia ludu, wyzutego przez konstytucyę z praw politycznych, może nie tylko tron podważyć, lecz nadto wywołać zabójczą dla bezbronnego kraju obcą interwencyę. Aby uprzedzić taką ewentualność, obok względów dla głosu opinii publicznéj nie przepominając też o interesach korony, wyprzedza monarcha belgijski wszystkie stronnictwa, najszerszéj dyskusyi poddaje całość ustawy konstytucyjnéj i przez zachowawczego swego premiera ofiaruje narodowi najrozleglejszy projekt powszechnéj rewizyi ustawodawczéj.

IV.

Osią dążeń rewizyjnych, jak wynika już z wyłuszczeń poprzedzających, była sprawa głosowania powszechnego. Dążenia w tym kierunku przybrały charakter poważniejszy dopiero około 1881 r., t. j. wówczas, gdy wystąpiły na jaw po za murami parlamentu [1]), w warstwach niższych ludności, upośledzonéj przez prawo wyborcze, w szczególności śród robotników. Stronnictwo robotnicze, które

---

[1]) W izbie posłów domagano się kilkakrotnie, a zawsze bezskutecznie, rewizyi § 47 konstytucyi w celu obniżenia czynnego cenzusu wyborczego, w 1870 r. za rządów klerykalnych, Anéthan'a, w 1884 za liberalnych Frère-Orban'a. i 1886 r. za obecnego gabinetu p. Beernaert'a.

ukończyło w tym czasie swoję organizacyę, rozpoczęło systematyczną kampanię pod hasłem głosowania powszechnego. Pod kierunkiem głośnego agitatora p. Volders'a i głośnego przywódcy socyalistów gandawskich, założyciela organu stronnictwa „*Vooruit*'u“ („Naprzód“), p. Anseele'go, ruch wzmagał się szybko. W sierpniu i wrześniu 1890 r. zwołane było w Brukseli, obok siódmego zjazdu połączonych stowarzyszeń robotniczych, wielkie zgromadzenie ludowe w sprawie głosowania powszechnego. Stawiło się 800 delegowanych od 503 stowarzyszeń ludowych, reprezentujących przeszło 200 tys. uczestników. Na tém zgromadzeniu po raz pierwszy, głośny demagog Cezary de Paepe wystąpił z wnioskiem powszechnego zawieszenia pracy, jako jedynego a niezawodnego środka dla wymuszenia od rządu i izb demokratycznych reform ustawodawczych. Na razie zawahano się przed tym środkiem radykalnym. Jednak w listopadzie t. r. p. Buls, burmistrz Brukseli, w imieniu ludu i robotników złożył izbom formalny akt protestu przeciw obowiązującym prawom wyborczym. Jednocześnie p. Janson wniósł do izby deputowanych opracowany szczegółowo projekt do zmiany §§ 47, 53 i 56 konstytucyi, w duchu rozszerzenia czynnego prawa wyborczego do izby niższéj i biernego do senatu. Projekt odesłany został do zbadania przed sześć sekcyj prawodawczych izby. W grudniu t. r. odbył się zjazd radykalistów w stolicy i uchwalił ponownie zasadę głosowania powszechnego. „Sprawa rewizyi, tak mówił p. Demeur, jeden z wybitniejszych uczestników zjazdu, jest już dzisiaj ostatecznie wygraną. Rewizya ustawodawcza do parlamentu belgijskiego wejdzie, czy to przez drzwi czy przez okno. I jeśli parlament postawi się opornie, ta tylko może powstać kwestya, czy parlament wyjdzie drzwiami lub oknem.“ Po otwarciu izb, w styczniu 1891 r., niezwłocznie przyszła na stół sprawa rewizyi w formie sprawozdań sekcyj z projektu p. Janson'a. W całéj pełni uwydatniło się rozstrzelenie poglądów. Prawica pragnęła reformę wyborczą oprzéć na zasadzie t. zw. „okupacyi,“ t. j. obdarzyć prawem czynném wyborczém osoby, odnajmujące na własny rachunek pewną kategoryę lokali na mieszkanie. Lewica życzyła sobie zastąpić cenzus majątkowy przez „cenzus ukształcenia“ i zdolność wyborczą uczynić zależną od pewnych dyplomów szkolnych, — niezawodny sposób zapewnienia sobie tryumfów liberalnych na wyborach; p. Janson, który poprzednio domagał się praw politycznych jedynie dla osób umiejących czytać i pisać, wystąpił tym razem z zasadą bezwzględną głosowania powszechnego. Tymczasem trzy sekcye izby zupełnie odrzuciły jego projekt poprzedni i sprawa rewizyi znów pozostała w zawieszeniu.

Tutaj jednak wzięła ją raz jeszcze w opiekę federacya bruksel-

ska robotników belgijskich. W kwietniu 1891 r. zwołany do stolicy powszechny kongres robotniczy, za wnioskiem p. Volders'a, nieobliczonéj wagi powziął uchwałę: naczelna rada robotnicza upoważnioną została do zarządzenia, podług swego uznania, powszechnego w całym kraju zawieszenia pracy, jeśli w sprawie rewizyjnéj nie otrzyma naród zadośćuczynienia od izb i rządu. Groźne manifestacye w dniu 1 maja dały miarę naprężenia umysłów; w oczekiwaniu zmowy ogólnéj wybuchły znaczne częściowe w wielu prowincyach.

Interwencya rządu okazała się niezbędną. Król osobiście wdał się w tę sprawę. Premier gabinetu zachowawczego, p. Beernaert zakomunikował poufnie centralnéj sekcyi prawodawczéj gotowość rządu do przyjęcia udziału w pracach rewizyjnych. Rząd wyrażał zgodę na obniżenie czynnego cenzusu wyborczego do 10 fr. rocznych podatków bezpośrednich, na podniesienie liczby wyborów do 600 tys., na nowy system wyborów pośrednich do senatu, o stopniowaniu podwójném oraz podług niższego cenzusu biernego. Zapowiadał natomiast p. Beernaert zupełnie już samodzielny projekt rządowy t. zw. *referendum* królewskiego, zastrzegający dla monarchy nieznany dotychczas przywiléj apelowania od uchwał parlamentu, — a nawet od projektów wnoszonych przed izby, — do ogółu wyborców. Sekcya centralna, naciskana ze wszystkich stron, ogłosiła latem 1891 r., tymczasową swoją opinię. W duchu połączonych życzeń rządu i obu stronnictw parlamentarnych, oświadczyła się za obniżeniem cenzusu czynnego do 10 fr., przyznając nadto prawa wyborcze określonéj kategoryi *householder*'ów, oraz posiadaczom dyplomów niektórych zakładów naukowych; względem innych pytań rewizyjnych, a w szczególności *referendum* królewskiego zajęła stanowisko odporne. Wzburzona opinia publiczna wróciła na razie do równowagi, choć bynajmniéj nie okazała się zaspokojoną; uciszyły się rozruchy; sekcye prawodawcze izb brukselkich wróciły do szczegółowego opracowania rewizyi ustawodawczéj.

Nareszcie, po otwarciu izb w lutym r. b., złożyła sekcya centralna ostateczne swoje sprawozdanie pod postacią raportu z pierwotnego projektu p. Janson'a. Pierwsze już rozprawy okazały, że na przerwie kilkomiesięcznéj nic nie skorzystano dla wzajemnego porozumienia się. Sprawozdawca sekcyi, p. Smet de Naeyer, w imieniu zachowawczéj większości, potępił projekt p. Janson'a i polecał izbie oprzéć reformę wyborczą na zasadzie „okupacyi;“ p. Frère-Orban, który również zasiadał w sekcyi, w imieniu mniejszości liberalnéj wystąpił w obronie zasady „dyplomów;“ obadwaj stanowczo oświadczyli się przeciw *referendum* królewskiemu. P. Janson okazał gotowość niektórych ustępstw od wymagań bezwzględnych głosowania powszechnego i dość przychyl-

nie odezwał się o *referendum*. P. Nothomb po raz pierwszy otwarcie podał rękę radykałom, akceptując zarazem i zasadę głosowania powszechnego i *referendum*, — aczkolwiek z pewnemi zastrzeżeniami; jednocześnie położył nacisk na reformie t. zw. przedstawicielstwa proporcyonalnego, w celu zapewnienia praw politycznych mniejszości głosujących [1]). Wobec takiéj różnolitości poglądów łatwo mogły się ponowić wypadki 1891 r. — P. Beernaert raz jeszcze wystąpił z energiczną interwencyą. Złożył izbom formalny, szczegółowo opracowany projekt rządowy rewizyi ustawodawczéj, który otrzymał pierwszeństwo przed pierwotnym, nieodpowiadającym już położeniu obecnemu, projektem p. Janson'a. Już nie trzy artykuły konstytucyi, lecz dwanaście, poddawał p. Beernaert zasadniczym modyfikacyom, pozostawiając zresztą do uznania przyszłéj konstytuanty rewizyę innych jeszcze ustępów ustawy 1831 r. — Zrzekał się cenzusu wyborczego na zasadzie opodatkowania, a natomiast przyjmował system angielski gladstońskich praw wyborczych z 1885 i 1886 r., podnosił tym sposobem liczbę wyborców do 800 tys. Przyjmował w całéj rozciągłości zasadę przedstawicielstwa proporcyonalnego. Nowy system pośrednich wyborów senackich sformułował na sposób francuski. Uzupełniał przepisy o dyetach poselskich. W zamian za tyle ustępstw, murem stanął przy zasadzie *referendum* królewskiego.

Niespodziane a śmiałe wystąpienie premiera belgijskiego rozmaite wywołało komentarze. Zwrócono przedewszystkiém uwagę na tę okoliczność, że w jego projekcie rewizyjnym, obok wymienionych spraw najpierwszéj doniosłości politycznéj, podniesione zostały jednocześnie niektóre sprawy dalsze, międzynarodowego raczéj znaczenia, nie będące właściwie na porządku dziennym, — jak sprawa terytoryum belgijskiego, kolonij i Luksemburga, — oraz liczne kwestye drugorzędne, które niekoniecznie wymagały uciążliwéj drogi rewizyi ustawodawczéj, lecz mogły być rozstrzygnięte w stosowniejszéj chwili przez jednostronną regulacye dynastyczną, wychodzącą od króla, — jak np. stosunki matrymonialne książąt krwi i t. p. Chciano z tego wyprowadzić taki wniosek, że p. Beernaert, składając izbom skomplikowany rozmyślnie projekt, czynił to nie w celu rewizyi konstytucyi, lecz właśnie z ukrytym zamiarem opóźnienia, jeśli nie umożliwienia rewizyi.

---

[1]) P. Nothomb za odszczepieństwo swoje ciężko został ukarany. Ekskomunikował go niezwłocznie p. Woeste, naczelny przywódca klerykalny, usunął z prezydium „Stowarzyszenia zachowawczego," a obecnie (w marcu 1892) agituje za wyłączeniem p. Nothomb'a z przyszłego kongresu ustawodawczego.

Z podejrzliwym takim poglądem wystąpiła znaczna część dzienników belgijskich i prasa francuska.

Był to pogląd błędny. P. Beernaert dał dowód niezbity szczerości swoich intencyj. Kiedy w trakcie rozpraw lutowych, opuszczony przez własne stronnictwo, atakowany przez opozycyę, poparty jedynie przez p. Janson'a oraz nieliczną garstkę stronników p. Nothomb'a, przekonał się o oporności izby dla swojego projektu, a w szczególności dla *referendum* królewskiego, nie wahał się postawić sprawy na ostrzu noża, oświadczając się z zamiarem dymisyi gabinetu. Skutecznie poparł tę groźbę premiera Leopold II. Niedwuznacznie dał do zrozumienia izbom, że w sprawie rewizyjnéj najzupełniéj utożsamia siebie z osobą p. Beernaert'a, i że w razie odrzucenia projektu rządowego i upadku ministra nie cofnie się sam przed abdykacyą. Groźba ta, nieobliczonego dla Belgii znaczenia, poskutkowała również dobrze, jak 1848 r., za rządów Leopolda I. Ugięła się izba; w zgodniejszym już tonie podjęto rozprawy nad rządowym projektem rewizyjnym. Aby usunąć nowe szkopuły, powzięto za wnioskiem premiera, ważną uchwałę (w marcu t. r.), na mocy któréj izba w obecnym składzie zrzeka się szczegółowych rozpraw przedwstępnych nad najwięcéj spornemi punktami rewizyi, przekazując bezpośrednio ich rozstrzygnięcie przyszłemu kongresowi ustawodawczemu. Obecnie zatem prace izby i sekcyi centralnéj ograniczają się do załatwienia spraw bieżących i przyśpieszenia ogólnéj uchwały rewizyjnéj. Uchwała ta winna zapaść w tych dniach w izbie deputowanych, i po zatwierdzeniu przez senat i uzyskaniu sankcyi królewskiéj, pociągnie za sobą niezwłoczne rozwiązanie parlamentu. Wybory powszechne do kongresu wypadną tym sposobem zapewne w pierwszych dniach czerwca; w tym samym miesiącu spodziewane jest otwarcie konstytuanty. Oczywiście nie obejdzie się w niéj bez ciężkiéj walki: wzmiankowaliśmy poprzednio, że uchwały kongresowe wymagają $^2/_3$ większości, zaś w wielkich sprawach, szczególnie zaś w kwestyi *referendum*, dużo będzie kłopotu ze skupieniem takiéj większości. W każdym razie zgromadzenie ustawodawcze ukończy przypuszczalnie swoje prace jeszcze przed upływem września. Europa w roku bieżącym wzbogaconą zostanie o jedną więcéj ustawę konstytucyjną.

V.

Nie może być naszym zamiarem zatrzymanie się nad ogółem stosunków konstytucyjnych w Belgii, dotkniętych przez projektowaną reformę ustawodawczą. Ważną zapewne jest sprawa projektowanéj

zmiany § 1 konstytucyi, orzekającego o granicach i charakterze politycznym terytoryum belgijskiego, a który ongi nie jedną wywołał burzę na kongresie londyńskim 1831 r.; chodzi obecnie o uregulowanie ostateczne stosunku Belgii do Luksemburga oraz kolonii afrykańskich. Konferencya londyńska zostawiła niejedną wątpliwość co do stosunku księstwa luksemburskiego względem Niemiec, a nawet właściwie miano podówczas na uwadze jedynie związek niemiecki, który oddawna już utracił istnienie prawne; z drugiéj strony najnowsze, a tak znaczne w porównaniu z obszarem metropolii, nabytki kolonialne Belgii nieodbicie wymagają ściślejszéj regulacyi ustawodawczéj, témbardziéj, że jak dotychczas, mają raczéj charakter niezwyczajny i niekonstytucyjny osobistych nabytków przedsiębierczości monarszéj. — Ważną jest niemniéj podniesiona przez rząd sprawa sukcesyi tronu. Po nagłém zejściu młodego bratanka królewskiego, ks. Baldwina, syna hr. Flandryi, jeden tylko ks. Albert ma prawo do tronu; król pragnie drogą zmiany ustawodawczéj zapewnić następstwo tronu na wszelki wypadek wnukowi swemu, ks. Filipowi Koburskiemu, który obecnie, jako potomek po kądzieli, na zasadzie § 60 konstytucyi, wyłączony jest od następstwa. Podług projektu rewizyjnego, będzie mógł król w przyszłości, za zgodą obu izb, dopuszczać do sukcesyi potomków z linii żeńskiéj. Wobec uwydatnionéj poprzednio szczególnéj doniosłości dla Belgii instytucyi monarchicznych, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że życzeniu króla stanie się zadość. Chodzi obecnie w téj sprawie przeważnie o kwestyę małżeństwa przypuszczalnego następcy, które król pragnie uczynić zależném od swojéj wyłącznie aprobaty, kiedy natomiast izby domagają się uprzedniéj aprobaty małżeństwa przez parlament, pod groźbą wyłączenia od sukcesyi. To ostatnie rozwiązanie, pomimo oporu króla, wydaje się prawdopodobniejszém.

Musimy się jednak ograniczyć do prostéj wzmianki o tych sprawach, lokalnego więcéj znaczeniu. Również wspominamy tylko mimochodem o podniesionéj w projekcie belgijskim, w tym samym czasie, gdy tą sprawą zajmuje się sejm niemiecki, kwestyi indemnizacyi poselskiéj (art. 52 ustawy), która jest dotychczas i skąpą dosyć i ograniczoną. Poprzednio już daliśmy do zrozumienia doniosłość projektowanego przeistoczenia wyborów do senatu, który w przyszłości, oparty na głosowaniu pośredniém, jak we Francyi dzisiejszéj, zepchnięty zostanie na stanowisko podrzędne względem izby deputowanych, wychodzącéj z głosowania powszechnego, będącéj bezpośrednim wyrazem woli narodu. Inne sprawy drugorzędne zupełnie pominąć jesteśmy zmuszeni.

Natomiast trzy sprawy ogólniejszego znaczenia prawno-państwo-

wego pragniemy wydobyć z obfitéj treści belgijskich reform ustawodawczych. Mówimy o głosowaniu powszechném, przedstawicielstwie proporcyonalném i *referendum* królewskiém.

Nazwaliśmy sprawę głosowania powszechnego osią rewizyi konstytucyjnéj w Belgii. Będzie ona zapewne czas dłuższy osią rozwoju politycznego i społecznego narodów cywilizowanych. W Niemczech cesarskich, we Francyi republikańskiéj, w przywiązanéj do tradycyi Anglii objęła panowanie niepodzielne. Nie jest to panowanie ze wszystkiém bezpieczne dla rządzonych. Dawniejsi radykalni stronnicy głosowania powszechnego, stary Bentham np. lub J. St. Mill, żachnęli by się niepomału na widok jego rezultatów we Francyi spółczesnéj. Co prawda, Mill życzył sobie „rozumnego“ głosowania powszechnego, i proponował, aby wyborca, stając do urny, wypisał przed urzędnikiem stanu frazes angielski i rozwiązał zadanie na regułę trzech, aby się tym sposobem z „rozumu“ wylegitymować. Domyślać się należy, że robotnicy belgijscy nie zgodziliby się na tego rodzaju egzamin. — Dodajmy, że wymagania teoretyków głosowania powszechnego nie ograniczają się już dzisiaj do samych wyborów do ciał prawodawczych. W Szwajcaryi prawodawstwo kantonalne oddawna już znacznie rozszerzyło atrybucye bezpośrednie wyborców, drogą rozszerzenia przywilejów *referendum* ludowego; z mocy zaś prawa federalnego z d. 5 lipca 1891 r. ogół wyborców federacyi obdarzony został przywilejem bezpośredniéj inicyatywy prawodawczéj; nadto, wobec objawiającéj się w najnowszych czasach agitacyi, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w niedługim już czasie cały układ władz wykonawczych federacyi szwajcarskich poddany zostanie zasadzie obieralności bezpośredniéj a powszechnéj. Z drugiéj strony, we Francyi radykaliści skrajni występują otwarcie z hasłem obieralności powszechnéj władz sądowych. Tym sposobem zasada głosowania powszechnego, w miarę jak rośnie w potęgę, dąży do pochłonięcia coraz nowych dziedzin życia społecznego. Już nie Mill ani Bentham, lecz starszy od nich J. J. Rousseau, gdyby powstał z grobu, poznał by swoje dzieło w tym pochodzie tryumfalnym skrajnéj idei ludowładztwa.

Przedstawicielstwo proporcyonalne ma na celu usunąć niektóre, zbyt dotkliwe następstwa takiego stanu rzeczy. Przy głosowaniu powszechném tyrania większości może niemniéj ciężko dać się we znaki pokonanym mniejszościom, aniżeli despotyzm panującéj jednostki. Chodzi zatém o możliwe zabezpieczenie mniejszości. Umysły szlachetne a głębsze oddawna żywo interesowały się tém zagadnieniem. Uczony Condorcet, utopista polityczny i matematyk, usiłował tę antynomię zasadniczą rządów demokratycznych rozwiązać przy pomocy

rachunku wyższéj analizy. W Anglii John Russell, Tomasz Hare, J. St. Mill i wielu innych szukali dróg praktyczniejszych w tym samym kierunku. Nie możemy wchodzić w szczegóły; chcielibyśmy tylko dać pojęcie o jedném z najciekawszych zagadnień nowożytnéj teoryi politycznéj. Projektowanych rozwiązań mamy bez liku. Projektowano np. aby każdy wyborca obierał kilku kandydatów, z prawem skupiania wszystkich głosów, jakiemi rozporządza, na jednéj osobie; tym sposobem, jeśli obieranoby np. trzech kandydatów, mniejszość jednéj trzeciéj wyborców miałaby zawsze możność utrzymania jednego przynajmniéj swego kandydata. Inny system, najwięcéj obecnie upowszechniony, — oczywiście w teoryi, — polega na zastosowaniu głosowania z listy; po zsumowaniu liczby ogólnéj wszystkich oddanych głosów, liczba przeciętna, przypadająca na jednego kandydata, zapisaną zostaje kolejno na dobro wszystkich kandydatów, zarówno zwycięskich, jak i przegłosowanych; rozrzucone po całym kraju miejscowości wyborcze zostają przy téj metodzie razem skupione i okazują swój skutek w stosunku, odpowiadającym ilości oddanych wotów. Ten mianowicie system mają na widoku projektodawcy belgijscy. Oczywiście są to wszystko półśrodki, których braków i sprzeczności wyłuszczać na tém miejscu niepodobna [1]).

Innym półśrodkiem, który ma za sobą jedynie wątpliwą zaletę nowości, jest pomysł *referendum* królewskiego, po raz pierwszy obecnie sformułowany w Belgii. Dotychczas pojmowano *referendum*, jako przywilej ludu lub ciał prawodawczych. Na żądanie pewnéj znacznéj liczby obywateli, niezadowolonych z danego postanowienia izb lub rządu, lub téż na żądanie izb, w razie kolizyi ustawodawczéj, mogła dana sprawa zostać „referowaną“ przed ogół głosujących, rozstrzygający w ostatecznéj instancyi. Pojmowano zatém *referendum*, jako urządzenie z natury swojéj sprzyjające ludowładztwu. W projekcie belgijskim wywrócono rzecz na opak. Przyszły parlament, zrodzony z wyborów, w których będzie brała udział bezporównania większy, niż dotychczas ilość głosujących, odrazu zajmie stanowisko niedoścignione

---

[1]) Ciekawego czytelnika odsyłamy do J St. Mill'a „Representative government“ (dobry przekład francuski Dupont-White'a, 1877), oraz nowéj książki E. de Laveleye'a „Le gouvernement dans la démocratie“ (1891, w wydawnictwie „Bibliothèque de philosophie contemporaine). Szczególnie zapalony był dla sprawy przedstawicielstwa proporcyonalnego szlachetny autor rozprawy „O wolności,“ którego tak przerażał i oburzał zanik oryginalności w myślach i czynach społeczeństw nowożytnych. Przeciwnik powszedniości pod wszelką postacią, a zatém i chińszczyzny demokratycznéj, pragnął Mill przedewszystkiém samodzielności jednostki, zarówno w sposobie ubierania się, jak i wierzeniach politycznych.

pośród innych instytucyi politycznych kraju. Będzie więc łatwo skłonnym do samowładztwa parlamentarnego. Dla stworzenia mu stosownéj przeciwwagi należy wzmocnić władzę królewską, stojącą po za obrębem stronnictw. Daje się to osiągnąć właśnie drogą bezpośredniego połączenia króla z narodem, pod postacią *referendum* królewskiego.

Tak najogólniéj przedstawia się argumentacya w téj sprawie p. Beernaert'a i jego stronników. Politycy praktyczni zapożyczyli téj argumentacyi od teoretyka politycznego. Emil de Laweleye w ostatniém swojém wielkiém dziele „O rządzie demokratycznym," które stanowi niejako testament polityczny tego umysłu jasnego i lotnego, lecz powierzchownego zarazem i pozbawionego jednolitości, z całym fanatyzmem wynalazcy wychwala nowy swój przyrząd pomysłowy dla kierowania burzliwym żywiołem demokratycznym, uzasadnia i wyjaśnia skomplikowany mechanizm *referendum* królewskiego. W ostatnich miesiącach roku zeszłego powalony śmiertelną chorobą, która niebawem (w styczniu r. b.) miała go doprowadzić do grobu, dyktował jeszcze córce ustępy wymowne o reprezentacyi mniejszości i nowym przywileju królewskim, które, ogłaszane następnie w szpaltach *Indépendence Belge*, głęboko poruszały opinię publiczną i torowały drogę usiłowaniom reformatorskim rządu. Leopold II, na kilka tygodni zaledwie przed śmiercią Laveleye'a, częste z nim odbywał narady i zupełnie dał się przekonać do jego pomysłów ustawodawczych. *Referendum* monarsze było tych pomysłów podwaliną. „Wy wszyscy. tak pisał Laveleye w *Indépendance* w grudniu 1891 r., którym głównie leży na sercu obrona swobód nowożytnych, liberalni, postępowcy (radykalni) i socyaliści, posłuchajcie człowieka, który od lat przeszło czterdziestu poświęca się badaniu tych zagadnień: monarchia będzie niezadługo jedyną waszą tarczą; nie wahajcie się zatém, jeśli to leży w możności waszéj, dostarczyć jéj broni niezbędnéj dla wywiązania się ze swéj missyi." P. Beernaert rozwijał tylko tę samą myśl, kiedy w lutym r. b. mówił w izbie deputowanych, motywując projekt rządowy: „władza miarkująca należy z natury rzeczy do monarchy. Obok przemijających zgromadzeń, obok zmiennych większości, monarcha jest przedstawicielem stałych interesów kraju. Jest przeciwnikiem wszelkich kroków krańcowych. Nader więc na tém zależy ogółowi, a zwłaszcza mniejszościom, aby w razie potrzeby miał możność odwołać się do pomocy narodu."

Wskazywaliśmy na niechęć, jaką projekt zaprowadzenia *referendum* królewskiego wywołał w obu wielkich obozach parlamentarnych. Zachowawcza większość rządowa żadnych na tym punkcie nie okazała

względów dla zachowawczego premiera. P. Woeste, nie bez zasady, zwrócił uwagę, że „urządzenie anarchiczne,“ jak prawo odwołania się króla do narodu od uchwał przedstawicielstwa narodowego, osłabia jednocześnie powagę izb i powagę króla, — gdyż niepodobna z góry przewidzieć, kiedy naród, powołany na sędziego przez monarchę, oświadczy się za królem, a kiedy za parlamentem. Jednocześnie zasada kardynalna nietykalności królewskiéj i odpowiedzialności ministeryalnéj byłaby na szwank narażoną, z chwilą, gdy ministrowie ulegać muszą większości parlamentarnéj, a król osobiście ma prawo z nią zadzierać. — Z drugiéj strony p. Frère-Orban z lewicy przypomina, że ustawa obdarza przecie króla prawem *veto* i prawem rozwiązania izb, co w gruncie rzeczy równa się odwołaniu do narodu. Leopold I, który niejednokrotnie *veto* stosował, nic na powadze i popularności nie utracił. Jeśli zaś Leopold II ani razu, przez cały czas długiego swego panowania, z przysługującego mu przywileju *veto* nie uczynił użytku, bierném swojem zachowaniem się, miasto przysporzyć sobie popularności, wywołał jeno gorzkie wyrzuty ze strony klerykalnéj z powodu wolnomyślnego prawa szkolnego 1879 r., a następnie wyrzuty podobne ze strony postępowców z powodu reakcyjnego prawa szkolnego 1884 r. W tych obudwu wypadkach, pomimo natarczywéj zachęty mniejszości opozycyjnéj, nie skorzystał król z § 17 konstytucyi, aby uchwałę krańcową parlamentu powstrzymać przez *veto* monarsze. Czémże będzie skuteczniejsze *referendum* królewskie?

Takie sprzeczne poniekąd zarzuty nazbyt niebezpiecznego działania i bezczynności spadają ze stron przeciwległych na projekt belgijski *referendum* rządowego. Nadto nowość pomysłu liczne wywołuje kwestye szczegółowe. Czy ma wymagać *referendum* kontrasygnacyi ministeryalnéj; czy będzie tylko prawem monarchy, czy téż w niektórych wypadkach jego obowiązkiem, czy obejmuje jedynie zapadłe już uchwały parlamentarne, („*referendum a posteriori*“), lub téż będzie dotyczyło również projektów prawodawczych („*préalable*“) — oto niektóre tylko z nasuwających się tutaj wątpliwości. Sądząc z ostatnich rozpraw w brukselskiéj izbie posłów i sekcyi centralnéj, wypadałoby przypuszczać, że jeśli wogóle *referendum* królewskie utrzyma się na kongresie ustawodawczym, to w każdym razie w postaci nader ograniczonéj, a więc za kontrasygnacyą ministeryalną, z zastosowaniem w trzech głównie wypadkach: konfliktu pomiędzy większością parlamentarną a rządem, konfliktu pomiędzy senatem a izbą deputowanych, oraz niektórych uchwał prawodawczych, zapadłych nader drobną większością. I w téj nawet formie ograniczonéj na-

der będzie ciekawym ten ostatni eksperyment nowożytnéj sztuki politycznéj.

Tak w najogólniejszych zarysach przedstawia się sprawa reform ustawodawczych, które daleko po za słupami granicznemi Belgii żywe budzą zainteresowanie. Pouczające widowisko dadzą zbliżające się narady konstytuanty brukselskiéj. Cała Europa zachodnia zasiada w widowni, zaś niejednemu z tych widzów już może rychle wypadnie samemu w roli czynnéj wystąpić.

Szymon Askenazy.





NOWE STUDYUM ESTETYCZNE.



Henryk Struwe. „Sztuka i piękno“. Studya estetyczne. Warszawa, 1892 r.

Od czasów Libelta i Kremera, profesor Struwe jedynym jest u nas pisarzem uprawiającym estetykę w wielkim stylu, a prócz licznych artykułów i rozpraw przygodnych, gdzie występuje jako krytyk bieżących spraw sztuki, jego „Estetyka barw“ świadczy o długich i na obszerną skalę odbywanych w tym przedmiocie studyach. Prace jego zjawiły się właśnie na tym przełomie, kiedy u nas sprawy filozoficzne, a szczegółowo i estetyczne, doznały niebywałego wstrząśnienia skutkiem nowego kierunku pojęć, przyjętego przez pewne grono, gorąco hołdujące zasadom naukowego realizmu, mającego służyć za sprawdzian do oceny wszelkich objawów myśli. Lubo zdążający za postępem nauki, ale wyznawca innéj szkoły, która pojęć idealnych nierada rugować ze świata, prof. Struwe znalazł się naraz w opozycyi z nowemi poglądami, które nie szczędzą słów dla odarcia jego teoryi estetycznéj ze wszelkiéj wartości. Opędzając się jednak szykanom, idzie on odważnie w swoim kierunku, i stawia swe przekonania wobec przeciwników, broniąc wytrwale stanowiska.

Ogłoszone obecnie rozprawy przedstawiają kwestyę estetyczną ze strony teoretycznéj, pedagogicznéj, a cząstkowo i historycznéj; artykuły wszakże nie stanowią szeregu systematycznego i łączą się z sobą zaledwie jednością przedmiotu. Nie są też one dla nas nowością; spotykaliśmy się z niemi w różnych czasopismach: zebrane razem dają miarę, jeżeli nie o całéj rozległości wiedzy autora, to przynajmniéj świadczą o duchu jego teoryi.

Wbrew nowatorom, nieprzyjaznym tak nazwanym przez nich „propinatorom szynkującym ideałami“, prof. Struwe za podstawę

sztuki uważa zawsze ideał („Sztuka i Piękno“ — „Prawda i Ideał“), a sztuka, według niego (str. 10), „jest-to poglądowe udowodnienie możności urzeczywistnienia ideałów, wśród danych warunków realnego bytu“. Pod tym względem ma on zapewne uznanie wszystkich, którzy szukają jakiéjś cechy generycznéj sztuki; boć nareszcie, czémżeby ona różniła się od innych wytworów ludzkich? Tylko wobec nacisku realistów radykalnych, którzy nie chcą słyszéć o przewodnictwie ideału w sztuce, i głoszą, że im „absolutnie wszystko jedno, jakie kto tematy obiéra dla swoich obrazów“, pragnęlibyśmy wyraźniejszego i bardziéj stanowczego określenia, co autor rozumié przez ideał w sztuce, témbardziéj, iż nie podziela on bynajmniéj absolutnych idealistów kierunku, który idei nadając przewagę, lekceważy formy rzeczywiste, a stąd wyradza mdły klasycyzm i akademizm, i gubi się w monotonnym konwencyonalizmie (str. 84—86). Nie pragnie zatém autor wyłącznego zapanowania idealizmu w sztuce; zakreśla mu owszem pewne granice na korzyść „realnych warunków zmysłowego istnienia“, a tym sposobym dochodzi do definicyi piękna, które, według niego (str. 18), „jest harmonijną spójnią czynników zmysłowych z umysłowemi, formy z treścią, rzeczywistości z ideą, materyi z duchem“. Z tém wszystkiém, z jego rozlicznych rozumowań i określeń, po całéj książce rozrzuconych, trudno się czegoś pozytywnego dowiedzieć o tém, jaką rolę w sztuce gra ów tylokrotnie wspominany ideał, który ma się zrównoważyć z formą zmysłową i nadać jéj znaczenie piękna. Znajdujemy jedno tylko zdanie, nader przekonywające, lecz utopione nieznacznie, i jakby pobieżnie wśród innych wtrącone (str. 88), że ideał „o tyle tylko jest ideałem, a nie prostą, bezmyślną utopią, o ile wyrósł z życia i znajduje swe zastosowanie do potrzeb życiowych“. Skądinąd jednak twierdzenie to, wyrzeczone dla odróżnienia ideału od mrzonki, rujnuje autor całością swego na ideały poglądu, czyniąc je (str. 86) odłamkami prawdy powszechnéj, rzeczami wyrażającemi dążność człowieka do pewnych z natury jego wypływających celów, wreszcie w rozumowaniach jego nad ideałem ustawicznie przeważa charakter moralny, gdy nam tu głównie chodzi o estetyczny. Wygląda to w wielu razach tak, jak gdyby człowiek, wbrew powyższemu twierdzeniu, z natury posiadał pewien ideał *a priori*, nosił się z nim, i jeżeli jest artystą, realizował go w sztuce. Lubo nie możemy zaprzeczać, że są ludzie pielęgnujący w duszy jakiś ideał, ale zdaje się, że w tém znaczeniu nie ma on nic wspólnego ze sztuką.

Nikt przecież nie hoduje w duszy ideału marchwi i kapusty, przecież niepodobna zaprzeczyć, ażeby te płody ziemi, jakie na swym znanym i nagradzanym obrazie odmalował p. Pankiewicz, nie

przedstawiały się i idealnie, właśnie skutkiem dobrze pojętych warunków realnych. Nie żadne to wątłe, zmurszałe, zeschłe okazy, jakie przecież znajdują się w naturze, tylko jéj należycie nie wyobrażają. Ziemia, to tęga i zdrowa matka, która dzieci swe karmi żywemi sokami; słońce wygrzéwa ich włókna i pilnuje podrostu, rosa dodaje im czerstwości; więc kiedy dojrzeją, raźnością i weselem powinny wykazać na sobie odbicie wszystkich tych warunków życia tak starannie hodowanego, zabłysnąć barwami, w jakie je matka-natura spowiła. Artysta może wśród mnóstwa takich przedmiotów widział jeden lub zaledwie kilka warunkom tym odpowiadających, może nawet nie widział żadnego z takich, ale przenikliwa wyobraźnia dozwoliła mu te warunki zrozumiéć, nauczyła zadość uczynić ich wymaganiom, talent spełnienie ich urzeczywistnił. Natura w swych objawach doskonałych, wszak to ideał natury, czy to będzie główka kapusty, czy koń, czy człowiek. Nigdy, jako ludzie społeczni i uważający sztukę nie za bawidełko zmysłu, nie powiemy, ażeby nas nie obchodził temat utworu sztuki, zwłaszcza malarstwa, które na równi z poezyą, ma swą lirykę, epopeę, dramat, nietylko humoreskę i krotochwilę; i wolelibyśmy, oczywiście, ażeby nam p. Pankiewicz z równém życiem przedstawił dramat życiowy, ale czyż w zakresie danym, utwór jego nie spełnił postulatu autora, według definicyi piękna, stanowiącego „pogodzenie formy z treścią, rzeczywistość z ideą, materyi z duchem?“ A w takim razie, czy nie zachwiewa on nieco rygoru zastrzeżonego w słowach (str. 361): — „Realizm pozbawiony treści idealnéj, nie ma żadnéj racyi bytu w zakresie sztuki, bo prawda i natura dla uwydatnienia swéj treści, nie potrzebują sztuki (czemużby nie?), témbardziéj, że najwyższy artyzm w tym względzie zawsze pozostanie tylko nieudolném odtwarzaniem rzeczywistości: tylko w związku z treścią idealną forma realna staje się objawem piękna w sztuce.“ Odpowiedź zależy od tego, co będziemy rozumiéć przez „treść idealną“, która stanowi jeden z ciągle powtarzających się motywów prof. Struwego. Jeśli ona obejmować ma pewne tylko motywy z wyższych sfer duchowych wybrane, to oczywiście trafimy na rodzaj samowolnego eklektyzmu, przeciw któremu obraz wymieniony wykracza. Lecz jeżeli za „treść idealną“ zechcemy uważać wszelkie tętno życia, czyli jego ideę, to nas obraz ten, pod względem uzewnętrznienia treści, zadowolić powinien.

W każdym razie, objaśnia on nas, że są utwory sztuki, do których twórcy nie przystępują z ideałami gotowemi, lecz je wynajdują w przedmiotach,—i dlatego zapewne autor ten sposób tworzenia nazywa przedmiotowością, w odróżnieniu od podmiotowości, czyli od

wyrażania pomysłów własnych za pomocą środków realnych. Lecz do jakiegoż stopnia własnemi są te własne pomysły mistrza,—ta podmiotowość? W największéj części wypadków przystępują one do głowy z tła i ruchu społecznego, i stają w postaci idei, jako: *Kabale und Liebe*, Irydyon i t. p. Muzyka nawet, najsubiektywniejsza ze sztuk, nie jest wolną od wpływów przedmiotowych. A więc jest-to takaż sama przedmiotowość i takie samo naśladowanie, dla wydobycia przez cechy charakterystyczne, idei przedmiotu. Istnieją wprawdzie i w sztuce pomysły absolutnie subiektywne, lecz o ile nie dają się odnieść do żadnéj rzeczywistości, stanowią rodzaj symbolistyki i mistycyzmu, które o tyle mają wartość, nawet świetną, o ile stanowią wizyę rzeczywistości, lub wyobrażają wiarę publiczną.

Z uwagi téż na przeważną większość wypadków, zgodzić się musimy, że w zakresie sztuki nie jest czynnikiem ten jakiś ideał powszechny, subiektywny, odłamek prawdy powszechnéj, któregoby realizacyi dokonywał artysta przy dowolnym wyborze środków z pośród zjawisk natury lub społeczności, téj drugiéj natury,—moralnéj; oraz musimy poświadczyć ściśle i stanowczo, że zjawiska same w sobie mieszczą ową „treść idealną“, którą z pominięciem cech ubocznych, przypadkowych, nieintegralnych, należy wydobyć. Artysta, który potrafi wśród mnóstwa cech, wyróżnić żywotne i istotne, a w dziele swém urzeczywistnić, jest twórcą; który zaś nie może dobić się do warunków idealnych przedmiotu, jest tylko kopistą lub rzemieślnikiem. Takimi są naprzykład portreciści znośnie odtwarzający kształty i rysy, bez idei zawartéj w tych zewnętrznościach; takiemi powieściopisarze lub dramatopisarze, którzy niezdolni do podciągnięcia, swych obserwacyi pod pewne uogólnienia idealne, żywcem przenoszą pojedyncze rozmowy podsłuchane, plotki, „zdarzenia“, sceny poszczególne, czyli kopiują rzeczywistość, zamiast użyć jéj za materyał do wyrażenia treści idealnéj.

Należy więc niejako odwrócić porządek ustanowiony w sztuce przez prof. Struwego, i nie rządzić się w niéj ideałami ogólnemi, z których nawet trudno zdać sobie sprawę, ale raczéj szukać w przedmiotach takiego ideału, któryby „wyrósł z życia“, jak to raz tylko i mimochodem, ale słusznie, zauważył autor. Wystrzegać się nadto wypada mieszania ideałów artystycznych z moralnemi, inaczéj, pomieszalibyśmy i sameż pojęcia dwóch wielkich dziedzin umysłu ludzkiego, chociaż z drugiéj strony, ideały te kojarzą się wzajem, dopełniają i objaśniają. Jaki stan społeczności, czyli jaka jego moralność, taka i jego sztuka. Moraliści i filozofowie mogą miéć swoje ideały

oparte na gruncie społecznym, sięgające wdal reformami; niebawem dążność ta odbije się i w sztuce, która wgląda w życie. Co większa, sztuka ma pewną wyższość nad nauką, bo kiedy ta wyraża cicho swe postulaty w formułach ścisłych i zdaniach oderwanych, dostępnych umysłowi jednostek, sztuka krzyczy głośno na wszystkie cztery strony świata, zwracając się nietylko do rozumu, ale szarpiąc serce i zmysły człowieka bodaj najpospolitszego. Posiada więc ona cechę wyższości i popularności; wyraża bowiem pojęcia najwznioślejsze i wyraża je dla wszystkich, — jak wykazuje Taine w swojéj *„Philosophie de l'art.“* — Z uwagi na to musimy raz jeszcze zaprotestować przeciwko zdaniu radykałów artystycznych, którym, — jak twierdzi prof. Struwe, bo myśmy tego bluźnierstwa nie czytali,—obojętnym jest temat utworów sztuki. Mogą tak czuć rzemieślnicy, dla których światem pracownia, entuzyaści fachu. Gdyby jednak po latach, z naszéj sztuki pozostały tylko takie okazy, jak Kaśka z rzepą, Stróż z miotłą, Żyd z cielęciną na plecach,—to, nie ubliżając ich racyi bytu i technice, — powiedzianoby, że nasi malarze na drodze odczucia współczesności odłączyli się od społeczeństwa, skoro nic innego w niém nie dostrzegli, a zręczność pędzla starczyła im za wszystko. Sądzonoby nas tak, jak my sądzimy społeczność starożytną z dwóch epok: kiedy Grek rzeźbił Pallas-Atenę dla Partenonu, albo téż biust Karakalli, i malował te freski w jednym z budynków Pompei, dziś zamykanym przed turystkami na kłódkę: przecież to także temat! Z uwagi również na to pierwszeństwo, jakie niejednokrotnie sztuka zaświadczyła nad nauką, możemy sobie wytłómaczyć, oraz przyjąć za prawdziwą i tę drugą definicyę prof. Struwego, wyrażającą, że sztuka jest „obrazową antycypacyą urzeczywistniających się ideałów“, naturalnie społecznych. Tak: bo jeżeli wrócimy, choćby do przykładu *Kabale und Liebe*, przedstawiony tam ideał, wyobrażający ofiary i skutki bezprawia społecznego, a wyczerpany z wrażeń spółczesnych, wyprzedził ideał równouprawnienia klas, urzeczywistniający się zwolna od połowy XVII-go wieku aż do ogłoszenia w Paryżu manifestu o „prawach człowieka.“

Ideał nie zstępujący skądciś, ale, w następstwie wrażeń zmysłowych i umysłowych, wytwarzający się w duchu artysty, jako idea przedmiotowa, ma zwłaszcza w odniesieniu do sztuki to do siebie dobrego, że daje się rozciągnąć do wszystkich przedmiotów, bez żadnych wyłączeń, za któremi jednak niekiedy przemawia autor, a o których łatwiéj jest mówić, niż je usprawiedliwić. Co może, a co nie powinno, wchodzić w zakres sztuki, kto będzie segregował i rozstrzygał, na mocy jakiego sprawdzianu? Każdy przedmiot ma swoją ideę, każdy więc ma swój ideał, jeżeli wyraz ten rozumiéć będziemy nie w zna-

czeniu czegoś wytwornego, niebiańskiego, jak rozumieją w salonach i buduarach, lecz w znaczeniu objawu idei rzeczy, postawionéj na gruncie rzeczywistości. Sam téż prof. Struwe, mimo gorliwości w obronie ideału, czyni ustępstwa, nawet obrazom Zoli (str. 79—80), protestując tylko przeciw „lubowaniu się w realistyczném przedstawieniu“ zła. Lubowanie się to, my rozumiemy tak: że Zola, ażeby przedstawić ideę, nie postępuje jako prawdziwy artysta, zbiérający jéj znamiona żywotne, ale obarcza ją balastem rysów drugo- i trzeciorzędnych, jak handlarz zalecający w oczach głupców, towar swój pstrociznami sensacyjnemi. Lepiéj jeszcze tę nawiasową myśl autor rozjaśnia w osobnéj rozprawie p. t. „Szpetne w sztukach Pięknych“. Szpetne, jako przedmiot piękna, zdaje się być sprzecznością. Lecz przypomnijmy sobie doskonałą definicyę piękna, jaką dał autor. Tam nie ma mowy o charakterze przedmiotów; tam żądaną jest tylko spójnia czynników zmysłowych z umysłowemi, formy z treścią, rzeczywistości z ideą, materyi z duchem. Spójnię tę znaleść możemy zarówno w tém, co popularnie nazywamy szpetném, jak w tém, co nazywamy pięknem. Nie na tém więc polega różnica między jedném a drugiém. Piękném jest to jedynie, co wprowadza w ruch przyjemny nasze przyrodzone uczucia estetyczne (o których niżéj), wszystko inne jest obojętném; co zaś uczucia te zadraźnia w sposób przykry, nazywamy szpetném: to ostatnie zatém o tyle może stanowić czynnik sztuki, o ile przez idealną formę, jak Ryszard Szekspirowski, sprzyja uwydatnieniu piękna. Z tego téż punktu wychodzi nasz estetyk dla nadania szpetnemu prawa obywatelstwa w sztuce: z pomiędzy trzech jego upatrzonych form, w drugiéj mianowicie widzi on jego upięknienie przez walkę, jaką szpetne stacza z pięknem, zło z dobrem, bo walka, to wysiłek (pierwiastek szlachetny), znamię rozwiniętego życia, a życie — to piękno; z takiéj to wreszcie walki wytwarza się dramat, przedmiot najwyższych zadowoleń estetycznych. Rozumowanie słuszne, lecz właśnie potwierdzające konieczność przystosowania warunków ideału do wszystkiego, co ma wejść w zakres sztuki, czy to będzie dobrém, czy złém, odnośnie nadobném, czy wstrętném, o ile przedmiot podatnym jest do takiéj przeróbki idealnéj, ażeby mógł wstrząsnąć nasze popędy estetyczne, w kierunku ujemnym. Bo czyż walka, żywioł estetyczny, byłaby tam możliwą, gdyby naprzeciw potęgi wielkiéj stanęło coś słabego i nikczemnego, — szczur naprzeciw lwa? Muszą to być potęgi mniéj więcéj równe: Bóg i Szatan u Miltona, Alf i Krzyżactwo u Mickiewicza, Arrya i Messalina u Wilbrandta. Istnieje, z drugiéj strony, szpetota niegroźna, niezaczepna, mało lub wcale nieszkodliwa, i ta znowu ma swoją stronę śmieszną, ucieszną, a z téj

racyi również podatną do ideału. Mamy sławną galeryę tego rodzaju figur w Molierze i Fredrze, gdzie aktorzy wyzyskują ideę szpetności na rzecz ideału ujemnego.

Czyż jednak zasadę tę, reprezentowaną w świecie moralnym przez siły demoniczne i satyryczne, można zastosować i do świata natury? Tak, ale ze znaczną modyfikacyą, wynikającą nie z przepisu czy umowy — to wolno, tego niewolno, — tylko z samėj istoty rzeczy. W świecie moralnym, stanem panującym jest niepewność, postęp, cofanie się, wolna wola, namiętność; działają tam rozmaite pierwiastki kłócące się z sobą i w tėj kłótni zdobywające sobie byt silny i rozległy. W naturze nie ma tych różnic: tam jedna panuje idea, idea życia, którą sama nawet śmierć podtrzymuje; wszelki zaś objaw żywotności pięknym jest, jak to autor szczegółowo wyjaśnił w rozdziale „Objawy piękna“. Są i w naturze przedmioty odrażające (plugawe robactwo, istoty żyjące w kanałach i t. p.), wyjątkowo słabe, zwyrodniałe, które, jako niezdolne zająć przyjemnie naszych uczuć estetycznych, nigdy tėż za przedmiot sztuki nie posłużą, chyba, że i sztuka posiędzie kiedy jakiego Zolę, który stanie na czele gustu świata, obojętnego dla tematów. Wogóle jednak natura przedstawia żywotność i wdzięk; za nią tėż i sztuka, jeśli ma przedstawić naprzykład konia, to typu jego szukać nie będzie wśród szkap dorożkarskich, lecz na stepie. A jednakże i takie nawet odstępstwa, sztuka, w danych okolicznościach, wyzyskuje z powodzeniem. Pięknym jest ten wychudły koń, na którym zbiėdzony żołnierz powraca z boju „borem, lasem, przymierając z głodu czasem“; pięknym jest na jednym z dawniejszych obrazów Gersona, ów koń spracowany, którego chłop ze łzami w oczach odprowadza na cmentarz koński. Ale i tu przychodzi myśl moralna, która brzydotę okazów światłem estetycznėm opromienia, czyniąc je pięknemi wbrew przeciwieństwu z typem gatunkowym. W taki sam sposób pięknym będzie zasmolony kominiarz powracający od ugaszonego pożaru, piękniejszym od wytwornego panicza zdaleka przyglądającego się klęsce i t. p.

Niewiadomo więc, powiadamy, jak segregować i co brakować w odniesieniu do sztuki, pozostawić to trzeba uczuciu i gustowi artysty, bez żadnych wyłączeń. I ta właśnie swoboda w wyborze tematów, jakotėż środków ekspresyi, najwięcėj przemawia za formułą: „Sztuka dla sztuki“, którėj autor kilka zdrowych kart poświęcił, wbrew wrzawie, jaką przeciw niėj podnieśli utylitaryści. Zniósłszy celowość w naturze, zatrzymali ją w sztuce, żądając od jėj utworów tendencyi, korzyści społecznėj, wszelkie objawy cechą tą nieoznaczone, odsyłając do nieużytków, a tym sposobem nowe na sztukę nakła-

dając wędzidło. Przeciw takim to uroszczeniom występując prof. Struwe, formułę „sztuka dla sztuki“ objaśnia i uzasadnia głównie przez analogię do innéj formuły: nauka dla nauki, która w swych prawdziwych koryfeuszach wolną jest od wszelkich celów ubocznych. Uczeni pracują dla nauki saméj, a co z ich odkryciami zrobi społeczność, to nie ich rzecz: nauka straciłaby godność, gdyby stosowała metody swe do zamiarów związku z nią bezpośredniego nie mających, gdyby się poprostu wynajmowała: ona musi być wolną, ażeby była sama sobą, prawdziwą. Z jakiéjże racyi sztuce, która narówni z nauką posiada pierwiastek własny i metody własne, nakładać kaganiec celowy i czynić znaczenie jéj zależném od widoków innorzędnych, przymusem łamać porywy indywidualne? Taką jest myśl obrony, wniesionéj przez autora za powyższą formułą, która przecież nic innego nie wyraża, jak tylko przyznanie sztuce zupełnéj w swém państwie niepodległości.

Na poparcie téj myśli możnaby się jeszcze odnieść do saméj genezy piękna. Pomimo danéj przez autora definicyi, któréj wartość ocenialiśmy poprzednio, możemy jeszcze, stając bliżéj pierwiastku wzruszeń estetycznych, powiedzieć, że pięknem nazywamy to, co nam sprawia pewną przyjemność pozbawioną wszelkiéj cechy zrosłéj z popędem samolubnym; o czém wreszcie wykłada i p. Struwe (str. 15), cechę tę nazywając bezinteresownością. Innemi słowy, przedmiot budzący w nas wrażenie piękna w niczém się nie przyczynia do zachowania naszego bytu, a tém samém żadnéj nie przedstawia korzyści utylitarnéj: krajobraz, szum borów i strumieni, gra świateł, są to rzeczy nie mające żadnego związku z tymi kilku popędami, które stanowią w pierwszéj instancyi o bycie lub niebycie żyjącego organizmu: piękno, to jego zbytek. Ta cecha generyczna wzruszeń estetycznych, wyłączająca z nich wszelką utylitarność, ażeby nie skrzywiła natury saméj istoty, musi chyba towarzyszyć i nadal tym wzruszeniom w ciągu ich rozwoju, i nie odstępować od produkcyi umysłu pod ich kierunkiem powstających, czyli w sztuce. Inaczéj, pozbawiona znamienia rodowego, sztuka poszłaby na manowce i zatonęła w produkcyach innych. Jeżeli więc zatrzymać chcemy sztukę w tym charakterze, do którego ją przeznaczył instynkt bezinteresowny, to na niéj spekulacyi robić nie możemy, musi ona w tém znaczeniu pozostać nazawsze „sztuką dla sztuki“.

A przecież mimo to sztuka społecznie bezpłodną nie jest. Silnie wpływając na uczucia i podnosząc ducha, spółdziała ona innym czynnikom kształcącym społeczności ludzkie; i pewni byliśmy znaleść spółdziałanie to określone pod nagłówkiem: „Sztuka, religia i filozofia“,

ale oczekiwanie nas zawiodło. Jest-to tylko w rodzaju artykułu wstępnego, w tonie polemicznym trzymana dyatryba przeciw pozytywizmowi i wogóle przeciw doktrynom ubóstwiającym wyłączność nauki doświadczalnéj, jako jedynego pierwiastku, mającego zastąpić wszystkie inne ducha ludzkiego skłonności i potrzeby. Nie zawadzi zapewne przypomnieć potworności takiego wybryku, unicestwiającego uczucie i fantazyę z całém ich rozgałęzieniem i zastosowaniem, który, wytłómaczony na język praktyczny, może nawet usprawiedliwić działania komuny paryskiéj; ale dziś, kiedy idee podobne cofają się same na całéj linii, upomnienie zdaje się być nieco spóźnioném, a mającém bezpośredni związek ze sztuką o tyle tylko, że omawiana doktryna, unicestwiając wszystko, co jest po za nauką ścisłą, odpycha zarazem i sztukę, jako dzieciństwo i „bawidełko fantazyi". Zawiedliśmy się podobnież na rozdziale „O twórczości", wnosząc po towarzystwie, w jakiém go spotykamy, że znajdziemy tam rozbiór psychologicznéj kwestyi tworzenia artystycznego; tymczasem zawiera on argumenty za celowością w naturze, przeciwstawiające się doktrynie, wyprowadzającéj twory z przypadkowéj kombinacyi cząstek zlepionych energią materyi. Kwestya ta, sporna i dotąd nierozstrzygnięta, z innéj racyi pierwszorzędnie ważna, nie wchodzi wszakże w zakres estetyki, a mowa o twórczości artystycznéj, przychodzi dopiéro w rozdziale „Indywidualizm i przedmiotowość w sztuce" (talent i sztuka).

Same wyrazy tego tytułu zaciekawiają; każdy z nich zawiera źródło skomplikowanéj analizy. Nie z téj jednak strony autor zaczepia tytułowy temat, a to co pod tym tytułem mówi, jest tylko odpowiedzią na kurs estetyki Eug. Véron'a z r. 1883. Pisarz ten wydał także „Moralność", która, pomimo daty druku 1884 r., zdaje się być napisaną wcześniéj. P. Véron kwestye filozoficzne traktuje tak, jak jego ziomek Clémenceau traktuje politykę. Jego moralność staje na ruinach wszystkich dotychczasowych podstaw moralnych i przedstawia się jako rachunek utylitaryzmu. „*L'utile est le fondement de la morale; l'utile est le criterium du juste*": oto rozdziały streszczające całość wykładu. Ktoś sobie pomyśli, że „*ausrotten*" jest „*utile*", a więc będzie i „*juste*". Owóż, ów luby moralista, wierzgający argumentami dla podeptania ustalonych praw i obyczajów moralności, nie byłby radykalistą, gdyby nie zamierzył zniszczyć czegoś i w estetyce. Proponuje on między innemi zniesienie wszystkich akademii sztuk pięknych, wszystkich szkół przygotowawczych, wszystkich wzorów, uważając je za przeszkody do wyrabiania się indywidualnego jednostek. Nie toleruje żadnych rad, ani wskazówek, żadnego obcego wpływu, któryby się mieszał z indywidualnością adepta, do tego stopnia, iż

uczeń, według niego, winien być zupełnie odosobniony, tak, ażeby nawet sąsiedztwo kolegi nie spłoszyło dziewiczości jego talentu. Indywidualizm u niego jest wszystkiém, tak dalece, że w dziele sztuki nie potrzebuje on doskonałości wykonania, harmonii formy z treścią, estetycznego wrażenia przedmiotowego. Orędownik pleneryzmów, impresyonizmów i wibryzmów, pozwala, ażeby dzieło artysty (według cytaty p. Struwego, str. 114) było pełném usterek i błędów; a jego zmysł estetyczny zadawala się dostatecznie, jeżeli w tém dziele lichéj wartości przedmiotowéj, osobistość artysty należycie wydatnieje oryginalnością i energią. Mamy zatém mieć nadal w galeryach nie arcydzieła, ale arcyosobistości.

Nie byłoby nowością, gdyby p. Véron czynił nacisk na pilne strzeżenie indywidualności artystycznéj, boć to jest dziś postulatem powszechnym. Nie byłoby nowością, gdyby żądał pod tym względem reformy pedagogicznéj, bo wszyscy interesujący się dobrem sztuki wołają o to usilnie, a niektóre akademie, jak monachijska, dawno się już do tego zastosowały. Ażeby się więc wylegitymować z nowości pomysłu, żąda reformator ten nie zmiany, lecz zniesienia, rozbicia twierdz, spalenia okrętów, zatopienia dobytków historycznych; i niechaj każdy odkrywa Amerykę na własną rękę. Nie o to wreszcie chodzi mu ostatecznie, ażeby talent tworzył dzieła dobre, tylko, ażeby tworzył oryginalne, i wyrażał w nich nie przedmiot, lecz siebie, „swój temperament i znamiona wrażenia indywidualnego“. Dziwna rzecz, jak ten radykalista sprzeciwia się realizmowi, z którego powstał. Realiści potępiają subiektywność, całą wagę kładąc na przedmiotowość, jéj uwydatnienie uważając za najwyższy tryumf sztuki; i z nimi téż do bardzo dalekiéj granicy rozsądek zgodzić się może. Na indywidualizm nie kładą oni nawet zbyt wielkiego nacisku, pewni będąc z góry, że talent prawdziwy samą swą energią nie dozwoli się zaćmić wpływem rutyny. P. Véron mało widać wierzy w siłę indywidualności artystycznych, jeżeli je tak strzeże przed obcym wpływem, jak mama pannę przed niebezpieczną książką.

Z całego owóż wykładu estetyki Vérona, p. Struwe to głównie majaczenie poddał krytyce rozsądku, stawiając idealizm wobec przedmiotowości, talent wobec szkoły. Nie tłómaczy on wprawdzie, co to jest indywidualność i z jakich żywiołów powstaje, ani, czy można być absolutnie indywidualnym w życiu społeczném, które dziedziczy coś, chłonie coś z otoczenia, ze wspólnych wzruszeń, tak, że każdy z nas jest i jednostką samą w sobie i cząstką całości coraz rozleglejszéj. Nie wykrywa też autor, gdzie mianowicie spoczywa siedlisko różnic jednostkowych, objawiające się temperamentem, wydatniejszemi w tym

lub innym kierunku skłonnościami, mniejszą lub większą zdolnością odczuwania tych lub innych wrażeń kombinujących się w jaźni człowieka; nie rozbiéra, na czém polega talent artystyczny w różnicy od innych, — bo ku temu wszystkiemu trzebaby poruszyć cały, a dotychczas mało wystarczający aparat fizyologiczny: ale zaznaczywszy w twórczości miejsce indywidualizmowi i talentowi, stara się nie bez powodzenia wykazać, że przeszłość sztuki, wzory, tradycye (równie jak w nauce), nie stanowią żadnego dla tych dwóch przymiotów ludzkich niebezpieczeństwa. Dowodzi wielu z historyi sztuki przykładami, że tylko mierności grzęzły w rutynie, a talenty wyższe, przyjmując tradycye z dobrodziejstwem inwentarza, zawsze wyrabiały sobie stanowisko indywidualne. Potrzebaż bliższego na to szukać dowodu, jak w Szopenie i Mickiewiczu? Pierwszy przyjął wszystkie całokształty i reguły muzyki dawnéj (sonata, fantazya, waryacye, rondo, koncert), tylko je własną, swobodną i nieskończenie bogatą wypełnił treścią, a prócz tego stworzył formy nowe dla oddania dźwięków duszy, jakich nikt przed nim nie słyszał na świecie. Mickiewicz nawet zbyt widocznie wpatrywał się w spółczesne sobie wzory wielkiéj poezyi Zachodu, zajrzał i do greckiéj, i ślady tych wzorów odbiły się na jego dziełach. Czyż przez to obaj ci mistrze zatracili swą indywidualność? Dzielność ich nic nie straciła na tém, że woleli uwięzić siebie w arcydziełach samych w sobie, których świat do skończenia zapewne ciekawszym będzie, niż widoku temperamentów osobistych, tak jak ciekawszym jest „Kazania Skargi“, niż temperamentu jakiegobądź impresyonisty.

Na tym rozbiorze indywidualizmu i talentu ogranicza się tu szereg studyów, zwróconych do ogólnych zasad estetyki, która w końcu książki dopiéro otrzymuje swój naukowy całokształt. Przegradzają rozprawy dotyczące kwestyi szczegółowych lub zastosowań praktycznych. Pod napisem „Rysunek i barwa w malarstwie“ znajdujemy nader cenne rozróżnienie tych dwóch sposobów wyobrażania. Rysunek przedstawia tylko stosunki przestrzenne przedmiotów, z pominięciem ich barw, a tym sposobem za pomocą jedynie konturów, perspektywy i cieniowania odtwarza daną rzeczywistość: czyli, na podobieństwo rzeźby, przedstawia on wyłącznie formy przedmiotu, im powierzając uwyraźnienie myśli. W środki reprezentacyjne jest on najuboższym: mniéj uposażony od rzeźby, która działa bryłami, kiedy rysunek ograniczony do płaszczyzny, musi dopiéro sztucznie wywoływać bryłowatość; wielekroć mniéj uposażony od malarstwa, jako pozbawiony barw, bez których nic nie istnieje w naturze. Stanowiż to jego ułomność, albo: czy ma on tylko znaczenie propedeutyczne w stosunku do ma-

larstwa? Wcale nie? Sztuka plastyczna nie poszukuje w odbiciach swych prawdy bezwzględnéj, jaką daćby tylko mogły tak zwane żywe obrazy; ona z warunków swych poprzestawać musi na prawdopodobieństwie: dlatego téż zupełnie w jéj państwie równouprawnione są figury rzeźbiarskie, także bezbarwne, a na téj saméj zasadzie uprawnionym jest samoistnie i rysunek, jako przejście od rzeźby do malarstwa. „Ta plastyka rysunku (czyli strona jego rzeźbiarska), — powiada autor (str. 157), — ta jego staranność o wierne zaznaczenie zarysów form, bryłowatości przedmiotów, nadaje mu pierwszorzędną doniosłość w technice malarskiéj, a prawdopodobieństwo plastyczne jest koniecznością (właściwie: warunkiem koniecznym) prawdopodobieństwa barwnego.“ Jużciż w rysunku, w kartonie, mieści się duch kompozycyi artystycznéj, a najświetniejszy kolorysta, przy fałszywych konturach, produkować może tylko bohomazy, kiedy np. Doré, Kaulbach, bez barw, tworzą arcydzieła. Zanadto wreszcie dzisiaj składa rysunek dowodów samodzielnego, dzięki wytwornéj plastyce, znaczenia, aby go było potrzeba popiérać. Jeśli wolno objaśniać jednę sztukę przez drugą, powiedziałbym, że rysunek w malarstwie znaczy mniéj więcéj to samo, co w muzyce melodya, w pierwsze tony ujęta (śpiew): tu spoczywa dusza pomysłu, a ujęcie w harmonię fortepianową lub orkiestrową—to kolor. Dzielna instrumentacya uwydatnia piękności melodyi, ale i w oczach nieznawców zakrywa jéj płytkość.

Malarstwo jednakże, to najwyższe wcielenie pomysłów sztuki reprezentacyjnéj; to sztuka, która wdziera się w słońca tajemnice, ażeby nam je odsłonić (w porównaniu z muzyką, to symfonia, opera). Musi ona zadosyćuczynić warunkom rysunku, nadto: oświetlić go, barwami powypełniać próżnie, co przedstawia komplikacye, jakim tylko wysoki talent zdolen jest sprostać. W obszerném dziele o „Estetyce barw“ autor szeroko traktował stosunek ich do wzroku i do samych siebie: tu zwrócił jedynie uwagę na niektóre punkty zasadnicze techniki malarskiéj, a głównie zajął się rozgatunkowaniem sposobów malowania, według trzech poglądów, z których pierwszy nazywa naturalistycznym, drugi kolorystycznym, trzeci stylowym. Pierwszą z tych kategoryi rozumiemy odrazu: jest to ta, która za najwłaściwsze prawidło uważa doprowadzenie barw do ścisłego naśladowania ich w naturze. Można z poglądem tym polemizować, można mu w pewnych razach przyznawać słuszność, jak to czyni autor, ale to pewna, że się rozumié jego określenie. Mamy np. w téj chwili na jednéj ze ścian Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, obraz Wacława Szymanowskiego, pod napisem „Do kościoła“, malowany wybornie

w duchu naturalistycznym. Koloryt dnia jakby bezsłonecznego, zgoła nieświąteczny; dwaj górale i dwie góralki gżą się na pierwszym planie. Jeden zwłaszcza, przednie zajmujący miejsce, ładny chłopiec, w swym narodowym stroju, ubogim. Ale dwie dziewczyny, pospolite, brzydkie, nie w tych stanikach i krótkich spódniczkach, które dozwalają cośkolwiek wyjrzéć ujmującym kształtom naturalnym, lecz w sukniach barwy spłowiałéj (*endimanchées*), rozdętych, jakby wybranych ze staréj garderoby mieszczańskiéj, które z ich korpusu czynią dwie kupy tkaniny. Brzydkie są, co się zowié, w tém upostaciowaniu, ale cóż to znaczy! Takiemi widział je artysta w naturze, takiemi je odmalował, wiernie trzymając się natury, nic nie upiększając dowolnie: jest-to pewien tryumf pędzla. Rozumiemy, że taki obraz podchodzi pod tę kategoryę, którą autor nazywa poglądem naturalistycznym.

Ale cóż to jest kolorystyczny pogląd, na co? Na kolor?... Przez to wyrażenie rozumié on pewną dążność artysty do wywoływania efektów szczególną grą barw, roztaczaniem blasku i wspaniałości kolorytu, co go jednak nie uwalnia od spełnienia innych warunków produkcyi malarskiéj. O cóż zatém chodzi? O wytworny koloryt? Ależ nie widzimy, dlaczego on nie miałby być wytwornym i w kategoryi naturalistycznéj, skoro naturze nie zbywa na tego rodzaju wzorach. Każdy malarz obowiązany jest być kolorystą: ale my przez to rozumiemy odpowiedniość barw do przedmiotu, i sam wreszcie autor powiada (str. 175): — „Ubarwienie koniecznie zastosować się winno do natury przedstawianéj osnowy, jak i do nastroju estetycznego, złączonego z jéj artystyczném obrobieniem. Natura osnowy, przedmiotu, wymaga prawdopodobieństwa w doborze barw; nastrój zaś estetyczny w pojmowaniu i odtwarzaniu osnowy, pociąga za sobą odpowiedni estetyczny odcień kolorytu.“ Otóż i całe prawo, stosujące się do wszystkich kategoryi malarstwa, i nie wiem, z jakiéj racyi robić z niego kategoryę osobną. „*Entia non sunt multiplicanda praeter necessitatem.*“

Więcéj przekonywa nas to, co autor nazywa poglądem stylowym. Przez wyraz styl, rozumieliśmy zawsze pewien charakter, jakim stale i z naturą swą zgodnie, uzewnętrznia się artystyczna twórczość jednostki, narodu, rasy, albo téż pewnych okresów i zwrotów w społeczeństwie daném, niezależnie od tego, jaką cechę przybiera to uzewnętrznienie względnie do natury saméjże treści przedmiotu. Tymczasem autor powiada nam: że styl „jest najwyższém uduchowieniem zmysłowości“, przez określenie to rozumiejąc tworzenie rzeczy wielkich przy pomocy środków najmniejszych, tak, iżby w dziele daném

wątek materyalny sprowadzał się do *minimum*, a myśl wybijała jaknajszerzéj. I takie to, według niego, „znamię genialnéj twórczości stanowi punkt wyjścia dla poglądu stylowego.“ Niezaprzeczenie: im utwór sztuki mniéj potrzebuje środków materyalnych i zmysłowych dla swego uduchowienia, tém na wyższéj stoi skali duchowéj. Dlatego téż poezya, mająca formę najmniéj zmysłową, jest najwyższą ze sztuk pięknych. W takim samym stosunku i na téj saméj zasadzie gatunkować można sztuki inne między sobą, tudzież w jednéj ze sztuk grupy utworów pojedyńczych. Tworzenie rzeczy wielkich małemi środkami, jest niewątpliwie znamieniem geniuszu, a historya sztuki przedstawia nawet całe okresy tego rodzaju twórczością nacechowane, jak np. wiek Peryklesa, gdzie utwory rzeźby są proste, dzieła architektury jeszcze prostsze; charaktery wysoce dramatyczne, w kilku rysach, z wielką oszczędnością słów i środków scenicznych, wogóle efektów, nakreślone. Miara jednak środków zależy od miary treści wewnętrznéj utworu i te, które starczą dla Partenonu, nie starczą z natury treści dla Katedry chrześciańskiéj; tak, że i w tym razie stosunek musi być względnym. Tylko postęp w środkach nie powinien dochodzić do tego, jak autor nazywa, wirtuozostwa, — do zręczności technicznéj, opierającéj „całą sztukę na uwydatnieniu środków artystycznych, bez względu na ducha dzieła“,—z czego powstają takie style, jak baroko i rokoko, — gdy „geniusz, mistrz prawdziwy... nie kokietuje swą zręcznością, nie widzi w niéj nic nadzwyczajuego, tylko konieczny, niezbędny warunek swéj twórczości, więc téż gardzi samém wirtuozowstwem.“ Ale koniec końców, „*le style c'est l'homme*“, i źleby było, gdyby style tworzyły artystów, nie zaś artyści style. Można trzymać się tego sprawdzonego historycznie prawa osiągania wielkich rzeczy małemi środkami, lecz trzeba miéć styl własny: dlatego téż słusznie autor potępia szkolarstwo, które narzuca sposoby traktowania neutralizujące „indywidualność artystyczną“, a naśladowanie obcych stylów nazywając manierą, środkiem, którego chwytają się tylko miernoty.

Różnego poglądu na styl mamy zaraz próbkę w następném studyum: „Malowanie rzeźb“. Wsparty na odkryciach badaczów starożytności, wykazuje autor, że lubo w niewielkiéj części, i to tylko podczas niemowlęctwa i upadku sztuki, malowano w Egipcie, Grecyi i Rzymie utwory rzeźby. Wiemy skądinąd, że styl romański stosował toż samo do rzeźb wykonywanych z drzewa, w które obfitują kościoły katolickie (zob. kościół ŚŚ. Piotra i Pawła w Warszawie), gdzie w ołtarzach widujemy także na obrazach świętych ubrania, niekiedy nawet części ciała, jak serce, ręka, noga, nalepiane ze srebra

lub złota: gdy tymczasem rzeźba nowoczesna wyrzeka się malowania, i czasem tylko, jakby na próbę, odezwie się w niéj atawizm polichromistyczny. Wszakżeż to styl, znamionujący usposobienia pewnych epok? Przejęci duchem rzeźb Witta Stwosza w katedrze krakowskiéj, ze ździwieniem spoglądamy w jednéj z kaplic na pomnik Włodz. Potockiego z białego marmuru. On nie jest tam w stylu: piękny, ale przybysz z obcego świata. Owóż, przebiegłszy pokrótce część historyczną malowania rzeźb, a widząc świadectwa za i przeciw, stawia sobie autor zasadnicze pytanie estetyczne: azali naturze rzeźby właściwém jest malowanie jéj produkcyi, albo nie, i oświadcza się negatywnie, a to na zasadzie prawa samoistności każdéj ze sztuk pięknych, w analogii do podziału pracy różnicującéj się na korzyść postępu we wszystkich kierunkach. Jakoż, trzeba dobrze zauważyć, iż jak rysunek na płaszczyźnie, tak rzeźba w bryle, obowiązuje się tylko do samych kształtów, efekt barwny pozostawiając malarstwu; nie jest ona przeto wyrazem natury kompletnym, ale raz w tém znaczeniu przyjęta, pole kształtów w najrozglejszym zakresie wyłącznie zyskuje dla siebie; samoistność zaś jéj polega na tym warunku żywotnym, że kiedy rysunek i malarstwo postacie trójwymiarowe redukować muszą do płaszczyzny, a więc okazywać ich kształty z jednéj tylko strony, ratując się nadto perspektywą, rzeźba uwydatnia je ze wszystkich stron, i to już nie perspektywicznie, ale plastycznie. To pomyślawszy, zdaje się, można stanowczo orzec, iż rzeźba nie ma żadnego powodu ubiegać się o ubarwienia, które jéj w niczém do uwydatnienia kształtów nie dopomagają, a przeciwnie, jako balast zbyteczny, rozrywają tylko uwagę widza. Jednak autor, dość żwawo oświadczywszy się za jednobarwnością rzeźb, następnie, jakby niepewny siebie, chwieje się i wchodzi w kompromis z polichromią, zastrzegając się, jakby z obawy posądzenia o zuchwalstwo, że wymaganie bezbarwności „nie pociąga jednak za sobą bezwzględnego potępienia wszelkiéj wogóle polichromii plastycznéj, jak sądzą jednostronni przeciwnicy malowania rzeźb“. Nie wyłuszcza jednak na czém, z punktu estetycznego, kompromis ten polegać ma, napomykając coś tylko o ornamentyce architektonicznéj, o objawach pośredniczących, ale nie przesądzając „z góry bynajmniéj zastosowania polichromii do rzeźbiarstwa, nawet realistycznego pomalowania rzeźb.“

Dlaczegóż więc było mówić tyle i tak zasadniczo na rzecz jednobarwności, z powołaniem się na wielkie powagi estetyczne, jak Vischer, by potém zejść na ustępstwo dochodzące aż do „realnego malowania rzeźb?“ Nasze ustępstwa nie idą tak daleko. Rzeźba powinna być rzeźbą, nie zaś karykaturą malarstwa. Wsparta na po-

tężnym przywileju plastyki wszechstronnéj, ma ona zadanie wielkie samo w sobie, — uduchowiania kształtów. Może to komu wydać się śmiesznêm, ale nie wahamy się powiedziéć, iż rzeźba, niezależnie od wzroku, jest sztuką w pewnéj mierze także dla dotyku, tak, iż za pomocą tego zmysłu, wiadomo, silnie rozwiniętego u ślepych, moglibyśmy przez jéj pośrednictwo dać tym nieszczęśliwym pewne wyobrażenie plastycznego piękna, mianowicie: plastycznéj symetryi i harmonii: to samo służy za wskazówkę, iż rzeźba jest tylko sztuką kształtów. Wielobarwność rzeźb jest poprostu podkradaniem się pod malarstwo, strojeniem się w cudze piórka, z powagą tak wielkiéj sztuki niezgodnêm. Do czegoż wreszcie służyć może ono? Jest-że to istotnie malowidło? Nie, to tylko powleczenie farbą w brutalnéj mieszaninie kolorów: twarz i ręce cieliste, włosy czarne, ubrania i akcesorya znowu inne. Wyobraźmy sobie w ten sposób „realistycznie pomalowanego“ naszego Kopernika!... Możnaż wreszcie malowaniem nazwać to, że coś się okryje wielobarwnemi plastrami? Na płaszczyźnie obrazu, na którym artysta kombinuje swoje światło pod kontrolą światła dziennego, w jednéj barwie mamy dziesięć barw perspektywicznie, według światłocienia ułożonych; każda fałda draperyi jednokolorowéj ma swój własny odcień, zależny od tego, w jakim stosunku znajduje się do światła i cienia; każda część twarzy ludzkiéj może i nieraz musi miéć odcień odmienny, w miarę tego, jak na nią pada to światło wprowadzone sztucznie. Będzież takie ze światłocieniem wyprawiał historye artysta, mający do czynienia nie z powierzchnią, lecz z bryłą? A jeżeli nie, będzież to malowanie „realistyczne“, i czy nie jest-to raczéj robota farbiarza? Ej, zostawmy to przedsiębiercom figur woskowych, wystawom fryzyerów i modniarek. Jedyne ustępstwo dotyczyć może tych drobiazgów, cacek, gracików, które sztuka stosowana do przemysłu wyrabia z drzewa, porcelany, gutaperchy i t. p. Tam barwa, z pewnym smakiem użyta, dodaje ożywienia przydatnego w celu, do którego służą te przedmioty, nie roszczące tytułu do poważnego miana utworów artystycznych: ale wielobarwność zastosowana do dzieła monumentalnego, to szykana sztuki.

Odtąd autor przenosi estetykę na pole zastosowań do wychowania, poczynając od rozprawy: „Poezya, muzyka i rysunek, jako środki wychowania estetycznego.“ Środki te nie są wynalazkiem autora, istnieją one oddawna w domu i szkole: prof. Struwe téż uzasadnia tylko ich właściwość w sprawie wykształcenia ogólnego i estetyki życiowéj tak srodze u nas zaniedbanéj, wykazuje każdego z nich poszczególny wpływ i działalność, niedostateczną, lub fałszywie skiero-

waną ich u nas uprawę, głównie zaś krytykę swą zwraca przeciw zaniedbaniu rysunku.

Dopóki autor wynosi poezyę, jako wytwarzającą ideały życiowe, muzykę jako udelikatnianie uczucia, rysunek, jako sztukę obeznawającą z pięknością form, tém samém wiodącą do wprowadzenia ich w życie; dopóki żąda, ażeby wszystkie te trzy środki uprawiane były jednocześnie, harmonijnie, dla pewnych odnośnych zadań,—dopóty podział ten pracy przekonywa nas o swéj racyonalności, dopóty rozumiemy, że nadanie przewągi jednemu z tych środków nad drugim, albo i zupełne pominięcie jednego, ujemnie odbić się może na psychologii wychowańca. W całéj jednak rozprawie widać, jakoby i sam autor zamierzał dać, w celu pedagogicznym, przewagę nad innemi środkami rysunkowi, który, według jego określeń, najprzydatniejszym jest do wytworzenia estetyki życia, we trzech jéj formach głównych, jako domowéj, towarzyskiéj i społecznéj. Skąd zaś powstaje ten przywiléj rysunku, objaśnia nam nowy podział. Rysunek, jako piękno plastyczne, oparte na materyale realnym, odrywa przedewszystkiém człowieka od samego siebie (str. 212) „i zmusza go do szukania źródła zadowoleń nie w samym sobie, w owych własnych podmiotowych wzruszeniach (wywoływanych przez poezyę i muzykę), lecz w świecie zewnętrznym i jego wytworach, w pewnym układzie, ustosunkowaniu i harmonijném zespoleniu przedmiotowego bytu i jego form“... Gdy poezya i muzyka poprzestają na wzruszeniu wewnętrznem, „zmysł plastyczny natomiast, dla urzeczywistnienia swéj estetycznéj istoty, popycha człowieka koniecznie do czynu, do przekształcenia zewnętrznego otoczenia, do nadania mu form nowych, doskonalszych, odpowiadających wymaganiom dobrego smaku. Należyte (zatém) rozwinięcie zmysłu plastycznego... staje się niewyczerpanym bodźcem działalności estetycznéj, bezustanną pobudką do estetycznego udoskonalenia zewnętrznego bytu.“ O ile prawidło to dotyczy wychowania i to wychowania tylko estetycznego, nie mamy nic do zarzucenia. Znaczy to, że wychowaniec może się przejąć do szpiku kości ideałami poetycznemi, może do wysokiego stopnia rozgrzać uczucie namiętną mową muzyki, jeszcze on nie podniesie ręki do czynu w zakresie estetyki życiowéj, dopóki go na tę drogę nie popchnie poezya kształtów—plastyka; jak o tém żywo przekonać się mogło u nas starsze pokolenie na tak przezwanéj Cyganeryi warszawskiéj, grupie abnegatów literackich, w porównaniu ze względnym wykwintem życiowym spółczesnéj grupy malarzy. I gdyby autor tę nieruchawość poezyi i muzyki ograniczył tylko do środków wychowania estetycznego, rysunkowi pozostawiając rolę działawczą, stałby na gruncie nie-

wzruszonym. Lecz autor różnicę tę wyprowadzić chciał doktrynalnie z natury saméj tych sztuk, i bierność a nieruchomość życiową przypisał poezyi i muzyce, jako sztukom, mówiąc (str. 207 i 208) takie np. herezye: — „Poezya i muzyka są przeważnie sztukami podmiotowemi. Cała sfera ich działalności polega na samym akcie poruszenia życia wewnętrznego, szczególniéj zaś uczucia. Po za zakresem tego podmiotowego poruszenia obie te sztuki nie posiadają żadnego trwałego estetycznego bytu (znaczy to: nie utrwalają się w postaci materyalnéj), żadnego przedmiotowego pierwiastku, zdolnego im nadać pewną estetyczną samoistność, niezawiśle od chwilowych poruszeń duszy (to znaczy, że: ażeby samoistnieć, oprócz kompozycyi, potrzebują wykonawców)... Poezya i muzyka istnieją tylko w chwili podmiotowéj działalności człowieka; z chwilą ustania tego podmiotowego działania, poezya i muzyka przestają wogóle istnieć: one mają zatém tylko byt idealny, chwilowy, ulotny, ściśle związany z samą podmiotowością człowieka.“ Daléj zaś (str. 210): — „Poezya i muzyka mają za ostateczny wynik psychologiczny lubowanie się człowieka we własnych swoich podmiotowych stanach, szukanie bodźców wywołujących przyjemne wewnętrzne wzruszenia, szczególniéj uczucie samozadowolenia.“

Nasamprzód, co tu autor nazywa podmiotowością, jest właściwie duchowością form, w jakiéj wyraża się myśl. Muzyka, bez kształtów materyalnych, bez barw, bez wymiarów przestrzennych, ma tylko jeden pierwiastek zmysłowy: dźwięk. Poezya i tego nie posiada; formy jéj są czysto umysłowe i odnoszą się bezpośrednio do umysłu. Są to zatém sztuki (poezya zwłaszcza) najbardziéj z pod zmysłowych warunków wyemancypowane, najbardziéj uduchowione, i dlatego właśnie najmocniéj działają bezpośrednio na ducha. Można je odsądzić od wpływu zewnętrznego w szkole, bo to dla nich grunt za szczupły; ale jak muzyka po części, tak poezya w całości jest wychowawczynią narodów. Jakto? Czyż autor na seryo odmawia poezyi działalności na zewnątrz, i redukuje ją do zamknięcia się tylko w sferze wrażliwości estetycznéj? Więc to nie poezya porywa do czynów miłosierdzia i bohatérstwa, do budowy lub wywrotu pojęć; nie ona zagrzewa zapałem do przedmiotów przez poetę ukochanych, zapałem, który drży tylko aby się mógł objawić czynem? Czy autor widział tylko platonicznie lubujący się w sobie ten zapał, ofiar jego nie spostrzegłszy; zapomniał o pieśni Tyrteusza, o bajronizmie, werteryzmie, wallenrodyzmie? Nigdyż w jego uznaniu poezya nie była przedmiotowém narzędziem czynu? Jeżeli tak, to do czegoż się ona przydała na świecie? Do usypiania niemowląt i lirycznego łaskotania

wrażliwości uczuciowéj. Innego zdania jest co do tego stara legenda helleńska o Orfeuszu, na którego głos poruszały się kamienie i układały w grody. Toż to matka całéj cywilizacyi pierwotnéj; przez nią i dla niéj zbiegały się i jednoczyły ludności. Ale co tam będziemy prawić takie komunały; i czyż z jéj działalnością porównać nawet można działalność sztuki plastycznéj! Jeżeli zaś poezya i muzyka istotnie, jak autor wykazuje, mniéj niż ta sztuka sprzyjają w zakresie wychowania wybuchom wrażliwości nazewnątrz, to dlatego, że doniosłość ich o wiele przesadza ten zakres, a uległa ich, a zwłaszcza poezyi, wrażliwość, innego potrzebuje pola. Wolno zatém twierdzić na zasadzie doświadczenia, że w zakresie wychowawczym poezya i muzyka, jako środki, mniéj przysługują do uzewnętrznienia wrażeń i do przeróbki otoczenia „według swéj modły estetycznéj“, lecz uogólniać ich bezwładność nazewnątrz, dowodzić, że „sztuki te mają za ostateczny wynik, lubowanie się człowieka we własnych stanach podmiotowych“—nie mamy prawa.

Pomiędzy temi trzema środkami w zastosowaniu do wychowania, my widzimy podział inny. Stawiamy z jednéj strony muzykę i rysunek, jako przedmioty szkolne, których wychowaniec uczy się, to jest zapanowywa nad warunkami technicznemi, nabywa biegłości: czyli staje się zwolna tym w obu z nich samoistnym działaczem, o jakiego autorowi chodzi. Jeżeli sam zagra „wlazł kotek na płotek“, lub narysuje domek, już on zaznacza swą indywidualność, tworzy, zdobywa, cieszy się zdobyczą, wbija się w ambicyę, czuje się mistrzem, i jest nim naprawdę w minimalnym stopniu: odczuwają tó wszystkie jego władze psychiczne. Inaczéj rzecz się ma z poezyą: téj się wychowaniec nie uczy; uczy się o niéj. Z powodu swéj duchowości, poezya posiada technikę zmysłową i materyalną bardzo słabą, prawie żadną, tyle, ile jéj wzięła od muzyki. Wychowawca uczy śpiéwać, grać i rysować; poezyę uczy tylko rozumiéć: wychowaniec tam kształci się praktycznie, tu tylko teoretycznie; można kogoś nauczyć poetyki, ale nikt nie nauczy być poetą. Wychowaniec zatém, kształcąc się w poezyi, nie jest obowiązanym tworzyć, czyli uzewnętrzniać się samodzielnie; gdy kształcąc się w muzyce i rysunku, musi sam przykładać ręki, działać, uzewnętrzniać się nieustannie. Zdaje się zatém, że z punktu pedagogicznego, taki jedynie podział tych trzech środków byłby dostatecznie sprawdzalnym, co bynajmniéj nie ubliża i téj prawdzie, przez p. Struwego wykazanéj, że rysunek, jako wcielający zmysłowo wychowańca w tajemnice ładu i wdzięku plastycznego, najsilniéj oddziaływa na jego wrażliwość estetyczną w kierunku zastosowań życiowych; i pod tym téż względem studyum

to, wyjaśniające korzyści i określające warunki, z fachową znajomością rzeczy napisane, wyświadcza niepoślednią przysługę naszéj pedagogii.

W pedagogicznym téż związku z tém studyum, jedném z najżywotniejszych w tym zbiorze, pozostaje rozprawa „O zadaniu i wychowaniu estetyczném kobiéty“, w któréj autor rozszerza tylko swe rady i wskazówki odnośnie do kształcenia kobiét w poezyi i sztukach pięknych. Nie byłoby powodu pisać osobnego w tym przedmiocie artykułu, gdyby nie to, że autor kobietom, po za innemi zadaniami i pracami, główny udział przeznacza w sferze estetycznéj, bacząc na ich ustrój i przyrodzone zdolności. Tyle się w tych czasach nagadano o przeznaczeniu kobiét, że to, co mówi autor jest tylko jedném ziarnkiem w różańcu rozumowań, które u niego stoją pośrodku drogi, pomiędzy absolutną emancypacyą a dawném ograniczeniem. Nad temi rozumowaniami nie ma co się zastanawiać dzisiaj, kiedy niewiasty nasze wzięły się do rozstrzygnięcia kwestyi równouprawnienia z płcią męską we wszystkich zadaniach umysłowych, kiedy pełno ich przy biurkach prywatnych i urzędowych, w laboratoryach, na katedrach, a z drugiéj strony płody ich fantazyi rozlewają się potokami beletrystycznemi po wszystkich literaturach świata, artyzm rozbrzmiewa po wszystkich scenach.

Chcąc nakreślić drogę pracy dla kobiéty w sferach cywilizacyi wyższéj, nie można poprzestawać na apodyktyczném wytknięciu jéj według dzisiejszych upodobań, jak to czyni autor, popierając się słabą powagą El. Ziemęckiéj i kilku przykładami, świadczącemi, że kobiéta jest dopełnieniem mężczyzny w kierunku ideału i estetyki; ale trzeba wyszukać zasadniczego punktu oparcia w fizyologii i historyi. Czy to okiem rzucimy na legendową starożytność, gdzie po za osłonami fikcyi spoczywa ziarno rzeczywistości; czy dojdą nas wieści o społecznym bycie plemion, zwanych dzikiemi, wszędzie widzimy jeden i ten sam fenomen, że w tych brutalnych pierwiastkach życia ludów, zajęcia obu płci mieszają się razem (jak u zwierząt—zdobycz), aż do zapasów wojennych (amazonki), ale, że zarazem mężczyzna góruje siłą i bierze na siebie przeważnie zajęcia pozadomowe, od których wszelako i kobiéta nie usuwa się nigdy (Nie potrzeba nawet szukać zbyt daleko: u naszego chłopstwa fenomen wzajemnego wyręczania się obu płci ukazuje się również, jako dalszy ciąg stanu niekulturowego). Postęp dopiéro cywilizacyi, bliżéj wchodząc w naturę płci, różnicuje coraz bardziéj ich uzewnętrznienia w działaniu, ograniczenie przychodzi samo z siebie, mnożąc i uwydatniając coraz wyraźniéj cechy prac i przeznaczeń płci odnośnych: wytwarza się płeć silna i płeć sła-

ba, delikatna. Na tym podziale prac duchowych i fizycznych, wyradzającym odmienność skłonności, na tém wyodrębnieniu się płci obojéj, polega cały urok towarzyski; jedna grupa dla drugiéj staje się nowością, czémś nieznaném, ciekawém, duchowo pożądaném. Kobiéta lubi w mężczyźnie męzkość, mężczyzna w kobiecie kobiecość, już nie jak zwierzę, lecz jak istota w gustach wydelikatniona: mężczyzna i kobiéta, to jakby dwaj przyjaciele, którzy poszedłszy w świat, dawno się nie widzieli, a za powrotém mają sobie do powiedzenia tyle rzeczy nowych, uczą się poznawać siebie. Nadwérężenie tych pierwiastków typowych osłabia urok niespodzianki, zupełne ich uronienie gasi go, bo jakiż powab dla kobiéty może miéć mężczyzna-niewieściuch, dla mężczyzny kobiéta-samiec. Jeżeli zatém ważymy sobie za coś ten urok w życiu społeczném, dorobek cywilizacyi, to należy szanować jego powody: podział zajęć, cechy wyodrębniające, których zniesienie byłoby zwrotem do stanu pierwiastkowego.

Ale co rzeczywiście w tym stanie pierwiastkowym, prócz cech zwierzęco-płciowych, na rachunek kobiecości odkryć się daje; co jest w niéj owém *ewig weibliches*, to wydatny popęd estetyczny. Wszędzie kobiety rej wiodą w tańcu i śpiewie, dwie te sztuki zaczątkowe niejednokrotnie na swą wyłączną własność zabierając, bez udziału mężczyzn. One również przodują w zdobieniu się strojem, zbytecznym nad konieczną potrzebę (kwiaty, świecidła), w chęci przypodobania się, ozdoby wprowadzają do domu. Estetyka, to wszędzie ich instynkt najwyrazistszy: że zaś jest to instynkt, ruch pierwotny, to można o nim powiedziéć, że zawiéra w sobie wskazówkę przeznaczenia, któréj, jako naturalnéj, łamać niewolno: *quod natura secum tulit*... Na tém też tle rozwijała się przeważnie działalność kobiéty we wszystkich wiekach, uprzyjemniając życie pomysłami estetycznemi, niezależnie od również naturalnych zajęć małżonki i matki.

Wzgląd na ten wywód silnie popiérają apodyktyczne prof. Struwego wymagania od kobiéty poddania się systematycznemu, niezależnie od rozumu i rozsądku, kształceniu uczucia i fantazyi, przymiotów w naturze jéj przeważających, gdyż błędem byłoby „nie zwracać uwagi na to, co wychowaniec z natury swéj posiada“. Rzeczywiście: uczucie i fantazya, puszczone samopas, zwłaszcza w kobiecie, doprowadzają niejednokrotnie do szału i poniewierki; ujęte w karby metody stwarzają rzeczy cudowne. W tém znaczeniu, niewątpliwie, jak chce miéć prof. Struwe, dużo kobiecie zawdzięcza mężczyzna, który w każdym okresie bytu, pragnąc się podobać, pozyskać, usiłuje wyróżnić się, odznaczyć czém pięknem, utrafiając w jéj zmysł estetyczny. Bez tego bodźca estetycznego zaczęlibyśmy powoli dziczéć w życiu towa-

rzyskiém i wyszli na muzułmanów. Autor, zdaniem naszém, ma słuszność przeznaczając kobiety na kapłanki świątyń Estetyki raczéj, niż na mistrzynie nauk pozytywnych, pomimo niektórych i w tym kierunku świetnych z ich strony przykładów powodzenia.

Słusznie téż w rozprawie „O teatrze“, po wyborném określeniu strony estetycznéj téj instytucyi, domaga się kierunku uwzględniającego wyższe potrzeby społeczne. Istotnie, szkoda takiéj instytucyi, która tak wspaniale pod względem estetycznym w opisie wygląda, z poezyą na czele, która tam tylko znajduje najwyższą a godną siebie interpretacyę w żywém słowie i mimice, przy pomocy wszystkich innych sztuk do złudzenia przedstawiając życie rzeczywiste. Teatr, to osobne państwo, zaczarowany kraj wstrząsających duszą widza uroków, którym żadne inne w dziedzinie sztuki pod względem siły sprostać nie mogą. Szkoda istotnie instytucyi, którą w wielkiéj wspaniałości przekazała nam wysoka cywilizacya wieków przeszłych, ażeby dziś służyła przeważnie do wywoływania sensacyi i podbudzania nerwów zwątlonych nadużyciami. Ale téż ten teatr właściwy potrzebuje tylu warunków, że o jego doskonałość taką, jaką ma na myśli autor, dziś ubiegać się niepodobna. Czyż możemy, *caeteris paribus*, żądać, ażeby nasz teatr dzisiejszy stanął co do znaczenia na równi z greckim? Było to marzeniem Ryszarda Wagnera, ale téż i w sferze marzenia pozostało. Tam, gdzie nie było ani szkoły, ani kościoła w znaczeniu właściwém, mógł teatr pod tym względem stanowić edukacyę publiczną, i teatr grecki nigdy się téż nie wyzbył pierwiastku religijnego i politycznego. Niedziw nawet, że w ręku Corneille'a, Racine'a i Molière'a stał się szkołą zasad, tam gdzie one innemi drogami z trudnością się przeciskały. Dzisiaj jednak, przy takiém rozwinięciu szkolnictwa i prasy, przy ogromnym rozwoju swobody słowa i polemiki, teatr jako narzędzie zasad i pomysłów, natrafia na silną konkurencyę. Pozostaje mu głównie sztuka sama w sobie, i téj mianowicie szuka tam publiczność. Nie nawrócisz jéj niczém w stronę tendencyi; jéj chodzi głównie o efekty sceniczne, o zajmujący bieg intrygi, a przedewszystkiém o grę; aktor tu nieskończenie więcéj waży od autora; pomijając nazwisko nawet ostatniego, palcem pociągając po afiszu, publiczność szuka tam, kto gra, a jeśli nie trafi na ulubieńców, odchodzi. Autor musi to brać w rachunek, bo biada mu, choćby napisał arcydzieło poetyczno-sceniczne, jeśli aktorzy nie znajdą w niém dla siebie ról efektownych. Publiczność nie chce się w teatrze kształcić, ale bawić. Prof. Struwe odbudowę teatru, jako instytucyi społecznéj, odnosi do przyszłości. „Po długich czasach natężonéj pracy—powiada—tak fizycznéj jak i umysło-

wéj, narody znowu poczują potrzebę wszechstronniejszego zaspokojenia swych wymagań estetycznych, pokrzepienia swego znużonego ducha nowemi, prawdziwie wzniosłemi ideałami“. Dużoby się musiało zmienić, bo teatr zależnym jest od całego nastroju społecznego, i nie on społeczeństwu nadaje charakter, lecz ono jemu. Ruch musiałby pójść z dołu, od nowych prądów i wymagań, od naiwnych i świeżych: zestarzałe inteligencye wątpię, aby kiedykolwiek szukały w teatrze czegoś innego prócz zabawy czysto-światowéj. Od dzisiejszego „*théâtre réaliste*“ w Paryżu, przytułku ostatecznéj ohydy, do odrodzenia w rodzaju Sofoklesa, droga bardzo daleka. Wszak nietylko ogół, ale nawet niektórzy luminarze teatralni, jeśli się dziś ktoś odezwie przeciw pijanéj i podkasanéj muzie, pozwalają sobie cynicznie bronić jéj z téj zasady, że teatr nie jest dla pensyonarek — co znaczy: dla umysłów czystych, brzydzących się brzydotą, wyuzdania nieświadomych. Przy takiém usposobieniu ogółu i krytyków, kiedyż to nasz szanowny autor spodziéwa się zwrotu, a raczéj przewrotu?

Ażeby miéć prawo rozprawiania o rzeczach i szczegółach dotyczących piękna, potrzeba znać gruntownie jego teoryę, czyli dziś powszechnie tak zwaną „Estetykę; bo „nic nie wpływa bardziéj na zepsucie sądów estetycznych ogółu, jak samowolne traktowanie kwestyi estetycznych, lekceważące odnośne wyniki badań naukowych“, powiada autor w zaczątku obszernego studyum „Estetyka jako nauka“, zamykającego rozprawy szczegółowe. Jest to grom rzucony na wszystkich, którzy dotykają się téj materyi (czemuż i nie każdéj innéj), bez odbycia dostatecznych studyów naukowych. Znajdują się wprawdzie pomiędzy nami tacy, którzy mając pewne pojęcia estetyczne do prywatnego użytku, obracają je na użytek publiczny, i prawią to co im się zdaje, nie zaś to, co jest. Łatwiéj wreszcie każdemu rozprawiać o filozofii i estetyce, niż np. o piwowarstwie, boć każdy przynosi z sobą na świat jakąś cząstkę rozumu powszechnego, jakąś cząstkę smaku odziedziczonego, a piwowarstwa uczyć się musi: z takich rozpraw nieraz za boki trzymają się specyaliści. Do zdania tedy o rzeczach piękna — powiada autor — trzeba posiadać naukę piękna. Na czém zaś polega ta nauka, rozstrzygnąć ma rozprawa niniejsza, stanowiąca treściwy program estetyki, a zkądinąd niejako rekapitulacyę zdań i poglądów, rzucanych w ciągu wszystkich przejrzanych tu studyów, poprzedzona drobnym, ale dość wyczerpującym zarysem historyi i literatury estetyki, trafnie charakteryzującym główniejsze zwroty od Sokratesa, aż do Taine'a, nie wyjmując i pisarzy naszych.

Estetykę dzieli autor na ogólną i szczególną, z których, zada-

niem pierwszéj jest tylko określenie natury piękna, bez względu, w przyrodzie czy sztuce. Właściwie, poprzestać byśmy mogli w tym razie na saméj przyrodzie, gdyż sztuka, jako proste jedynie odbicie idealne przyrody, podchodzi pod jednakie z nią prawo. Dla określenia więc natury piękna, autor nie idzie daléj nad znaną już nam z najpierwszéj rozprawy definicyę: harmonii formy z treścią, która wystarczyć ma na wszystkie objawy, podciągnąć wszystkie produkcye i różnice ich od wszelkich zjawisk innego rzędu oznaczyć. A lubośmy już o materyę tę potrącali, tu wypada nam się bliżéj nad nią zastanowić.

Definicya ta, w gruncie, daje się ściągnąć do owéj wydobytéj ze strzępów estetyki Arystotelesa, który piękno zasadza na symetryi i harmonii, rozumié się, rozciągniętéj zarówno do kształtów, jak do barw, ruchów, do myśli i uczuć w patetycznéj tyradzie, czy w dowcipnéj replice, nareszcie do czynów, źródła piękności najwznioślejszéj. Ale czemużby ta harmonijność nie miała istniéć i w rzeczach do sfery estetycznéj nie należących; a jeżeli istnieje, czyżby je zaraz tém samém przerabiała na piękne w znaczeniu specyalném? Czyż ten kałamarz, w którym pisząc to, maczam pióro, pospolity flakonik z symetrycznie wyciętym otworem, a tak doskonale treści swéj odpowiadający, będzie przez tę zgodność formy z treścią, pięknym? Nie. Jest w tém coś innego, co, jako cecha rodowa, wystąpić musi przed wszelkim namysłem, przed wszelkiém badaniem i określeniem; i musi to być cecha ogólniejsza, niezaprzeczona, nieomylna jak instynkt, stanowiący podstawę podstaw i dowód ostateczny. Jest to wzruszenie rozkoszne, jakiego doznajemy od przedmiotu, bez względu na jego korzyść realną: wzruszenie b e z i n t e r e s o w n e, o którém wié doskonale prof. Struwe z Kanta i z Bain'a (z Herb. Spencera dowiedziéć się można więcéj), a jednak go tu na czoło swéj definicyi nie stawia, lecz topi tę cechę, rzucając ją (str. 347) jakby od niechcenia w wywód późniejszy. Tego rodzaju wzruszenie, jako fakt pierwotny, stanowi istotną podstawę nauki o pięknie; w tym bowiem fakcie znajdziemy argumenty i podmiotowości i przedmiotowości, tudzież ukrytą zarazem symetryę i harmonię. Przedmiot podoba się nam doraźnie taki, jakim jest, konkretnie; późniéj dopiéro pytamy d l a c z e g o nam się podobał, i tu właściwie poczyna się okres badania, rozbioru. Autor nasz ze swą definicyą stawia się już w tym okresie, w środku kwestyi, a tym sposobem przesądza z góry to, co ma być dopiéro zbadaném: co jest forma, co treść, co harmonia.

Jeżeli, nie mając pojęcia o estetyce, z zachwytem spoglądam na kwiat lilii, to mi w głowie nie postoi jéj treść: widzę tylko formę. Przystępując coraz bliżéj, z uniesieniem oglądam olśniewającą białość i układ korony, i ten złocisty słupek pośrodku kielicha, i wysmukłą

a prostą łodygę i gaj liści sterczących od spodu nakształt ostrzów od miecza. W cząstkach widzę równomierność kształtów i barw, wzajemną ich odpowiedniość mile zadawalającą oko (symetrya); toż samo upatruję w stosunku cząstek do całości (harmonia). Z całości téj, nadto, tryska życie, świeżość, czerstwość, tak, iż zdaje się jakoby duch jakiś żywotny ożywiał tę bogatą materyę, a to życie dopełnia miary upojenia. Porównywam okaz widziany z innemi: tu jakiś szczegół podoba mi się więcéj, niż gdzieindziéj, tam inny znowu, tu całość bardziéj uderzająca. Z tego porównywania, odbywanego za wskazówką uczucia estetycznego, wyciąga mój umysł jakieś pojęcie o lilii ogólne, typowe, idealne. Szukam wyrazów realnych takiego pojęcia, i takie, jeśli jestem artystą, oddaję sztucznie. Posiadłem więc tą drogą ideał lilii, ideał przedmiotu, czyli jak chce prof. Struwe: jego treść, zamkniętą w formie odpowiedniéj. Lecz nie zapominajmy, że mnie o niéj nauczyła jego forma, że ta treść nie była mi z góry daną na to, abym się dopatrywał harmonii jéj z formą, czyli, że tu treść i forma zupełnie się utożsamiają, stanowią jedność: pewien objaw piękna, które ma wartość własną o tyle, o ile podbudza moje uczucie estetyczne, a więc jedynie podmiotową. Dla podmiotu o innych zmysłach, o innych uczuciach, możeby ono nie znaczyło nic. Piękna przedmiotowego nie ma: istnieje tylko z jednéj strony podmiot z gotowością do przyjmowania pewnych wrażeń szczególnych, z drugiéj strony przedmiot, który jeżeli oddziała na tę stronę wrażliwą, wtedy w świadomości podmiotu wyradza się piękno, co nadaje nam prawo przenosić wrażenia nasze na przedmioty i te nazywać pięknemi, przyznawać im piękno, jak przyznajemy ogniowi gorąco, lodowi zimno: jest to rodzaj estetycznéj transcendencyi. Raz wytworzone piękno, nabiéra pewnych nawyknień. Bo przypuszczam, zdarza mi się spotkać lilię spełniającą wszelkie inne warunki mego ideału, tylko będzie ona miała łodygę dwa razy tak wysoką. Powiem żeż wówczas, że ta lilia jest piękną? Nie. Ona znacznie nadwerężyła harmonię treści z formą. Czy jednak prawowitym jest mój zarzut, i co o têm rozstrzygnie? Czy jak w moralności, pewien kategoryczny imperatyw regulujący stosunki piękna bez mojego udziału? Ależ estetyka takiego imperatywu nie zna; w jéj sferze nie ma stosunków krzywdzących lub pomagających, nie ma czynów, są tylko wrażenia, a te zostają po za obrębem wszelkiego imperatywu. Dlaczegożby więc lilia na dwakroć wyższéj osadzona łodydze, nie miała być piękną? Na te pytania jedną tylko znajduję odpowiedź. Uczucia moje estetyczne wzruszyła lilia taka, jaką widziałem pierwszy raz; potém sto i tysiąc razy, w szeregu lat, i zawszem się nią zachwycał od dzieciństwa w je-

dnakiéj lub bliskiéj postaci. Nie mierzyłem wtedy łokciem długości tych lilii, lecz podobały mi się one w tych proporcyach, w jakich oko widywać je n a w y k ł o, tak iż w umyśle moim utworzył się ulubiony typ tego zjawiska. Naraz jedna z nich proporcyom tym chybia, sprawia nieprzyjemne w narządach mego wzroku zaburzenie, udzielające się stanom psychicznym: to nie jest mój ideał, to potwór. Toż samo dzieje się i z postacią ludzką, z kobiecą zwłaszcza, tym najdoskonalszym typem piękności plastycznéj. Dlaczego nie zachwyca nas, w znaczeniu estetycznem, ani karlica, ani olbrzymka? Wszak i tu miara proporcyi nie daną jest nam z góry, i nie przychodzimy na świat z gotowym ideałem piękności kobiecéj. Nie zachwyca nas dlatego tylko, że n a w y k l i ś m y uwielbiać piękności te w takich rozmiarach i proporcyach, jakie natura stawia nam od wieków, nietylko co do całości, ale i co do części postaci. Za jeden z warunków piękności uważamy drobne a wysmukłe ręce i nogi: przeszkadza nam jeśli są zadrobne, wygląda to na kalectwo. Przyprawmy kobiecie rosłéj ręce i stopy kilkoletniego dziecka, a wydadzą się nam potworne i oddziałają ujemnie na urok całéj postaci, zkądinąd nadobnéj. Nie odstępując zatém od zasady harmonii formy z treścią, uznać musimy zarazem znakomitą rolę jaką w utrwaleniu tego stosunku na rzecz piękna odgrywa nawyk, ów potężny czynnik, na który dzisiejsza dopiéro psychologia, pomimo staréj definicyi Arystotelesa, dostateczną zwróciła uwagę. I nie inaczéj też tłómaczyć sobie można różnicę ideałów w różnych plemionach: dla czerwonoskórych brzydką jest b l a d a t w a r z; dla Chińczyków, oczy proste i głowa opatrzona potężną czupryną; za to piękną jest stopa kobiéca, sztucznie doprowadzona do wąskiéj linijki: indziéj, piękną jest tylko twarz tatuowana, a kolczyki u nozdrzy stanowią ozdobę, i t. p. Wchodzi tu więc, jak widzimy, nawet pewien odcień konwencyonalności, który jednak nim być przestaje, jeśli ma za sobą dziedziczne upodobanie mas i wieków.

Otóż to są, zdaje mi się, wyprowadzone z doświadczenia pierwiastki piękna, któreby powinny znaleść miejsce i właściwą koléj w jego określeniu: mile a bezinteresownie podrażnione uczucie estetyczne, konkretność zjawiska, stosunek części do całości utrwalony na podstawie nawyku, przejście od formy do treści, ideał kombinujący oba czynniki. Oto co mieści w sobie to krótkie wyrażenie: harmonia formy z treścią, i czego wyszukanie poprzedzać powinno tę definicyę, aby stała się zrozumiałą i ażeby o niéj powiedzieć można (str. 349): „W ten sposób powyższe określenie piękna ma chakter syntetyczny, doprowadza do naukowego rozbioru wszystkich czynników estety-

cznych i usuwa samowolę w oddaniu pierwszeństwa jednemu z tych czynników na niekorzyść reszty".

Estetykę „szczegółową" autor rozbiéra z trzech punktów: jako psychologię piękna, jako metafizykę, oraz jako filozofię sztuki. W psychologii, oczywiście, zwraca się do podmiotowości, i w tym instynkcie estetycznym, służącym za organ do przerabiania wrażeń na ideały, upatruje trzy główne czynniki psychiczne: wrażliwość zmysłową; delikatność uczucia, ułatwiającą przejęcie się wrażeniem zjawisk; tudzież wyobraźnię, władzę utrzymującą, a w wyższym stopniu odtwarzającą obrazy. Stopnie te przybierają u autora osobne nazwy: wyobraźni, imaginacyi, fantazyi; nomenklatura mniéj potrzebna tam, gdzie dodanie przymiotnika jaśniéj nierównie rzecz określa, gdy powiemy: wyobraźnia bierna, czynna, twórcza; tak właśnie, jak to czyni autor przy stopniowaniu napiętości talentu, — boć to koniec końców jedna i ta sama władza, tak jak jeden i ten sam rozum, a jeszcze raz powtarzamy: „*non sunt entia multiplicanda...*", bo to może w błąd wprowadzać nieświadomego téj jedności. Rozdział ten o psychologii piękna, lubo nierozwinięty w wykład szczegółowy, ale mający ściśle charakter tylko programu, streszcza jednak rzecz według zasad umiejętności i pod tym względem nie pozostwia nic do życzenia.

Inaczéj się ma nieco ze stroną metafizyczną, gdzie autor za punkt wyjścia bierze znowu zdanie apodyktyczne, doświadczeniem nie poprzedzone i nie podparte. „Ten tylko — powiada (str. 356) — może mówić o pięknościach świata, kto u z n a j e, że jest on wyrazem głębszéj treści, a zatém potęgi duchowéj, która w nim się przejawia." Potęgą tą, nietrudno zgadnąć, będzie Bóg. Zatém, kto Boga nie uznaje, to nie może mówić o pięknościach świata? Oh! choćby nie chciał, to musi, jeśli nie jest człowiekiem defektowym, jeśli posiada instynkt estetyczny narówni z innymi i nim się powoduje. Musi on przyjść z dołu do uznania téj twórczéj potęgi, sprawiającéj, że przedmioty budzą w podmiotach te specyalne wrażenia, które nazywamy pięknemi, przenosząc jakość tych wrażeń ze świadomości naszéj na przedmioty same, i również nazywając je pięknemi. Nie przyznając nawet przedmiotom téj własności samym w sobie, tylko w stosunku do świadomości własnéj, zmuszeni jednak jesteśmy na zasadzie téjże świadomości przyznać im byt samoistny po za świadomością naszą. Jakoż, idąc metodą doświadczalną, wróćmy do naszéj lilii. Wrażenie od niéj otrzymane, które w pewien sposób potrąciło stan nasz psychiczny, nazwawszy pięknem, przychodzimy do trzech mianowicie związanych z nim pojęć: do pojęcia formalnych objawów jakiéjś przyczyny one wywołującéj w téj, a nie w innéj formie; do pojęcia siły czynnéj lub ży-

wotnéj przez te objawy się wyrażającéj; nareszcie do pojęcia treści, typu lub ideału, który objawy te mniéj lub więcéj realizują. Kiedy poznajemy te objawy w kwiecie lilii, czyli kształty i barwy, dusza nasza jest niezaprzeczenie podmiotem poznawania; ale jestżeż ona zarazem przedmiotem? Byłaby, gdybyśmy kształty te i barwy poznawać mogli za pomocą świadomości bezpośredniéj, gdy tymczasem poznajemy je tylko za pośrednictwem zmysłów, a ślepy nigdy nie odczuje barw. Tak samo rzecz się ma z siłą żywotną kwiatu. Nie oczyma na ten raz, ale rozumem siłę tę poznajemy, w odbywającym się zewnątrz nas pochodzie zarodkowania, kiełkowania, owocowania. Pozostaje pojęcie najsubtelniejsze, najwyższe: typ idealny rośliny. Typ ten nie istnieje na zewnątrz materyalnie i jednostkowo, ale żyje rozrzucony w osobnikach, wciela się w ich cząstki, jeśli nie w całości, przepływa przez wszystkie organy, wybłyska na powierzchnię; tylko nie można ręki na nim położyć, uchwycić go i powiedziéć: oto jest! To już chyba pojęcie idealnego typu tkwi w nas samych przedmiotowo? Jako pojęcie, zapewne—utkwiło; lecz nie jako istnienie, bo nie my ten typ wydajemy z siebie, wydają go przedmioty. Ale najpiękniejszy idealnie kwiat więdnie i ginie, tylko nie ginie jego idea, zawarta w ziarnku, które niebawem na przyszłą wiosnę, przy stosownych warunkach, wyda rzeczywistość i to nie byle jaką, nie inną, lecz taką samą, ze wszystkiemi cechami rodowemi, jakie od wieków spoczywały w typie; wyda ją w porządku i według planu tegoż typu. W tém więc ziarnku legła siła kopiująca pewien wzór stały, który gdzieś istniéć musi żywotnie, skoro w miliardowe okazy wciela się odwiecznie. Gdzież on zatém istnieje ten wzór, dzierżący wiekuisty depozyt idei przedmiotów? W łonie natury? Ależ to kwestya nierozstrzygnięta, czy natura jest potęgą pierwotną, czy pochodną. Nie rozstrzygając zatém pomiędzy kierunkiem materyalistycznym i spirytualistycznym, w każdym razie nieśmiertelny ten typ jednolity istnieje w łonie jakiéjś potęgi pierwotnéj, samoistnéj, niezmiennéj i nieśmiertelnéj, potęgi absolutnéj, którą w większości czcimy imieniem Boga. Tym sposobem piękno posiada istotnie swą metafizykę i stanowi jednę z furtek wyprowadzających umysł ludzki na świat zazmysłowy, mnożący liczbę ideałów w nieskończoność; ta zaś okoliczność, sztuce, wychowance natury, wyznacza osobne miejsce, a jednak w łączności, pomiędzy religią i nauką, do czego właśnie wywód prof. Struwego doprowadza.

Jego program filozofii sztuki jest nieco zatreściwy, tak, iż za wskazówkami, jakie daje, niełatwo dobić się do gruntu rzeczy. Zadaniem jego, jest określenie natury sztuki wogóle i wszystkich sztuk pięknych w szczególności. Sztuka, „jako objaw harmonijnego zrówno-

ważenia idei i rzeczywistości“, zupełnieby nam w tym celu wystarczyła: ale autor tę rzecz tak jasną i przekonywającą zaciemnia, nadając sztuce za treść piękno podmiotowe, a za formę piękno przedmiotowe, a nadto z pierwszém mieszając pojęcie ducha i ideału, z drugiém pojęcie natury i prawdy. Jest-to jakiś podział sztuczny, a uskuteczniony w wyrazach głuchych, staje się niezrozumiałym. Dotąd byliśmy pewni, z wywodów samegoż autora, że każdy przedmiot ducha, czy natury, ma swoją własną ideę, czy treść; naraz dowiadujemy się, że ona leży w podmiocie: przedmiotowi zaś pozostają tylko formy. I któż to jest ten podmiot, który chłonie wszystkie treści; któż ten przedmiot, który pomimo pięknych form, beztreściowy, pozostaje trupem? Należało to wytłómaczyć poprzednio tym, którzy w podmiocie nawykli widzieć tylko umysł poznający i działający, a w przedmiocie rzecz poznawaną; inaczéj, porozumienie się jest bardzo utrudnioném. Ten podział, a raczéj rozdział funkcyi zmierza jednak do ugruntowania podziału wszystkich sztuk pięknych na podmiotowe (poezya, muzyka) i przedmiotowe—reszta.

I otóż znowu wyszła na jaw niedogodność apodyktyzmu. Bo gdybyśmy pojedyńczo sztuki te przeglądali, znaleźlibyśmy istotnie coś podobnego, tylko nie zupełnie to. Sztuki działają pewnemi środkami, materyałem, więcéj, albo mniéj, zmysłowym, który téż pozwala obejmować więcéj albo mniéj obszerną treść duchową. I tak: Architektura, to kamień, rzecz ciężka, któréj całe piękno polega na zawarciu pewnéj przestrzeni w linie symetryczne i na ich połączeniu harmonijném. Ducha, sztuka ta wyraża tylko symbolicznie, a zakres jéj treści nader szczupły. Rzeźba ma także za materyał kamień lub jego surogat; ale ponieważ wyraża człowieka, istotę, któréj duch przeziéra przez kształty, tém samém przeto jest sztuką uduchowioną i treść jéj się rozszerza. Obie te sztuki, nadto, są najbardziéj zmysłowemi (plastycznemi), gdyż oprócz grubego materyału, dają postrzegającemu wszystkie trzy wymiary. Malarstwo idzie jeszcze daléj. Uszczuplając realność zmysłową przez zniesienie wymiaru trzeciego, uduchowia swój środek tworząc na powierzchni przestrzenie idealne, i już nie człowieka lub szczupłą grupę, jak rzeźba, ale dzięki kolorytowi, ducha jego uwyraźniając lepiéj i wszechstronniéj, rzuca na tę powierzchnię, wszystko co się nazywa światem. Sztuka ta posiada już treść duchową najobszerniejszą; tylko jeszcze się silnie trzyma pośrednictwa zmysłów, materyi, przez swe środki techniczne, dlaczego téż jest o tyle upośledzoną, że przedstawić może jednę tylko chwilę i jednę stronę przedmiotu. Trzy te zatém sztuki, w których artysta nic o sobie nie mówi i nie może, są niezaprzeczenie przedmiotowe.

Dopiéro poezya zrywa ze wszystkiemi środkami zmysłowemi, jak to już zaznaczyłem w sprawozdaniu z „rysunku“. Ona przyjmuje wszystkie środki sztuk poprzednich, całą ich plastyczność, tylko zupełnie uduchowioną, zamienioną na obrazy imaginacyjne, tłómaczące się słowem, materyałem również duchowym, który organu zmysłowego właściwie nie ma, tylko go sobie fizyologicznie przyswaja. Prof. Struwe do swego działu sztuk podmiotowych na pierwszém miejscu zaliczając poezyę, za jéj materyał uznaje „dźwięk“. Czy tak jest istotnie? Czy poezya wyraża się dźwiękiem? Jakiż to odzywa mi się dźwięk, gdy czytam w milczeniu „Pana Tadeusza“? Więc ci, co nauczywszy się czytać, ogłuchną, lub głusi są z urodzenia, pozbawieni byliby uczty poetycznéj, skoro dźwięk jest integralnym warunkiem poezyi, jak kolor dla malarstwa. Nie trzeba powoływać się na deklamacyę i teatr: tam żywe słowo stanowi pomoc jedynie zewnętrzną; a materyał poezyi, to umysł, czysty umysł. „Poezya jest sztuką najbardziéj podmiotową“ — powiada autor. Jeżeli nie „najbardziéj“, to jest ona podmiotową w każdym razie, tylko nie na sposób wskazany na czele rozdziału: bo jeśli przez podmiot rozumiemy osobę działającą, to ta podmiotowość będzie tylko jednym z przypadków jego twórczości, przedmiotem w podmiocie. Istotnie, poezya (w przeciwieństwie do sztuk plastycznych) wyraża sam podmiot nazewnątrz, wykrywa najgłębsze tajniki samego poety, i wtedy nazywa się egotyczną. Ale jest nią rzadko. Po największéj części poeta ma do czynienia ze światem otaczającym, a wtedy zarówno jest przedmiotowym, jak rzeźbiarz i malarz; i ta to poezya przedmiotowa, od „Iliady“ do Szekspira, przechodząca tylko przez wrażenia wyobraźni, jak w sztuce każdéj, jest nierównie bardziéj interesującą od wyznań egotycznych.

Par excellence podmiotową, lecz zarazem zmysłową, na podobieństwo malarstwa, tylko z wielką co do użycia środka różnicą—jest muzyka. Malarz opływa w bogactwie barw, a im je lepiéj naśladuje, tém lepsza jest jego sztuka: posiada wzory. Muzyk zastaje w naturze wielkie ubóstwo dźwięków, jedynego, a na ten raz istotnego muzyki materyału, i żadnego żywcem naśladować nie może: brak mu wzorów przedmiotowych. Za środek zmysłowy służy mu poprostu głos ludzki lub dźwięk narzędzia muzycznego: ale tony grają mu w duszy, tony, któremi uskarża się lub weseli, piorunuje lub przebacza, kocha lub nienawidzi: — to on, on sam tłómaczy się nazewnątrz mową uczucia, zrozumiałą dla wszystkich. Pomimo, że świat przedmiotowy zamknięty jest dla jego materyału, pomimo tak wyraźnych wskazań podmiotowości, nie sądźmy, aby i muzyka była absolutnie podmiotową. Wprawdzie, najcelniejsi kompozytorowie są przeważnie

podmiotowymi, nie bez tego wszakże, aby ich muzyka nie wyobrażała pewnych cech przedmiotowych, o ile wchodzi w stosunek ze szczegółami społecznemi. Muzyk wtedy staje się kolorystą: bez względu na jednakowość uczucia, inaczéj barwi on piosenkę naiwnéj i swobodnéj dziewczyny, inaczéj damy wielkoświatowéj, wieśniaka, rycerza i t. p. Co większa, nadaje jéj koloryt narodowy; a pod tym względem najbardziéj zobowiązani są kompozytorowie oper: dość rozejrzéć się w utworach Moniuszki.

Przez rozpatrywanie więc własności i warunków sztuk pojedyńczych na podstawie materyału, doszliśmy niemal do tego samego podziału, co i prof. Struwe, tylko nie wychodząc ze zdania, że „sztuka ma za treść piękno podmiotowe, a za formę piękno przedmiotowe.“ Jeżeliśmy nie uchybili ścisłości naszego rozbioru, to wypadło nam, iż wszystkie sztuki piękne są przedmiotowe: plastyczne (przestrzenne) absolutnie, poezya i muzyka możliwie, a te dwie téż ostatnie stanowią niezaprzeczenie organ dla podmiotowości. Inni wszakże estetycy dochodzą do innych podziałów, z innego wychodząc punktu. Dość upowszechnionym jest podział z punktu przestrzeni (cała plastyka) i czasu (poezya i muzyka): podział powierzchowny. Taine stawia z jednéj strony rzeźbę, malarstwo i poezyę, jako sztuki naśladowcze (*imitatifs*), co także, nie jest dość ścisłém; a architekturę i muzykę łączy razem z tytułu pierwiastku rachunkowego. Rzeczywiście, trudno jest, bez doktrynerstwa, ustanowić podział ścisły, ale téż to rzecz mniejszéj wagi w filozofii sztuki, któréj głównie chodzić powinno o wykrycie własności każdéj z nich, oraz wspólnego związku wszystkich, a w oddzieleniu od reszty objawów.

Otóż i dobiegliśmy do końca uwag nad „Studyami estetycznemi“ prof. Struwego, i możemy powiedziéć, a czytelnicy zgodzić się, że w ogólności przeziera przez nie nauka poważna, oparta na zasadach konserwatywnych, co może się nie każdemu podobać — wysokim rozsądkiem popieranych; stanowi téż to jedność tych studyów, skądinąd w szczegółach nauki rozpierzchłych. Możemy się z nim różnić w niektórych punktach, zwłaszcza pod względem metody, z któréj autor wyklucza niejako doświadczenie i pogląd genetyczny, i stąd, że się czasami niedość jasno tłómaczy: co do ogólnéj jednak treści studyów stoimy po jego stronie, témbardziéj, że dąży on do zatrzymania rzeczy saméj i ludzkich o niéj sądów na tym szlachetnym poziomie, który w zakresie sztuki tylu skarbami zbogacił panteon cywilizacyi. Nie dziwimy się jego często dającéj się odczuć obawie, ażeby zmiana kierunku nie wprowadziła do téj świątyni fałszywych bożyszcz: ostrożnym téż jest względem nowości, zwłaszcza, narzucających się bru-

talnie i destrukcyjnie. Jak dla fachowéj wartości pracy, tak dla ducha w niéj panującego, polecamy ją czytelnikom, tak ubogo w ostatnich czasach uposażonym w oryginalne, a systematyczne studya nad estetyką. Do łatwego a pożytecznego czytania dopomaga wykład wogóle dostępny i język popularny, z okazyi którego objawiamy życzenie, aby autor raz już odzwyczaił się używania przypadku czwartego z przecznikiem (na wyrywki, str. 206, 209, 221, 313), i więcéj się czémś zadawalał, niż „kontentował“. Drobne to punkciki, nad któremi nie ma co się rozwodzić.

Prof. Struwe, jako epilog, dodaje do swéj książki nader słuszne uwagi o „krytyce“ wogóle i u nas w szczególności: ale tych, choćbym może znalazł w téj materyi coś do powiedzenia, nie potrącam, nie rad słówkiem nawet występować *pro* lub *contra domum;* témbardziéj, że lubo autor imiennie nikogo nie wykazuje, ale możeby i mnie podciągnął pod który ze swych „typów krytycznych“.

Kazimierz Kaszewski.





O ARTELACH. *)

Wyraz „artel“ używa się dość często w naszéj prasie, ale rzadko kiedy właściwie, czém zresztą nie grzeszy i ruska, stosując go do rozmaitych form stowarzyszania się wzajemnego. Celem artykułu niniejszego jest wyjaśnić pojęcia ekonomiczne, które winny służyć do określenia terminu „artel“ i klasyfikacyi, tudzież wskazać niektóre zasady polityki ekonomicznéj, ściśle związane z tą kwestyą. Lud nazwę tę stosuje do zebrania kilku osób, bądź połączonych wspólnym interesem, bądź téż miejscem pobytu. W piśmiennictwie termin ten posiada szerokie a nieokreślone znaczenie, chociaż społeczeństwo zawsze łączy z nim pojęcie stowarzyszenia robotniczego. Zdaniem mojém, artel jestto stowarzyszenie robotników, znajdujących się w innym stosunku do kapitału, niż zwykli najemnicy produkcyi kapitalistycznéj; to określenie pozwala odrzucać dowolną terminologię ludową, jak to czyni nauka, negując ludowe terminy gminnego władania ziemią np. „zanadrze (*pazucha*) Boże“ w zamian gmina pierwszego zawładania; dotąd z tego źródła nie wynikło żadnych nieporozumień. Wszystkie formy ekonomiczne, do których można zastosować moje określenie, rozpadają się na grupy, a to stosownie do stopnia zależności od kapitału; dzielą je zwykle na niezależne i zależne; w tych granicach istnieją związki robotnicze półzależne a nader nieliczne. Artel niezależna — to stowarzyszenie robo-

*) W roku zeszłym pierwszy raz podobno zastosowaną u nas została umowa z robotnikami, oparta na zasadzie „artelnéj“, przy prowadzeniu pewnéj części robót kanalizacyjnych. Mniemamy przeto, że krótka wiadomość o znaczeniu „arteli“ nie będzie dla czytelników naszych bez pożytku. (Przyp. red.)

tników, którzy wnieśli do przedsiębiorstwa równe kapitały, pracują w niém osobiście, a dochód dzielą albo na części równe, albo w stosunku prostym do ilości pracy każdego, niekiedy zaś stosownie do potrzeb pracujących, co zdarza się już bardzo rzadko. Jéj członkowie są równi; posiadają jednakowe prawa i obowiązki; zwyczaj i solidarność regulują ich stosunki wzajemne, zastępują umowę prawną, tudzież formalną rękojmię wspólną. Taka artel zawsze organizuje się, stosownie do techniki produkcyi lub popytu rynku na pewne towary; obieralni kierownicy są ściśle kontrolowani i usuwani w miarę potrzeby; zakres ich władzy określają warunki wytwarzania. Członkowie zawsze posiadają kapitały: zakładowy i obrotowy; niekiedy władają oni wspólnie pewném źródłem materyałów surowych np. ziemią. Rozumie się, że artel niezależna może powstać tam tylko, gdzie nie ma zdolnego kapitalisty, któryby mógł zaprządz robotników, posiadających niejakie środki materyalne, oraz tradycye odpowiednie do swojéj spekulacyi; lub gdy ci ostatni, ciesząc się pewną niezależnością od przedsiębiorcy, potrafią zorganizować się wspólnie; atoli może powstać ona tylko w tych gałęziach produkcyi, które nie wymagają wielkiego kapitału stałego. Zresztą w warunkach obecnych organizują się one bardzo rzadko, trudno albowiem pozostałości czasów ubiegłych zastosować do teraźniejszych metod wytwarzania. Rzeczywiście w przemyśle artele niezależne stanowią wyjątek; częściéj natomiast spotykają się w tych gałęziach pracy, które nie uległy jeszcze procesowi kapitalistycznemu. Śród ludu istnieją one często; jestto ulubiona przezeń forma zrzeszenia pracy, znana oddawna. To téż artele rolnicze, leśne, myśliwskie i rybackie są powszechnie znane; przytoczę kilka opisów odnośnych.

W północno-wschodnich powiatach gubernii wołogodzkiéj zwykle cała wieś kosi wspólnie łąki, a sianem dzieli się stosownie do ilości robotników [1]). W gub. ołonieckiéj 3—4 spólnoty rodzinne łączą się razem celem osuszenia błot; takie artele lud zowie „siebra“ [2]). P. Michajłów twierdzi, że śród chłopów zabajkalskich niezależne artele rolnicze spotykać można bardzo często acz niewielkie [3]); niekiedy jednak organizują się one na olbrzymią skalę. Tak przeszło 300 chłopów gminy Tuksińskiéj, w powiecie ołoneckim, zawiązało artel, dla osuszenia

---

[1]) Sokołowskij. „Zarys historyi gminy sielskiéj na północy Rosyi“, 160. — [2]) Prykłonskij: „Ziemie ludowe na północy“ 48 — 49. — [3]) „Ruskaja Myśl“, 1885, 12, 20.

pewnego błota; robota trwała kilka lat, ale cel osiągnięto w zupełności; nawet w „złym roku“ chłopi sprzedają 500,000 pudów siana. Gmina kosi łąki wspólnie, dzieląc siano wedle ilości pracowników, nie wyłączając chorych kosiarzy [1]). Artele rolnicze powstają niekiedy drogą sztuczną; tak w powiecie sorockim, w Besarabii, w siódmym dziesiątku b. w. założono podobne stowarzyszenie; ziemię miano uprawiać wspólnie a produktami pracy — dzielić się stosownie do ilości robotników. Próba udała się; artel rychło założyła kramik i szynk, zbudowała wspólną oborę i młyn, otwarła szkołę, zorganizowała kasę pożyczkową i zapłaciła zaległości podatkowe [2]). Pod wpływem poglądów religijnych artel rolnicza zmienia się nieco; tak u Szałaputów zboże dzieli się stosownie do potrzeb członków gminy wyznaniowéj [3]). Oprócz arteli rolniczych istnieją leśne, celem których jest bądź trzebienie lasów, bądź prawidłowe ich wyzyskiwanie; tak w gub. saratowskiéj 6 wsi spólnie eksploatuje las, stanowiący własność ogólną; budulec dzieli się wedle potrzeby a drzewo opałowe — pomiędzy wszystkimi gospodarzami; zasada równości podziału jest przestrzegana bardzo ściśle [4]). Istnieją one w Rosyi północnéj, tudzież w gub. moskiewskiéj, kurskiéj, niżegrodzkiéj i t. d. Wogóle na północy a zwłaszcza w gub. archangielskiéj, zasada ta występuje na każdym kroku; spotykamy tam artele rybackie i myśliwskie, ale organizują się one tylko wtedy, gdy miejsce połowu lub polowania nie jest zbyt odległe od siedzib ich uczestników; okoliczność tę tłómaczy brak kapitału. Śledziarze prawie zawsze pracują, związani w artele niezależne, gdy natomiast śród poławiaczy stokfiszu na brzegu Murmańskim są one nieznane. Rozumié się, że zdobycz dzieli się na tyle równych części, ilu było pracujących; to samo stosuje się i do upolowanéj zwierzyny. Organizują się téż artele w celu połowu delfinów i psów morskich, tudzież poszukiwania złota; te ostatnie powstały bardzo niedawno. Wogóle szukają one pracy na miejscu; wyjątki są nader rzadkie i tłómaczą się tylko potężną solidarnością wyznaniową; tak Filiponi osad Klimowa i Złynki wysyłają artele mularzy [5]); stanowią już one przejście do t. zw. niezależnéj arteli najemnéj, różniącéj się od uprzednio opisanéj arteli-przedsiębiorców, brakiem stałego kapitału, oraz formalném poręczeniem solidarném. Powstają one wtedy, gdy przedsiębiorstwo nie wymaga ani

[1]) „Otieczestw. zapiski“, 1874, 2, 234—235. — [2]) Szczerbina, 293—301. — [3]) „Otiecz. zapiski“, 1882, 10, 175—176. — [4]) „Rusk. Wiedomost.“, 1885, 119. — [5]) „Otiecz. zapiski“, 1880, 6, 443—444.

kapitału, ani źródła materyałów surowych, a robotnicy posiadają pewną niezależność. Dla przykładu opiszę jedną. Tragarze („kriuczniki“), ładujący zboże i mąkę ze statków w Rybinsku, są zorganizowani w artele, któremi zarządzają „batyrowie“. „Batyr“ — to albo obrany a ściśle kontrolowany kierownik arteli, albo jéj organizator. Wynagrodzeniem robotnika jest czysty dochód, podzielony przez ilość pracujących; „batyr“ pobiera podwójny udział. Karność wewnętrzna utrzymuje się grzywnami, lub wydaleniem opornych. Za popełnione szkody lub straty artel odpowiada solidarnie [1]); zasada rękojmi wzajemnéj występuje zawsze. Niekiedy posiadają one skomplikowany zarząd, składający się ze starostów, pomocników ich, kasyerów i pisarzów, zwykle pobierających płacę stałą, lub — co bywa bardzo rzadko — przyjmujących udział w ogólnym podziale dochodu. Zorganizowana pomoc wzajemna jest tam prawie nieznana; do wyjątków należą artele retmanów (pilotów) archangielskich i retmanów dnieprowskich, posiadające kasy emerytalne.

Artel półzależna — to stowarzyszenie się robotnicze a wytwórcze, którego kapitał zakładowy należy do przedsiębiorcy, a obrotowy — do robotników; wytwór pracy — po odtrąceniu części przedsiębiorcy, określanéj zwyczajowo — dzieli się równo pomiędzy pracującymi, związanymi rękojmią wzajemną; istnieją one niemal wyłącznie na północy i w Syberyi. Tak w artelach do połowu śledzi „karbas“ (łódź osobnéj konstrukcyi) i sieci należą do przedsiębiorców; zapasy żywności robotnicy winni posiadać własne; rolę kapitału tak scharakteryzowano: „w ten sposób kapitał przywłaszcza sobie większą część zdobyczy, chociaż w tém przedsiębiorstwie wogóle nie tyle obarcza on pracę, jak w innych“ [2]). Ta forma stowarzyszenia ekonomicznego coraz bardziéj zanika, ustępując miejsca arteli zależnéj. W niéj kapitał i zakładowy i obrotowy należy do przedsiębiorcy; podział wartości wytworzonych określa się ogólném prawem płacy roboczéj; członkowie zaś są ściśle związani „rękojmią wzajemną“. Artele zależne są nader liczne, ale opisywać ich nie warto; wyjątek zrobię tylko dla „pokrutu“... z powodu oryginalnéj formy płacy roboczéj. „Pokrut“—to artel, zorganizowana dla łowów morskich; połów dzieli się przez liczbę członków arteli pomnożoną przez trzy; każda taka część nazywa się „udziałem“; robotnik bierze jeden udział, kierownik

[1]) „Zbiór materyałów o artelach“, zesz. II, 243—244. — [2]) Ibidem, II, 49.

a razem i sternik—2 lub 3, resztę zaś—kapitalista, do którego zwykle należy około ¾ całego połowu [1]).

Niekiedy łączą się one pomiędzy sobą, zachowując jednak pewną niezależność. Tak na brzegu Murmańskim (w Laponii) artele poławiaczy stokfiszu, pracujące w jednéj zatoce, organizują się w związek, bo techniczne warunki pracy i otoczenia (do niedawna np. zupełny brak zwierzchności rządowéj), oraz chęć usunięcia szkodliwéj konkurencyi, zmuszają niemal do tego. Związkiem kieruje obieralny starosta, posiadający rzeczywistą władzę i zaufanie.

Pochodzenie arteli kryje się w ustroju rodowym; nie ulega wątpliwości, iż prawie wszystkie uformowały się wedle typu rodziny i poniekąd zachowały jéj formy; dzisiaj są one pozostałością spólnoty rodowéj, acz zmodyfikowaną [2]). Dotąd w gubernii saratowskiéj, — jak twierdzi p. Trirogów [3]), — każda spólnota rodzinna nosi nazwę arteli; to samo bezwątpienia dzieje się i w innych miejscowościach Rosyi.

Rozumie się, że te same przyczyny, które przekształciły spólnotę rodową, fatalnie ciążą i na jéj pozostałościach; suma ich da się wyrazić w dwu słowach — rozwój kapitalizmu. W artelach wyraża się on w formie przejścia do rąk przedsiębiorcy z początku kapitału zakładowego, a potém i obrotowego; do téjże saméj kategoryi należą stopniowa zamiana podziału produktów pracy wytwórczéj — przez płacę roboczą wedle zwyczaju, tudzież zastąpienie pracy osobistéj — najemną; z biegiem czasu atoli zwykła płaca robocza — wedle normy kapitalistycznéj — zyskuje przewagę. Mimo to jednak formy zewnętrzne pozostają nietknięte, chociaż sama artel popada w jarzmo ekonomiczne.

Oprócz przyczyn ogólnych występują i szczegółowe; najgłówniejszą jest konieczność poszukiwania pracy daleko od siedzib. Robotnicy, zmuszeni do wydalenia się, potrzebują pieniędzy na drogę i zaopatrzenie rodzin, pozostałych w domu; w tym celu zaciągają oni pożyczkę, która może być spłacona tylko za pośrednictwem pracy. Taka pożyczka zwykle kładzie kres niezależności arteli; wniosek ten potwierdza istnienie w jednéj i téj saméj gałęzi przemysłu niezależnych arteli robotników miejscowych i zależnych — przybyłych.

Ujarzmienie arteli dokonywa się w rozmaity sposób; najczęściéj

---

[1]) „Zbiór materyałów o artelach“, I, 27—28. — [2]) Jakuszkin: „Prawo zwyczajowe“, 1875, 15. — [3]) „Otiecz. zapiski“, 1880, 2: Kalendarz ludowy.

zaliczki lub pożyczki grają rolę przeważną. Zależność wyraża się rozmaicie; zwykle jednak artel ujarzmiona musi zbywać produkty swéj pracy po cenach—w gruncie rzeczy dowolnych — tylko kapitaliście, który pożyczył jéj pieniądze; nazywa się on „kułakiem“ lub „skupszczykiem“. Tu nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że zewnętrzna forma arteli, gdy duch ożywiający ją uleci, tylko potęguje wyzysk, albowiem „wzajemna rękojmia“ jest bardzo dogodna dla kapitalistów. Przytaczam fakt odnośny. Do holowania statków kapitał nie jest potrzebny, ale konieczność wydalania się z domu wywołuje pośrednictwo pomiędzy artelami holowników a przedsiębiorcami; pośrednik kapitalista ujarzmia je. Różnica między zapłatą umówioną z przedsiębiorcą, a zapłatą wydawaną holownikom, należy do pośrednika, by zaś ją zwiększyć wyzyskuje on ich do ostateczności. Bezwarunkowe posłuszeństwo obowiązuje robotników; winni oni pracować w niedziele i święta, we dnie i w nocy, w pogodę i słotę. Okropne warunki hygieniczne — to przyczyna olbrzymiéj chorobliwości; chorzy porzucani są w pierwszéj wsi, często bez żadnych środków, albowiem za niestawienie się do roboty z powodu choroby odlicza się część płacy i nakładają się grzywny. Niekiedy holownicy toną dziesiątkami. Praca ta, tak niebezpieczna dla zdrowia i życia, opłaca się nader licho; pozostają oni w ciągłych długach, spłacanych robotą, ale nigdy nie spłaconych [1]). W podobném położeniu znajduje się większa połowa istniejących arteli; niektórzy mniemają nawet, że niezależne stanowią tylko nieliczne bardzo wyjątki. Przynoszą one swym członkom daleko większe korzyści, aniżeli zyski robotników pracujących oddzielnie na swoją rękę; tak np. smolarze i dziegciarze gub. archangielskiéj, pojedyńczo pracując, zarabiają w ciągu lata około 25 r., a zorganizowani w artele niezależne—do 135 r. [2]). Jest-to przykład konkretny, pouczający; w innych razach różnica owa byłaby nie tak wielką, wszakże zawsze wartość dodatkowa przeszłaby do kieszeni robotników, co podniosłoby skalę ich dobrobytu. Wychodząc z tego założenia, rząd i ziemstwa starały się bądź zakładać artele niezależne, bądź téż ochraniać istniejące. Pomoc rządowa ograniczała się zwykle ulegalizowaniem bytu tych stowarzyszeń, ktore posiadały doniosłość społeczną np. retmanów archangielskich; zatwierdzone ustawy rzadko odpowiadały rzeczywistym warunkom miejscowym, przeto pozostają one „na papiérze“, jak w tym kraju mówią. Niekiedy rząd

---

[1]) „Zbiór mater. o artel.“, II, 113, 117. — [2]) „Otiecz. zapiski“, 1: Artele ludowe.

udzielał zapomogi pieniężne... z warunkiem amortyzacyi. Rezultaty nie są znane. Ziemstwo twerskie dało pierwszy przykład, rozdając tytułem pożyczki kilka tysięcy rubli organizującym się artelom śród robotników przemysłu domowego. Niestety! Próba nie udała się. Pan Golcew, zbadawszy szczegółowo tę kwestyę, wskazał cały szereg przyczyn, uniemożliwiających rozwój przemysłu domowego, zorganizowanego w artele niezależne. Przedewszystkiém współczesny stan ekonomiczny włościan, pracujących w przemyśle domowym, podkopuje możność téj organizacyi; głównych środków do życia dostarcza im ziemia, dochód zaś ze sprzedaży produktów pracy przemysłowéj, jako bardzo lichy, jest tylko źródłem podrzędném; owóż te dwa zarobki zniżają się wzajemnie. Gdy pewna gałąź pracy zacznie przynosić korzyści, to do niéj rzucą się setki włościan, uprzednio wyłącznie pracujących około roli; oprócz tego wezmą w niéj udział kobiéty, dzieci, starcy, a nawet chorzy; te dwie okoliczności nadzwyczajnie obniżą zarobki. Artel niezależna, podnosząc je, wywoła szaloną konkurencyę, która wnet sprowadzi ich upadek — do normy uprzedniéj, lub nawet jeszcze niższéj. Należy pamiętać i o tém, iż skupnicy wyrobów gotowych, czyli t. zw. „kułacy“, chętnie zgodzą się na zmniejszenie zysków lub straty czasowe, byleby tylko zwiększyć współzawodnictwo, ufając w sowitą nagrodę w przyszłości. Tak robią fabrykanci, a rzecz pewna, że oni nie ustąpią im w przezorności i zapobiegliwości. Nie koniec na tém; „kułacy“ posiadają olbrzymie wpływy na sprawy gminne, których nie omieszkują wyzyskać w swoim interesie; w razie klęsk żywiołowych lub przesileń ekonomicznych mogą oni, rozdając pożyczki, a potém egzekwując je bez litości, uczynić artele zależnemi od siebie. Zresztą wiadomo, że dobrobyt ich członków zależy przeważnie od rolnictwa przeciążonego podatkami i opłatami, nie zaś od zarobków przemysłowych; w warunkach obecnych uprawa roli względnie najlepiéj zabezpiecza los chłopów tylko w tych miejscowościach, w których kwitnie spólnota gminna, a warunkiem tego jest posiadanie dostatecznego obszaru gruntów; ta okoliczność tłómaczy związek pomiędzy gminném władaniem, a artelą niezależną. Jeżeli włościanie małorolni, zorganizowani w nią, otrzymają pożyczkę, to użyją pieniędzy na potrzeby gospodarskie; gdy zaś zmuszą ich do kupna materyałów surowych, narzędzi i t. d., to przy pierwszém przesileniu lub nieurodzaju uda się artel do „kułaków“ o pomoc, która położy kres jéj niezależności. Podobne przykłady bywały. Wątpliwa téż jest wielce możność zastosowania technicznych wynalazków i udoskonaleń, ale przypuśćmy, że te szkopuły usunięto; artel, złożona z 50 osób, zaprowadza machinę,

przy zastosowaniu któréj 40 robotników wytwarza tyle, co uprzednio 50. Nie można ani zmniejszyć ilości godzin roboczych, bo cena towaru zniża się, ani zwolnić dziesięciu pracowników; jeżeli zaś wszystko ma zostać po dawnemu, to artel straci racyę bytu, albowiem celem jéj było podniesienie zarobku; pozostaje więc rozszerzyć produkcyę, która doprowadzi do przesilenia.

Bronić przemysłu domowego cłami i taryfami nie można, bo rozwijają one kapitalizm...

N. M.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Stanisław Krusiński. Szkice socyologiczne. Warszawa. 1892. str. 143.

Autor téj książki, jak poucza nas krótka biografia, skreślona na wstępie przez p. Krzywickiego, był współpracownikiem „Wołżskiego Wiestnika", miał naturę wrażliwą i namiętną, oraz głębokość umysłu obok wielkiego roztargnienia i braku pamięci. Z zawodu był lekarzem, lecz pisywał rozprawy treści społecznéj, które właśnie przyjaciel jego, p. Ludwik Krzywicki, obecnie drukiem ogłasza. Szczegółów o życiu i pracach zmarłego w biografii téj znajdujemy jednak niewiele, a to z powodu, że — jak pisze p. Krzywicki — „w naszym stosunku bliskim i zażyłym, tyle mieliśmy do mówienia o zagadnieniach charakteru ogólniejszego, iż wprost nie było tam miejsca na wspomnienia przeszłości osobistéj". To téż biograf czerpał wiadomości o przyjacielu z ubocza i późniéj od rodziny zmarłego.

Wydana obecnie książka zawiéra, cztéry szkice, z których dwa pierwsze są poświęcone rozbiorowi znanéj teoryi „organizmu społecznego". Ze sposobu, w jaki autor mówi o Spencerze, Espinasie, Schaefflem, Fouillée i in. uczonych zdawaćby się mogło, że jest on stanowczym przeciwnikiem teoryi owéj. Uczeni ci, ironicznie przez niego „organicznikami" zwani, są to wszystko ludzie na usługach „burżuazyi" będący, którzy tworzą teorye usprawiedliwiające obecny układ społeczny; wszystkich ich pomawia p. Krus. albo o złą wolę, albo już conajmniéj o niedołęstwo umysłowe.

Niemniéj wszakże stanowisko autora wobec teoryi organizmu

nie jest wcale jasném. Napadając ostro na Spencera, upatrując w teoryi téj jedynie chęć obrony współczesnych stosunków ekonomicznych, p. Krus. staje się często *„plus pape que le pape"* i posuwa analogię i porównanie organizmu społecznego z biologicznym o wiele daléj i do większych szczegółów.

Wiadomo, że Spencer wyliczając w porównaniu tém cechy wspólne, łączące, zaznaczył równie dobitnie różnice i sprzeczności, wskazując np. na rozdzielność osobników w przestrzeni, na brak świadomości korporacyjnéj i t. d. jako na zasadnicze różnice społeczeństwa od organizmu biologicznego. Tymczasem p. Kr. zbija pierwszy argument słowami Fouillée'go, drugi zaś poczytuje za wielki błąd i nielogiczność Spencerowi. W niektórych ustępach argumentacya p. Kr. zdaje się być skierowaną właściwie nie przeciw saméj teoryi organizmu społecznego, lecz raczéj tylko przeciw niektórym wnioskom z teoryi téj wyprowadzanym. Sądzi on np., że walka o byt i wolna konkurencya, odbywająca się w układzie współczesnym, oraz zasada *„laisser faire"*, jako podstawa układu tego — są to rzeczy sprzeczne z samą ideą organizmu. Zarzucając przeciwnikom dopatrywanie się wszędzie harmonii i zgodności w życiu wewnętrznem społeczeństwa dzisiejszego, podkreśla przeciwnie istniejące tu antagonizmy klasowe, narodowe i t. d. Wszakże rzecz ta dotyczy już raczéj takiego lub innego pojmowania współczesnego ustroju, nie zaś saméj idei organizmu. Skoro np. p. Kr. uznaje za szkodliwe dla organizmu wszystko to, co mu się wydaje wadliwém w stosunkach dzisiejszych, tém samém staje na punkcie widzenia teoryi organicznéj— wolno mu pozatém poczytywać społeczeństwo dzisiejsze za organizm w stanie zdrowia lub choroby. Organizmy biologiczne są często siedliskiém procesów chorobotwórczych, które je doprowadzają nawet do całkowitego rozkładu. Wykrycie czegoś podobnego w społeczeństwie stanowiłoby jeszcze nowy punkt podobieństwa. W niektórych miejscach sam p. Kr. zdaje się to uznawać, gdy np. okres rozwoju społecznego, oparty na bycie rodowym, nazywa „organicznym" w przeciwstawieniu do dzisiejszego „krytycznego". Termina tylko są tu źle dobrane. Jeśli społeczeństwo było kiedyś organizmem i ma się nim stać — według p. Kr. — i w przyszłości, to w żadnéj epoce rozwoju swojego przestać nim być nie może: mogą w niém zachodzić procesy dezorganizujące, dla organizmu szkodliwe, które powodują rozprzężenie, słowem to, co fizyologia procesami patologicznemi nazywa.

Sam p. Kr. w innem miejscu myśl podobną zaznacza: „idea organizmu — pisze on — fizyczne przyczyny jéj (jego?) powstania i wytrwania przeczą możebność walki o byt w jéj łonie. Jeżeli zaś prze-

jawia się walka (a więc ostatecznie, jak widzimy, bywa i walka!) jest ona wynikiem wpływów organicznych i podkopuje organizacyą w stopniu mniéj lub więcéj wysokim. Gdy naprzykład na pewną część ciała działa jakiś drażniący czynnik, wywołujący w niéj zapalenie i wskutek tego część ta, reagując nań spotęgowaną funkcyą, przyciąga do siebie znaczną ilość krwi, i tym sposobem zabiéra innym częściom ciała potrzebny płyn odżywczy, czyż nie jest widocznėm, że tu nie jedna część organizmu, ale że cały organizm, jak jedna całość, walczy w osobie bezpośrednio zagrożonéj części z zewnętrznym nieprzyjacielem.“

A więc i w organizmie biologicznym zachodzić mogą antagonizmy chwilowe pomiędzy różnemi jego częściami, a z drugiéj znów strony owa solidarna akcya przeciw nieprzyjaciołom zewnętrznym i w społeczeństwie ludzkiém odbywa się stale, np. przy zdobywaniu środków do życia z przyrody zewnętrznéj, przy usuwaniu szkodliwych czynników naturalnych i t. d. Cała różnica na têm polega, żeśmy jeszcze nie poznali rozwoju społecznego w całkowitym, zakończonym jego przebiegu, wnioskując zaś z analogii to tylko powiedzieć można, że dla uratowania całości potrzebna będzie akcya solidarna w tych nawet dziedzinach, w których dziś panuje walka pomiędzy osobnikami. Daléj, znowu stając na punkcie widzenia teoryi organizmu i jakby zapomniawszy o poprzednich swych na nią napaściach, p. Kr. ideał ustroju, przy którym każdy osobnik miałby zapewniony sobie możliwy rozwój swych indywidualnych cech i zdolności, pracował wedle sił i spożywał wedle potrzeb, uzasadnia właśnie przez analogię z organizmem biologicznym, dla którego układ podobny jest warunkiem zdrowia.

Autor wpadł tu w kółko, z którego wybrnąć nie umiał. Zdaje się nawet, że cała teorya organizmu społecznego potrzebna mu była jedynie w celu wykazania złych stron współczesnego ustroju ekonomicznego i w miarę potrzeby stawał się jéj wyznawcą lub przeciwnikiem, o tyle, o ile ustrój ten mógł być potępionym, a konieczność przeobrażeń usprawiedliwioną przez analogię z prawami rządzącemi rozwojem organizmu biologicznego.

Szkice: trzeci i czwarty, jakkolwiek tytuły mają nowe, są jednak powtórzeniem tych samych tez i téj saméj argumentacyi.

Polemika Prusa z „Prawdą“ w kwestyi oświaty i moralności dała początek szkicowi p. t. „Społeczeństwo a moralność“. Uporawszy się po drodze z Prusem, któremu p. Kr. zarzuca niedorzeczne posługiwanie się statystyką i niezrozumienie etyki Spencera, dowodzi on, że dziś nie może być mowy o wytworzeniu się moralności społe-

cznéj, gdyż stoją temu na przeszkodzie antagonizmy klasowe, nienawiści narodowe i t. d. Myśl niewątpliwie słuszna, jakkolwiek z kwestyą wpływu oświaty mało ma ona wspólnego. Nie bierze również pod uwagę p. Kr. ewolucyi moralnéj, która jakkolwiek daleka jest jeszcze od ideałów etyki bezwzględnéj, zbliża nas przecież do nich stopniowo. Natomiast i w tym szkicu wiele jest myśli, skądinąd zresztą cennych, które ani z tytułem ani z początkiem nie mają nic wspólnego. To samo wreszcie powtarza się i w szkicu p. t. „Dusza społeczna“. Zaznaczywszy istotę zagadnienia tego, zarzuciwszy Spencerowi nielogiczność w sformułowania jego—pan Kr. znowu podąża w zupełnie inną stronę.

Główną różnicę pomiędzy organizmem biologicznym a społeczeństwem sformułował Spencer w słowach następujących: „w ciałach indywidualnych życie oddzielnych części jest pochłonięte przez życie istoty całéj, a cały organizm obdarzony jest korporacyjną samowiedzą, za któréj pomocą odróżnia przyjemność od cierpienia. Zupełnie co innego widzimy w społeczeństwie: tam jednostki pojedyńcze nie mogą utracić indywidualnéj samowiedzy, a z drugiéj strony społeczeństwo nie posiada samowiedzy korporacyjnéj, jako całość organizmu“.

P. Kr. nie uznaje argumentu tego, zdaje się wierzyć w istnienie duszy społecznéj. Skoro jednak, jak sam powiada, zrozumienie téj duszy jest dla nas niedościgłem, bo „świadomość pojedyńczego człowieka nie jest w stanie objąć świadomości zbiorowéj, któréj sama stanowi tylko jeden z pierwiastków składowych“, to zagadnienie to pozostanie dla nas, jednostek ludzkich, czémś również niepojętém i bezowocném, jak koncepcya czysto logiczna czwartego wymiaru dla istot trójwymiarowych.

Nieuznawanie argumentu tego przez pana Kr. tém jest dziwniejszém, iż z punktu widzenia jego teoryi i ideałów społecznych, tą drogą najlogiczniéj wykazać można niemożebność zastosowywania do społeczeństwa praw wyprowadzonych z ewolucyi organizmów indywidualnych.

P. Kr. powtarza się często, już to kreśląc rozwój społeczeństwa, rodziny, posługując się temi samemi argumentami przedmiotowo-dziejowemi, głównie z dziejów angielskich powziętemi, a już z największém upodobaniem powraca kilkakrotnie do znanéj teoryi kapitalistycznego rozwoju Karola Marxa. Społeczeństwo współczesne wygląda tu ponuro, beznadziejnie: nie ma dziś i być nie może ani moralności, ani rodziny, ani patryotyzmu—są tylko antagonizmy klasowe... Jedyną zaś w tém wszystkiém klasą, wyróżnianą zaszczytnie i którą

zdaje się umiłował szczerze, jest — proletaryat inteligentny, „ci myślący proletaryusze, których idee mają przynieść owoce w dalekiéj dopiéro przyszłości, geniusze zapoznani przez pigmejskie umysły zmateryalizowanego tłumu. Oni to, niezadowoleni ze współczesnych urządzeń, których wadliwe strony boleśnie ranią ich z natury wrażliwsze nerwy, przechodząc z miejsca na miejsce i od jednych zajęć do drugich, ocierając się o różnych ludzi, jedząc chléb z niejednego pieca, będąc naprzemian na wozie i pod wozem, wyrabiają sobie ogólniejszy i różnostronny pogląd na sprawy ludzkie. Z téj to najruchliwszéj i najwrażliwszéj na rozmaite prądy warstwy społecznéj, wychodzi wszelka surowa i bezstronna krytyka ran społecznych; tu rodzą się idee wielkich wynalazków, stąd przeważnie wychodzą o całe wieki wyprzedzające bieg wypadków pomysły reform społecznych, dają się słyszéć westchnienia do ideału powszechnego dobra i szczęścia. Gdyby ta masa sił umysłowych została należycie uorganizowaną i użytą, stworzyłaby istny raj na ziemi. Dziś pozbawiona organicznego związku z resztą społeczeństwa, i jednéj kierującéj zasady, przepada w znacznéj części marnie. Ona to z natury swojéj mogłaby rościć najwięcéj pretensyi do roli m ó z g u s p o ł e c z n e g o...“

Stąd to tak częsta u radykałów naszych pogarda dla tłumu, dla chłopstwa i mieszczaństwa.

Pokazuje się więc, że i stan czwarty ma swoją arystokracyą — swój, według wyrażenia p. Kr. — mózg społeczny. Stara to słowem piosenka—na radykalną przełożona nutę. *M.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Jan Rutkowski.* **Pajęczyna**, z 34-ma ilustracyami Czesława Jankowskiego (Warszawa, S. Lewental, 1891, str. 311). W tym elegancko wydanym tomiku mieści 15 opowiadań i szkiców, zebranych po większéj części z felietonów „Kurjera Warszawskiego“, gdzie młody autor debiutował. Umysł p. Rutkowskiego bardziéj jest skłonny do robienia kombinacyi, aniżeli do starannego zbierania spostrzeżeń, chociaż oczywiście nie gardzi niemi, bo zna dobrze dzisiejsze prądy literackie. Kombinacye te zaprawia często dowcipem swobodnym, albo nawet gryzącym sarkazmem i obrabia temata z prawdziwém zamiłowaniem artysty, czułego na wszelkie chropowatości, unikającego wszelkich zbytecznych powtarzań i obmyślającego dokładnie każde wyrażenie, ażeby płynęło gładko i zdawało się nic nie kosztować autora. Odsłonięcia jakichś nieznanych lub mało znanych stron duszy

nie próbuje autor; bierze i przedstawia ludzi tak, jak ich wogóle pojmuje ogół ukształcony; ani do anielstwa, czy zwierzęcości, ani do oryginalnych rzutów myśli i uczuć, ani do niezwykłych sytuacyi nie ma szczególniejszego upodobania; w rzewność nie popada, patrzy się na zjawiska życia z pewną pogodą nie dlatego, żeby nie znał i nie odczuwał bólów, zawodów i cierpień, lecz dlatego zapewne, że je za niepozbędną konieczność bytu ludzkiego uważa. Stąd przedstawiając różnorodne nieszęścia spotykające ludzi, opowiada o nich lekko, nawet z jakiémś prawie złośliwém zadowoleniem, jakby się cieszył, że ma towarzyszy niedoli. Z jakąż rozkoszą artystyczną maluje w „Pajęczynie" powódź światła i ciepła, w któréj się kąpie zadowolony z siebie i swojego szczęścia domowego inżynier, pracujący wesoło a wytrwale nad zapewnieniem bytu rodziny! a jakże ucinkowo kreśli jego bolesne rozczarowanie, gdy się przekonywa po pajęczynie, która na włosach jego żony pozostała, że żona to właśnie jego była na miłosnéj schadzce z jego przyjacielem w altanie, któréj jedno z wejść zasnute było przez pająka i na życzenie żony pozostawione z tą ażurową zasłoną. Zręczne to bardzo i dowcipne, ani słowa, ale zarazem i chłodne. Z podobnym humorem sam bohatér opowiadania opisuje w liście do kochanego Piotra, jak to przez parę tygodni trzymany był w rezerwie przez ładną pannę, która już miała upatrzonego wielbiclela. Albo ta „Chwila słabości Jana Żuka"! Marzył on o artystycznéj karyerze, ale mu nauczyciel powiedział w konserwatoryum, że wprawdzie gra wprawnie, lecz... nie ma natchnienia, został więc stroicielem fortepianów. Razu pewnego zmęczony, zziębnięty, latając z jednego końca Warszawy w drugi, wstąpił do restauracyi i tam zobaczył grajka, niegdyś swego kolegę w konserwatorym, który za grane walce, polki i kontredanse zbiérał na nuty, co kto dał, i raczył się ciągle ponawianemi kuflami. Po rozmowie z nim, przypominając sobie słowa nauczyciela, poszepnął zcicha: „Może miałeś racyę, stary przyjacielu!" Jakże gorzka pociecha! Biédny stroiciel fortepianu musiał jéj zaczerpnąć w widoku upadku moralnego i artystycznego... Ileż znowu sarkazmu jest w obrazku zatytułowanym: „Nad życie!" Młode małżeństwo zachwycone sobą podróżuje. Mąż przy każdéj czulszéj scenie zapewnia żonę, że ją kocha nad życie. Na moście popsutym, powóz stacza się w rzekę; mąż, który poprzednio wyskoczył, by upadek powstrzymać, ujrzawszy żonę w wodzie, skacze do rzeki, porywa drogi ciężar, który z całą potęgą rozpaczy chwyta go w objęcia, przeszkadzając płynąć. Chce wypłynąć na brzeg, co niepodobna z tym ciężarem, niedaleko jest młyn, śmierć pewna, jeżeli się nie wydobędzie z nurtu, więc... z całéj siły uderza w głowę ukochanéj nad życie, byle się ocalić samemu.

I ocala się... Podczas przygotowań do pogrzebu, leżąc zgorączkowany, słyszy rozmowę dwu panienek, z których jedna opowiada, jak ją Ludwik zapewniał, że ją kocha i to kocha... nad życie. „Oczy błyszczące gorączką, utkwił w przestrzeń i nasłuchiwał uważnie. Nad wioskową ciszą drgały odgłosy dzwonów pogrzebowych. Świeży powiew porannego wiatru niósł poważne brzmienia dzwonu wielkiego i szczebiotliwe dźwięki sygnaturki“... Dowcipnie wyzyskane zostało znane zamiłowanie kobiét w strojeniu się. Wnuczka chora jest śmiertelnie. Dziad-doktór i swój rozum i rozum kolegów zwrócił ku jéj uratowaniu, ale zwątpił w końcu, zdawało się, że nie ma już ratunku; od wielu dni wcale się spać nie kładł. Raz przyjechał kuzynek, z którym się Iza znała od dziecka. Na zapytanie, czy chce się z nim widzieć, nic nie odpowiedziała, ale prosiła matkę o poprawienie czepeczka. Doktór wtedy poszedł spać spokojnie. Zbliżanie się śmierci bardzo ładnie odmalowane zostało w obrazku: „Zegarek pana Pawła.“ Kaprysy młodego małżeństwa zręcznie przedstawia szkic p. t. „Szepty nocy majowéj.“ Nieprzerwaną łączność wszystkich zjawisk śmierci i odradzania się maluje obrazek p. n. „Łańcuch życia.“ Dwojakiego rodzaju moralność w zastosowaniu do wyrobów przemysłu i do płodów natury rozwija „Etyka Szymkowa.“ Epizod z nieporozumień pomiędzy zakochanemi opowiada „Nowella.“ Żartobliwie odtworzone zostało niezadowolenie urzędnika z powodu „Awansu,“ który go pozbawiał dochodów, przewyższających podniesioną przy awansie pensyą. Najwdzięczniejszym ze wszystkich, z wielką finezyą słowa wykonanym obrazkiem jest: „Dziewiąta minut trzy,“ w którym student uniwersytetu pragnący dojść chwili rozwijania kwiatów z pączka, obserwuje mimowolnie rozkwit dziewczęcia w kobiétę. Tu i tło z widoków natury, przechadzka, rozmowa i powrót, wszystko tak jest utrzymane w tonie, iż z prawdziwém odczytuje się zadowoleniem artystyczném. Czyżby to miało znaczyć, że właściwa sfera twórczości p. Rutkowskiego w kreśleniu takich wdzięcznych, jasnych obrazków zawiéra się? Zapewne nie, ale jest faktem, że taki właśnie obrazek udał mu się najlepiéj.

= *Cecylia Walewska.* **Z paradoksów życia.** Studya i obrazki (Warszawa, T. Paprocki, 1891, str. 352). Książka ta stanowi część dorobku literackiego z dziesięciu mniéj więcéj lat pracy autorki, któréj specyalnością jest, że tak powiem przedstawianie smutków, zawodów, cierpień, kaprysów téj warstwy społecznéj, co nie posiadając wielkich zasobów materyalnych, pracuje aż do znużenia przez jakie 10 lub 11 miesięcy w roku, ażeby za to módz parę tygodni przepędzić zdala od

miejsca trudów codziennych. Jest to warstwa licząca się do t. zw. inteligencyi, czytająca książki, żyjąca umysłowo więcéj od innych, narażająca się więc niezmiernie łatwo na wszelkiego rodzaju choroby nerwowe, od zwykłego wyczerpania i rozdraźnienia, aż do obłędu. Z téj warstwy zna oczywiście autorka najlepiéj kobiéty, to téż ich psychologią prawie wyłącznie się zajmuje. Z usposobienia jest widocznie skłonna do analizy, a rozbiór drobnostkowy wszystkich myśli i uczuć przepływających przez duszę spółczesnego człowieka nie może bynajmniéj usposabiać do pogodnego, pełnego spokoju i równowagi poglądu na życie, zwłaszcza gdy kto nie chce lub nie może brać rzeczy lekko, gdy ani w fantazyi, ani w burzliwych zapędach namiętności nie znajduje skrzydeł, któremiby wznieść się mógł w „krainę ułudy.“ Przeciążenie pracą umysłową, nieumiejętne wyzyskiwanie zdolności duchowych, czy to w kierunku naukowym, czy artystycznym, brak silnie zajmującego celu życia w małżeństwach bezpłodnych, ciasnota sfery działania, wytwarzają wśród średnio zamożnéj inteligencyi stan wielkiéj nadczułości nerwowéj i obrzydzają istnienie dla tych mianowicie, co go nie osładzają sobie pociechami serca. Można bowiem zauważyć, że w bohaterkach, a szczególniéj w bohaterach p. Walewskiéj uczucie proste i szczere prawie zgoła nie istnieje; zawsze w niém przewagę mają czynniki rozumowe lub fantazyjne, skomplikowane czasami chorobliwym stanem ciała. Najlepszą, najświetniéj nakreśloną sylwetką kobiéty tego rodzaju znajdujemy w „Uspokojonéj.“ Nie ma ona żadnych zajęć obowiązkowych, któreby wypełniały jéj czas, kiedy męża nie ma w domu. Czyta gorączkowo, czasami gra na fortepianie, marzy o jakiejś działalności, nie umiejąc jéj należycie określić. Znudzona jest życiem; o świecie ma najgorsze wyobrażenie, bo ludzie na nim „to maryonetki albo nerwowi paralitycy.“ Drażni ją spokój rozważnego męża, znającego dobrze jéj chorobliwe usposobienie. „Nieraz rozogniona jakiémś zagadnieniem społeczném, które przy niéj poruszono, świeżym autorem, którego przeczytała lub głośném odkryciem, powtarzaném przez wszystkich, chce o tém mówić z mężem. Na pierwsze zapytanie odpowiada jéj łagodnie, jasno, tłomacząc spokojne, treściwe i wyrozumowane swe poglądy. Ona naciera, chce go ożywić, chce, aby z nią razem błądził w sferach hipotez, zapuszczał się w fantazyjne rojenia, podchwytywał subtelne jéj myśli, tak żywe, ruchliwe, że sama nieraz nie umié ich złożyć w jednolitą całość. Umysł jéj gorączkuje, wyobrażenia powstają chaotycznie, jedne wypierają drugie, szukając czegoś, coby niemi zupełnie mogło owładnąć. Staś po wypowiedzeniu logicznych swych poglądów całuje ją w czoło i zabiera się do poobiedniéj drzemki albo wychodzi na miasto za interesami. Zostaje sama

z niewypowiedzianemi myślami, z chaosem cisnących się na usta wyrazów. Za powrotem obrzuca męża gradem wymówek.“ Analizuje sama siebie, bo ją do tego zachęciło czytanie książek Bourget'a. Widzi w sobie dużo niedoskonałości, ale też obwinia męża, że jéj nie rozumie, że się różnią wszystkiém i temperamentem i poglądami i zamiłowaniami. Robi mnóstwo projektów, przeżuwa je pocichu, bo się boi jasnéj logiki męża; sen miewa niespokojny, albo nie sypia po całych nocach. Rozdrażnienie jéj dochodzi nieraz do krańców, czyni ją nieszczęśliwą ofiarą własnych myśli i urojeń. Przypomnienie chwil niedawnych, kiedy Stasia poznała, rozczytanie się w pamiętniku swoim z owego czasu przywodzi jéj nerwy do równowagi, staje się żywą, wesołą, nie pragnie innego życia. Staś jest kontent, ale na ustach jego drży pytanie: czy długo tak będzie?.. Oczywiście, że nie długo. W innych obrazach widzimy, jak podobne usposobienia doprowadzają kochające się małżeństwo do gwałtownie wyrażonych zamiarów rozstania („O kwartet“), albo nawet do ich urzeczywistnienia („Ona i on“). W komplikacyi z chorobą nastrój taki prowadzi do dziwacznych myśli i postanowień, do omdleń i przewlekłych cierpień („Anemiczna“). Przyczyny niektóre powodujące nadzwyczajną nadczułość wskazuje autorka trafnie w nierozsądném drażnieniu uczuć i zmuszaniu dziewcząt do pracy umysłowéj nieodpowiadającéj ich siłom i usposobieniu („Nie pierwsza i nie ostatnia,“ „Czyja wina“), w bezprogramowém pochłanianiu wiedzy, marnującém czas i wyczerpującém zasoby duchowe jednostek („Rachunek sumienia“), w chowaniu panien zdala od nieuniknionych w życiu prawd przyrodzonych („Moje wspomnienia“). Kiedy autorka opuszcza sfery inteligentne i przenosi się do warstw, w których nauka i sztuka nie wytworzyła nadczułości, to przecież trafia także na dziewczęta niezmiernie dotkliwe na najbliższe nawet posądzenia i wskutek tego kończące tragicznie („Karolka“). Raz tylko nakreśliła obrazek jaśniejszy, przedstawiając fryzyera — entuzyastę, który uwierzył w wielkość Boulangera i wybierał się do Francyi, by módz się prezentować wielkiemu jenerałowi i wygłosić przed nim mowę pełną zachwytu. Odczuwał on silnie wszystkie fazy, jakie sława Boulangera przechodziła i stosownie do nich, radość lub smutek okazywał, doradzał lub odradzał strzyżenia brody na wzór „wielkiego męża“ („Bulanżysta“). Najkrótszym, a pod względem siły uczucia najnamiętniejszym szkicem jest „Nie“ wymierzone przeciw przymusowym małżeństwom.

— *Zacharyasz Ćwirko.* **Po szczęście.** Kartka z pamiętnika (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1892, str. 271). Po prostu, bez ubie-

gania się o artyzm, kreśli autor nie dla sławy, ani dla zysku, swoje spostrzeżenia i wrażenia z podróży do Azyi, z pobytu w Czardżuju i Aschabadzie, dokąd się udał jako inżynier z żoną i dzieckiem „po szczęście,“ a skąd powrócił sam schorowany, złamany. Są tu bardzo dobre i świeże w naszém piśmiennictwie zarysy obyczajów Sartów, Persów. Są opowiadania o nieprzyjemnościach dokuczliwych klimatu i mieszkań, są sylwetki spółkolegów autora, jest wyborny wizerunek doktora, przechwalającego się swoją praktyką i zabijającego dziecię kuracyą końską, są przejmujące karty, które malują straszny ból męża i ojca po śmierci ukochanych. O przesadę nigdzie, zdaje się, nie można autora posądzić; całe bowiem opowiadanie nacechowane jest prostotą i szczerością. Krótki stosunkowo pobyt we wzmiankowanych miejscowościach nie upoważniał p. Ć. do roztaczania szerokich obrazów, do wchodzenia głębszego w usposobienie i charakter mieszkańców, do szczegółowego malowania krajów i ludów, to téż bardzo dobrze postąpił, że poprzestał na odwzorowaniu własnych swych przygód, że się zawarł w granicach własnego doświadczenia, bo dał tym sposobem książkę żywą, a nie zbiór wiadomości pościąganych z dzieł, napisanych przed nim.

= **250,000**. Powieść przez *Michała Bałuckiego* (Warszawa, S. Lewental, 1892, str. 404). Nie jest to rzecz świeżo napisana, lecz powtórne wydanie utworu z r. 1882. Przedstawia stosunki małomiasteczkowe i szlacheckie z najbrzydszéj po większéj części strony. Marek Tarchala, golarz, wyrzekający na los socyalistycznemi frazesami, wygrywa nie na swoję promesę 250,000, wchodzi w stosunki z klasą zamożniejszą, z krewnymi Tarchalskimi, żeni się z podupadłą hrabianką Lipczyńską, zapisując jéj cały nabyty za wygranę majątek. Traktowany jak lokaj, szuka rozrywek po za domem, fałszuje podpis swéj żony, rani Lipczyńskiego, ojca, dostaje się do kryminału. Wyszedłszy stamtąd, chce się pomścić na żonie i zamierza spalić ją wraz z domem; lecz przekonywa się, że majątek już przeszedł na własność arendarza Szmula, do którego córki Małki dawniéj się umizgał. Nie może wrócić do dawnych zajęć, bo się rozpróżniaczył; szuka tedy zarobków łatwiejszych; podczas choroby w szpitalu ma widzenie pierwszéj swéj żony; udaje się na jéj grób i tu umiéra. Temu życiu romantycznemu przeciwstawia autor życie garbuska Ignacego, istotnego właściciela owéj promesy, który bez pieniędzy czuje się szczęśliwym. Stosunki małomiasteczkowe są dobrze, lubo blado malowane; w ich zobrazowaniu częściéj daje się dostrzegać fantazya dopełniająca, niż rzeczywista i pilna obserwacya; często wyglądają na rzecz szablo-

nową. Bałucki, bojownik idei demokratycznéj, z pobłażliwym uśmiechem przedstawia gawiedź miasteczkową, która z biédy wyrzeka na bogatych i jest niby racyonalistyczną, ale która ma silne popędy do pięcia się w górę i naśladowania warstw wyższych w słabościach i nałogach. W sposobie pisania przyzostał Bałucki na dawném stanowisku powieściopisarskiém; z nowszéj metody szczegółowszego wglądania w rzeczywistość zewnętrzną i wewnętrzną nie skorzystał, a mając łatwość pióra, o piękność stylu niewiele się troszczy.

= **Tymko Medier.** Powieść współczesna przez *Kazimierza Rojana* (Główny skład u T. Paprockiego w Warszawie, 1892, str. 406). — Jest-to utwór rozwagi raczéj, niż fantazyi i uczucia. Autor, początkujący w zawodzie powieściopisarskim, nie jest bynajmniéj nowicyuszem w sferze myślenia, a jakkolwiek powoływanie się na nazwiska różnych pisarzów filozoficznych nie świadczy jeszcze o przeczytaniu, a témbardziéj o przetrawieniu ich dzieł, to przecież pomysł zasadniczy i szczegóły jego wykonania dowodzą, że się p. R. nad duszą ludzką i nad stosunkami spółczesnemi zastanawiał głębiéj, niż przeciętny beletrysta. „Tymko Medier“—to tytuł przypadkowy tylko, powstały stąd, że stary ślepy dziad opowiada przed zgonem szlachcicowi podolskiemu, będącemu w tarapatach pieniężnych, o zakopanym przez herszta cyganów Tymka skarbie w lasach, będących własnością tego szlachcica, który téż zabiera się do ich odnalezienia i przez ciąg lat kilkunastu nadaremne podejmuje usiłowania. Skarby w ziemi się znajdują, to nie ulega wątpliwości, tylko do ich wydostania trzeba się brać inaczéj, aniżeli Marek Radliński, aniżeli ci wszyscy, co, gospodarując podawnemu i nie licząc się z groszem podawnemu, oczekują pomocy od losu czy Opatrzności. Zrozumiał to siostrzeniec Marka, Michał Radliński, sierota, odznaczający się od dzieciństwa poważniejszém usposobieniem, zdolnościami kombinacyjnemi i siłą charakteru. W latach szkolnych dopuścił się czynu gwałtownego na koledze, raniąc go scyzorykiem; wydalony, sądząc, że jest zabójcą ze szlachetnych wprawdzie, wcale nie osobistych pobudek, ale bądź co bądź zabójcą, postanawia odebrać sobie życie; ratuje go i zwraca społeczeństwu zacny i rozumny profesor Bratek Ukończywszy szkoły, a nie chcąc być ciężarem stryjowi, obejmuje obowiązek praktykanta gospodarskiego, ale odczytanie szyfrowém pismem nakreślonych rad i przestróg oddawna zmarłego ojca, zwraca go na inną drogę, wskazuje mu studya techniczne, jako środek, którym będzie mógł kiedyś posłużyć się dla dobra społeczeństwa. Idzie do Lwowa, zwalcza trudności, przebija się przez świat z głową do góry, otrzymuje stypendyum, uda-

je się do Wiednia, zostaje inżynierem, pracuje następnie jak prosty robotnik w fabryce żelaznéj, doznaje bolesnego zawodu, gdy widzi swoje plany nowéj konstrukcyi pieców zużytkowane przez kolegę, ale nie zraża się, nie traci energii, płynie do Ameryki, pracuje w elektrotechnice, potém zapoznaje się z przemysłem naftowym, a przypuszczony do spółki w eksploatacyi kopalni naftowych robi w krótkim czasie znaczny majątek, przyjeżdża do kraju, nabywa dobra ziemskie, obfitujące w kopalnie i w ten sposób wydziera ziemi skarby Tymka. Lecz nie osobiste tylko wzbogacenie się, nie zapewnienie sobie i swoim dobrobytu zaprząta Michała. Przez ciąg studyów i prac swoich miał on zawsze na widoku zalecane sobie przez ojca służenie idei społecznéj; długo nie mógł jéj pochwycić, aż wreszcie w Ameryce stanęła ona wyraźnie przed jego oczyma. Sformułował on ją w liście do rodziny, pisząc: „starać się będę... podnieść moralność i moralną wartość najniższych a pogardzonych dotąd warstw społeczeństwa przez wytworzenie średniéj inteligencyi...; podnieść ubogi lud, dając inicyatywę do racyonalnéj uprawy roli, oraz wskazując mu właściwe, a nieznane dotąd pola zbytu dla owoców jego pracy...; grupować dokoła siebie młodzież wykształconą, marnującą dotąd swe siły w nieproduktywnéj walce o byt, w pracy dla kawałka chleba; pchnę ją na inne tory, roztworzę inne zupełnie horyzonty dla ukształconych, lecz nieporadnych jéj umysłów; wytężę wszystkie siły, by rozruszać obojętnych, rzucić między nich inicyatywę, zachęcić przykładem, rozpalić ognisko, pchnąć machinę w ruch... a potém, pójdę znów daléj szukać nowych pól nieuprawnych“ (str. 384, 5). Jak się do spełnienia tego programu zabrał Michał w praktyce, autor nie podaje; ale chociażby bohatér cząstkę tylko jego wykonał, stanie się społeczeństwu pożytecznym; a to, co o wytrwałości i energii Radlińskiego podał powieściopisarz, wystarcza, by z niejaką otuchą spoglądać w dalsze jego losy. Strona erotyczna niewiele zajmuje miejsca w utworze p. Rojana. Sylwetki młodych panien Wandzi, Reni, Kasi, Jadzi, Zosi przesuwają się szybko przed oczyma wyobraźni naszéj i niezbyt silnie w niéj się rysują: najpiękniejszą i może najświeższą jest postać Jadzi-chochlika, wesołéj, szczeréj, odbijającéj w postaci, ruchach, wyrazie twarzy i głosie wszystkie chwilowo przez jéj duszę przemykające uczucia i myśli. Figura Anetki, szansonistki wiedeńskiéj, Polki rodem, niezbyt się konsekwentnie przedstawia i inaczéj ją nam autor na początku, inaczéj w końcu ukazał. Z postaci męskich prócz dobrodusznego Marka Radlińskiego i profesora Bratka, wymienić można jako udatne i dobrze utrzymane: poety Kupczyka, który dla założenia ogniska domowego i swobodniejszéj pracy twórczéj, rezygnuje z wyższych studyów i w urzę-

dzie pocztowym szuka kawałka chleba, oraz technika praktycznego Szandora Töröka, Węgra poczciwego, jowialnego, który się całém sercem przywiązuje do Michała. Opowiadanie nigdzie nie jest nużące, nigdzie nie grzeszy rozwlekłością, ani powtarzaniem znanych powszechnie rysów naszego życia obyczajowego, niekiedy ożywiane bywa żartobliwym nastrojem, np. w obrazie biédy i zabaw studenckich we Lwowie i Wiedniu, w scenach z Szandorem. Język grzeszy tu i owdzie niewłaściwém użyciem przysłówka więcéj w zdaniach przeczących, oraz biernika zamiast dopełniacza.

= **Szary wilk,** powieść przez *Adama Krechowieckiego* (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1892, str. 420). Matejko obrazem swoim pobudził p. Rapackiego do napisania najlepszego swego, jako całość, dramatu p. n. „Maćko Borkowic“ (1878). W trzy lata potem Kraszewski w czterotomowéj powieści „Król chłopów“ poświęcił całą jednę księgę (VII-ą) temu samemu wichrzycielowi, który opór swój względem uregulowanego przez Kazimierza porządku prawno-politycznego śmiercią głodową przypłacił. Obecnie p. Krechowiecki, znany czytelnikom „Ateneum“ choćby tylko ze sprawozdania, jakie o dwu jego poprzednich powieściach historycznych tu pomieszczono, na nowo podjął tenże temat. Jak dawniéj Barbara Radziwiłłówna, Jerzy Lubomirski i Samuel Zborowski pociągali ku sobie powieściopisarzy i dramaturgów, tak teraz rolę podobną przejmować się zdaje łupieżczy wojewoda poznański. Poprzednicy p. Krechowieckiego mają tę nad nim wyższość, że pierwsi wyzyskali motywy dziejowe i psychologiczne; on nie znajdując nowych materyałów, musiał starać się głównie o obrobienie swego utworu. Istotnie, ani w pojęciu głównéj osobistości, ani w kreśleniu tła dziejowego, ani w przedstawieniu postaci króla Kazimierza, ani wreszcie w uzasadnieniu katastrofy, która niepospokojnego magnata spotkała, nie znajdujemy nowych czynników, nieznanych Rapackiemu czy Kraszewskiemu. Maćko Borkowic to namiętny, gwałtowny, niezmiernie ambitny, wielce zmysłowy rycerz-rozbójnik, dla którego prawo wszelkie jest nieznośném wędzidłem a żadne prawo moralne nie istnieje. Będzie się starał wszystko złamać, wszystko podeptać, co tylko jego samolubstwu i ambicyi stoi na przeszkodzie. Wzgardzony przez Jadwigę, księżniczkę szląską, dla zadosyćuczynienia żądzy zemsty dopuszczać się będzie przewrotności, okrucieństw i nikczemności, byleby dumną kobiétę upokorzyć i złamać. Król Kazimierz nie występuje w powieści jako prawodawca i rządny władca kraju; ta strona jego działalności jest zaledwie wzmiankowana i natomiast tak samo jak u Kraszewskiego, widzimy w nim człowieka ka-

pryśnego i zmysłowego, który z powodu swoich zachcianek popada w ciągłe kolizye z duchowieństwem i posługuje się usługami dostarczyciela rozrywek, Kochana. Podobnie jak u Kraszewskiego, nie tyle knowania Maćka Borkowica, nie tyle jego rozboje powodują króla do wydania nań wyroku, ile obrażona miłość własna, dotknięta potwarzą rzuconą na ostatnią tegoż żonę Jadwigę szląską. W tle obyczajowém uwydatnioną została głównie dzikość instynktów, zamiłowanie do orgij biesiadniczych, wśród których pojawia się wyuzdanie postaci sekty biczowników. Wolelibyśmy co prawda mniéj pijatyk i okrutnych egzekucyj, a więcéj śladów dążenia do nabycia ogłady i oświaty, boć to dążenie wyróżnia drugą zwłaszcza połowę wieku XIV, na którą wątek opowiadania przypada, od stuleci poprzednich. Wprawdzie takie właśnie sceny gwałtów i mordów, zgodnie z temperamentem artystycznym autora, najlepiéj w jego powieści się przedstawiają i stanowią rzeczywistą jéj ozdobę; ale traci na ich przewadze charakterystyka chwili dziejowéj, obranéj przez powieściopisarza do odtworzenia. Postaci łagodne, poetyczne, jaką tu jest Marta, córka Wincza z Szamotuł, w psychologiczném swojém rozwinięciu niezawsze szczęśliwie są traktowane. Odcięcie Marty od świata, zupełna jego nieznajomość, potrzebna dla autora celem uwydatnienia powabnéj naiwności dziewczęcia nie jest dostatecznie umotywowane i dla tego nieprawdopodobném się wydaje. W dobie bowiem dojrzewania, Marta nie była tak pilnie strzeżona; Maćko nie dbał o nią wcale, nie robił nacisku na to, żeby się z nikim nie komunikowała. Otóż w téj dobie porobiła zapewne dziewczyna pewne spostrzeżenia o świecie ją otaczającym i nie mogła być tak nieświadomą spraw jego, jak to powieściopisarz przedstawia od chwili, gdy na nią Maćko zwrócił uwagę, otoczył przepychem i wygodami, lecz pilnie strzedz jéj polecił.—Nie możemy téż pochwalić sposobu, w jaki autor przeinacza i przedstawia fakta stwierdzone, historyczne. Dawniéj gdy panowała jeszcze teorya swobodnego przetwarzania dziejów przez poetę, takie uchybienia przeciw prawdzie historycznéj, jak przestawienie daty mianowania Wierzbięty lub zabicie Benjamina, uważałoby się za drobnostkę nie obudzającą najsłabszych skrupułów w sumieniu autora lub krytyka. Dzisiaj atoli staliśmy się pod tym względem bardziéj wymagający; sam p. Krechowiecki pilnie i bacznie rozpatraje się w poszukiwaniach dziejowych i stara się wiecznie trzymać historyi; wobec takiéj dążności trudno już usprawiedliwiać zamieszanie wprowadzone przez powieściopisarza do dziedziny faktów ustalonych przez historyków, chęcią artystycznego zaokrąglenia całości przez skupienie efektów. Fantazya powieściotwórcy musi się raczéj zastosować do historyi a nie posługiwać się nią

całkiem dowolnie. W opracowaniu widać wielką staranność z początku powieści; wstęp, przedstawiający ostatnie chwile Wincza z Szamotuł, policzyć można do najcelniejszych epizodów w naszém powieściopisarstwie historycznėm. Potém staranność słabnie, chociaż żywość opowiadania prawie na chwilę nie ustaje. Akcya rozwija się dość szybko, pod koniec jest niemal szkicowaną tylko. Władając stylem jędrnym i barwnym, może zanadto często autor posługuje się barwami jaskrawemi, zwłaszcza gdy sytuacye do siebie podobne zbyt często powracają, ze wskazanego powyżéj powodu. Zasługuje też na wyróżnienie czysty i poprawny język powieściopisarza, jakim mało który z utworów galicyjskich, bezwiednie wchłaniających potworne germanizmy, poszczycić się może. Prawie nigdzie przy czytaniu nie razi nas błędna forma lub wyrażenie.

= *Stanisław Rossowski*. **Ze ścieżek życia**. Wrażenia i obserwacye, 1892, str. 232). Gdy się przebrnie bagna zepsucia i spodlenia natury ludzkiéj, tak często w beletrystyce spółczesnéj przedstawiane, miło jest spojrzéć na uśmiechniętą po staremu łąkę strojną w trawę i kwiatki pospolite wprawdzie, ale nie mniéj przeto miłe dla oka i duszy. Na taką łąkę prowadzi nas p. Rossowski, którego poezye, przed kilku laty wydane, były przedmiotem osobnego w „Ateneum“ sprawozdania. Jego „wrażenia i obserwacye“ (nawiasem mówiąc wyrazy te doskonale charakteryzują rodzaj utworów zawartych w téj książce) ozłocone są promykami poezyi, łagodnego uśmiechu, wyrozumiałości na słabostki ludzkie, a niekiedy i głębszego spostrzeżenia, które wprawia w zadumę. Cały zbiorek podzielony jest na trzy części. Pierwsza nosi napis: „Błogosławieni cisi“ i przedstawia w króciutkich zarysach drobne zadowolenia ludzi miernego stanu, zazwyczaj urzędników zmuszonych utrzymywać rodzinę ze szczupłéj swéj pensyi, znoszących swój los nie tylko ze spokojną rezygnacyą, ale nawet z uśmiechem szczęścia. Nie wybujały w nich bowiem ani wielkie marzenia, których niepodobna urzeczywistnić, ani silne namiętności, któreby burzyły spokój duszy i rozrywały węzły rodzinne. Lada błahostka, pomarańcza, *ficus elastica*, przechadzka, lampa wywołuje objawy radości lub zaspokojonego pożądania. Można się uśmiechać z niewybrednych wymagań, jakie ci ludzie mają względem życia, ale czasami chce się im zazdrość niezamąconego nastroju ducha, w jakim przyjmują złe i dobre strony życia. Autor nie patrzy z góry na tych swoich lilipucich bohaterów; czasami tylko z pogodnie uśmiechniętą żartobliwością opowiada ich przygody. W drugim dziale p. n. „Po kwiatach i cierniach“ częściéj są rozsiane uwagi autora, a satyra nieraz występuje na jaw dobitnie. Są tu mdłe ale-

gorye jak „Złoto“ przypominające bardzo już starą manierę pisarską, są porównania słuszne ale niezbyt wykwintne donjuana miejskiego do osła depcącego kwiaty („Stokroć“), są konwencyonalne egzegeracye o potędze jednorocznych dzieci („Król Bobo I“), lub prawie konwencyonalne drwiny z fantazyjnych zachcianek dziewczęcych („Samobójstwo hrabianki Idalii“); ale są także bardzo trafne spostrzeżenia co do wychowywania rodziców przez dzieci („Pedagog“), są zabawne opisy kuracyi w Delatynie („Żentycznik“), jest wyborna satyra na stosunki biurowe, w których pies pana dyrektora jest więcéj szanowaną osobą niż własna córka urzędnika. W trzecim dziale p. t. „*Neurotica*“) są lekko charakteryzowane myśli i postępki ludzi nowożytnych, w których system nerwowy do nadczułości przywykać zaczyna. Więc ktoś wyrzuca sobie, iż stał się przyczyną śmierci dziecka dla tego, że je wabił przez okno w porze wieczornéj („Zbrodnia bez winy“), inny, że zabił żonę swoją oziębłością i kocha ją po śmierci tém bardziéj, im mniéj za życia dla niéj zrobił („Pokuta“). Biedny urzędnik skąpi na wydatki domowe, ażeby módz się ustrzedz drobnoustrojów („Bakterye“). Inny staje się nieszczęśliwym dla tego, że w wyborze żony kierował się zmysłowo-estetycznym poglądem na jéj urodę („Zaklęta linia“). Poeta nic naprawdę, i dla siebie nie odczuł, bo wszystkiemu się przypatrywał, wszystko studyował dla celów artystycznych („Żywy fonograf“). Ale najpiękniejszemi w całym tym dziale są dwa szkice: „Wizyta“ i „Ku naturze!“ W pierwszéj jest historya krótka spotkania dwu kolegów szkolnych, z których jeden mający dobre stosunki w świecie, dbający o wykwintność stroju i o zawieranie odpowiednich znajomości, unika drugiego, bo ten jest wielce zaniedbany w ubraniu i widocznie bardzo biedne pędzi życie. Raz jednakże niepodobna było uniknąć spotkania. Z rozmowy okazuje się, że ów biedny, mieszkający w szkaradnéj dzielnicy miasta, zadowolony jest ze swego bytu, patrzy pogodnie na warunki życia i ufny w uczucia koleżeńskie zaprasza eleganta, żeby go w domu odwiedził, gdzie ma mu przedstawić żonę i syna. Elegant obiecuje, ale nie dotrzymuje, bo miał o wiele ponętniejszą wizytę. Po niejakim czasie ujrzał biedaka w tramwaju, zauważył jego smętny uśmiech, wystawił sobie w wyobraźni przygotowania robione na jego przyjęcie, zawód, jaki biednym uczynił, i łza zapiekła go pod powieką... Opowiadanie to tak proste, mówiące o tak pospolitym objawie, sprawia naprawdę przejmujące wrażenie. Nie mniejsze robi szkic „Ku naturze!“ Grono dobrze już podpiłych biesiadników w chwili bliskiéj świtu, jedzie na propozycyą poety szukać wrażeń na łonie przyrody. Dorożkarze rozkazu nie pojmują, ale popędzają konie coraz daléj. Gdy poeta z jednym towarzyszem znalazł

się za rogatkami miasta i gdy się zaczął napawać widokiem krajobrazu słabo oświetlonego brzaskiem, przekonał się, że nikt więcéj za nimi dwoma nie podążył; utknęli bowiem po drodze w jakimś lokalu restauracyjnym. A i sam poeta długo nie wytrwał. Nie wyspany, uczuł dotkliwie chłód poranku i kazał co prędzéj zawrać ku miastu, by się w kawiarni pokrzepić. Czyż całe społeczeństwo — dodaje poeta — nie jest takiem jak my gronem wynaturzonych istot, wprowadzających się ciągle w stan oszołomienia? Źle nam na świecie, chcemy o tém zapomnieć i lada błędny ognik namiętności już nas oślepia. Biegniemy za nim, nie zdając sobie sprawy, jak się oddalamy tém samém od źródeł największéj rozkoszy — od spokoju... Natura wielkim głosem zowie nas ku sobie... ale nasz słuch przytępiony piekielnym gwarem namiętności nie słyszy jéj wcale (str. 231).

= *Jarosław Vrchlicki.* **Uszy Midasa.** Komedya w trzech aktach. Przełożył z czeskiego Miriam (1891, str. 79). Tłomacz jest szczerym wielbicielem poety czeskiego i przedstawia jego utwory dramatyczne jako prace „zawsze przejęte wonią prawdziwéj, wysokiéj poezyi, a częstokroć porywające potęgą tragiczną, lub téż czarujących świeżością i lekkością dowcipu.“ Nie znając wszystkich dzieł dramatycznych Vrchlickiego, nie mam prawa osłabiać tego sądu uwagami krytycznemi, ale wolno mi wyrazić przypuszczenie, że i tu miłość zaślepia według przysłowia. Te przynajmniéj rzeczy, które czytałem w przekładach Miriama, niewątpliwie starannych i wiernych, nie budziły we mnie tych wrażeń, jakichby spodziewać się należało z zapewnień tłomacza. Vrchlicki jest niewątpliwie poetą i myślicielem niepospolitym, ale subtelny jego umysł mało nadawać się zdaje do tworzenia wstrząsających grozą tragedyi lub wesołych, istotnie komicznych komedyj. „Uszy Midasa“ to raczéj wytworny, w najlepszym smaku prowadzony dyalog, aniżeli twór komiczny. Pewnego poranku przybywa do króla Frygii nowy balwierz i zapewne wskutek nadzwyczajnego wzruszenia, jakiego doznał przystępując do roboty przy głowie dostojnéj, oraz może w skutek niezupełnie trzeźwego stanu, zauważył, że Midas ma zbyt duże, ośle uszy; a co gorsza spostrzeżenie to głośno wypowiedział. Król przerażony uwierzył temu i co prędzéj zakrył te nieszczęśliwe uszy czapką frygijską, nakazując Tersytesowi, ażeby tajemnicę w sobie pogrzebał. Balwierz męczył się tą nieznośną tajemnicą, nie zaznał spokoju, póki ją w wykopany pod wierzbą dół nie wyszeptał. Ale szept usłyszał skryty za drzewem Grek Lykias i z przebiegłością właściwą swemu plemieniu umiejętnie na swą korzyść wyzyskał pochwyconą tajemnicę. Zręczném pochlebstwem i daniem do poznania

królowi, że zna jego sekret, zawładnął nim całkowicie i gdy narzeczona Midasa przybyła do stolicy, Midas jemu polecił jéj przyjęcie i zabawianie, sam doznając niewymownych katuszy. Lykias rozzuchwalony w końcu ukląkł przed narzeczoną królewską i miłość jéj swą wyznać się ośmielił. Midas ukryty świadkiem był téj sceny; miłość i zazdrość natchnęła go odwagą, zdjął czapkę z głowy, stanął przed narzeczoną i wobec niéj podarował ową czapkę Lykiasowi, mówiąc, że teraz na Lykiasa przyszła koléj nosić ośle uszy. Narzeczona bynajmniéj się nie zgorszyła wielkością uszów Midasa, uznała owszem, że tém lepsze są do całowania i rzecz cała kończy się pogodnie z tą nauką, że Midas miał ośle uszy, póki się bał ich śmieszności, lecz gdy w twarz prawdzie ośmielił się spojrzéć i zostać naprawdę człowiekiem, uszy te zniknęły. Scen ładnych, ślicznie wypowiedzianych, spostrzeżeń i uwag subtelnych nie brak téj sztuce, ale ciągle potrzeba pamiętać, że się tu znajdujemy w krainie idealnéj, w dziedzinie marzenia raczéj niż rzeczywistości; komedyą zaś nazwać ten utwór bardzo trudno. Przekład dokonany jest językiem pięknym, wierszem białym, jakim pisany jest i oryginał.

— **Odtrącony**, (poemat dramatyczny) przez *Henryka Kubińskiego*, (Warszawa, M. Lewiński, 1892. str. 37). Forma i zasadniczy motyw tego utworu silnie przypominają czasy romantyki; w luźnych, zupełnie swobodnie i dowolnie przenoszonych z miejsca na miejsce scenach dyalogowanych przedstawioną została krótka historya artysty-rzeźbiarza od pierwszego w salonie zapoznania się z czarującą zalotnie Heleną aż do sali w szpitalu waryatów. Artysta jest ze swoich robót niezadowolony; to, co wykonywa, jest dalekiem od tego, co jako ideał pieści w swéj duszy; lecz nie to niezadowolenie wewnętrzne ze siebie samego, nie zwątpienie o możności ucieleśnienia ideału, tylko zawiedziona miłość wtrąca Zygmunta w otchłań obłąkania i staje się przyczyną jego śmierci. W przedstawieniu przejść tych miłości nie ma świeżych czynników i czasami jedynie szczęśliwsze jakieś wyrażenie daje nam na chwilę zapomniéć o zużytych i banalnych sytuacyach, w których artystę napotykamy. Jeden wszelako szczegół warto zaznaczyć dobitniéj. Zygmunt jest suchotnikiem; mówi o tém niejednokrotnie, a wreszcie przekonawszy się, że Helena go kokietowała tylko ponad inne swe żale, ten uwydatnia najwięcéj, iż nie był młodzieńcem zdrowym i dorodnym i woła patetycznie: „Lepiéj będzie, jeśli się zrównam z bezczuciowym prochem, niźli mam patrzéć, jak się śmieją, bawią arystokraci zdrowia na téj ziemi? Psychologicznie jest ta zawiść do ludzi zdrowych zupełnie wytłomaczona, lecz czy artystycznie

wywrzéć ona potrafi należyte wrażenie? U ludzi znajdujących się w tém samém, co Zygmunt, położeniu, zapewne; u innych średniém przynajmniéj zdrowiem cieszących się, chyba nader słaby tyrada rzeźbiarza znajdzie oddźwięk. Dykcya p. Kubińskiego ma wogóle pewną podniosłość, nie razi zazwyczaj pospolitością, ale téż nie obfituje w zwroty poetyczne, świeże, w przenośnie dobrze utrzymane, a wiersz biały, t. j. bez zachowania prawideł ścisłego rytmu, dziś wobec zwiększonych w tym względzie wymagań zadowolnić już nie może. Całość sprawia dość przykre uczucie i nie może się liczyć do rzędu tych, co w nas poczucie szczęścia wzmagają.

= **Szekspir w Polsce XVIII wieku,** przez *Stanisława Estreichera* (Kraków, 1892, str. 27). Zaznajamia tu autor z bardzo mało dziś rozpowszechnionemi wśród ogółu literatów wiadomościami o pierwszych śladach, jakie co do dramaturga angielskiego w literaturze naszéj znaleść można. Pierwszą wzmiankę o nim odnajduje p. Stanisław Estreicher, syn zasłużonego bibliografa, w „Zabawkach wierszopiskich“ Wacława Rzewuskiego, drukowanych w Poczajowie roku 1762. Nienazwany tu jest jeszcze Szekspir, ale widocznie o nim mowa, gdyż Rzewuski stosuje do niego to znamienne choć niepoprawnie wyrażone zdanie: „Nic to, że z dawnych praw scena wykroczy; Dobra jest, kiedy łzy wyciska z oczy.“ Nazwisko Szekspira pojawia się u nas dopiéro w r. 1765 w „Monitorze,“ gdzie i w roku następnym szczegółowiéj o nim rozpisywano się. Potém w r. 1770 książę Adam Czartoryski w obszernéj przedmowie do swéj „Panny na wydaniu“ podał charakterystykę Szekspira, zapewne pod wpływem Woltera, lecz także na podstawie lektury własnéj. W „Kalendarzu Teatrowym“ na r. 1780 tenże sam książę po raz drugi charakterystykę podał i to łagodniejszą a sprawiedliwszą od pierwszéj. Pierwsza sztuka Szekspira dostała nam się za pośrednictwem przeróbki francuskiéj „Wesołych kumoszek z Windsoru,“ dokonanéj przez Collot d'Herbois, a umiejscowionéj dla sceny polskiéj przez bezimiennego w r. 1782 p. n. „Samochwał albo amant-wilkołak.“ Nie sprawił ten utwór dobrego wrażenia na współczesnych. „Hamlet“ znajdował najwcześniéj u nas wielbicieli, tłomaczył go (co prawda nieudolnie) Trembecki, potém Bogusławski, Kamiński, Horodyski. On téż był pierwszém rzeczywistém dziełem Szekspira, jakie się na scenie polskiéj, we Lwowie ukazało, w r. 1797. Wiązanka zebranych przez p. E. szczegółów jest bardzo interesująca i zachęcić-by powinna innych badaczów do podejmowania podobnych poszukiwań wpływu różnych wielkich poetów i myślicieli na naszę literaturę. Zrobiłbym tę tylko uwagę, że autor zanadto jeszcze hołdu-

je poglądom Mickiewicza na literaturę naszę z pierwszéj ćwierci wieku bieżącego; gdyby się był z nich wyzwolił, nie byłby tak ostro w kwestyi Szekspirowskiéj przeciwstawił „pokolenia Dmochowskich i Osińskich“ pisarzom Stanisławowskim—przynajmniéj co do znajomości i oceny Szekspira. Dmochowski go wspomina w swéj „Sztuce rymotwórczéj,“ Osiński rozbiéra w swych prelekcyach, Wężyk rozpisuje się o nim w swojéj rozprawie o poezyi dramatycznéj.

— **Prace filologiczne** wydawane przez Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i Luc. Malinowskiego, tom IV-ty, zeszyt I, 1892 r.—Najznaczniejszą część tego zeszytu zajmuje praca M. Rowińskiego p. t. „Uwagi o wersyfikacyi polskiéj, jako przyczynek do metryki polskiéj“. Rozprawy téj atoli nie dotykamy, ponieważ jest-to przedmiot więcéj filologiczny, niż lingwistyczny. Ważne są natomiast dla fonetyki prace pp. Lubicza Rafała (Przyczynki do nowego słownika języka polskiego), Bystronia (Przyczynek do dyalektologii polskiéj) i P. B. (Wyrazy gwarowe z okolic Tarnowa). P. Malinowski Luc. w artykuliku swoim (grupy spółgł. *trz*, *strz*, *drz*, w niektórych gwarach Galicyi Zachodniéj) przedstawił nam niektóre ważne dane z fonetyki. On to bowiem spółcześnie z Schererem, który w r. 1868 rzucił pierwsze myśli o analogiach, wystąpił w *Beitraege* (1880 r.) z nowemi prądami, pisząc o głosowni wyrazów przejętych z niemieckiego (*Zur Lautlehre der Lehnwörter*). Z tego téż powodu spodziéwaliśmy się, że autor zjawisko wymowy dźwięków *trz* i t. p. zestawi z podobnemi objawami innych dyalektów polskich, tudzież narzeczy słowiańskich. Od autora bowiem żądamy rozpraw, a nie notatek suchych. O słuszności wymagań naszych czytelnik przekonać się może z innéj pracy tegoż autora, umieszczonéj w pomienionym zeszycie „Prac“. Artykuł ten tyczy się biblii szaroszpatackiéj (Porównanie kilku ustępów biblii szaroszpatackiéj z tekstem staroczeskim Zabłockiego z r. 1476—1478). Za przyczynek ten do dziejów języka należy się szczere autorowi uznanie. Jest-to rozprawa, świadcząca, iż p. M. umié pracować, gdy chce; dowodzi ona nietylko uzdolnienia autora, ale i niepospolitéj jego erudycyi. Wiadomo, że według Sobieszczańskiego [1]) i ks. Ign. Polkowskiego [2]) bibl. kr. Zofii, czyli szaroszpatacka i kodeks biblii czeskiéj Zabłockiego są jednakie, bo pierwsza jest niezręcznem tłómaczeniem drugiéj. Należy przypuszczać, że dla obu tych kodeksów był wzorem zaginiony jakiś rękopis biblii czeskiéj. Z zestawienia trzech tekstów, t. j. Wulgaty, łac. Zabłock.

---

[1]) „Biblioteka Warsz.“, 1872. — [2]) Rozpr. i spraw. wydz. fil. ak. um., X.

i szaroszp. wykazał p. M. ważne między niemi różnice, z czego wnosi o niezgodności obu tekstów. P. Teodor Wierzbowski pisze o fragmencie biblii szaroszp. (Nieznany fragment biblii królowéj Zofii), który odkrył w bibl. wrocławskiéj. Fragment ten pochodzi z księgi proroctw Jeremiasza. Służy on za oprawę kazań niemieckich Jaenischa z XVII w. Tekst i dokładne *facsimile* uzupełnia art. p. W. Pan Wład. Niedźwiedzki przysłużył się nauce odkryciem pochodzenia jerów starosłowiańskich. Owóż nazwa i postać tych znaków początek swój wywodzi ze skrócenia sylaby grec. *er* wyrażonéj właśnie w znaku jerowym; np. *per* skraca się na *p* greckie + jer. Początek więc litery oznaczającéj samogłoski głuche — jest grecki. Ponieważ zamęt w pisowni odnosi się do kilku punktów, przeto doświadczony lingwista, jakim jest p. A. A. Kryński, usiłuje na mocy dowodów naukowych, przedstawić do wyboru publiczności jeden z tych punktów spornych. Co do *é* ścieśnionego, radzi autor zaniechania tego zwyczaju, zwłaszcza że samogłoska rzeczona w ustach osób wykształconych brzmi czysto. Autor ściśle naukowemi argumentami przemawia zgodnie z Małeckim za pisownią *móc*, *strzec*, *biec*. Pomniki od XVI do XVIII wieku przedstawiają właśnie taką pisownię. W narzeczach słowiańskich nie widzimy w *móc*, *strzec* i t. p., owego *dz*, za którém tak gorąco gardłują niektórzy rzekomi znawcy języka. Zgodnie z morfologią języka polskiego należy pisać *zjadszy* i t. p., gdyż imiesłów ten jest zgoła innym od czynnego na *ł*, a więc formować się od niego nie może, jak uczyli dawni gramatykarze. Już Małecki naucza w duchu p. Kr. Z trzech sposobów: *Marya*, *Marja*, *Maryja*, autor zaleca drugi, najbardziéj u nas popularny. Rzeczowniki z przyrostkami *stwo*, *ski*, należy pisać: *bóstwo — boski*, *łupiestwo — łupieski* i t. p.; przymiotniki zaś, których osnowa kończy się na *z*, utworzono zapomocą przyrostka *ki*, pisać: blizki = bliz+ki, śliz+ki, wąz+ki i t. p. Jest-to więc pisownia więcéj etymologiczna, uwzględniająca jednak zmiany historyczne. Co do zakończenia *ym*, *im* bez różnicy rodzaju męskiego od nijakiego, oraz *emi* na trzy rodzaje i biernika żeńskiego l. p. w rzeczownikach *ę* (lutnię, oprócz panią), w zaimkach *ą* (ową, moją etc., oprócz tę), sprawa należy już więcéj do gramatyki, niż pisowni. Radzilibyśmy czytelnikom z uwagą przeczytać ściśle naukową argumentacyę p. Kr., który do pierwszorzędnych u nas lingwistów należy. Przekonani jesteśmy najzupełniéj o słuszności zasad autora, życzymy mu tylko uznania wśród szerszych kółek, ogół społeczeństwa stanowiących. *Justyn Feliks Gajsler.*

= *S. Sighele.* **La folla delinquente** (*Biblioteca antropologico-giuridica*). Turyn, str. 123. — Prawnik włoski podjął w pracy swojéj zagadnienie dość znacznéj doniosłości praktycznéj, mianowicie jak należy zapatrywać się na zbrodnie, dokonane zbiorowo przez mniejszą lub większą liczbę osób. Np. praktyka wielkomiejska kilkakrotnie wysunęła w ostatnim roku to pytanie z powodu gwałtów, dokonanych na dziewczynkach przez bandy wyrostków. Autor przedewszystkiém zajmuje się analizą duchowości gromadzkiéj. Usiłuje on dowieść, zresztą z zupełną słusznością, że zbiorowisko jednostek żyjących nie wydaje wyniku, równego sumie arytmetycznéj członków swoich, czyli innemi słowy, że charakter jednostki w otoczeniu gromadzkiém uledz może zmianie radykalnéj. Odważny w gromadzie staje się tchórzem, tchórz odważnym, człowiek bez popędów zbrodniczych zbrodniarzem i t. d. Sighele tę zmianę charakteru osobniczego przypisuje wpływom naśladownictwa, koniecznego w gromadzie, przytém gotów twierdzić, że zbiorowość sprzyja zatarciu rysów dodatnich charakteru i wyładowaniu stron jak najgorszych. Z tego powodu mniema też, że gromadzkość pcha człowieka aż zbyt często do zbrodni, jakkolwiek jednostka, sama sobie pozostawiona, nigdyby się jéj nie dopuściła. Otóż to doprowadza go w ciągu dalszym do rozwiązania kwestyi, jak należy postępować z podobnego rodzaju zbrodnią. Ponieważ zdaniem Sighele'go przy wymiarze kary iść winno przedewszystkiém o zabezpieczenie społeczeństwa przeciwko naturze zbrodniczéj przestępcy; ponieważ w dalszym ciągu przedstawiciel zbrodni zbiorowéj dzięki otoczeniu, w którém działał, nie przedstawia tak wygórowanéj chuci zbrodniczéj, jak przestępca działający pojedyńczo, przeto na téj podstawie wymaga on względniejszego postępowania sądowego w wypadkach czynu masowego. *L. K.*

= *C. Lombroso.* **Nouvelles recherches de Psychiatrie et d'Anthropologie criminelle.** Paryż, str. 177. — Lombroso wypuszcza od czasu do czasu krótkie streszczenia całokształtu poszukiwań nowych, dokonanych w zakresie antropologii zbrodniczéj, i prac, poświęconych temu przedmiotowi. Kiedyś wydawał je w języku włoskim, obecnie już po raz wtóry w francuskim. Ostatnio wydana książka, któréj tytuł podaliśmy powyżéj, rozpatruje postępy, dokonane przez kryminologię w przeciągu 18 miesięcy, mniéj więcéj od początków r. 1890. Przeglądając poszukiwania przedsiębrane, należy przyznać, że w porównaniu do pożyteczności swojéj praktycznéj nauka ta doczekała się aż nazbyt wygórowanego uwzględnienia. W całém znaczeniu słowa stała się ona nauką modną. Macedo zbadał 1,000 czaszek zbrodniczych

i niezbrodniczych portugalskich, Ottolenghi i Roncoroni anomalie z 100 zbrodniarzy, prof. Tenchini wydał trzy tomy poszukiwań nad mózgami zbrodniczymi, Arno badał 151 małoletnich przestępców, Roncoroni 100 kobiét „uczciwych,“ 250 zbrodniarek, 50 prostytutek. Penta 500 galerników, Gradenigo uszy 250 zbrodniarek, Bergh — nierządnice duńskie i t. d. Podaliśmy prace tylko z pierwszych stronnic książki, a z tego można powziąć wyobrażenie o całości. Antropologia zbrodnicza bezwarunkowo jest więcéj uprawiana, niż ogólna, pomimo mniejszego swego znaczenia. Nie wdajemy się w rozbiór powodów takiego powodzenia, które bynajmniéj nie są natury przypadkowéj; natomiast w kilku słowach winniśmy podać pojęcie o wartości tych prac. Zwrócono już na to uwagę, a uczynił to jeden z najwybitniejszych antropologów chwili obecnéj, iż wartość poszukiwań antropologiczno-kryminalnych stoi w odwrotnym stosunku do ich liczebności. Większość badaczów ani słyszała o studyach obszerniejszych przygotowawczo-antropologicznych, a zaledwie wyszła z ławy szkolnéj bierze się do mierzenia i badania przestępców, każdéj napotkanéj różnicy przypisując znaczenie, którego odmówiłby jéj ogólnie wykształcony antropolog. To téż o całości tych poszukiwań możemy z całą słusznością powtórzyć niedawno wyrzeczone z tego powodu słowa Tarde'a: „Wiem dobrze, że ani Lombroso, ani téż jego wychowańcy nic zgoła nic utracili ze swego zacięcia do gorączkowego mierzenia czaszek, pulsów i t. d. *Archivio di psichiatria* nagromadza wciąż stosy sążniste cyfr. Ale jakkolwiek wciąż słyszę turkot młyna, bynajmniéj nie dostrzegam mąki. Wszystko, co było do powiedzenia o typie zbrodniczym, zostało wyrzeczoném; udowodniono, że zbrodniczy temperament zgoła nie należy do mytów i że obfituje w różne anomalie, fizyczne i duchowe; lecz wraz z têm trzeba przyznać tę prawdę, iż owe piętna zbrodniczości są nazbyt niewyraźne i nie zostały do dnia dzisiejszego wyznaczone.“ *L. K.*

= *J. Michelet.* **Miłość.** Paprocki. 1892. Wyznam szczerze, iż dawna znajomość z oryginałem sławnego tego dzieła historyka rewolucyi francuskiéj pozostawiła mi wrażenie czegoś trochę rozwlekłego i bardzo sentymentalnego, to téż biorąc do ręki przekład, pełen byłem najniekorzystniejszych dla niego uprzedzeń. Poco, myślałem, było tłómaczyć słodkawe gawędy z przed półwieku historyka, kiedy w ostatnich czasach tyle o tym przedmiocie i tak wyczerpująco pisali nam i piszą rozmaici specyaliści: fizyologowie, patologowie, psychologowie, psychopatologowie, romansopisarze i poeci. Czyż tłómacz mógł łudzić się nadzieją, iż po za nielicznêm kołem jego najbliższych

przyjaciół i kilku sumienniejszych sprawozdawców, zdecyduje się kto przeczytać chociażby kilka kartek z tego zabytku archaicznego? Przedmowa jednak tłómacza — prawdziwe arcydzieło w swoim rodzaju—kazała mi zwątpić co do wartości moich uprzedzeń. Przeczytałem „Miłość“ powtórnie — i uwierzyłem, że ten jéj przekład nigdy bardziéj, niż teraz, nie byłby na czasie. Nie nabrałem naturalnie przy téj sposobności przekonania, że rozwlekła i słodkawa sentymentalność należy do rzeczy cennych, dojrzałem jednak pod tą powłoką, zaiste nudną trochę dla czytelnika z końca XIX w., zblazowanego na Kraft-Ebingach i Bourgetach, takie skarby, że niewielu dziś książkom tak szczerze, jak téj, życzę czytelników. Ileż choć starych, ale obecnie nowych rzeczy może ona powiedziéć zwolennikom Maupassant'a i Bourget'a! Może im ona powiedziéć, że miłość nie jest tylko drażliwością naskórków, tylko kwestyą nerwów, tylko chwilą szału chorobliwego, że celem jéj nie sam tylko akt posiadania; że miłość — to trwałe szczęście całego życia dwojga istot ludzkich w cichém gnieździe rodzinném, że celem jéj, po za tém jeszcze szczęściem, wydanie na świat i wychowanie potomstwa na ludzi silnych duchem i ciałem, na dobrych obywateli i zdolnych do szczęścia osobników. Im bardziéj zapomina się dziś o tych prawdach, tém większą wartość ma ich przypomnienie. Przekładowi, jak mi się zdaje, nic nie ma do zarzucenia.

= Na posiedzeniu komisyi historyi sztuki, odbytém 17 marca r. b. w Krakowie, przewodniczący prof. Maryan Sokołowski w gorących słowach uczcił pamięć zmarłego członka komisyi, ś. p. Pawła Popiela, podniósł jego miłość sztuki i współudział w restauracyi najznakomitszych pomników artystycznych Krakowa, wreszcie zaznaczył zasługi zmarłego jako nakładcy naukowych publikacyi, dotyczących historyi sztuki. Następnie przewodniczący zdawał sprawę ze stanu wydawnictwa imienia Konstantego hr. Przezdzieckiego, potém zaś przedłożył projekt opracowany wraz z p. Lepszym nowego wydawnictwa p. n. „Materyały do historyi sztuki i kultury“, który przyjęty został. Dr. Tomkowicz odczytał charakterystyczny przyczynek do życiorysu Gabryela Słońskiego architekty z XVI-go wieku, oraz Erazma Czeczotki, mieszczanina krakowskiego, wskutek którego sylwety obu tych postaci rysują się w mniéj korzystném świetle, aniżeli dotąd sądzono. Prof. M. Sokołowski wyjaśnił losy Jana de Monte (malarza Zygmunta Augusta), który, wyjechawszy z Polski, udał się na dwór cesarski, gdzie od r. 1571—1583 był malarzem nadwornym Ferdynanda I, Maksymiliana II i Rudolfa II; przyczém zwrócił uwagę na

błędne twierdzenie badacza niemieckiego d-ra A. Ilga, który pomieszał rzeźbiarza Hansa Monsa z Janem de Monte, malarzem. Prof. M. Sokołowski przedłożył z kolei notatkę o sprowadzaniu ładunków kamieni ciosowych z Gotlandyi do Polski przez Zygmunta III-go. Prof. Łuszczkiewicz poruszył sprawę malarstwa cechowego i przedstawił w tym względzie swoje dezyderaty. Sekretarz p. Lepszy wniósł komunikat p. Ad. Chmiela, który w archiwum krakowskiém znalazł ciekawy inwentarz rzeczy nadwornego stolarza Zygmunta Augusta, niejakiego Sebastyana Taurbacha († 1552 r.), jakotéż jego pieczęć z herbikiem. Wreszcie złożył spis sprzętów z XVI-go w. Spis ten odnalazł niegdyś Al. Przezdziecki, zaczyna się on słowami: *Regestr a spysek wszythkych rzeczy panskych, ktory regestr Jego M. przy sobye chowacz ma, y chowa, pysan Crac. A⁰ 1525 feria secunda post festum Nativitatis Marie Virginis.* Domyślać się z niego można bezpośrednich stosunków z dworem królewskim, dopełnia on niejako rachunki Seweryna Bonera. Wszystkie przedłożone komunikaty i materyały wejdą do publikacyi, które komisya przygotowuje.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wiosna i pokój. — „Manfred“ na scenie warszawskiéj. — Szantaż w Lublinie. — Wybory do Tow. Kr. Ziemskiego. — Etyka dziennikarska. — Zapobieganie wypadkom fabrycznym. — O walce z lichwą. — Kolej terespolska. — Nie będzie wystawy inwentarza. — Odczyty na Osady rolne. — Muzeum rzemieślnicze.

Wiosnę powitał pokój, którego zakłócenia tak się bardzo przez zimę ubiegłą obawiano. Nieucywilizowany, pierwotny człowiek napełnia świat potęgami, które obdarza duchem i wolą, przed którémi korzy się i drży. Te bóstwa i potęgi, w jego wyobraźni wylęgłe, czychają nań zewsząd, grożą mu gniewem i śmiercią. Początki i przyczyny ich istnienia dziki nie bada.

Taką jest według zgłębiań natura człowieka pierwotnego, między którym a nami stanęła nieskończona drabina rozwoju. Zdawałoby się, że człowiek ucywilizowany końca XIX stulecia, jeżeli nie instynktem, to rozumem różni się od odległego swego praojca o cały właśnie, tak wielki rozwój umysłowy. Kto miał sposobność obcowania z inteligentnym europejczykiem w ubiegłą zimę, mógł nabyć wiele wątpliwości o teoryi umysłowego rozwoju. Wyobraźnia dzikiego drżała przed tejemniczemi lub w bałwanach ucieleśnionemi bóstwami; nad wyobraźnią dzisiejszą dziwną ma władzę baśń, plotka, pogłoska, wylęgła bez żadnego udziału krytycznego rozsądku, a przyjmowana z silną i dobrą wiarą.

Pogłoski o niechybnéj wojnie krążyły przez całą zimę. Z uwagi, że żyjemy w epoce zbrojnego pokoju, którego trwałości nikt poręczyć nie może, zrozumiéć można, że ogół przyjmuje je łatwo. Lecz kiedy członkowie tego inteligentnego ogółu oznaczali naprzód dzień wybuchu

wojny, że przekonanie takie wygłaszali z wiarą tak siebie pewną, jak gdyby mówili o niedługiém otwarciu wystawy powszechnéj w Chicago, tedy uciec się wolno do wyrażonego wyżéj przypuszczenia, że wyobraźnia nasza, z atawistycznych skłonności jeszcze nie wyzwolona, zmieniła tylko stare na nowe bóstwa i zabobony, że baśń w pierwotnéj złośliwéj lub ciemnéj głowie wylęgła ma takąż władzę nad nami, jak bóstwo leśne lub cześć dla hipopotama nad buszmenem lub kafrem.

Tak czy inaczéj, mamy pokój. Sądzę, że jest to powód do zadowolenia. Gdyby odwołano się do plebiscytu ludów europejskich w kwestyi pokoju lub wojny, niewątpliwie bardzo przemagająca większość głosowałaby za pokojem. Mówią, że wojna jest prawem natury, lecz i praca jest także prawem natury, a warunkiem, aby mogła być owocną, jest pokój. W hierarchii tych stwierdzonych lub przypuszczalnych praw wolno nam pokój postawić wyżéj, bo jemu cywilizacya zawdzięcza swój rozwój. I im ten rozwój jest wyższy, im ewolucya wojowniczego typu społecznego w cywilny i przemysłowy zupełniejszą, tém więcéj dobrodziejstwa pokoju bywają uznawane i cenione.

I dziś, pomimo milionowych armij, pomimo olbrzymich materyalnych i moralnych kosztów tego zbrojnego pokoju, z pewnością jeszcze większość cywilizowanéj ludzkości przekłada te wiadome straty nad niepewne zyski.

Na wojnie, tak jak na grze, mogą zyskać lub stracić amatorowie hazardu politycznego. Ale gra jeśli bywa często zgubną dla jednostek, jest zawsze taką dla ogółu. Ogół może przegrać swoje mienie w nieszczęśliwéj wojnie; wygrać a raczéj wypracować je może tylko w trwałéj energii pokoju. Francya w 1870 r. z szulerskim rządem napoleońskim na czele, któréj obraz tak smutnemi i realnemi rysami kreśli Zola w najświeższym swoim romansie, pozostanie wymownym przykładem szulerki politycznéj. Sądzimy, że wiosnę obecną, która nie przyniosła wojny, wita niezawodnie cała pracująca ludność, z wyrazem wdzięczności.

W teatrze Wielkim wystawiono byronowskiego „Manfreda.“ Dla jednych była to wielka uroczystość sceniczno literacka, dla drugich—powód do niezadowolenia. Łatwo odróżnić jednych od drugich: pierwsi — to czciciele wielkiéj poezyi w literaturze teatralnéj, znużeni aż do czczości mieszczańską komedyą i farsą, drudzy — to właśnie zwolennicy téj komedyi i farsy.

Najwykwintniejszy z krytyków warszawskich p. Władysław Bogusławski tak broni „Manfreda“ w „Gazecie Polskiéj“ w obec zarzutu zestarzenia: „Słyszę na około, że się Byron zestarzał, — patrzę na „Manfreda“ i pytam się w czém: czy w duchu czy w formie? Jest

wielkim, największym może poetą indywidualizmu; więc cóż go oddala od modernistów, stawiających indywidualizmowi apoteozy? Jest zwiastunem pesymizmu, więc z jakiéj racyi pokolenia schoppenhauerzystów mają przez ramię spoglądać na twórcę „Kaina“ tragedyi tego, co jest typowo tragiczném w egzystencyi człowieka, rodzącego się po to, żeby cierpiéć, błądzić i umrzéć? Jest poetą tak subiektywnym, że wszyscy jego bohaterówie mają zawsze jedno i to samo oblicze Byron'a w różne poprzebieranego stroje—będzież i z tego zarzut „zapóźnienia“ formułować generacya, która do niebywałego wirtuozostwa doprowadziła pyszałkowaty w literaturze egotyzm? Wchodzi w głąb siebie i wiele mówi o swoich cierpieniach, — w czemże wyprzedzili go ci, co mają pretensyę, żeby cały świat interesował się każdém drgnięciem ich szpiku pacierzowego?“ i t. d.

Istotnie, ludzie schyłku stulecia z ciekawością przyglądać się mogą procesom ducha z początku stulecia. Byron jest jednym z najznakomitszych przedstawicieli tego wieku, a poezya jego pożywnym do dziś dnia pokarmem. Wprowadzenie w chwili obecnéj „Manfreda“ na scenę warszawską ma téż nie tylko teatralne, ale i estetyczno-literackie znaczenie. Ten i ów, jak wiemy, po powrocie z „Manfreda“ zasiadł do odczytania lub do zabrania po raz pierwszy znajomości z Byronem. A znajomość z tym największym buntownikiem w świecie ducha, jest pod literackim choćby względem pożyteczną.

„Manfred“ zawdzięcza swoją gościnę na scenie warszawskiéj dyrekcyi teatralnéj i p. Kotarbińskiemu, który pięknie odegrał wielką rolę Manfreda. Była to gra silna, stylowa, logiczna i jednolita. Czy nie zanadto właśnie jednolita? W bohaterach Byrona obok tragicznego jest silnie rozwinięty i szyderski, pogardliwy pierwiastek. Czy uwzględnienie w grze tego pierwiastku nie wpłynęłoby na większą duchową plastykę i prawdę téj wspaniałéj kreacyi? Manfred p. Kotarbińskiego, wyrzucający z siebie potoki genialnéj i szalonéj wymowy, jest może zanadto, że tak powiem, prostolinijnym. Domieszka pogardy i ironii, o ile aktorska sztuka wykonawcza w tym razie na to pozwala, uczyniłaby go, psychologicznie zupełniejszym.

Słówko jeszcze o zmartwychwstaniu poezyi. Żyjemy w okresie naukowéj i literackiéj prozy, w epoce statystyków, krytyków i myślicieli, i nie należy się chyba łudzić przypuszczeniem, którego domyślać się pozwala p. Bogusławski w swojéj pięknie i umiejętnie napisanéj recencyi o „Manfredzie,“ że wschodząca jutrzenka poezyi rzuca na nas tęskne i nęcące światło. Goncourt rozcina tę kwestyę, ze swego punktu widzenia stanowczo, mówiąc, że „nie może sobie nawet wyobrazić,“ bay jakikolwiek ruch intelektualny w téj epoce mógł być prowadzony

przez wierszokletów". Zdaniem naszém, ma słuszność. Przewagę w kierownictwie duchem ludzkim mieli w pierwszéj połowie stulecia Byrony, Puszkiny i Mickiewicze, w drugiéj Tain'y, Spencery i Darwiny. Nie dowodzi to wcale wyższości jednéj epoki nad drugą; dowodzi tylko, że każda ma inne cechy, że rozwój umysłowy ma pewne, mniéj więcéj określone fazy, że najżywotniejsze inteligencye zapładniane bywają w danéj epoce innemi, niż w drugiéj pierwiastkami. Zresztą rozkwit umiejętości ścisłych nie osłabił wcale uwielbienia dla geniuszów wyobraźni. Czyż z współczesnych myślicieli nie najwięcéj uwielbiamy tych, którzy przy metodycznéj ścisłości, posiadają twórczy i uogólniający pierwiastek, którzy na rezultaty mozolnych badań rzucają światło geniuszu? Ci mają daleko więcéj wspólnych pierwiastków z wielkimi poetami, niż dzisiejsze wierszopisy, których z tamtymi najczęściéj łączy tylko rymowanie. Byron nas porywa niekoniecznie poezyą, lecz geniuszem. Niech więc stanie przed nami nowy Byron przy końcu, jak na początku stulecia, niech nas rozgrzeje gorącą lawą swéj wyobraźni, niech zogniskuje w sobie wszystkie cierpienia i zagadki lepszéj części, otaczającéj go ludzkości, a zyska zapewne równe uwielbienie, jak dawny. Tylko zostajemy przy swojém zdaniu, że nie będzie przemawiał wierszem, lecz prozą. Analityczna i badawcza inteligencya za wielkie zajęła miejsce w umyśle współczesnym, ażeby pewnego pięknego poranku mogła kapitulować przed formami poetyckiéj wyobraźni. Te dwa pierwiastki muszą paktować z sobą i w połączeczeniu dopiéro wspaniałe rodzić owoce. Połączenie takie nie jest ujmą, lecz zaszczytem dla ducha ludzkiego.

Sąd okręgowy w Lublinie rozstrzygał sprawę o szantaż pięciu młodych ludzi, z których jeden tylko był pełnoletnim. Do wykrycia przestępstwa przyczynił się fakt taki: ksiądz miejscowy, otrzymał od owego stowarzyszenia anonimową groźbę, że jeśli oznaczonéj kwoty pieniężnéj w określonym czasie nie złoży, zostanie zadenuncyowany przed władzą o karne przestępstwo. Ksiądz przedstawił anonim władzy prokuratorskiéj, przestępcy zostali wykryci i na ławie oskarżonych zasiedli. Z procesu okazało się, że te dzieci zepsute zaczęły wywierać teroryzm moralny na miasto i okolicę, zamierzając przeważnie oprzéć swój przemysł na śledzeniu stosunków i tajemnic małżeńskich i miłosnych, jako do szantażu najpodatniejszych. Wyrok sądu położył w porę tamę działalności téj ciekawéj młodzieży, skazując uczestników na więzienie, a następnie powierzając nadzorowi policyi.

Wyzyskiwacze lubelscy nie stracili widocznie nawet na ławie oskarżonych przytomności umysłu i dowcipu, oświadczając, że celem

ich stowarzyszenia była poprawa obyczajów. Co to znaczy dobry humor! Wyznali także, że do inicyatywy zachęciło ich odczytywanie romansów Gaboriau.

O ile sięgamy pamięcią, takiéj organizacyi szantażu, to jest stowarzyszenia w tym celu młodzieży małoletniéj, zaliczonéj podobno do sfery inteligentnéj, w stosunkach naszych jeszcze nie było. Szantaż praktykowany był przeważnie przez jednostki, zdemoralizowane lub shańbione przez życie poprzednie, po za obręb stosunków towarzyskich i pojęć moralnych wyrzucone. Nowe więc cechy szantażu lubelskiego są: stowarzyszenie, niepełnoletność i tak zwana inteligencya przestępców nieletnich.

Dla wytłomaczenia tego, bardzo smutnego, rysu obyczajowego, można zdaniem naszém, postawić następujące przypuszczenie: albo złe wychowanie moralne i nizki poziom otoczenia młodocianych przestępców, albo patologiczne zwyrodnienie moralne, albo nawet wpływ kryminalnych romansów, na który ci młodzieńcy się powoływali, albo te wszystkie czynniki i inne jeszcze, które tylko przysłuchujący się procesowi poznać mogli, razem. Kryminalistów z urodzenia, o ile są tacy, odgadnąć przed dokonywaniem przestępstwa i usunąć ze społeczeństwa niepodobna, nie dopuszczać do czytania romansów kryminalnych także trudno; w rozporządzeniu więc opinii pozostaje więc głównie oddziaływanie i rygor w szerszém, moralném znaczeniu tych wyrazów.

Otóż, gazeta miejscowa zalecała opinii względem przestępców pobłażliwość i wyrozumiałość. Piękne to zapewne cnoty, lecz czyż je zawsze stosować możemy? Naszém zdaniem, nie mogą one znaleść zastosowania względem występków haniebnych. Tak zwane „zbrodnie z namiętności,“ popełniane w uniesieniu lub zaćmieniu umysłu, występki, powstałe z nędzy lub rozpaczy, mogą apelować od kodeksu do sumienia społecznego.

Przestępcy lubelscy na takie pobudki powoływać się nie mogli, nie powoływali się nawet. Z punktu widzenia praktycznéj moralności nie można nawet wynaleść dla nich motywów, zmniejszających ohydę winy. Może wiek? wobec dziewiętnastoletniego lub dwudziestoletniego młodzieńca, który zaczął samodzielność życiową od szantażu, społeczeństwo ludzkie stanąć musi na stanowisku obronném i potępiającém. Zawodowy moralista lub psychiatra, dochodzący przyczyn i ich objawów, zachować się może w obec nich tak, jak mu wiedza zaleca; lecz towarzystwo ludzkie, dla którego te objawy i skutki mają nie specyalną i teoretyczną, lecz praktyczną a ujemną doniosłość, w widokach samoobrony i trzeźwości pojęć etycznych musi być surowém. Naturalnie,

nie znaczy to wcale, aby etyka obyczajowa, potępiwszy hańbę, zrobiła już wszystko, co do niéj należy. To tylko bierna i formalna część jéj zadania. Pozostaje jeszcze czynna, najwięcéj godna społeczeństwa ludzkiego.

W drugiéj połowie b. m. zaczną się wybory do władz Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Wybory te w sferach ziemiańskich w kraju i w prasie budzą zwykle agitacyę i zainteresowanie, na które zresztą zasługują. Na ostatnie wybory, przed dwoma laty, pisma ziemiańskie wysyłały specyalnych delegatów.

W obec bardzo trudnego położenia, w jakiém się znalazło rolnictwo po cłach pruskich i latach nieurodzajnych, ogół zachwianych rolników zwrócił swą uwagę na Towarzystwo, jako instytucyę opiekuńczą krajowego rolnictwa. Towarzystwo téż wypełniło swój przewidziany ustawą obowiązek i zastosowało w roku zeszłym w szerokim stopniu ulgi w rozkładzie rat. Chwilowo ulgi te zostały z wdzięcznością przyjęte, i w rzeczy saméj nie jednego od wywłaszczenia uwolniły.

Lecz teraz i prolongowane i bieżące raty płacić należy, a rok ostatni nie był wcale dla rolników pomyślnym. Projekta podźwignięcia rolnictwa krajowego, czy to przez likwidacyę, czy przez parcelacyę majątków, czy przez stowarzyszenie kredytowe lub wzajemnéj pomocy, nie oblekają się w ciało, a kłopoty i potrzeby rolnictwa rosną.

Rzecz jasna, że w takich warunkach między dłużnikami a wierzycielami łatwo o niechęć i nieporozumienie. Towarzystwo Kredytowe ziemskie jest właśnie wierzycielem uprzywilejowanym i dla tego wielu stowarzyszonych żywi względem téj instytucyi niezadowolenie. Wtenczas, kiedy została doprowadzoną do skutku, tak ogólnie pożądana pożyczka ze zwiększonego mnożnika, stawiano kierowników Towarzystwa na piedestale zasługi obywatelskiéj; dziś, kiedy już mnożnik podnieść trudno, kiedy ulg uzyskać już nie można — dłużnicy mniéj są zadowoleni i z instytucyi i z jéj kierowników.

Niewątpliwie, że na téj instytucyi leżą duże obowiązki, że mogłaby ona nie raz dać inicyatywę sprawom i interesom pożytecznym, jak np. założenie biura statystycznego, o którém w ostatnich czasach wiele radzono i pisano. Lecz z drugiéj strony pamiętać należy, że jest to instytucya finansowa, określona przepisami ustawy, zależna od niéj, i zmuszona liczyć się z właścicielami listów zastawnych; wybawienie więc z kłopotów rolnictwa krajowego przekracza jéj możność i siły. Pamiętać o tém należy tym stowarzyszonym, którzy zaszczycając kogoś wyborem na radcę, spodziewają się po nim obrony swoich bezpośre-

dnich interesów. Tymczasem jest to tylko urzędnik, przeznaczony do załatwiania czynności swego wydziału.

Po za temi zastrzeżeniami nie myślimy oponować przeciwko głosom z pośród samego ziemiaństwa, pragnącym widzieć w kierownikach Towarzystwa ludzi kompetentnych, czynnych i energicznych, a nie zaś figurantów, zawdzięczających swoje stanowiska schlebianiu słabościom wyborców. Od takich figurantów, którzy zostali radcami dzięki umiejętności towarzyskiéj paplaniny i „prezentacyi,“ jak się wyrażają, dzięki bezbarwności i rutynie swoich poglądów i charakterów, i którzy krzesła swoje wzięli w wygodną niemal dożywotnią dzierżawę — nie wszystkie dyrekcye Towarzystwa są wolne. W kwalifikacyach, jakie im wystawia opinia, brzmią zawsze terminy: „uczciwi, zacni, przyzwoici,“ co przełożone na język wyraźny i ścisły znaczyć może powinno: bierni, apatyczni, machinalni.

Narzekają także, że interesa w Towarzystwie załatwiane bywają zbyt powoli i opieszale, co naraża interesantów (przeważnie stowarzyszonych) na stratę czasu i koszta, że formalistyka biurowa jest długą, ciężką i nudną. Zarzuty, uwagi, projekta lub reformy, którym racyę istnienia przyznać trzeba, powinny być formułowane właśnie teraz, w okresie przedwyborczym. Towarzystwo Kredytowe Ziemskie jest jedną z najpoważniejszych instytucyi w kraju, reprezentuje znaczny stan społeczeństwa; zalecać się więc powinno wzorowymi kierownikami i działalnością.

Tegoroczny sezon zimowy sprzyjał jakoś rozprawom nad etyką i honorem dziennikarskim. Łączymy tę kwestyę z sezonem, bo w każdym inną traktujemy etykę: dawniéj omawiano kwestyę etyki lekarskiéj, późniéj aptekarskiéj i adwokackiéj, a teraz dziennikarskiéj. Wpłynęły na to spory i procesa między redaktorami. Z namiętnych zarzutów i argumentów nie wiele jasnych wniosków wyprowadzić można.

Z samego choćby względu, że konkurencya handlowa rządzi wydawnictwami dziennikarskiemi zarówno dobrze jak wszystkiemi innemi przedsiębiorstwami — jest jasném, że o zatargi, inkryminacye i nieporozumienia między pismami łatwo.

Oprócz tego współzawodnictwa materyalnego istnieje jeszcze współzawodnictwo moralne, dążące do wywierania możliwie wielkiego wpływu na opinię, na czytelników, przez wykazywanie czy to wyższości swych zasad społecznych, czy to zalet naukowych lub literackich, czy lepszych informacyi o faktach bieżących. Dodajmy, że współzawodnictwo tego drugiego rodzaju nie przynosi wcale ujmy, lecz przeciwnie — zaszczyt wydawnictwu. Gdyby cała prasa mogła prze-

jąć się ambicyą moralną zadawalania umysłowych i estetycznych skłonności w swoich czytelnikach, z pominięciem celów handlowych i ubocznych, gdyby pokarm umysłowy, im dostarczany, przygotowywały istotne inteligencye i talenta pisarskie, wówczas o jakimś specyficznym honorze czy etyce dziennikarskiéj nie byłoby zapewne potrzeby szeroko się rozwodzić. Od takich idealnych stosunków prasa odbiega jednak daleko.

Drugim czynnikiem, nieporozumienie wywołującym, jest względna łatwość, jaką mają ludzie pióra do kłótni publicznéj. Już w starożytności nazywano artystów i poetów „*irritabile genus*“, co łatwo się tłómaczy, że ludzie, przeważnie nerwami pracujący, mają system nerwowy w większym stopniu, niż pracownicy innych zawodów podrażniony. Do téj ogólnéj cechy przyłącza się szczególna, nam właściwa: niezdolność czy nieumiejętność prowadzenia obiektywnéj rozmowy słowem i obiektywnéj dyskussyi piórem. Mamy pod tym względem bardzo podobną naturę do kobiecéj: przelatujemy z lekkością motyla z przedmiotu na przedmiot, z wątkiem logicznym wcale nie związany, używamy argumentów pobocznych i kończymy najczęściéj na sprzeczce osobistéj, ani nie przekonywający, ani nie przekonani.

Czy kto pamięta ważniejszą dyskusyę w prasie warszawskiéj, prowadzoną obustronnie aż do samego końca z dobrą wiarą, przedmiotowo, z chęcią wyjaśnienia kwestyi? Pospolicie kończy się ona wybuchem temperamentu jednego lub obu zapaśników i kwestya gdzieś się podziewa. Wprawdzie sposób prowadzenia dyskusyi czy polemiki nie stanowi jeszcze istoty etyki ani honoru dziennikarkiego, bo zdarza się, że ludzie lub dziennikarze najpodrzędniejszego gatunku nie prowadzą jéj najczęściéj wcale lub zachowują wszystkie zewnętrzne względy przyzwoitości. Lecz z polemik, oznaczoną wyżéj metodą prowadzonych, wypływają na wierzch ujemne strony obozów lub klik dziennikarsko-literackich, które stają się tym sposobem przedmiotem urągania lub szyderstwa publicznego. Gdyby te gorszące kłótnie prowadziły do oczyszczenia atmosfery moralnéj, gdyby po nich nastąpiła sumienność pracy, szczerość przekonań, zwycięstwo zacnych lub utalentowanych, a porażka nędznych miernot umysłowych lub moralnych, możnaby jeszcze zgodzić się na nie; lecz właściwie nic się nie zmienia, wszystko pozostaje jak było, i ludzie i metody i zasady, jeżeli o ostatnich w tych swarach mówić się godzi. Tyle o formalnéj, zewnętrznéj stronie etyki a raczéj przyzwoitości dziennikarskiéj.

O zasadniczéj, wewnętrznéj stronie cóż powiedziéć można? To chyba, co każdy wie oddawna, że do zawodu pisarskiego powinni miéć przystęp tylko ludzie z dużemi moralnemi a zwłaszcza umysłowemi

kwalifikacyami, że tylko tacy dawaliby rękojmię godnego traktowania swego zawodu. Tacy umieliby się kłócić, sprzeczać, dysputować, wnieśliby życie godne umysłów silnych i niepodległych. Hegemonia w prasie nie do nich jednak należy, i nie zanosi się na to, aby należała wkrótce. Byłoby to marzenie, którém teraz mniéj, niż kiedykolwiek, łudzić się warto.

P. Chorąży w „Wieku“ w artykule „Honor w dziennikarstwie“ usiłował wprawdzie nakreślić pozytywny program konduity świata piszącego. Była to jednak tylko mniéj więcéj parafraza ogólno-etykietalnego przepisu, jak się należy zachować względem brutalnego lub źle wychowanego przeciwnika. Zakres objawów, jakie obejmuje ten przedmiot, jest za szeroki do pomieszczenia się w przepisie i wykładzie p. Chorążego.

W zeszłéj kronice wspominaliśmy o projekcie, przez pisma ruskie podanym, państwowego ubezpieczenia robotników fabrycznych od nieszczęśliwych wypadków. O losie tego projektu tymczasem więcéj nie wiemy. Podnosimy natomiast inicyatywę instytucyi przemysłowéj w Warszawie, z tegoż zakresu stosunków: Sekcya techniczna przy Towarzystwie popierania przemysłu i handlu w Warszawie postanowiła zająć się szczegółowo przedmiotem zapobiegania wypadkom fabrycznym. Wniosek w téj kwestyi przygotował p. Stanisław Kossuth, członek głównego zarządu drogi żelaznéj Nadwiślańskiéj. Projekt p. Kossutha, opracowany podobno bardzo starannie i wzorowany na podobnych ustawach zagranicznych, zmierza do utworzenia przy warszawskim oddziale Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, zjednoczenia przemysłowców i techników, którego celem byłoby zapobieganie nieszczęśliwym wypadkom.

Działalność tego zjednoczenia polegałaby na nadzorze technicznym i administracyi. Pod pierwszym względem chodzi o należyte zabezpieczenie robotników od niebezpieczeństwa, grożącego im od machin, w obszerném znaczeniu wyrazu. Otóż zadaniem inspekcyi technicznéj byłby nadzór nad bezpieczeństwem ustroju machiny, najmniéj narażającym obsługujących ją robotników, na osłonieniu wszystkich części machin i przyrządów, mogących sprowadzić nieszczęśliwy wypadek. Pośrednio do tego samego celu zmierzając, projektodawca wymaga należytego oświetlenia dziennego i nocnego, normalnéj temperatury, czystego powietrza w izbach fabrycznych i t. d., albowiem w takich tylko warunkach robotnik zachowuje zdrowie, przytomność umysłu i energię.

Pod drugim, administracyjnym względem, projekt zaleca poruczanie obsługi machin robotnikom specyalnie przygotowanym i fizycz-

nie zdolnym, zakaz czyszczenia machin podczas biegu, nieprzedłużanie zbyteczne roboty i t. d. Nareszcie za ważny warunek uważa organizacyę przeciw ogniową w zakładach przemysłowych i fabrykach. Chociaż niektóre z naszych fabryk mają własne straże ogniowe, jednakże środki przeciw ogniowe są w ogóle u nas bardzo zaniedbane i traktowane po dyletancku, gdy tymczasem zapobieganie i tłumienie pożarów stanowi już dzisiaj osobną umiejętność. Postęp zaś w tym kierunku wpływa na zmniejszenie nieszczęśliwych wypadków z robotnikami.

Zjednoczenie przemysłowców dla zapobiegania wypadkom fabrycznym posiadałoby jednego lub kiku inspektorów, specyalnie do czynności swojéj przygotowanych przez zapoznanie się z odnośną literaturą, oraz przez przyjrzenie się na miejscu działalności podobnego stowarzyszenia w Alzacyi. Działalność inspektora polegałaby na zwiedzaniu fabryk, do zjednoczenia należących, na regulaminach piśmiennych i wskazówkach bezpośrednich i t. d. Działalność ta byłaby doradczą i poufną; czynności swoje inspektor wykonywałby tylko za zgodą właściciela lub jego zastępcy.

Jesteśmy w okresie gorącéj, na papierze naturalnie, walki z lichwą. Obok zapowiadanego prawa przeciw lichwie, policya i prasa trapią ciągle lichwiarzy. Pisma ogłosiły ich listę — z adresem każdego. Intencya była zapewne ostrzegawczą, lecz jak dowcipnie zauważono była to tylko informacya dla potrzebujących pomocy lichwiarskiéj.

Kilkanaście bardzo rozsądnych zdań w tym przedmiocie napisał p. Gloger w „Słowie.“ Zauważywszy, że każde prawodawstwo, bez współdziałania społecznego, będzie w walce z lichwą niedostateczne, mówi: „Każde przezorne społeczeństwo powinno tyle oszczędzać i tyle wytworzyć opartych na wzajemości ochronnych instytucyi, aby każda jednostka i rodzina, na wypadek klęski i jakiegoś nieszczęścia, znalazła środki zapezpieczające ją przed zwykłą w takich razach koniecznością oddania się na łup lichwie.“ W Niemczech stowarzyszenia takie stały się tak powszechne, nawet w ubogich i oddalonych wioskach, że „ludzie tamci już nie pojmują, czy mogłoby jakie społeczeństwo ucywilizowane istnieć bez nich.“

Ponieważ u nas towarzystwa wzajemności są dopiéro w zawiązku, więc p. Gloger sądzi, że „prawdziwy pożytek przynieść by mogła popularna książeczka z opisem wszelkiego rodzaju drobnych, wzajemnych, ekonomicznych stowarzyszeń, jakie już istnieją u nas tu i owdzie, lub powszechne są gdzieindziéj.“

Koléj Terespolska przejść ma z dniem 1 (13) maja w posiadanie rządowe. Dwudziestopięcioletni okres eksploatacyi drogi przez towarzystwo akcyonaryuszów minął i linia będzie upaństwowioną. Do chwili, w któréj to piszemy, ministerya skarbu i komunikacyi porozumiały się już co do odbioru linii w eksploatacyą skarbową. Jest-to fakt w naszém życiu ekonomiczném dość ważny.

Wystawy inwentarza, pomimo zeszłorocznych nadziei i obietnic, nie będzie i w tym roku w Warszawie. Wystawa nie mogłaby się już odbyć, jak dawniejsze, na placu Ujazdowskim, który otrzymał inne przeznaczenie, lecz na polu Mokotowskiém, obok toru wyścigowego. Do wzniesienia budynków wystawowych i kosztów przedwstępnych zabrakło Towarzystwu wyścigów konnych, które podejmowało inicyatywę urządzania wystaw w Warszawie, 2-ch tysięcy rubli. W naszych stosunkach i instytucyach tkwi wiecznie jakaś nieudolność, niedbalstwo, czy téż przedwczesne zobojętnienie tych, w interesie których one powstały. Wystawy inwentarza, zapoczątkowane przed laty, cieszyły się wielkiém w pierwszych latach powodzeniem, przynosiły korzyść wystawcom, miastu i przyczyniały się do ożywienia handlu inwentarzem i poprawy hodowli. Od lat kilku ustały, pomimo że Towarzystwo wyścigów konnych posiada koncesyę na ich otwieranie. Czyż np. brak 2-ch tysięcy rubli może być wystarczającym argumentem do zaniechania wystawy w kraju rolniczym, liczącym jeszcze bądź co bądź licznych i zamożnych właścicieli rozległych dóbr ziemskich? Czyż wyścigi konne, które teraz dwa razy do roku, w czerwcu i na jesieni zaczęto urządzać, nie pochłaniają kilkanaście razy z pewnością większéj sumy? W zeszłym roku przecież i Towarzystwo wyścigów, i pisma zapowiadały stanowczo wystawę w roku bieżącym. Dlaczego teraz milczą?

Ciężkie położenie rolnictwa nie zupełnie jest wystarczającą odpowiedzią, boć to położenie żadnego określonego terminu trwania nie ma i trudno przypuścić, ażeby rolnicy zaniechaniem inicyatywy i ulepszeń ratować się z niego chcieli. Wystawy specyalne przyczyniają się zawsze do podniesienia téj gałęzi wytwórczości, którą przedstawiają, zbliżają do siebie producentów, wykazują wyższość sposobów produkcyi czy hodowli i ułatwiają wymianę.

A może Warszawa miała tylko przez czas jakiś manię urządzania najrozmaitszych wystaw, bo któż policzy wszystkie w ostatnich latach? Może to tylko była moda? W takim razie rozprawa ustaje, choć nie możemy stawiać obok siebie pod względem pożytku wystawy inwentarza i wystawy kulinarnéj.

Tegoroczne odczyty na dochód Towarzystwa osad rolnych nie ściągnęły pożądanéj liczby słuchaczów do sali ratuszowéj. Przy objaśnieniu tego faktu, słyszeliśmy od jednych, że odczyty nie mają już dla ogółu uroku nowości, że przestały być modne; od innych, że dotyczą przeważnie przedmiotów specyalnych, a jak w ostatnich dwóch latach, przeważnie lekarskich. Z pierwszą uwagą rozprawa jest trudną: odczyty mają na celu pożyteczną rozrywkę umysłową, nawet naukę, która z modą nic wspólnego nie ma. Fizyologia, medycyna, hygiena nie może być modną, ani nie modną. Co do zarzutu specyalności, to prelegenci, wiedząc o tém, że nie przemawiają do towarzystwa z terminologią fachową dokładnie obeznanego, wykładem popularnym dla przeciętnie wykształconych przystępnym, starają się właśnie tę terminologię objaśnić, aby przedmiot stał się zrozumiałym, a znajomość jego pożyteczną. Z uwag więc, niepopularność odczytów zamierzających objaśnić, należałoby taki chyba zrobić wniosek, że w publiczności warszawskiéj życie umysłowe słabnie, co już tyle razy zresztą przy rozmaitych okazyach zaznaczoném zostało. Wniosek smutny, lecz może prawdziwy.

Muzeum rzemieślnicze w Warszawie, o którego zatwierdzeniu i planie organizacyi, dawniéj pisaliśmy, otrzymało już podział na sekcye, i niedługo otwartém zostanie.

B. Lut.

Grzeczność p. E. Andriollego pozwoliła nam oglądać nową jego pracę. Na wielkich rozmiarów kartonie widzimy przed sobą prastarą puszczę. Stoją tu gęsto koło siebie osypane śniegiem olbrzymy leśne, któreby rówieśnikami cedrów libańskich zwać się mogły. Wąskim przesmykiem z téj gęstwiny wylewa się, niby potok górski, tłum postaci ludzkich, mężczyzn i niewiast, starców i młodzieży, pieszych i konnych, okrytych żelazną zbroją i w szaty kościelne lub skóry zwierzęce odzianych, niosących miecze, dzidy, trąby bojowe, bałwany bożków i t. d. To Litwini wracają z odwetowéj wyprawy w ziemie krzyżackie, wioząc bogate łupy, pędząc skrępowanych łykami jeńców. Piórko i pędzel artysty stawiają nam przed oczy mieszaninę ras ludzkich z ich znamionami przyrodzonemi i właściwościami wytworzonemi przez różne stadya cywilizacyjne. W tym tłumie wre życie całą gammą namiętności, jakie z różnicy położenia jednostek, z ich temperamentu wynikają. Zwycięzcy i zwyciężeni, wodzowie i szeregowcy, rycerze i ciury, zrozpaczeni, gniewni, tryumfujący, apatyczni, szyderczy—zwracają ku sobie naprzemian uwagę widza. Cała kompozycya

kipi wielkiém ożywieniem, powié kto może: nadmiarem ruchu, jaki w Matejkowskim Grunwaldzie przed laty zadziwiał. — Na dwóch mniejszych kartonach, któreśmy jednocześnie widzieli, przedstawił p. Andriolli scenę z ballady „Lilie“, gdy widmo zamordowanego męża ukazuje się w kościele, oraz pożegnanie Alfa z Aldoną. — Technika artysty znana jest powszechnie z tysiąca jego utworów, czytelnik więc „Ateneum“ rad zapewne będzie, że mu tutaj dyletanckich ogólników oszczędzimy.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава. 30 Марта 1892 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale I-ym 1892 r.

1. **Co i jak jeść należy.** Na podstawach naukowych opisał *D-r S. S.* Warszawa, nakład księgarni E. Kolińskiego, 192, 8-vo. str. 106.
2. **Na wsi.** Powieść dla młodocianego wieku przez *Ludwika Niemojowskiego* (z rycinami), Warszawa, druk E. Skiwskiego, 18892, 8-vo, str. 176.
3. *Ursyn (Jan Zamarajew).* **Na palecie.** Nowele, szkice i obrazki. Warszawa, nakład M. Lewińskiego, 1892, 8-vo, str. 199 (cena rs. 1).
4. **Sprawozdanie** towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami oraz ich dziećmi w Warszawie. R. 1888, str. 29, — R. 1889, str. 31.
5. **Grafologia.** Nauka poznawania charakteru człowieka z jego pisma. Opracowana przez *Joannę Belejowską.* Warsz., skład główny u Gebethnera i Wolffa, 1892, 8-vo, str 226.
6. **Kalendarz** księgarsko-literacki na rok 1892. Katalog książek polskich wydanych w ubiegłym roku. Nakład księgarni Centnerszwera, str. 149 i 32
7. *Ostoja.* **Powieści prawdziwe.** Warszawa, nakład T. Paprockiego i S-ki, 1892, 8-vo, str. 321.
8. **Sprawozdania** meteorologiczne za miesiąc Kwiecień—Wrzesień 1890 r. (wyd. Towarzystwa popierania przemysłu i handlu). Warszawa, 1891, 4-to.
9. **Gąsiorkowski.** Powieść przez *W. Kosiakiewicza.* Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, 1892, 8-vo, str. 394.
10. **Trygonometrya** płaska i kulista. Napisał *Aleks. Czajewicz* („Bibl. matemat.-fizyczna" wyd. z zap. Kasy im. Mianowskiego) Warsz. 1892, 8-vo, str. 392 (cena rs. 2).
11. *Esteja.* **Fuga Bacha.** Powieść. Warsz., nakł. S Lewentala (1892), 8-vo, str. 371.
12. **Nauka czytania** i pisania. Ułożył *Adolf Dygasiński.* Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1892, 8-vo.
13. *Stanisław Kruziński.* **Szkice socyologiczne.** Warszawa, druk Józefa Jeżyńskiego, 1892, 8-vo, str. 143.
14. **Przewodnik kolejowy** półrocze 1892 zimowe, Warsz., wydawnictwo *W. Rakowskiego.* Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 8-vo, str. 22+X+VIII+80+112+48+126 i dwie mapy (cena kop. 50).
15. **Siły przyrody.** Popularny wykład fizyki, podług dzieła Guillemin'a, opracowali *Józefowa Nusbaum* i Henryk Silberstein. Zeszyty 28 i 29.
16. **Rocznik** Towarzystwa ogrodniczego za rok 1891. Warsz., 1892, 8-vo, str. 51 i 8.
17. **Wiadomości statystyczne** o stosunkach krajowych, wydane pod redakcyą profesora *D-ra Tadeusza Pilata,* tom XII. Lwów, 1891, 4-to, str. L.+67+30+VIII.
18. *D-r Fr. Giedroyć.* **Prostytutki** jako źródło chorób wenerycznych. Warszawa, 1892, 8-vo, str. 76.
19. *Ksawery Aleksota.* **Moje konkury.** Warsz u T. Paprockiego i S-ki. 1892, 8-vo, st. 147.
20. *Michał Bałucki.* **Z mętów społecznych,** powieść. **Profesorka,** obrazek z natury. Warszawa u S. Lewentala, 8-vo, str. 229.
21. *Julian Łętowski.* **Robakiewicz,** nowele i obrazki. Warsz., nakł. S. Lewentala.
22. *Abgar-Sołtan.* **Klub nietoperzy.** Powieść. 1892, dwa tomy, 8-vo, str. 206 i 198.
23. *D-r Ernest Bandrowski.* **Wykład chemii ogólnej.** Nakład autora, 1891, 8-vo, str. 242.
24. **Akta grodzkie i ziemskie** z archiwum tak zw. bernardyńskie. Tom. XV, 4-to, str. XIII i 720.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

